



Paweł Szlachetko

Zwerbowana miłość

UCIECZKA

Paweł Szlachetko

Zwerbowana miłość  
Ucieczka

Projekt okładki: *Tadeusz Kazubek*  
Redakcja: *Aleksandra Jakubowska*  
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*  
Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzowski*  
Korekta: *Mariola Hajnus, Janina Zgrzębska*

© Zdjęcia wykorzystane na okładce:

Jason Stitt/Fotolia.pl

Cherry-Merry/Fotolia.pl

© by Paweł Szlachetko, 2012

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2012

ISBN 978-83-7758-223-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2012

*Najwspanialszej mamie, Mariannie*

\* \* \*

MINEŁO POŁUDNIE. Wychudzony pies leżał na chodniku obok podjazdu do willi, ukrytej za rozłożystymi palmami. Dlaczego nie przeniósł się w cień rzucany przez rosnące w pobliżu krzewy? Może nie miał już sił, żeby się tam dowlec, a może pchły zmusiły go do zatrzymania się na rozpalonym słońcem trotuarze i tak już został?

Enrique obserwował z uwagą, jak kundel wolno drapał się tylną łapą po karku. Zwierzę dyszało przy tym spazmatycznie, szeroko otwierając suchy pysk.

Świat dokądś pędzi, jakby był już spóźniony o trzysta lat, i wszyscy mają cię gdzieś, nawet jeśli za chwilę zdechniesz z pragnienia. I nie ma na to rady – pomyślał Enrique.

Przymknął oczy, wdychając chłodny powiew powietrza tłoczonego z samochodowej klimatyzacji. Siedzący za kierownicą Miguel nasunął głęboko na czoło kapelusz i zamknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć. Tak to jest, kiedy bierze się dodatkową robotę. Jemu też chciało się spać, pobudzało go do czuwania tylko planowanie wydania tysiąca dolarów, które każdy miał dostać za to zlecenie. Najpierw kupi chłodne piwo importowane z Niemiec. Kosztowało cholernie drogo, ale miało cudowny smak. Potem weźmie Minę i pojedą kupić nowy telewizor. Widział całkiem niedrogi w Supermercado na Avenida Agraciada.

- Nie śpij! – Trącił w ramię siedzącego obok.
- Tylko przymknąłem oczy.
- Zaczynasz chrapać.
- Nie martw się, usłyszę nadjeżdżający samochód.
- Może dać mu wody?
- Komu? – Miguel odsunął rondo kapelusza na tył głowy.
- Tamtemu kundlowi. Masz coś w butelce?

- Wypiłem, jak dojeżdżaliśmy.
- O mnie nie pomyślałeś?
- Było tylko trochę na dnie.

Enrique odwrócił się i wziął z tylnego siedzenia „El Observador”. Nacisnął klamkę i wysiadł z samochodu. W porównaniu z chłodem klimatyzacji na zewnątrz panowało rozpalone piekło. Ruszył w stronę kundla, który obserwował go z obojętnym zrezygnowaniem. Zatrzymał się przy psie.

– Spróbuj wytrzymać – rzucił, mrużąc oczy przed ostrymi promieniami słońca i nakrył zwierzę rozłożoną gazetą.

Kiedy wrócił do samochodu, Miguel spojrzał zdziwiony.

- Jeszcze nie przeczytałem dodatku sportowego.
- Jak wrócimy, dokończysz. – Otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

Miguel burknął coś niezrozumiałego pod nosem. Na powrót schował twarz pod kapelusz, opierając głowę o zagłówek fotela.

Enrique lubił pracować z siedzącym obok kolegą. Niejedno już przeszli. Dwadzieścia lat temu poznali się w Dirección Nacional de Migración. Zaczynali jako zwykli urzędnicy. Wypłata starczała na codzienną kawę, papierosy i jednorazowy sobotni wyskok do klubu Chico Paysand.

Enrique zerknął w lusterko wsteczne. Miał ponure wejrzenie. Ile to lat...? Wtedy miał mniej siwych włosów i więcej marzeń. Pewnej soboty poznali z Miguelem w klubie bliźniaczki: Elenę i Minę. Obie urodziły im po czworo dzieci. Jemu dostały się cztery córki, Miguelowi czterech synów.

Nie ma na świecie sprawiedliwości.

No, może w jednym. Każdy trafił na jędzę, która tak się zapasła, że z wiotkiego podlotka zmieniła się w tłąstą babę z cyckami zwisającymi do szóstej fałdy na brzuchu. Im więcej przynosili do domu pieniędzy, tym żmije coraz głośniej wrzeszczały, że nie starczy na chleb. Czasami Enrique zastanawiał się, czy nie zgodziłyby się już na wieczne wycieranie sobie nim gęby i wyzywanie od nierobów i pijaków, gdyby nie musiał kłaść się z nią do łóżka. Cholera, jak nic podpisałyby zobowiązanie, nawet u notariusza. Jeszcze tyle pięknych kobiet chodziło po ulicach Montevideo.

Nie ma na świecie sprawiedliwości.

Sięgnął do samochodowego schowka. Wyjął dwa zdjęcia. Z jednego patrzyła brunetka o krótko przyciętych włosach. Na zmysłowych wargach błąkał się uśmiech ni to ironii, ni pogardy. Drwiącego wyrazu twarzy dopełniały oczy, lekko przymrużone, w których próżno by szukać zachęty do ściągnięcia majtek.

Druga kobieta była blondynką. Zamyślane oczy spoglądały w nieznany nikomu punkt przestrzeni. Marzycielka o oczach zdziwionego światem dziecka. Obie fotografie wydawały się stylizowane. Enrique wyczuwał, że pozujące nie do końca były tymi, za które chciały uchodzić. Znał się na kobietach. Rok życia z Miną równy był dziesięciu latom małżeńskiego piekła.

Cholera, gdyby przed ślubem miał to doświadczenie co dzisiaj... Już po pierwszej nocy trzeba było zwiewać. Choćby na drugi koniec Urugwaju, do Sauzal, skąd przed sześćdziesięciu laty w poszukiwaniu pracy przyjechali rodzice.

Z zamyślenia wyrwał go warkot nadjeżdżającego samochodu. W lusterku wstecznym dostrzegł charakterystyczną sylwetkę terenowej toyoty. Za kierownicą siedziała brunetka, która zerkała na siedzącą obok blondynę. Ta mówiła coś z ożywieniem.

Trącił w ramię przysypiającego za kierownicą kolegę.

– Słyszałem.

Miguel, ziewając, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po pistolet. Potem z bocznej kieszeni wyjął tłumik, który zaczął wkręcać w wylot lufy.

– Pamiętasz rozkład domu? – Miguel spojrzał na Enrique'ą. Ten zamiast odpowiedzieć, kiwnął potakująco.

– Ja wchodzę od frontu.

– Skąd one są?

– Z Polski.

– Gdzie to jest?

– Cholera wie.

– Szkoda.

– Co, szkoda?

– Że nie wiesz.

– Po co ci to?

Miguel wzruszył ramionami.

– Chciałbym wiedzieć.

– Chyba w Europie Wschodniej, za daleko, żeby sobie nią dupę zawracać.

Enrique przeładował broń.

– Przydałaby się gazeta. – Miguel wskazał na wydłużoną lufę beretty.

– Przerzucisz marynarkę przez ramię.

Wysiedli z samochodu. Nim Enrique przeszedł na drugą stronę ulicy, spojrzał na przykrytego gazetą psa. Papier nieznacznie się unosił, więc kundel dawał sobie radę. Pogwizdując, przekroczyli jezdnię i weszli na chodnik wyłożony czerwoną kostką. Przed drzwiami willi stała zaparkowana toyota, z której bagażnika przed chwilą kobiety wypakowały zakupy.

Miguel ruszył w stronę narożnika, żeby obejść dom od tyłu. Enrique wszedł po czterech stopniach i zatrzymał się przed pomalowanymi na biało drzwiami. Błyszcząca kołatka kusiała, by sięgnąć po mosiężny uchwyt.

Innym razem – prychnął w duchu i odbezpieczył i przeładował broń. Usłyszał cichy szcęk mechanizmu, który wprowadził nabój do lufy. Powoli nacisnął klamkę. Zamek był dobrze naoliwiony.

W holu, którego podłogę wyłożono kamiennymi płytami, panował przyjemny chłód. Zamknął za sobą drzwi równie bezgłośnie, jak je otworzył. Widząc nieopodal wieszak, zarzucił nań marynarkę. Tak będzie wygodniej. Jedna z kobiet była na piętrze, gdyż stamtąd dochodziły odgłosy trzaskających szuflad i otwieranych szaf. Druga była w kuchni, skąd dobiegał szelest wypakowywanych toreb. Po kilku krokach pchnął wahadłowe drzwi i zobaczył odwróconą do niego plecami brunetkę. Zrobił kilka kroków. Tracił nogą leżącą na podłodze papierową torbę. Kobieta odwróciła się, zaskoczona szelestem, jednocześnie rozległ się strzał, ale kula zamiast trafić między łopatki, jak zamierzał, strzaskała jej obojczyk. Wypuściła z dłoni słoik. Rozległo się szklane pacnięcie o kamienną posadzkę. Majonez rozbryznął się na boki. Ochlapał szafki. Brunetka próbowała chwycić się otwartych drzwi lodówki. Zdołała zaczepić palce o jedną z półek. Plastik pękł.

Wszystko rozgrywało się przed oczami Enrique'a niczym na zwolnionym filmie.

Na posadzkę poleciały kolejne słoiki. Pękła butelka z sokiem



pomarańczowym. Zanim płyn rozlał się po podłodze, brunetka osunęła się na kolana. Z bezwładnie zwisającego ramienia płynęła krew, która miała równie mocny karminowy kolor, co lakier jej paznokci.

Nie zdążyła nawet krzyknąć.

Kiedy otwierała usta, padł drugi strzał. Głową wstrząsnął piorun, który oderwał jej pół policzka. Trafiona kulą kobieta rozrzuciła na boki ramiona.

Enrique podszedł do leżącej, uważając, by nie wejść w majonez, który zaczynał się mieszać z krwią i sokiem. Dotknął tętnicy szyjnej. Nic nie wyczuł. Kobieta była martwa. Szeroko otwarte oczy spoglądały na niego z zaciekawieniem.

Gdy wstawał z półprzysiadu, usłyszał za plecami szelest trąconej nogą torby. Zaraz potem padł strzał. Dopiero wtedy odwrócił się i jego oczy zarejestrowały stojącą za plecami blondynkę.

Na jej piersiach, na białej bluzce, wykwitła czerwona plama krwi. Kobieta spoglądała na niego w taki sposób, jakby był ostatnim śmieciem. Plama krwi rosła coraz bardziej. Blondynka jeszcze szukała dłonią wsparcia na blacie szafki. Sekundę później ugięły się pod nią nogi i upadła na twarz. Dopiero wtedy za jej plecami zobaczył w progu Miguela z pistoletem w dłoni.

– Mogłeś mnie trafić – burknął zły i przeskoczył nad leżącą. Potem odwrócił się i strzelił blondynce w głowę.

Spojrzał za siebie na kuchnię, jakby chciał sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał. Zawsze tak robił, gdy wychodził z domu. Kiedyś Mina zostawiła czajnik na gazie. O mało cały dom nie poszedł z dymem.

Enrique podszedł do jednej z szafek. Otworzył ją. Znalazł puszkę z kakao. Wrzucił do środka kilkugramową paczuszkę z kokainą. Na prawej nogawce spodni dostrzegł niewielką plamę majonezu. Namoczył papierowy ręcznik i starannie ją wytarł. W holu zdjął z wieszaka marynarkę.

Kiedy wyszli na dwór, Miguel dokładnie zamknął drzwi. Wytarł chusteczką higieniczną klamkę. Prócz niej niczego w domu nie dotykał. Enrique również nie zostawił żadnych śladów.

Uliczka, jak poprzednio, była pusta, jakby upał zatrzymał wszelki ruch w rozpalonej słońcem stopklatce.

Enrique podszedł do psa. Ściągnął z niego gazetę. Tym razem kundel już nawet na niego nie spojrzał. Wziął zwierzę na ręce i zaniósł na tylne

siedzenie samochodu.

– Chcesz go zabrać? – Miguel włączył silnik i podkręcił chłodzenie na maksa.

– Masz coś przeciw?

– Co na to Mina?

– Dzieciaki będą zachwycone, więc i ona nie będzie jęczeć.

Dwie przecznice dalej zatrzymali samochód na stacji benzynowej. Enrique poszedł na drugą stronę ulicy kupić butelkę wody, a Miguel ruszył do automatu telefonicznego. Wykręcił numer pogotowia policyjnego i powiedział o strzałach, słyszanych na ulicy Charakas pod numerem 18 B. Kiedy policjantka spytała o nazwisko, odłożył słuchawkę.

Dziesięć minut później zostawili na parkingu samochód Miguela i przesiedli się do opla Enrique'a. Kiedy ten poił psa, kompan nasunął na oczy kapelusz i rozłożył się wygodnie na siedzeniu obok kierowcy. Najwyraźniej miał nadzieję, że złapie choć piętnaście minut drzemki.

*30 dni wcześniej*

CZTERDZIESTOPIĘCIOLETNI MĘŻCZYZNA z perspektywami na brak perspektyw. Jeszcze do niedawna tak o sobie myślał... Tomasz podniósł głowę, żeby spojrzeć na fasadę świątyni. Kościół usytuowany na pograniczu nowojorskiego Bronxu i Manhattanu nie odróżniał się niczym szczególnym od wzniesionych wokół budynków. Gdyby nie krzyż zawieszony nad szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami, można byłoby go wziąć za dom mieszkalny. Tylko patrzeć, jak za chwilę wybiegną chłopcy, żeby zagrać w kosza na pobliskim placu ogrodzonym wysoką metalową siatką.

Wsunął w szczelinę parkometru pięć dolarów drobnymi. Pomyślał, że załatwienie sprawy nie powinno zająć więcej niż godzinę. Na wszelki wypadek dorzucił cztery ćwierćdolarówki. Sięgnął do kieszeni po kluczyki samochodowe. Kiedy automat odpowiedział cichym młaśnięciem zamykanych drzwi forda, ruszył w stronę szerokich schodów.

Wszedł do środka. Zmoczył palce w misie wypełnionej wodą święconą, lecz zapomniał się przeżegnać. Pchnął wahadłowe drzwi. Wszedł do nawy głównej. Po jej obu stronach stał rząd drewnianych ławek, które tonęły w

półmroku wypełniającym świątynię. Wewnątrz paliło się kilka żarówek. Jedne przed ołtarzem głównym, drugie po prawej stronie, nad wielkim konfesjonalem. Na jego zwieńczeniu kilka drewnianych figurek amorków spoczywało we śnie, otulonych żółtym światłem. Najwidoczniej niebieskie ptaszyny zmęczyła monotonia powtarzających się grzechów, wyznawanych szeptem przez stare kobiety.

Tomasz spojrzął na zegarek. Najchętniej by coś przekąsił. Ostatni posiłek zjadł w samolocie dziś rano. Teraz minęła czwarta po południu. Dwie kanapki przełożone przezroczystymi plasterkami szynki, kawa w plastikowej filiżance i czekoladowy wafel. Wszystko w siebie wmusił w czasie lotu. Kilka minut później pobiegł do toalety i zwrócił śniadanie do srebrnej miski klozetowej. Nienawidził latania, a jego żołądek nienawidził tego dziesięć razy bardziej.

Usiadł w jednej z ławek, kilka rzędów za skupionymi przy konfesjonale babinami. Przymknął oczy, zastanawiając się, jaki to bies doprowadził go aż do polskiej parafii w centrum Nowego Jorku. Słowo „bies” raczej nie pasowało do tego miejsca, ale reszta była w jak najlepszej zgodzie z wydarzeniami ostatnich ośmiu lat.

Kiedy w 1982 roku szedł na rozmowę do wydziału kadr Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, niewiele wiedział o tym resorcie. Zaraz po studiach, trochę zdziwiony, że tak szybko minęły, nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Miał dziewczynę, która w dniu, gdy obronił pracę magisterską, oznajmiła, że jest w ciąży. Chyba się ucieszył, a przynajmniej w oczach Renaty zobaczył ulgę, że nie zamierza się od niczego wykręcać. Wzięli ślub. Zamieszkali razem z teściami w dwupokojowym kwaterunkowym mieszkaniu. Niewiele, ale zawsze to jakiś start w przyszłość. No właśnie, tylko jaką? Nie wyobrażał sobie siebie w roli ojca i męża, co rano wychodzącego do pracy z teczką, do której żona wkłada przygotowane wcześniej kanapki.

Zaczął szukać pracy, ale nikt nie potrzebował absolwenta architektury z dobrą znajomością języka angielskiego i niemieckiego. Pewnego dnia przyjaciel podpowiedział, że może znaleźć ciekawą robotę na Rakowieckiej. Nie orientował się, cóż takiego, prócz więzienia, znajduje się w centrum Warszawy. Pół roku później miał odpowiedzialną pracę, polegającą na przekładaniu papierów w segregatorach. Po dziesięciu miesiącach został skierowany do szkoły wywiadu w Kiejkutach. Chyba był z tego rozwiązania

zadowolony. Przepustkę dostał tylko raz, na urodziny małego. Potem na rok zniknął z rodzinnego horyzontu. Kiedy się na nim pojawił znowu, okazało się, że w jego kapciach chodzi inny facet, z którym jego żona właśnie jest w ciąży.

Tym razem ucieszył się, kiedy w oczach żony nie dostrzegł sprzeciwu wobec propozycji, żeby wzięli jak najszybciej rozwód. Trzy lata później przypadkowo spotkali się w kawiarni. Renata była w czwartej ciąży i planowała trzecie zamążpójście. Tomasz pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, miał służbowe trzypokojowe mieszkanie i drugą żonę, Magdę, która podobnie jak i on nie chciała mieć dzieci.

Choć los przyjacielsko klepał go po plecach, nie był zadowolony z tego, co dzieje się w Polsce. Pewnego dnia spotkał koleżankę ze studiów. Dziewczyna wciągnęła go w pracę w podziemnych strukturach Solidarności.

Na początku 1988 roku do jego mieszkania weszła Służba Bezpieczeństwa. Znalaziono matryce drukarskie ostatniego biuletynu Niezależnej Agencji Informacyjnej. Zawieszono go w obowiązkach i anulowano przepustkę zezwalającą na wstęp do ministerstwa. Może dlatego był zaskoczony, gdy następnego dnia zadzwonił telefon. Odezwała się sekretarka zastępcy dyrektora departamentu.

– Generał Sulimowicz chciałby, żeby spotkał się pan z nim za godzinę.

Już nie „towarzysz”, tylko „pan” i nie „zameldował”, a „spotkał”. O co chodziło? Kiedy zamknął za sobą drzwi gabinetu, generał podniósł się zza biurka i podszedł do niego, wyciągając dłoń na powitanie.

– Kawy?

– Dziękuję, ale nie. – Usiadł na wskazanym fotelu.

– Dziś rano dostałem raport o przeszukaniu...

– Jeśli mogę wpaść w słowo – przerwał bezceremonialnie mówiącemu. – Moja żona nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– Tak, wiem – generał przytaknął z poważnym wyrazem twarzy. – Pańska żona... Jak by to powiedzieć... Przed tygodniem zgłosiła się do nas i prosząc o dyskrecję, złożyła obszernie wyjaśnienia o pańskiej... dodatkowej pracy.

Dlaczego Sulimowicz nie użył określenia: „wrogiej działalności”? W tamtym czasie robiło ono furorę w reżimowej prasie.

– Jak pan rozumie – kontynuował dyrektor – jestem zmuszony zwolnić go

ze służby. – Rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć, że w tej sytuacji niewiele może zaradzić.

O co chodziło?

– Chyba, że... zamiast zwolnienia... – Sulimowicz zawiesił głos. – Może to pana zainteresuje?

– Co?

– Za godzinę zostanie pan wyprowadzony z gmachu w kajdankach. Strażnik, który wpuścił pana na teren ministerstwa, zostanie ukarany naganą z wpisaniem do akt, że nie zatrzymał „wrogiego elementu” na bramie, mimo że dowódca... I tak dalej, i tak dalej. Z ministerstwa trafi pan na drugą stronę ulicy, do aresztu śledczego. Myślę, że najwcześniej za dwa tygodnie rozpocznie się pierwsza sprawa sądowa. Właściwie pierwsza i ostatnia. Najprawdopodobniej otrzyma pan wyrok sześciu lat w zawieszeniu. Jeszcze rok wcześniej wylądowałby pan w więzieniu, ale ostatnio nasza Temida złagodniała dla opozycjonistów.

– Niewiele z tego rozumiem.

– Chciałbym, żeby nadal pracował pan dla mnie.

– Mimo działalności w podziemiu?

– Właśnie dlatego.

– Nie mam już ochoty robić czegokolwiek dla komuny.

– Oferując dalszą współpracę, powiedziałem, że chcę, żeby pracował pan dla mnie.

– Czyli?

– Nadal dla Polski... pańskiej i... mojej... nowej Polski.

Słowo „Polska” stary komuch wypowiedział z takim błyskiem w oku, że mogło się wydawać, iż to on za chwilę przejdzie się na drugą stronę Rakowieckiej i zamelduje do odsiadki w przeludnionej celi.

Nie przyjął propozycji zostania łącznikiem między Sulimowiczem a warszawskimi strukturami Solidarności. Tak jak przewidział generał, Tomasz przesiedział dwa tygodnie do rozprawy, po której wypuszczono go warunkowo z sześciolatnim wyrokiem w zawieszeniu. Miesiąc później znalazł pracę jako wartownik w bramie Uniwersytetu Warszawskiego. Do jego obowiązków należało podnoszenie i opuszczanie szlabanu przed

nadjeżdżającymi samochodami.

Potem wybuchały kolejne strajki, które władza starała się tłumić jeszcze w zarodku. W 1989 roku doszło do pierwszych demokratycznych wyborów.

W styczniu 1990 roku po raz kolejny przeszedł przez wartownię Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Idąc w stronę gabinetu wiceministra, zobaczył na korytarzu Sulimowicza.

– Byłem pewien, że znowu się spotkamy. – Generał podniósł jego dłoń do uścisku i potrząsnął nią kilkakrotnie.

Tomasz coś bąknął, że spiesz się na spotkanie. Z niezręcznej sytuacji wybawił go oficer, który miał obowiązek doprowadzić go na spotkanie.

– Przepraszam, ale mamy mało czasu.

– Musi mnie pan koniecznie odwiedzić. – Generał jakby niechętnie uwolnił jego dłoń.

– W tym samym gabinecie, co poprzednio? – Tomasz dopiero chwilę później zorientował się, że jego pytanie mogło zabrzmieć dwuznacznie i złośliwie.

Sulimowicz bodaj jednym mięśniem twarzy nie dał po sobie poznać, że czuje się urażony.

– Oczywiście. Moje drzwi zawsze stoją otworem przed starymi przyjaciółmi.

Kurwa mać – przebiegło Tomaszowi przez głowę. Ledwo wszedłem do tego gmachu, a już mam przyjaciela. Chyba jestem w czepku urodzony.

– Za Sulimowicza poręczył jeden z biskupów – usłyszał pół godziny później od Zygmunta Bielińskiego.

Tomasz był pozytywnie zaskoczony, że spotkał w gmachu ministerstwa legendę opozycji. Jeszcze niedawno jego podobizna widniała na listach gończych każdej komendy milicji w Polsce. A dziś... Wreszcie szło nowe!

– Poza tym – kontynuował gospodarz – chociaż dosyć późno, generał przysłużył się naszej sprawie. Kilku oficerów podległych mu służb z jego polecenia nawiązało z nami współpracę. Dzięki temu uniknęliśmy w kraju i za granicą wpadek wielu ważnych osób.

– Jednym słowem: równy gość!

– Spokojnie. – Bieliński klepnął go po ramieniu. – Podobnie jak ty,

również mu nie ufam.

NIEOCZEKIWANIE KTOŚ DOTKNAŁ ramienia Tomasza. Otworzył oczy. Znowu był w nowojorskim kościele, a na wprost stał ksiądz, wpatrujący się w niego pytającym spojrzeniem.

– Bardzo przepraszam – usłyszał łagodny głos – ale musimy zamknąć świątynię przed wieczornym nabożeństwem.

Jakby tłumacząc się, wskazał na grupę kobiet, która rozpoczęła sprzątanie.

– Prawdę mówiąc – Tomasz wstał z miejsca – chciałem spotkać się z księdzem Stefanem.

– To ja, słucham.

Dopiero teraz skojarzył twarz z oglądanej wcześniej fotografii z rysami stojącego obok.

– Mam przekazać pozdrowienia od ojca Domincjusza z klasztoru w Górkach.

Pierwsza część hasła została wypowiedziana. W odpowiedzi kapłan uśmiechnął z wyrazem zrozumienia na chudej twarzy.

– To bardzo miłe z pańskiej strony. Nie miałem od niego wiadomości od czasu nowicjatu w lubelskim seminarium.

Kto wymyślał tak idiotyczne hasła, Tomaszowi było obojętne. Najważniejsze, że obie części, niczym dwie połówki przerwane gdzieś banknotu, scaliły się w jedno. Ucisnęli sobie dłonie. Tomasz pomyślał, że księdzu niezbyt dobrze się powodzi. Dłoń miał kościstą, a skóra była sucha, jakby dotykał pergaminu.

– Zapraszam na plebanię. – Kapłan ruszył przodem. – Mam nadzieję, że zje pan ze mną obiad. Co prawda dochodzi już piąta po południu, ale...

– Z przyjemnością.

– Siostra Marta jakby przeczuwała, że będziemy mieli gości. Proszę sobie wyobrazić, że zrobiła żurek.

– Żurek? – zdziwił się.

– Oczywiście na swojskim zakwasie. – Idący przodem wzniosł oczy do nieba. – Przecież w tutejszych sklepach nic takiego się nie dostanie. Mówię panu, to nie zupa, lecz prawdziwa poezja.

Przeszli przez kościół, zakrystię i zagłębili się w labiryncie korytarzy.

ŻUREK RZECZYWIŚCIE BYŁ wyśmienity. Zresztą nie tylko on. Drugie danie, potem deser... Tomasz miał wrażenie, że choć zza okna dobiega szum nowojorskiej ulicy, za sprawą smaków znowu wrócili do Polski.

– Nie będzie panu przeszkadzało – ksiądz wstał od stołu – jak wyjdziemy na taras? No cóż – westchnął – jak każdy człowiek, mam wady. – Wskazał na papierośnicę, którą wyjął z kieszeni sutanny. – Z tą nie bardzo mogę sobie poradzić. Co prawda sam robię papierosy, żeby było taniej – dorzucił pospiesznie – ale nałóg pozostaje nałogiem...

– Na szczęście ten problem mam za sobą.

– Jak pan to zrobił?

– Przestałem palić.

Obaj roześmieli się głośno. Papierosy były pretekstem. Wyszli na zewnątrz, gdzie mogli mieć pewność, że nikt nie podsłucha ich rozmowy. A gdyby nawet próbował, dochodzący z ulicy hałas skutecznie to uniemożliwił.

Ksiądz zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchał przed siebie błękitną chmurę dymu. Tomasz poczuł w nozdrzach drażniący słodkawo-mdlący aromat. Amerykańskie papierosy pachniały zupełnie inaczej od tych, które można było kupić w Polsce.

– Co pana sprowadza do New York?

– Chciałbym się spotkać z Andrzejem Leszczyńskim.

– Nie widziałem go ostatniej niedzieli w kościele.

– Ale wie ksiądz, gdzie mogę go znaleźć?

– Kilka cross-street stąd.

– Przecznic?

– Właśnie mówię. Nie za dobrze mu się powodzi. – Kapłan rozłożył bezradnie ręce. Z rękawów sutanny wysunęły się przeraźliwie chude dłonie. – On chyba myślał, że w Ameryce dolary leżą na ulicy. Ktoś mi powiedział, że od czasu przyjazdu nie może znaleźć pracy. Ale to dopiero trzy miesiące. Inni czasem czekają na pierwszy job pół roku. To miły człowiek, zaraz po przylocie przyszedł do parafii i spytał, czy nie jest potrzebna jakaś pomoc.



Oczywiście nieodpłatnie.

– No tak, w dzisiejszych czasach nikomu się nie przelewa.

– Prócz Amerykanów. – Ksiądz rzucił papierosa na posadzkę i rozdeptał go końcem buta. Robił to długo i dokładnie, aż niedopałek został roztarty na miazgę, którą chwilę potem rozwiał wiatr. – Ale nasi nowi przyjaciele uznali, że pomoc nie jest już nam potrzebna. Polska odzyskała freedom, więc powinniśmy radzić sobie sami.

– Powiedziano mi, że ksiądz nadal utrzymuje dobre kontakty z pewnymi ludźmi z Departamentu Stanu.

– Z perspektywy Warszawy State Department brzmi bardzo poważnie. Jednak nie znam żadnego z tamtejszych dowódczych głów. Zawsze kontaktowali się ze mną delegowani do współpracy agenci. Oni przekazywali pieniądze, maszyny drukarskie, telefony z możliwością łączenia przez satelitę. Nie muszę zresztą tłumaczyć.

– Jasne.

– Obecnie prócz przyjaźni nic nas nie łączy z Andrzejem. Od kilku miesięcy Warszawa też milczy, jakbyście o nas zapomnieli. Tutejsze gazety, po wyborze pana Mazowieckiego na urząd premiera, niewiele piszą o kraju, zatem prawie nic nie wiemy, co się dzieje w ojczyźnie.

– Urządzamy wszystko na nowo, a na to potrzeba trochę czasu.

– Może zamiast Andrzeja mógłbym w czymś przynieść pomoc?

Język polski księdza był kaleki i czasami stanowił kalkę tłumaczoną wprost z angielskiego.

– Dziękuję, ale byłby to dla księdza zbyt duży... kłopot.

Słowo „kłopot” Tomasz wypowiedział z naciskiem, patrząc kapłanowi prosto w oczy.

– Rozumiem i już o nic więcej nie pytam. Pamiętajcie jednak, że tu w New York jest bardzo wiele osób, które choć daleko, nadal są gotowe dawać help. No i służyć wolnej Polsce z nie mniejszą niż poprzednio żarliwością.

– Dziękuję, zawsze pamiętamy o wsparciu, którego udzieliła nam Polonia amerykańska i katoliccy duchowni.

– Chodźmy do zakrystii. Napiszę adres i wytłumaczę, jak najlepiej dojechać do zamieszkania Andrzeja.

PRZEZ POZBAWIONE ZASŁON okna, do pokoju wpadało krzykliwie żółte światło reklamy, zawieszanej na murze stojącego na wprost domu, wystarczająco rozjaśniając wnętrze. Za biurkiem siedział około czterdziestoletni mężczyzna z nogami założonymi na pustym blacie. Średniego wzrostu, z gęstą czupryną, wpatrywał się spod przymrużonych powiek oczami o kształcie migdała w sobie tylko znany punkt na ścianie. Ładnie zarysowany owal twarzy, kształtny nos i kilkunniowy zarost sprawiały, że można byłoby go uznać za przystojnego mężczyznę. Chociaż, według niektórych kobiet, cielistą kreską niedawno zagojonej rany, biegnąca przez prawy policzek, odbierała mu cały męski urok.

Od czasu do czasu mężczyzna bujał się na drewnianym krześle, odchylając się niebezpiecznie do tyłu, jakby chciał sprawdzić, gdzie jest granica, za którą znajduje się już tylko upadek.

Andrzej odłożył na biurko zbiór opowiadań, mocniej wspierając plecy na oparciu. Świecąca za oknem reklama z jaskrawożółtej zmieniała się w krwistoczerwoną, która moment później zrudziała, przechodząc w fiolet.

Rozejrzał się po niemal pustym pokoju. Na wprost, obok przeszklonych drzwi, pusta szafa. Jedno z jej skrzydeł odchyliło się na bok, ukazując zakurzone półki. Po drugiej stronie drzwi stolik z wazonem, który niegdyś musiał pomalować szalony daltonista. Obok elektryczny czajnik, kilka filiżanek i rozrzuconych na tacy łyżeczek. W pokoju stało jeszcze biurko i dwa krzesła. Na jednym z nich Andrzej próbował sprawdzić, gdzie znajduje się punkt, którego przekroczenie groziło upadkiem.

Dzisiejszego wieczora znajomi próbowali zabrać go na piwo, ale odmówił. Po pierwsze, nie miał na ochoty, a po drugie – pieniędzy. Przynajmniej chciał, żeby wszyscy byli przekonani, że nie ma już przy duszy bodaj złamanego centa. W końcu drugi miesiąc zalegał z czynszem za kawalerkę, zatem nie mógł wyciągnąć z kieszeni żadnych pieniędzy.

Jak to się stało, że znalazł się w Stanach Zjednoczonych? Jeszcze rok wcześniej był przykładnym mężem i funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa.

Czy rzeczywiście był przykładnym mężem?

Ożenił się w zamian za obietnicę szybkiej kariery. Najpierw interes, potem miłość, jak sobie wtedy wmówił. Po pewnym czasie nawet uwierzył, że kocha Elżbietę. A kariera? Jakoś przestała go interesować.

Potem spotkał Annę i jego świat wywrócił się do góry nogami. Kiedy jakiś czas później odlatywała do Paryża, był pewien, że znalazł największą miłość swojego życia.

Otrząsnął się ze wspomnień. Nowi znajomi, mieszkający na Greenpoincie, obiecali wziąć go do ekipy remontowej.

„Zapadniesz się w polskiej dzielnicy, znikając przed wścibskimi nosami urzędników z imigracyjnego” – przekonywali.

Przez miesiąc miał mieszkać kątem u jednego z kumpli. Potem coś tanio wynajmie. Za rok, kiedy odłoży kilka tysięcy zielonych, wróci do Polski. Tam sto dolców nadal stanowiło majątek, więc odbije się od dna.

Taki scenariusz ułożyli dla niego nowo poznani ziomkowie, z którymi spędził kilka wieczorów w barze Odessa. Każdy z nich przeszedł podobną drogę i uważał się za szczęśliwca, gdyż uzbierał już kilka tysięcy zielonych. Gdyby wiedzieli, kim Andrzej jest w rzeczywistości...

Usłyszał narastający jęk przeciągu. Ktoś na dole klatki schodowej otworzył drzwi. Rozległ się trzask, gdy automat uderzył nimi w stalową framugę. Wkrótce dobiegł odgłos kroków wchodzącego po schodach. Spojrzał na zegarek. Minęła ósma wieczorem. W budynku było kilkanaście biur drobnych przedsiębiorców. Jednak o tej godzinie nie było już w nich nikogo.

Czyżby wreszcie miał spotkać łącznika, na którego od trzech miesięcy czekał w każdy czwartek, od piątej po południu do dziesiątej w nocy?

Wchodzący dotarł do drugiego piętra. Najwidoczniej zasapał się na stromych drewnianych schodach, gdyż zaklął po polsku. W Nowym Jorku było jeszcze wiele podobnych przedwojennych domów. Identiczne kamienice można byłoby znaleźć na warszawskiej starej Pradze. Tylko że na tutejszych klatkach klęło się po angielsku.

W prześwicie drzwi wejściowych Andrzej zobaczył zapalające się na korytarzu światło. Policja omijała ten kwartał ulic, który od roku zaczęli obejmować w posiadanie bezdomni.

Wysunął szufladę i sięgnął po leżący na dnie nóż sprężynowy. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Otwarte – rzucił z udaną niechęcią.

Skrzypnęła naciskana klamka i pokój wypełniło jaskrawożółte światło

mrugającego za oknem neonu. W progu stanął mężczyzna. Miał na sobie jesionkę, która o tej porze roku najwyraźniej nie dawała oczekiwanego ciepła. Listopad w Nowym Jorku był jednym z najzimniejszych w ostatniej dekadzie. Nieznajomy był średniego wzrostu. Łagodne, piwne oczy patrzyły spod przymrużonych powiek.

A może to klient, do którego nie zdążyła jeszcze dotrzeć wieść, że urzędujący tu niegdyś detektyw zwinął interes? Nie zamierzał się tłumaczyć, że dwa miesiące temu podnajął lokal.

– Nie przyjmuję żadnych zleceń – rzucił niechętnie w stronę wejścia.

Wyglądało, że nieznajomy miał ochotę obejrzeć się za siebie, jakby był pewien, że Andrzej mówi do kogoś stojącego za jego plecami.

– Chyba zostałem z kimś pomyłony. – Tomasz podszedł do biurka i wskazał na stojące z boku krzesło. – Można?

– Źle pan trafił – Andrzej wymownie obrzucił wzrokiem prawie pusty pokój. – Mówiąc prościej, wynoszę się stąd.

– Ale jeszcze tego nie zrobiłeś.

Tomasz usiadł na wprost gospodarza.

– Nie dosłyszałem nazwiska.

– Rzeczywiście, powinniśmy się sobie przedstawić. Nazywasz się Andrzej Leszczyński. Przed trzema miesiącami przyleciałeś do Nowego Jorku, żeby pracować w sekretariacie radcy kulturalnego w tutejszym konsulacie.

Hasło zostało wypowiedziane. Zatem na tego człowieka czekał przez ostatnie dwanaście czwartków. Dziś był trzynasty. Ta liczba zawsze była dla niego szczęśliwa.

Trzynastego, przed pięcioma miesiącami, również odwiedził go pewien mężczyzna. Za oknami lał deszcz, a on siedział przy zgaszonym świetle w wynajętym warszawskim mieszkaniu. Gapił się na szyby znaczone ściekającymi po nich strugami. Mieniły się kolorowo w świetle mrugających za oknami lamp przejeżdżających samochodów.

Nie zwrócił uwagi na dzwonek do drzwi. W sąsiedniej klatce, w identycznie usytuowanym mieszkaniu, była melina. Zdarzało się, że spragnieni klienci mylili wejścia.

Tamten ktoś był uparty. Po dziesiątym dzwonku Andrzej wstał z miejsca. Uchylił drzwi, ograniczone zaciągniętym łańcuchem.

– Pan Leszczyński?

– Wyszedł – odpowiedział niechętnie. – Może wpadnie jutro.

Już chciał zamknąć drzwi, lecz tamten przytrzymał je nogą.

– Dwa tygodnie temu byłem w składzie komisji weryfikacyjnej, na której wniosek zostałem zwolniony ze służby.

Dopiero teraz przyjrzał się twarzy nieznanego. Niewysoki, tłuścawy rudzielec. Rzeczywiście, to był ten skurwiel, który najbardziej zajadle skakał mu do gardła.

– O tej porze nie przyjmuję przeprosin.

– Nie przyszedłem z nimi.

– Tym bardziej spierdalaj. – Rudzielec nie cofnął nogi, a Andrzej nie zamierzał na siłę zamykać drzwi. – Czego chcesz?

– Musimy porozmawiać.

– Na jaki temat?

Stojący na klatce schodowej sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej legitymację. Otworzył ją i wsunął w szparę między drzwiami a framugą.

– O facecie na tej fotografii.

Andrzej wziął do ręki legitymację MSW. Podobną zdał tydzień temu w wydziale kadr. Rzucił okiem na zdjęcie.

– To jakiś żart?

Na fotografii zobaczył własną twarz. Wyżej widniał napis: „Rzeczpospolita Polska”. W jego oddanym dokumencie było jeszcze słowo: „Ludowa”.

– Czy wyglądam na faceta, który występuje w kabarecie? – Rudzielec skrzywił się, jakby rozboleł go ząb.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać.

– Okej.

Nieznamy cofnął nogę. Andrzej zamknął drzwi i zdjął łańcuch. Nacisnął klamkę i, nie odwracając się do wchodzącego, ruszył w głąb mieszkania.

– Znajdź sobie miejsce. – Kiedy weszli do pokoju, wskazał w stronę kilku pudeł, na których leżały spodnie i koszule. – Tam powinno być krzesło

Sam usiadł w fotelu.

Dowiedział się, że celowo nie został zweryfikowany przez Komisję Kwalifikacyjną do Spraw Kadr Centralnych MSW.

– Liczyliśmy, że się odwołasz i wówczas będziemy mieli okazję porozmawiać.

– Ale podpisałem dokumenty zwalniające mnie ze służby.

– Dlatego przyszedłem.

– Chodzisz tak z przeprosinami do wszystkich, których kopnęliście w dupę?

– Tylko do ciebie.

– Skąd to wyróżnienie?

Rudzielec sięgnął do neseseru. Wyjął z niego kilka fotografii.

– Zapal światło i rzuć na nie okiem. Opiekowałeś się tymi kobietami w Europejskim.

Na zdjęciach zobaczył twarze Elwiry, Heleny, Olgi i... Anny. Serce zabiło gwałtowniej. W pokoju panował półmrok, więc tamten z pewnością nie dostrzegł zmiany, która odmalowała się na jego twarzy.

– Rzeczywiście, opiekowałem się kobietami pracującymi w Hotelu Europejskim i Grand Hotelu.

Rudzielec wychylił się na krzesło i puknął palcem w fotkę Anny.

– Szczególnie zależy nam na niej.

Andrzej zdał sobie sprawę, że siedzący na wprost nie wie nic o nim, Siejce i Annie. Czy jego przełożeni również byli nieświadomi tego, że... Chyba tak, w innym wypadku ich rozmowa nie miałaby tak przyjacielskiego charakteru.

– Zależy nam na tej kobiecie. W jej posiadaniu są dokumenty, które muszą wrócić do kraju.

Zatem coś wiedzieli – przebiegło Andrzejowi przez głowę. Jak dużo?

Czy się bał, kiedy stawał na barierce mostu, żeby skoczyć do Wisły... kiedy patrzył na Annę, odchodzącą w stronę przejścia do odprawy pasażerów... kiedy siedział na ławce na paryskim lotnisku, drąc bilet lotniczy do Montevideo... Za każdym razem czuł w sobie tylko rozpacz, która pozostawiła po sobie dojmującą pustkę. Może dlatego, gdy słuchał rudzielca, miał wrażenie, jakby w pokoju był kimś trzecim, kto z boku przysłuchuje się

rozmowie dwóch mężczyzn. Rozmowie, która zupełnie go nie tyczyła, ani tym bardziej obchodziła.

Oddał fotografie.

– Co to wszystko ma wspólnego ze mną?

– Dobrze znałeś tę kobietę? – Przybysz ponownie uderzył palcem w fotkę Anny.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Pytanie.

– Moim zadaniem było rozpracowanie każdej dziewczyny i skłonienie do podjęcia współpracy z kontrwywiadem.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Znałem... Bardzo dobrze... Ale nadal nie wiem, co to ma wspólnego...

– Chcemy, żebyś ją odnalazł.

Andrzej poczuł, jak serce ponownie zaczęło łomotać w piersiach, niemal tamując oddech.

– Odnalazł?

– Nie inaczej.

– Jak? Mam chodzić po Warszawie i pytać, czy ktoś przypadkiem jej nie widział?

– Wiemy, gdzie jest, ale potrzebujemy kogoś, kogo znała i komu ufała. Z twoich raportów wynikało, że nie miała oporów, gdy zaoferowałeś jej współpracę... Napisałeś nawet, że się lubiliście.

– Na tym polegała moja praca.

– To znaczy?

– Roztaczałem nad panienkami opiekę, w zamian prosząc o przysługi dla chłopaków z kontrwywiadu.

– Spałeś z nią?

Gdzieś w głowie zadźwięczał Andrzejowi odległy dzwonek alarmowy.

– To było jednym z elementów mojej pracy.

– Przyjemna robota. – Rudzielec skrzywił dwuznacznie usta.

– Jeśli dobrze pamiętam, za to wywaliliście mnie ze służby. – Andrzej

dopiero teraz uświadomił sobie, że trzyma w ręku legitymację funkcjonariusza Urzędu Ochrony Państwa. – Cztery dni temu czytałem w gazecie o powstaniu urzędu. Nie za szybko uwinęliście się z produkcją?

– Tak cię to interesuje?

Zamiast odpowiedzieć Andrzej wzruszył ramionami i nachylił się w stronę siedzącego na wprost rudzielca.

– Mówiąc między nami, mam to gdzieś!

– Nie chcemy, żeby ktokolwiek kojarzył cię z tą sprawą, dlatego dostałeś kopniaka i wyrzucono cię z resortu. Ale nie zapomnieliśmy o tobie. Dwa tygodnie temu znalazłeś zatrudnienie w agencji ochrony mienia. Po cichu pomogliśmy ci w tym.

– To miłe z waszej strony – zadrwił Andrzej, lecz tamten nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– Do twoich obowiązków należy konwojowanie pieniędzy po całym kraju. Wynająłeś mieszkanie, w którym rzadko bywasz. Dobra przykrywka, żeby nikt na ciebie nie zwracał uwagi.

– Nie myślałem o tym w ten sposób.

– Zrobiliśmy to za ciebie. Gdyby ktokolwiek się tobą zainteresował, dowie się tylko, że na początku lat dziewięćdziesiątych Andrzej Leszczyński nie przeszedł weryfikacji funkcjonariuszy MSW. Żyje samotnie, pracując w firmie ochroniarskiej. Nigdy nie próbował odszukać Anny Wermer.

– Aż tak jestem ważny?

– Ty? Jedynie sprawa, do której zostałeś zaangażowany.

Andrzej był pewien, że nikt z ludzi, w których imieniu przyszedł do niego rudzielec, nie wie o jego udziale w wykradzeniu mikrofilmów z paryskiego Banku Koëniga. Jak długo to potrwa?

Nieoczekiwanie przestało go to zupełnie interesować.

Ta wizyta coś w nim poruszyła. Kiedy za gościem zamknęły się drzwi, uświadomił sobie, że nie chce czekać. Ile dni przeleciało mu przez palce niczym przesypujący się piasek? Mijały, a on tylko czekał, kiedy skończy się jeden, a nadejdzie następny. Był tchórzem, który chciał bezpiecznie przeczekać mijające godziny. Było mu z tym wygodnie. Niczym nie ryzykował. Ukrył się nawet przed samym sobą i dokładnie zatarł własne ślady.



Wszystko zaczęło się na paryskim lotnisku, gdy Anna uciekła w nieznanym kierunku. Wtedy przestraszył się, a potem schował w sobie, żeby mniej bolało.

Teraz miał już tego dosyć.

Dosyć wódki, przepłakanych nocy, pogardy dla samego siebie.

Podjął decyzję!

Niech pęknie mu serce, niech przeklina kolejne godziny, niech go palącym przystawiane do skóry wyjęte z ognia żelazo. Chciał to wszystko poczuć, chciał żyć, walczyć. Może mu się nie uda i Anna splunie mu w twarz. Może zostanie odrzucony, ale nigdy nie powie sobie, że stchórzył i nie spróbował odzyskać największej miłości swego życia.

– Co mam zrobić?

Gość położył przed nim lotniczy bilet i kopertę, z której wysunęły się dolary.

– Polecisz do Nowego Jorku i poczekaasz, aż ktoś się z tobą skontaktuje. Od niego dowiesz się reszty.

– DLACZEGO JA? – Andrzej spojrzał pytająco na Tomasza.

– Nie ma nikogo, komu moglibyśmy w tej sprawie zaufać.

– Zaufać?

– Szkołę wywiadu skończyłeś z najwyższą lokatą. Twoja praca nie miała w resorcie nic wspólnego z polityką. Byłeś trybikiem obracającym się w głębi mechanizmu. Mimo namów nie zostałeś członkiem partii.

– To dla was takie ważne?

– Owszem. Miałeś wysoko postawionego teścia, który był szyczą jednego z departamentów. Mógł ułatwić ci zrobienie błyskawicznej kariery. Przymierzano cię nawet do stanowiska naczelnika wydziału. Potem z pewnością mianowano by cię zastępcą teścia...

– Być może.

– Jednak odmówiłeś i wypiąłeś się na wszystko. To również dobrze o tobie świadczy. Wreszcie należy dodać, że w naszych ambasadach nadal pracują ludzie, którzy od kilku miesięcy zastanawiają się, jak i gdzie najlepiej schować legitymacje partyjne. Na nich nie możemy liczyć. No i

najważniejsze...

– ...?

– Anna Wermer ci ufa.

– Zrobię kawę. – Andrzej wstał zza biurka. Podeszedł do stolika i włączył czajnik. – Ile łyżeczek? Ostrzegam, że kawa nie jest pierwszej świeżości.

– W takim razie dwie.

– Nie znalazłeś mnie po to, żebym wysłuchał własnej historii. Odpowiedziałeś na pytanie, dlaczego ja. Pozostaje jeszcze...

Tomasz nie dał mu dokończyć:

– Od połowy 1989 do początku 1991 roku w archiwum MSW skopiowano kilka tysięcy teczek osobowych: agentów, tajnych współpracowników, oraz tych, których postanowiono nimi uczynić, żeby potem można było ich szantażować. Obecnie niektóre z tych osób weszły do rządu lub są liderami partii, którzy mogą w przyszłości objąć władzę. Po zmikrofilmowaniu wszystkie materiały przerzucono na Zachód do jednego z paryskich banków.

– Jedź zatem do tego banku.

– Rzecz w tym, że wykradziono je z sejfu.

Andrzej gwizdnął głośno.

– Zawsze coś jest nie tak.

Postawił na biurku filiżanki z kawą zalaną wrzątkiem. Z szuflady wyjął torebkę cukru.

– Wybacz, że bez mleka.

Tomasz nie zwrócił uwagi na te słowa, zaś Andrzej pomyślał, że gdyby teraz grał przed widownią, powinien dostać rzesiste oklaski. Nawet sam był zdziwiony swoim opanowaniem.

– Nie jest istotne, jak to zrobiono. Ważne, że mikrofiszki z aktami nie są w posiadaniu tych, którzy zlecili ich kopiowanie.

– Kto je teraz ma?

– W Montevideo mieszkają dwie kobiety – znasz obie: Elwira Sas-Konecka i Anna Wermer. Przypuszczamy, że pierwsza z kradzieżą ma niewiele wspólnego.

– A druga?

– Najprawdopodobniej posłużono się nią, aby dostać się do sejfu w Banku Koëniga.

Dopiero w tym momencie do Andrzeja dotarł sens słowa „Montevideo”. Wtedy, na lotnisku w Paryżu, kupił bilety na samolot odlatujący do stolicy Urugwaju. Czyżby na jego pokładzie znajdowała się Anna? Jeśli tak...

– Nad czym tak myślisz? – głos Tomasza przywrócił go do rzeczywistości.

– Zastanawiałem się, czy ona wie, co wpadło jej w ręce? – Sam odpowiedział sobie na pytanie. – Chyba tak, w końcu dała nogę aż do Ameryki Południowej. Może prócz mnie pracowała jeszcze dla kogoś z wywiadu?

– To „eska”, wycierająca łóżka z zagranicznymi.

– Więc w jaki sposób wdepnęła w to szambo?

– Prawdopodobnie obiecano jej sporo pieniędzy. Może w tym samym czasie zaszło coś takiego, że postanowiła urwać się swoim mocodawcom?

– Namierzyliście obie dziewczyny?

Tomasz uczynił nieokreślony ruch ręką.

– Bardzo zależy wam na Annie Wermer. – Andrzej upił łyk kawy, parząc sobie język.

– Wyobraź sobie, że masz dossier wszystkich znaczących polityków danego kraju. Nieważne, czy jest ono prawdziwe czy też częściowo podrobione. Rosjanie nadal nie mogą pogodzić się ze stratą krajów bloku wschodniego. Takie archiwum byłoby dla nich darem z nieba.

– Tylko Rosjanie?

– Podobnie Niemcy i...

– Nasi nowi wielcy bracia zza oceanu.

Po chwili milczenia Tomasz skinął głową.

– Tak, również Amerykanie.

– Ale dotąd nie zdobyli akt.

– Jeszcze nie!

– Wermer pracowała w najlepszych warszawskich hotelach. Radziła sobie z alfonsami i równie pazernymi kierownikami restauracji. Nie można o niej

powiedzieć, że jest głupia. Dlatego trzeba założyć, że wie, co wpadło jej w rękę. Gdyby zależało jej na pieniądzach, wystarczyłoby tylko zapukać do bramy którejś z ambasad. Dlaczego tego nie zrobiła?

– To dla nas zagadka.

– I mam ją rozwiązać?

– Nie! Tylko chcemy, żebyś sprowadził ją do Nowego Jorku.

– A co z tą drugą?

– Zależy nam tylko na Annie Wermer i mikrofiszach.

Andrzejowi przyszło do głowy, że jeszcze kilkanaście minut temu spodziewał się, iż ich rozmowa potoczy się w całkiem innym kierunku.

– Dlaczego nie wystarczy wam same mikrofiszki?

Tomasz pomyślał, że w innej sytuacji roześmiałby się pytającemu w nos. Postawiono zadanie i należało je wykonać. Tak jednak byłoby w normalnej sytuacji.

Wszystko jest nienormalne – zaklął w myślach. Nienormalne i dodatkowo postawione na głowie.

– Chcemy wiedzieć, jak trafiły w jej rękę – odpowiedział. – Kto zlecił ich kradzież? Co z nimi robiono? W czyich były rękach i jak długo? Godzina po godzinie. Dzień po dniu.

– To brzmi rozsądnie. Teraz pozostaje jeszcze pytanie, czy ona zechce być rozsądna?

– Masz dwa priorytety. Najpierw mikrofiszki, dopiero potem Wermer. Jeśli będziesz musiał wybrać tylko pierwszy, nie będziemy cię za to winić.

Andrzeja ogarnęła złość. Co ten siedzący na wprost palant sobie myśli? Przyjedzie, da mu pistolet i powie: „Masz licencję na zabijanie”?

– Chyba pomyliłeś adres – powiedział, starając się zachować spokojny i opanowany ton głosu. – Nazywam się Leszczyński... Andrzej Leszczyński i nie jestem żadnym pieprzonym Bondem, który poleci tam, gdzie mu wskażecie, i będzie strzelał ku chwale Jej Królewskiej Mości.

Tomasz zrozumiał, że trochę się zagalopował, natomiast Andrzej nakręcał się coraz bardziej.

– Przecież wiesz, gdzie jest ta panienka! Zamiast do Nowego Jorku trzeba było lecieć od razu do Montevideo. Wydusić z niej informację, gdzie są

mikrofiszę, wziąć podpisaną przysięgę, że nikomu ich nie pokazywała, na wszelki wypadek rozwalić łeb i wrócić po premię do Warszawy.

– Przepraszam – głos Tomasza zabrzmiał cicho. Było w nim proste przyznanie się do winy. – Myślałem o ostateczności. Nie chcemy nikogo zabijać. Żadna z osób, które mnie do ciebie wysłały, nawet nie wspomniała o takiej ewentualności. Nie jesteś Bondem, a ja nie mam prawa wydawać żadnych tego typu poleceń.

Tomasz zadał sobie w duchu pytanie, czy przekonująco wypowiedział kłamstwo? Na chwilę w pokoju zapadło głucho milczenie. Andrzej sięgnął po kubek z kawą i siorbnął głośno.

– Okej, przeprosiny przyjęte. – Stuknął w filiżankę Tomasza.

– Pytałeś, dlaczego sam nie poleciałem do Montevideo? Mam zakaz wjazdu do Urugwaju.

– Tak bardzo cię tam nie lubią?

– Kiedy wyrzucono mnie z MSW, miałem sporo wolnego czasu między podnoszeniem i opuszczaniem uniwersyteckiego szlabanu. Dwa lata temu napisałem i wydałem w drugim obiegu książkę o Argentynie, Brazylii i Urugwaju. Pisząc o tym ostatnim kraju, wspomniałem o jego dyktatorze, który rządził tam po II wojnie światowej. W książce było też sporo mowy o Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen.

– ODESSA, zrzeszająca byłych członków SS.

– W korekcie zmieniono kilka z pozoru nic nieznaczących szczegółów, których suma okazała się mieszanką wybuchową. W ambasadzie Urugwaju poczuli się urażeni. Cóż, muszą poczekać na wydanie oficjalne. Jednym słowem, odmówiono mi wizy.

Andrzejowi przyszło do głowy, że jego gość najwidoczniej wziął go za bezrozumnego pajaca, który przestał myśleć już w latach, gdy zadowalał się uwodzeniem hotelowych panienek.

– Pieprzysz.

Po dłuższym milczeniu Tomasz przyznał się do kłamstwa. A przynajmniej ton głosu wydawał się szczerzy.

– Masz rację. To bajer! Najważniejszym powodem jest to, że oboje dobrze się znacie i ona ci ufa. W Warszawie tylko kilkanaście osób wie o mikrofiszach. Być może o kilka za dużo. Moim zadaniem jest znalezienie

kogoś, komu możemy zaufać. Nie muszę chyba przekonywać, że czas ma tu szczególne znaczenie.

– Okej, pojedę po nią. Ale...

– Ale?

– Jeśli zechce podróżować w moim towarzystwie, to z pewnością pod pewnymi warunkami. Myślę o pieniądzach. Jak sam powiedziałaś, była dziwką.

– Pieniądze nie grają roli. Ona uciekła do Urugwaju razem z córką. Mała ma teraz koło siedmiu lat.

– Żartujesz?

– Nie.

– Mam jeszcze niańczyć jakiegoś bachora?

– Tylko przywieźć obie do Stanów, gdzie będą już czekał na lotnisku.

KIEDY ŚWIT ROZJAŚNIAŁ pokój, ustalili ostatnie szczegóły.

– Chodźmy do baru Odessa na sąsiedniej ulicy. Może wygląda podle, ale dostaniesz tam jedną z najlepszych kaw w Nowym Jorku. No i obsługa mówi po rosyjsku. To tak, jakbyśmy byli w domu.

– Najlepszą?

– Kradzioną z brazylijskich transportów przyprawiających do Nowego Jorku.

Pół godziny później weszli do niewielkiej salki, której większą część zajmował szeroki bufet. Jak zwykle o tej porze królowała za nim Sunny o stale uśmiechniętych ustach i ognistym koku, nastroszonym na czubku głowy. Miała pięćdziesiąt pięć lat i nadal mogła zawrócić mężczyznom w głowach.

– Zajmij miejsce. – Andrzej wskazał Tomaszowi stolik. – Zamówię jabłecznik na ciepło.

Podszedł do kontuaru.

– Witam najpiękniejszą kobietę mojego życia.

W odpowiedzi właścicielka uśmiechnęła się jeszcze szerzej i trzepnęła w jego kierunku ścierką, którą pucowała drewniany blat. Sunny w

rzeczywistości nazywała się Sonia Tielegin Siemionowna i pochodziła z Petersburga. Choć czasy jej młodości minęły, nadal była piękną kobietą. Może dlatego przypadkowi goście zawsze dziwili się, że ktoś taki pracuje za barem.

– Jak zwykle kłamiesz. Zresztą – wzniosła oczy do sufitu z udanym oburzeniem – wszyscy faceci to naciągacze i kłamcy. Ale cóż robić, takimi już was Bóg stworzył, więc trzeba was brać, jakimi jesteście. Co podać?

Dotknęła opuszkami palców szramy na jego policzku. Andrzej przytrzymał jej dłoń i pocałował wewnątrz.

– Dzięki za wspaniałego chirurga. No i te jego maści. Sama widzisz, że sprawiły cuda.

– To ja dziękuję tobie.

– To chyba rosyjskie przysłowie: Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Wskazał za siebie palcem.

– Poza tym mój gość się niecierpliwi. Zatem poproszę o dwie kawy. Podwójne. I najlepszy na świecie jabłecznik. Czy w tym ostatnim przypadku też nazwiesz mnie kłamcą?

Znowu machnęła w jego kierunku ścierką.

– Jednak wcześniej ureguluję należności.

Sunny spojrzała na niego zaskoczona i po chwili sięgnęła pod ladę. Wyjęła gruby zeszyt. Odnalazła jego nazwisko, przy którym widniała długa lista niezapłaconych rachunków.

– Osiemdziesiąt siedem dolarów i trzydzieści dwa centy – podliczyła.

Andrzej położył na stole trzy banknoty po pięćdziesiąt dolarów.

– Za resztę kup sobie sukienkę. – Puścił do Sunny oko.

– Chyba na wyprzedaży. – Udała obrażoną, zgarniając z lady banknoty.

– Następnym razem pojedziemy do centrum i u Tommy’ego Hilfigera kupię ci najpiękniejszą kreację sezonu. Ale pod jednym warunkiem. – Pochylił się nad ladą. Zaciekawiona Sunny uczyniła to samo. – Razem pójdziemy do przymierzalni.

– Świntuch – szepnęła, a potem zaśmiała się głośno.

– Na koniec skoczmy do Tiffany’ego. Już upatrzyłem dla ciebie

naszyjnik ze szmaragdami.

Sunny patrzyła w oczy Andrzeja i myślała, że mają taki sam łobuzerski wyraz jak oczy Hawele przed dwudziestu laty. Nadal go kochała. Broniła się przed tą myślą przez długi czas. W końcu wmówiła sobie, że przeszłość minęła bezpowrotnie. Tak było jeszcze trzy miesiące temu. Wówczas pewnego popołudnia drzwi Odessy przekroczył Andrzej i rozbił w puch jej pewność. Poruszał się jak niegdyś Hawele, powolnymi kocimi krokami. Trzymał dumnie wysoko podbródek i miał ten błysk w oku, którego nigdy nie zapomniała. Była pewna, że Hawele nadal mieszka w Nowym Jorku. Wystarczyło jedno słowo, a zostałyby odnaleziony w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nigdy tego nie zrobiła...

– Twoja kawa. – Postawiła na stoliku dwie dymiące filizanki.

Wkrótce Sunny uraczyła ich dużymi porcjami ciepłego jabłecznika z bitą śmietaną.

Tomasz pociągnął nosem, zerkając na siedzących za plecami.

– Widzę, że ten gatunek jest popularny w Nowym Jorku.

– Jaki gatunek?

– Papierosy o podobnym zapachu pali ksiądz Stefan.

Andrzej machnął lekceważąco ręką.

– To marihuana. Dzielnica nie należy do najbogatszych, a kwartał ulic, w którym mieszkam, jest najbiedniejszy w Bronksie. Na tych ulicach wszystko pachnie narkotykami.

Po wypiciu kawy i zjedzeniu szarlotki wyszli na ulicę. Z mijającego ich radiowozu wychyliła się uśmiechnięta twarz o czarnym kolorze skóry.

– Andy, co tak rano?

– Witaj. – Wskazał na Tomasza, a potem na okoliczne domy. – Kuzyn przyleciał z Polski, więc oprowadzam go po miejscowych zabytkach.

– Jak zwykle trzymają się ciebie żarty. Miłego dnia.

– Wzajemnie, Saul, wzajemnie.

Radiowóz odjechał.

– Znajomy gliniarz?

– Miesiąc temu pomogłem mu w drobnej sprawie. Trochę mnie lubi. Ma na imię Saul. – Andrzej zerknął uważnie na Tomasza. – Dziwne imię,



nieprawdą?

– Zależy jak na to spojrzysz... Saul to postać biblijna. Był synem Kisz z plemienia Beniamina. Według Biblii jako pierwszy wstąpił na tron Izraela i Judy. Podobno stało się to w 1042 roku przed naszą erą.

– Ty naprawdę jesteś historykiem.

Tomasz przystanął i spojrzał Andrzejowi w oczy.

– Dlaczego sądziłeś, że kłamię?

– Wszyscy kłamią.

– Nawet ty?

Andrzej zmrużył oczy przed świecącym wprost w oczy słońcem. A może próbował ukryć iskielki drwiny?

– Czasem myślę, że ze wszystkich robię to najlepiej... Ale w końcu właśnie tego nauczono mnie w szkole wywiadu.

Godzinę później podali sobie dłonie na pożegnanie. Mieli się spotkać za cztery dni na nowojorskim lotnisku JFK: on, Anna i jej córka.

Kiedy następnego dnia zamawiał telefonicznie bilet, miał za sobą nieprzespaną noc. Leżąc w mroku, oswoił się z myślą, że zobaczy ukochaną. Jak to będzie, gdy znowu ją spotka? Przez pół nocy dobierał słowa, które jej powie. Nie będzie mówił o miłości, tęsknocie i pustce...

Postanowił, że opowie o sobie i Siejce. Jak pewnego dnia spotkał się z majorem, a ten zaproponował mu skok, który miał ustawić ich obu do końca życia. Potem jak wybrali Annę z grona kobiet tylko dlatego, że była podobna do agentki umieszczającej mikrofiszę w paryskiej skrytce. O tabletkach, które podawał jej po kryjomu, żeby wywołać krwotok. O tym, jak zaprowadził ją do ustawionego wcześniej lekarza, który oszukał ją, mówiąc, że jest chora na białaczkę... Za operację w paryskiej klinice miała wykraść mikrofiszę z banku.

Opowie o wszystkim! Z detalami! Dzień po dniu!

Jak początkowo była mu obojętna. Jak pewnego dnia obudził się, zobaczył w myślach jej twarz i nie chciał już innych kobiet, niczyich pocałunków i dotknięć.

Wiedział, że Anna nie wybaczy mu, że ją oszukał, manipulował zakochaną w nim kobietą. Jednak chciał, żeby o wszystkim wiedziała. To

była cena za to, że znowu spędzą ze sobą kilka dni. Że będzie mógł na nią patrzeć, być obok... Prócz tego najważniejsze było jej bezpieczeństwo. Wszystko inne nie miało znaczenia.

Dlaczego dostał szansę, żeby odkupić swą winę?

Czyżby istniał Bóg i usłyszał jego szloch, gdy po stracie Anny tęsknił i płakał nocami, chowając twarz w mokrą od łez poduszkę?

# Rozdział pierwszy

ANNA PRZYCISNĘŁA PEDAŁ gazu, widząc zmieniające się światła. Skręciła w Avenida Achiras. Była dumna z zielonego bmw, które kupiły z Elwirą miesiąc wcześniej. Co prawda po dwóch tygodniach siadła klimatyzacja, ale nie umniejszało to faktu, że czuła się tak, jakby odzyskała część tego, co zostawiła za sobą w Polsce. W kraju też miała bmw, ale tam bryka zwracała uwagę wszystkich, tu zaś... Nieważne, teraz nie chodziło o szpan!

Kiedy w ubiegłym miesiącu weszły do salonu, od razu zobaczyła ten samochód między innymi autami. Zielony kolor, niemal taka sama tapicerka. Sprzedawca zobaczył jej spojrzenie i wyczuł udawaną obojętność, gdy minęła auto, rozglądając się po mijanych modelach. Dealer był dobrym kupcem, a ona musiała mieć ten wózek. Skończyło się więc na tym, że przepłaciła o pięć tysięcy peso.

– Inwestujesz w sentymentalne graty? – Elwira trzasnęła za sobą drzwiczkami. Chwilę potem wyjechały na ulicę.

– Ty też – roześmiała się, dotykając małego palca lewej dłoni siedzącej obok przyjaciółki. Jak wchodziły do salonu, Anna dostrzegła na nim niewielki złoty sygnet z błękitnym szafirem zatopionym w czarnej lace.

– Zobaczyłam dziś na wystawie ze starociami – skłamała Elwira – i jakoś nie mogłam się oprzeć. Ładny?

Uniosła dłoń do szyby, żeby Anna lepiej mogła go obejrzeć. Nie zdążyła kiwnąć głową, gdyż gwałtownie wdepnęła pedał hamulca. Zatrzymały się kilka centymetrów przed tyłem zwalniającego przed nimi volkswagena.

– Przynajmniej wiemy, że ma dobre hamulce. – Elwira ściszyła radio, z którego płynęła smętna melodia.

Nie powiedziała Annie prawdy. Sygnet kupiła jej Jimena.

Kiedy przyleciała do Montevideo, sądziła, że wszystko potoczy się inaczej. Wynajęły dom. Wspólnie go urządziły. Anna jednak unikała jej

spojrzeń. Tak przynajmniej sądziła do niedawna. Teraz była pewna, że Anna ich nie dostrzegała, bo Elwira zapatrzona w córeczkę, oddała się jej bez reszty. Była w tym desperacka próba wyrwania z siebie dawnych wspomnień i zagrzebania ich w najciemniejszym zakątku pamięci. Kiedy jednak nadchodziła noc... Kiedyś, przechodząc obok sypialni Anny, usłyszała jej zduszony szloch.

Kilka tygodni później już nie spędzały każdego wieczora razem. Anna jeździła z małą na lekcje muzyki i tańca, a Elwira... Najpierw włóczyła się po okolicy. Udawała turystkę i syciła oczy wystawami sklepów, na których, w przeciwieństwie do Polski, było wszystko. Wystarczyło tylko mieć pieniądze, pchnąć drzwi i wskazać palcem rzecz, która właśnie wpadła w oko. Kiedyś rzeczywiście tak zrobiła. Wróciła do domu obładowana torbami z bluzkami, sukienkami, swetrami i...

Wyciągnęła z folii majteczki i pokazała je Annie.

– Jesteś pewna, że to dla kobiet? – w głosie stojącej na wprost przyjaciółki Elwira wyczuła lekkie zażenowanie.

– Mówią na nie stringi.

– Jak?

– Majtki bez pupy.

– Ze sznurkiem?

– Muszą wyglądać seksownie.

Elwira ściągnęła spodnie, potem majtki. Założyła stringi. Chwilę potem okręciła się przed Anną, zerkając w stronę szafy, w której drzwi wprawiono duże lustro.

– Śliczne. Gdybym w takich pokazała się dziewczynom w Warszawie, to chyba by nie uwierzyły, że coś takiego można nosić. Chryste, ale z nas kołtunki. Dobrze chociaż, że w Peweksie, prócz barchanowych majtek, sprzedawano jeszcze figi z milanezu... Cholera! – Uderzyła się dłońmi po gołych udach. – Zupełnie wyleciało mi z głowy.

Elwira wybiegła z pokoju. Z sypialni doleciał jej spanikowany głos: – Gdzieś to zapisałam. Niech to.... – Sekundę później rozległ się okrzyk radości. – Jest!

Wróciła do pokoju i pokazała kartkę.

– Helena i Olga są w Paryżu. Mieszkają przy Avenue Monique 7 –

roześmiała się. – Tylko sobie wyobraź: z imieniem Moniki w nazwie ulicy i numerem takim samym jak jej wiek. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Tu masz ich paryski numer telefonu. Kiedy powiedziałam Helenie, gdzie jesteśmy, nie chciała uwierzyć.

– Przecież miałyśmy nigdzie nie dzwonić.

– Ty miałaś nie dzwonić do matki, żeby cię nie namierzyli. – Elwira otworzyła jedną z toreb. – Te błękitne kupiłam dla ciebie. Przymierzysz?

Anna zdawała się nie słuchać tego, co mówi przyjaciółka, patrząc na rozrzuconą na kanapie bieliznę.

Piętnaście minut później Elwira wyszła z domu, trzaskając za sobą z impetem drzwiami. Może i powinny żyć oszczędniej, ale przecież jeszcze nie zamknęły się w klasztorze.

Właśnie tamtego dnia Elwira zrozumiała, że ona i Anna... że przez cały czas się okłamywała. Wmawiała sobie, że wystarczy, gdy będą blisko siebie... że może kiedyś, z czasem ją pokocha... Że...

Przeszła przez ulicę na czerwonym świetle. Za jej plecami przejechał różowy pontiac.

– Fuck! – krzyknęła wściekła, pokazując odjeżdżającemu palec.

Musiała minąć chwila, nim ochłonęła z gniewu. Dzięki temu wydarzeniu wreszcie wyrzuciła z siebie całą złość. Pieprzyć to! Właściwie to nic ją tu nie trzymało. Mogłaby wsiąść w pierwszy lepszy samolot i wrócić do kraju. Nie była tu nikomu potrzebna.

Zrobiło jej się żal wszystkiego, co ją otaczało: gorącego słońca, błękitnego morza, sklepów z zapełnionymi półkami i... stringów. Choć czuła, że sznurek wrzyna jej się między pośladki, za nic by ich z siebie już nie zdjęła.

Przecznice dalej pchnęła drzwi kawiarni. Podeszła do barku i zamówiła podwójną whisky. Kiedy barman postawił przed nią szklanę, wypijała zawartość jednym haustem. Na twarzy stojącego za kontuarem najpierw zobaczyła niedowierzanie, a po chwili niekłamany podziw. Kazała powtórzyć miarkę trunku i ruszyła w głąb sali. Pół godziny później wypijała trzecią szklaneczkę i zaczynała mieć już dobrze w czubie. Może dlatego nie zwróciła uwagi, kiedy tamta dziewczyna weszła do środka. Gapiąc się przez okno, usłyszała za plecami czyjś głos.

– Sorry.

Nieznajoma spoglądała na jej wysunięte w przejściu nogi. Elwira podniosła niechętnie spojrzenie na stojącą obok. O mało się nie zadławiła trzymaną między zębami kostką lodu. To była druga Anna. Dziewczyna również zatrzymała się w pół kroku. Te same migdałowe wielkie oczy, zakłopotany uśmiech, falująca burza włosów, spadająca na nieosłonięte opalone ramiona. Nieznajoma wskazała wolne miejsce obok Elwiry.

– Można?

Głos miała ciepło-aksamitny, niczym kot, który przeciągnął się, lecz nie zamierza ruszyć się z wygrzanego miejsca. Tego wieczoru Elwira nie wróciła na noc do domu. Drugiego dnia Jimena musiała iść do pracy. Była sierżantem w Policia Turistica. Tak przynajmniej mówiła o swojej pracy. Kiedy dwanaście godzin później ponownie się spotkały, rzuciły się na siebie głodne niczym pierwszego dnia. Tydzień później postanowiły zamieszkać razem. Właśnie wtedy Jimena wsunęła jej na palec złoty sygnet z błękitnym szafirem zatopionym w czarnej lacy.

ANDRZEJ SIEDZIAŁ W ZAPARKOWANYM samochodzie, oddalony kilkaset metrów od willi, wokół której kręcili się policjanci.

Forda wynajął zaraz po przylocie do Montevideo. Kiedy tu przyjechał, uliczka była jeszcze pusta. Okna willi pod numerem 18 B były zamknięte, a leżący na trawniku zraszacz włączony. Najwidoczniej Anna i Elwira nie wróciły z miasta. Postanowił poczekać.

Zaraz po przylocie do Montevideo zarezerwował na lotnisku trzy bilety powrotne – na niedzielę. Dziś była środa, więc miał kilka dni. Nie spodziewał się, że Anna już w trakcie pierwszego spotkania weźmie go pod rękę i wezwie taksówkę, która zawiezie ich na lotnisko.

Pół godziny po jego przyjeździe na ulicy Charakas pojawiły się radiowozy policyjne. Najpierw dwa, potem dojechało jeszcze kilka. Część zatrzymała się na podjeździe przed domem, kilka wjechało na trawnik, nie przejmując się tym, że zostanie zniszczony.

Andrzej przezornie włączył silnik i odjechał dwieście metrów dalej. Wystarczająco daleko, żeby nie rzucać się w oczy, a jednocześnie na tyle blisko, żeby móc obserwować ulicę i podjazd przed domem.

Za radiowozami nadjechała karetka pogotowia. Nie usłyszał jej sygnału, z czego należało wnioskować, że nie był to pilny przypadek. Prawdopodobnie

lekarz został wezwany, żeby stwierdzić zgon.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. A może pomylił adres?

Sięgając do kieszeni marynarki po notatnik, dostrzegł w lusterku wstecznym, jak do karetki wsuwane jest ciało. Było w czarnym plastikowym worku.

ANNA ZAKRĘCIŁA NA KOLEJNYM skrzyżowaniu. Monika siedziała na tylnym siedzeniu. Tłumaczyła coś po hiszpańsku lalce. Wskazywała przy tym palcem na sukienkę, którą kupiły godzinę temu w sklepie z zabawkami. Już nie nazywała jej Zuzią, ale Mercedes.

Annie przyszło do głowy, że przez niemal pół roku miała lepiej nauczyć się władać hiszpańskim niż ona. Teraz będzie musiała nadrobić zaległości. Dwa dni temu znalazła pracę w biurze podróży. Dostała ją dzięki znajomości angielskiego, francuskiego i... rosyjskiego. Zwłaszcza umiejętność posługiwania się tym ostatnim wywarła na właścicielu olbrzymie wrażenie. Jak się wkrótce okazało, jego rodzice pochodzili z Petersburga i w 1916 roku uciekli do Ameryki Południowej przed zbliżającą się rewolucją.

– Kiedy będziemy w domu? – pytanie Moniki wyrwało ją ze wspomnień.

– Jeszcze tylko ten zakręt i...

Nie dokończyła, widząc w głębi karetkę pogotowia i kilka radiowozów policji.

– I co?

– ...niedługo dojedziemy na miejsce – dokończyła niemal automatycznie.

Zwolniła, mając złe przeczucie. Co robiły samochody na podjeździe, przed wejściem do ich domu? Zerknęła w lusterko wsteczne. Na szczęście Monika była zajęta przebieraniem lalki w nową sukienkę.

Kiedy dojeżdżała do karetki, zobaczyła sanitariuszy niosących ciało w foliowym worku. Zwolniła jeszcze bardziej, czując jak serce skacze jej do gardła. Drzwi do jej domu stały otworem. Po trawniku kręcili się policjanci.

Chciała się zatrzymać, kiedy zza ambulansu wyszedł funkcjonariusz. Zamachał dłonią, nakazując, by odjechała.

Dlaczego nie skręciła na podjazd pod ganek?

Coś strasznego stało się w willi. Ogarnął ją paniczny lęk. Nie czekając na

kolejny, ponaglący gest mundurowego, dodała gazu.

ENRIQUE SIĘGNAŁ DO KIESZENI spodni i wyjął z nich złoty sygnet z błękitnym szafirem zatopionym w czarnej lacy. Był zrobiony dla faceta, dlaczego zatem dziewczyna nosiła go na palcu?

– Może grała w związku rolę macho? – Miguel poszedł z technikami kryminalistyki na piętro.

Enrique skrzywił się na te słowa, ale nie dlatego, żeby miał coś przeciw temu kto i z kim chce wskakiwać do łóżka. Raczej był zły, że to nie on pierwszy wpadł na tak proste rozwiązanie.

Na Charakas wrócili po drugim wezwaniu dyspozytorki. Woleli przyjechać na miejsce, gdy znajdą się tam już inni policjanci. Kiedy zatrzymywali samochód w połowie podjazdu, w ich stronę ruszył biegiem młody chłopak, dotąd wygrzewający się w otwartych drzwiach jednego z radiowozów. Nim zdołał z siebie wyrzucić, że tu nie jest miejsce dla... Miguel pokazał mu legitymację wydziału zabójstw.

– Kto jest dowódcą? – Enrique splunął przez otwartą szybę na trawę, pod nogi policjanta.

– Na razie akcją kieruje sierżant, ale...

Nie dał dokończyć mówiącemu.

– Będę na niego czekał przed wejściem do willi.

– Tak jest.

Zaparkowali w cieniu. Leżący na tylnym siedzeniu rudy pies zamrugał oczami, jakby szykował się do snu. Zostawili uchyloną szybę, żeby Śmierdziel – jak Miguel zaczął na niego wołać – miał świeże powietrze.

Weszli na ganek, na progu domu pojawił się ospowaty chudzielec w zbyt dużym mundurze. Z szybko wypowiedzianych słów dowiedzieli się, że policję wezwał anonimowy informator. W czasie sprawdzania posesji jeden z funkcjonariuszy zobaczył przez okno ciało kobiety, leżące w kałuży krwi...

– Na razie nie udało się ustalić tożsamości. Najprawdopodobniej wynajmowały dom. Jeden z sąsiadów zeznał, że są Polkami.

– Rozejrzyjmy się w środku. – Miguel ziewnął.

– Szukamy czegoś? – Sierżant poprawił marynarkę, choć niewiele to



pomogło w jego wyglądzie.

– Narkotyków. Mieliśmy informację, że obie były kurierkami. – Enrique ruszył w stronę otwartych drzwi, ucinając tym zadawanie dalszych pytań.

Wcześniej umówili się, że Miguel przypilnuje policjantów na piętrze, a on na parterze. Plan, który ustalili przed kilkoma dniami był prosty i, jak byli przekonani, skuteczny. Mogli wcześniej zrobić nalot na dom i podrzucić Polkom kilka działek koki. Gdyby je wtedy przycisnęli, kobiety mogły powiedzieć, gdzie trzymają schowane mikrofisze. Mogły też krzyczeć i narobić zamieszania. A to było im niepotrzebne.

Dopijając piwo, zdecydowali, że najpierw zabiją obie. Potem z ekipą dochodzeniową przeczeszą dom. Hasłem, które pozwalało na wiele, było szukanie narkotyków. W tym przypadku mogli być pewni, że jeśli wydadzą takie polecenie, dom zostanie rozebrany do samych fundamentów. Zatem bez większego wysiłku znajdą to, czego szukali.

Enrique wszedł do saloniku na parterze i zaczął przeglądać stojące na półkach książki. Większość była angielskojęzyczna. Przekartkował jedną, przyglądając się obrazkom. Królewicz, czarownica, piękna księżniczka. Gdyby do nich dodać faceta z urzędu skarbowego, narkomana, pasera i sutenera, byłoby jak w dorosłym życiu. Ktoś chrząknął za plecami Enrique'a. Rzucił bajkę na podłogę. Za nim stał ospowaty chudzielec.

– To jedna z naszych.

– Kto?

Sierżant wskazał za siebie na brunetkę leżącą na progu u wejścia do kuchni.

– Jesteś tego pewien?

Zamiast odpowiedzieć policjant podał Miguelowi legitymację służbową.

– Znaleźliśmy w kieszeni jej spodni.

– Jimena Coriales. Policia Turistica... Co robiła w tym domu?

– Może się przyjaźniły? – Sierżant otarł rękawem pot spływający po policzku. – Na pewno to jej znajoma.

Enrique poczuł jak ciśnienie uderza mu do głowy.

– Co teraz? – Chudzielcowi najwyraźniej nie chciało się myśleć.

– W obu przypadkach stwierdzono zgon?

- Tak, ta druga od pierwszej kuli. Drań miał oko.
- Myślisz, że to robota singla?
- Cholera wie, tak mi się tylko powiedziało.
- Więc przestań gadać i dzwoń po nosicieli umarłaków.

Kilkanaście minut później przyjechał prosektoryjny ambulans.

Enrique podszedł do okna, przypatrując się, jak zwłoki pakowane są do samochodu. Zacisnął w złości pięści, aż zaboląły zgniatanne palce. Jeszcze godzinę temu wszystko wskazywało, że dzień będzie mógł nazwać fartownym. Okazało się jednak, że los wypiął na nich dupę.

– Chodź, pogadamy. – Partner pociągnął go za rękaw koszuli w stronę drzwi wyjściowych. – Chyba się pomyliliśmy.

Wyszli na podjazd i ruszyli w stronę samochodu.

– Gówna prawda. – Enrique splunął na trawę. – Borys dał zdjęcia.

– Więc nie nasza sprawa.

– Nie skończysz roboty, nie dostaniesz kasy. Nie znasz ich? Poza tym już powiedziałem żonie o telewizorze.

– To rzeczywiście masz przesrane.

– Tylko ja? – Zerknął zły na idącego obok. – Moja zaraz wszystko wychłapie twojej i...

Od strony ulicy doleciał trzask zamykanych drzwi ambulansu. Samochód potoczył się bezszelestnie z górki po asfalcie. Kierowca włączył silnik i auto zniknęło za zakrętem.

ANDRZEJ ZOBACZYŁ TWARZ kobiety siedzącej za kierownicą zielonego bmw, które powoli przejechało obok miejsca, gdzie zaparkował. To była Anna! Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości!

Zdażył jeszcze dostrzec siedzącą na tylnym siedzeniu dziewczynkę. Mogła mieć siedem lat.

Jeszcze chwilę temu był przekonany, że stało się coś strasznego. Jednak teraz los nieoczekiwanie puścił do niego oko. Odczekał moment, aż bmw odjedzie na większą odległość. Wrzucił migacz. Musiał jednak przepuścić policyjny radiowóz.

Dodał gazu, w obawie, że zgubi odjeżdżającą. Wkrótce dostrzegł zielone auto. Wyglądało, jakby kobieta szukała wolnego miejsca, żeby się zatrzymać. Andrzej był jednak pewien, że siedząca za kierownicą próbuje zebrać cisnący się do głowy natłok myśli.

Na wszelki wypadek postanowił trzymać się wystarczająco daleko, żeby nie dostrzegła go w lusterku wstecznym. Z pewnością była spanikowana.

Zastanawiające – zmarszczył brwi. Kto zginął w willi? Elwira? W takim razie do kogo należało drugie ciało?

Zerknął na jadący przed nim samochód. Bmw nieoczekiwanie przyspieszyło. Gdzie zamierzała pojechać? Andrzej miał nadzieję, że Anna wymyśli coś sensownego. Co też przyszło mu do głowy? Czy od kobiet w ogóle można czegoś takiego oczekiwać?

Co on zrobiłby na jej miejscu?

– Wynająłbym pokój w motelu – mruknął pod nosem. – Kupił czteropak piwa i butelkę czegoś mocniejszego. Najlepiej irlandzką wiskhy... Hm... Bushmills były okej. Potem napuściłbym do wanny po brzegi gorącą wodę. Wszedłbym do tego ukropu i zresetował sobie łeb alkoholem. Do następnego rana miałbym spokój.

Rzeczywiście zrobiłby tak jeszcze rok temu. Wtedy zapijał rozpacz i beznadzieję. Teraz od trzystu siedemdziesięciu trzech dni nie miał alkoholu w ustach. Żeby tak się stało, musiał wcześniej dostać bolesnego kopniaka w dupę i spaść niemal na samo dno. Potem nadszedł szary i zimny poranek. W mieszkaniu śmierdziało moczem, a on obudził się na lodowatej podłodze. Tamtego wietrznego dnia w wynajętej warszawskiej kawalerce, gdy zobaczył w lusterku swą szarą twarz, zamiast zastanawiać się, jak zdobyć pieniądze na kolejną flaszkę, postanowił coś ze sobą zrobić. Próbował popełnić samobójstwo. Na szczęście był zbyt słaby, żeby trzęsącymi się na kacu rękami zawiązać pętlę.

Otrząsnął się z myśli o przeszłości. Wyszedł z alkoholowego zakrętu. Jego na wierzchu. Zatem... Co zrobiłby na miejscu jadącej przodem? Odpowiedź była tak prosta, że aż się zdziwił, że nie wpadł na nią wcześniej.

Przyhamował, widząc reklamę baru. Następnie skręcił w stronę prowadzącego przed budynek podjazdu. Do nocy miał jeszcze kilka godzin, więc postanowił zjeść porządny obiad.

NA GODZINĘ PRZED PÓLNOCĄ, w świetle księżyca, salon w willi przy Avenida Charakas 18 B wyglądał niczym fantazyjna lodowa pustynia, na której spiętrzone srebrno błyszczące, popękane bryły lodu. W rzeczywistości były to przewracane meble, strącone z półek fotografie, zerwane ze ściany tapety. Wszystko to przemieszano z ubraniami i szufladami, które wyciągnięto z komódek. W jednej ze ścian działowych wycięto duży otwór. Najprawdopodobniej policjanci chcieli sprawdzić, czy między kartonami z gipsu czegoś nie schowano. Czy wiedzieli, co chcą znaleźć?

Jedynym meblem stojącym na własnych nogach był duży skórzany fotel z wysokim oparciem, skryty w najciemniejszym kącie salonu, gdzie nie docierał żaden promień księżyca. Siedzący w nim mężczyzna wpatrywał się bez ruchu w szeroko otwarte rozsuwane drzwi tarasu. Wydawało się, że pozostawiono je dla gości, którzy zgubili się w nocy w ogrodzie.

O tej porze w tej części dzielnicy panowała cisza, niekiedy przerywana odległym szczekaniem bezpańskiego psa. Słychać było przytłumione tykanie zegara, który strącono ze ściany, przysypując stertą wyrzuconych na podłogę książek. Jego mechanizm niekiedy zacinał się. Wtedy zapadała kompletna cisza.

Kiedy godzinę temu Andrzej przejechał ulicą Charakas, ta wydała się pusta. A jednak w jednym z aut dostrzegł żarzący się ognek papierosa.

Nie zatrzymując się, dojechał do końca uliczki i skręcił w prawo. Po kilkunastu metrach zaparkował samochód. Do domu 18 B dostał się od tyłu przez ogród.

Andrzej był przekonany, że dzisiejszej nocy Anna wróci do domu. Nie przypuszczał, żeby była na tyle sprytna i dostała się do niego drogą, którą on wybrał. Może dlatego, gdy sprawdził, że w willi nie czekają żadne niespodzianki, wrócił do samochodu. Potem obszedł kwartał domów i ponownie znalazł się na Charakas. Peugeot z policjantem po cywilnemu stał zaparkowany w zapamiętanym przez Andrzeja miejscu. Ruszył w jego stronę chodnikiem, zataczając się na boki. Będąc wystarczająco blisko, zaczął mrużyć pod nosem bełkotliwą melodię, to znów śmiać się z pijacką czkawką. Kiedy znalazł się na wysokości przednich drzwi, zatrzymał się na szeroko rozstawionych chwiejnych nogach i zaczął rozpinać rozporek. Najwyraźniej zamierzał odlać się na maskę samochodu.

Najpierw rozsunął suwak zamka błyskawicznego. Siedzący wewnątrz nie

zwrócił uwagi na pijaka. Najwidoczniej zdrzemnął się za kierownicą. Andrzejowi nie pozostawało nic innego, jak wesprzeć się ciężko na dachu, w który uderzył otwartymi dłońmi. Kiedy odzyskał rzekomo utraconą równowagę, ponownie wsunął dłoń do rozpiętego rozporaka.

Miguel początkowo nie zareagował na pijaka. Najwyżej zmoczy maskę. Potem pomruczy i pójdzie dalej. Okazało się jednak, że zarzuciło nim na przednią szybę, którą Miguel niedawno opuścił, żeby mieć, czym oddychać w parną noc. Gdyby nie zareagował, bydlę jak nic nalałoby do środka samochodu.

Otworzył gwałtownie drzwi i klnąc głośno, ruszył w stronę pijusa. Kiedy do niego doskoczył, chwycił za materiał marynarki, żeby rzucić łajzę w pobliskie krzaki. Tak się jednak nie stało, bo ten błyskawicznie okręcił się na pięcie i nim policjantowi przyszło do głowy, że gość odegrał przed nim scenę, dostał cios w podbródek.

Nieprzytomny, osunął się na chodnik, Andrzej chwycił go pod ramiona i zaciągnął w pobliskie zarośla. Przygotowaną taśmą okręcił nogi i przeguby dłoni. Zakleił dokładnie usta, uważając, by ominąć nos. Trup nie był mu potrzebny. Wreszcie przywiązał leżącego do pnia drzewa, żeby nie mógł sturlać się na chodnik. Teraz nie było szansy, żeby po przebudzeniu facet wy dostał się z krzaków.

Andrzej przeszukał jego kieszenie. Najpierw trafił na pistolet, zawieszony na szelkach pod lewym ramieniem. Potem znalazł policyjną legitymację.

Po wszystkim, nie obawiając się, że ktokolwiek mógłby go zobaczyć, wszedł do domu frontowymi drzwiami. W salonie trafił na przewrócony fotel. Postawił go w najciemniejszym rogu salonu i zajął w nim miejsce. Pozostawało czekać, gapiąc się w znaczone księżycem gałęzie krzewów rosnących za oknem. Co on właściwie robi w tym miejscu? Jak to się stało, że z warszawskiej Pragi, gdzie w podwórkowych bojach zdobywał pozycję ulicznego zawadiaki, znalazł się w Stanach?

Po dwóch latach pracy w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej pewnego dnia odpowiedziano na jego podanie, które dwa miesiące wcześniej naczelnik pozytywnie zaopiniował, wysyłając do Departamentu Kadr. Po weryfikacji kandydatury Andrzej dostał skierowanie do szkoły wywiadu w Kiejkutach. Marzył o tym od dziecka.

Okres szkolenia, jak usłyszał ostatniego dnia od opiekuna roku, przeszedł

niemal tanecznym krokiem. Uplasował się w pierwszej trójce najlepszych absolwentów rocznika. Ostatnim akordem, swoistą pracą dyplomową, było zadanie, które należało wykonać we wskazanym mieście Górnego Śląska. Jemu przypadły Gliwice. Gdyby został złapany – usłyszał – nikt do niego się nie przyzna, a on sam na ten czas powinien zapomnieć, że cokolwiek ma wspólnego z MSW.

Skrytka, którą miał opróżnić w Parku Chrobrego, była obserwowana i Andrzej wpadł w chwili podejmowania ukrytego pakietu.

Przez następne dwa tygodnie głodzono go, nie pozwalano usnąć, rażono prądem, bito, a wreszcie związanego i rozebranego do naga próbowano zgwałcić. Na zadawane pytania przez cały czas odpowiadał z uporem: „Nie wiem, dlaczego zostałem aresztowany. Nie mam nic wspólnego z wywiadem. To koszmarna pomyłka”.

Piętnastego dnia w trakcie przesłuchania został pobity do nieprzytomności. Kiedy się obudził, leżał w szpitalnej separacie. Obok stała siostra, która uśmiechnęła się na widok zaskoczonego pacjenta.

– Gdzie jestem?

– W szpitalu. Podobno pana z kimś pomyłono...

Nie zdołała dokończyć. Do separatki wszedł około sześćdziesięcioletni mężczyzna z zatroskanym wyrazem twarzy. Romuald – tak się przedstawił. Już od pierwszego spotkania coś sympatycznego między nimi zaiskrzyło. Miły, zaskoczony tym, do czego doszło w czasie przesłuchania. Z tamtego dnia zapamiętał jeszcze wybuch złości Romualda, gdy mówił o metodach śledczych, których się wobec Andrzeja dopuszczono.

Szybko się polubili. Samotny mężczyzna zaczął wieczorami odwiedzać szpital. Spędzali razem wiele godzin, rozmawiając o zwykłych sprawach dnia codziennego. Było w nim trochę z ojca, którego Andrzej nigdy nie miał, Romuald zaś traktował go jak syna.

Po tygodniu miał być wypisany. W czasie ostatniego wieczoru w Romualdzie coś pękło. Andrzej dowiedział się, że jego syn cztery lata wcześniej również skończył szkołę w Kiejkutach. Potem wyjechał na placówkę do Paryża. Rok temu zginął w wypadku samochodowym i Romuald do tej pory nie potrafił pogodzić się z bolesną stratą. Choć mówiono o brawurowej jeździe samochodem, był przekonany, że jego chłopca zlikwidował francuski kontrwywiad.

Może dlatego tamtego wieczoru powiedział Andrzejowi o tym, co przez lata w sobie tłumił, o czym przez długi czas nie chciał myśleć, oszukując samego siebie, że wszystko wokół jest takie, jak być powinno? Nieoczekiwanie poprosił, żeby Andrzej zrezygnował z pracy w wywiadzie i nie szedł w ślady jego syna. Rozżalony mówił, by nie pozwolił się oszukiwać, manipulować własną osobą, by nie szukał sensu w socjalistycznym bredzeniu, nie dał się indoktrynować i zmienić w bezduszny automat napompowany komunistyczną ideologią. Na poparcie tych słów zaczął opowiadać o wydarzeniach, których był świadkiem przez lata służby socjalistycznej ojczyźnie: prywacie i olbrzymich majątkach partyjnych bonzów, gromadzonych na zagranicznych kontach, wielomilionowych malwersacjach w kraju, morderstwach na zlecenie... To wszystko miało otworzyć Andrzejowi oczy na ustrój szczęśliwości społecznej, który w rzeczywistości służył garstce wybranych partyjnych bonzów.

Dwa dni później Andrzej zameldował się w jednostce i położył na biurku naczelnika raport, informujący o próbie antykomunistycznej agitacji przez towarzysza Romualda.

– Jesteście pewni – naczelnik podniósł na niego spojrzenie – że chcecie, żebym nadał temu pismu właściwy bieg?

– Dlaczego towarzysz major pyta?

– Wasz znajomy może mieć z tego powodu poważne przykrości...

– On nie jest moim znajomym.

– Nawet z wyrzuceniem ze służby i procesem włącznie – dokończył siedzący za biurkiem.

– Ten człowiek nie zasługuje na zaufanie naszej socjalistycznej ojczyzny.

– Andrzej stuknął obcasami, prężąc się w postawie na baczność, jakby chciał tym stwierdzić, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

– Możecie odmaszerować.

Dochodził do drzwi, kiedy nieoczekiwanie usłyszał za plecami: – Dziękuję wam w imieniu służby.

Odwrócił się i ponownie stanął na baczność.

– To ja dziękuję, towarzyszu majorze. – Wymaszerował z pokoju.

Na korytarzu miał ochotę wyrzygać się na najbliższą ścianę. Donos złożył bez najmniejszego wahania. Ostatniego wieczoru, gdy Romuald po raz

kolejny opłakiwał syna, Andrzej usłyszał w głowie dzwonki alarmowe. Mężczyzna łkał załamującym się głosem, lecz jego oczy pozostawały suche. Próbując go pocieszyć, Andrzej objął ramieniem pochyloną postać i wtedy jego ucho znalazło się przy tętnicy szyjnej Romualda. Puls przeżywającego chwilowe załamanie nerwowe był równy niczym w metronomie, obojętnie wahającym się na boki. Wtedy do Andrzeja dotarło, że to jest dalszy ciąg sprawdzania jego osoby.

Opieka szpitalna i współczujący starszy pan jako zbolący ojciec miały go zmylić, rozluźnić, chcieli zobaczyć, jaka jest jego prawdziwa twarz.

Trafił w dziesiątkę. Wraz z nim piekło przesłuchań przeszło jedynie trzech kolegów z roku. Tamci dali się jednak złapać na zwierzenia zmęczonego życiem mężczyzny, który ma dosyć służenia kłamstwu, obłudzie i komunistycznemu oszustwu. Tylko Andrzej doniósł na Romualda. Tylko on postąpił tak, jak oczekiwano. Był ślepo posłuszny i obojętny na prawdę. Liczyło się tylko zadanie, które przełożeni wyznaczali do wykonania. Swoim raportem udowodnił bezwzględna lojalność i bezkrytyczne związanie z resortem. Oddanie ludziom, którzy od tego czasu mieli wskazywać zadania, które on miał wykonać bez namysłu.

Jednak w tamtych dniach stało się coś jeszcze. Dzięki zastosowanej wobec niego socjotechnice Andrzej zrozumiał, w jakim kraju żyje. Dotąd Polska Ludowa jawiła mu się jako nieco przygłupia matka, która przymykała oczy na szachrajstwa niesfornych dzieciaków. Teraz zrozumiał, że to cwana jędrza, która nagradza i karze niekiedy dla własnego widzimisię, ale zawsze mając w dupie wyznawane przez siebie ideały. Czy nie zrozumiał tej prawdy za późno? Pięć lat później socjalistyczna ojczyzna zaczęła walić się w gruzy. Wtedy poznał majora Siejkę... Podwładni archiwiści nazywali go szczurem. Korpulentny. Błady, z posiwiałymi włosami. Niski. Rzeczywiście sprawiał wrażenie tłustego szczura, ubranego w szary fartuch.

W ogrodzie na ulicy Charakas 18 B zaśpiewał głośno jakiś ptak. Andrzej przeciągnął się w fotelu. A jeśli Anna spanikuje i nie zjawi się dzisiejszej nocy? Niemożliwe! Z pewnością ma w domu pieniądze, może coś wartościowego – jeśli oczywiście gliniarze wcześniej nie schowali sobie owego czegoś do kieszeni. No i najważniejsze – coś, czego nie znaleźli, po co on przyleciał tu z Nowego Jorku. Gdyby było inaczej, tajniak nie czekałby w ukryciu przed domem

Światło latarki od strony ulicy omiotło wnętrze domu. W ciszy rozległ się



trzask otwieranych drzwi. Ze swojego miejsca, na tle rozświetlonego księżycem nieba Andrzej zobaczył w otwartych drzwiach szczupłą kobiecą postać.

ANNA STAŁA W PROGU, nasłuchując, czy z głębi domu nie dobiegną do niej podejrzane hałasy. Przezornie nie zamknęła drzwi, gotowa w każdej chwili uciec.

Cisza. Przycisnęła rękę do piersi, starając się uspokoić szalony rytm serca. Bała się, lecz musiała tu wrócić.

A może Elwira żyje i czeka gdzieś tu na nią? Bzdura. W tę bajkę nie uwierzyłaby nawet Monika. Kiedy godzinę temu wychodziła na palcach z motelowego pokoju, mała spała spokojnym snem.

Tego popołudnia skłamała córce, że w domu pękła rura z wodą i cały salon jest zalany.

– Na szczęście mój pokój jest na piętrze. – Monika najwyraźniej nie przejęła się usłyszaną nowiną.

– Kilka dni pomieszkamy w motelu. Pojutrze zaczyna się weekend, więc jak w piątek nie pójdziesz do szkoły, to nic wielkiego się nie stanie.

Godzinę później wprowadziły się do dwóch pokoików, które wynajęła w motelu na przedmieściu Montevideo. Zjadły w barze kolację, potem wróciły na górę. Mała wykąpała się i położyła spać.

– Kiedy wrócisz?

– Niedługo. Przed wyjściem zamknę drzwi od zewnątrz. Więc...

– Nikomu mam nie otwierać. Możesz być spokojna.

Gwizd narastającego przeciągu przywrócił Annę do rzeczywistości. Starła się iść ostrożnie. Bez większych kłopotów dotarła do schodów. Automatycznie wyciągnęła dłoń do włącznika, ale szybko ją cofnęła. Jeszcze tego brakowało, żeby sąsiedzi zauważyli w oknach światło.

Weszła na piętro. Tu również na korytarzu leżały rzeczy wyrzucone ze zdemolowanych sypialni. Czy odkryto jej skrytkę?

Przekroczyła próg pokoiku Moniki. Panował w nim totalny bałagan. Ubrania wyrzucono z szaf, zabawki zwalono z półek na podłogę. Jedna ze ścian była rozpruta. Przez szparę zobaczyła sypialnię i tapczan. Podeszła do

okna i rozsunęła zasłony, żeby wpuścić do środka więcej światła.

Jest! Odetchnęła ulgą.

Łomoczące w piersiach serce zwolniło rytm. W stosie zabawek, na rozprutej poduszce, leżał wielki słoń. Monika go nie lubiła, ale Anna umówiła się z córką, że pluszowy zwierzak pozostanie na straży innych zabawek. Pochyliła się i podniosła słonia. Wśród długiej sierści, na podbrzuszu ukryty był zamek błyskawiczny.

Miała wszystko! Teraz biegiem do auta. Może z tym biegiem przesadziła. Jeszcze tego brakowało, żeby w ciemności skrzyła nogę.

Wyszła na korytarz i zaczęła ostrożnie schodzić po schodach. Już była na parterze, kiedy z mrocznego kąta salonu padło pytanie:

– Czy nie powinniśmy ze sobą porozmawiać?

Spojrzała w stronę drzwi, oceniając dzielącą ją od nich odległość.

– Nie radzę – usłyszała.

– Kim jesteś? – próbowała opanować drżenie głosu.

– Przyjacielem.

– Nie mam przyjaciół. – Postąpiła krok do wyjścia.

Zimny dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Dopiero w tej sekundzie dotarło do jej świadomości, że rozmawia po polsku.

– Zabijesz mnie?

– Gdybym chciał to zrobić, już byś nie żyła.

– Więc czego chcesz?

– Musimy porozmawiać.

Nagle uświadomiła sobie, że skądś zna ten głos. Serce gwałtownie załomotało jej w piersiach. Kogoś przypominał. Zobaczyła cień, który wstał z fotela. Więc tam się ukrył. To był... Zabrakło jej tchu.

– Andrzej?!

Podświadomie pragnęła, żeby ją odnalazł.

Stanął przed nią. Chciała, żeby wziął ją w ramiona. On jednak tkwił przed nią w bezruchu, odległy, zimny i obojętny.

– Jesteś ostatnim skurwysynem i podłym draniem.

W świetle latarki zobaczyła jego bladą twarz. Wyglądał jak mały chłopiec,

który skulił się w sobie, czekając na ojcowskie razy.

– Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Zacisnęła dłonie w pięści i zaczęła go nimi okładać. Biła po ramionach, piersiach, twarzy. Im mocniej to robiła, tym większa ogarniała ją rozpacz. Wreszcie z oczu popłynęły łzy. Zaczęła głośno szlochać.

– Tak bardzo cię kochałam. Gotowa byłam skoczyć za tobą w ogień. Ale ty chciałeś tylko pieniędzy. Kochałeś się ze mną, żeby potem lecieć do żony. Nawet nie wiesz, jak tobą gardzę.

Nie próbował się tłumaczyć. Patrzył na nią oczami, w których zobaczyła tylko bezbrzeżny smutek.

– Masz rację – mówił cicho, głosem, w którym pobrzmiwała nuta bólu – nie powinienem się tu zjawiać.

– Ale jesteś.

– Oni chcą, żebyś oddała mikrofisze.

– Dlatego przyjechałeś?

– Próbuję cię chronić.

– Mnie?

– Wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale taka jest prawda. Dlatego lepiej chodźmy teraz do twojego samochodu.

PRZEZ CHWILĘ JECHALI w milczeniu.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz? – Poprawiając lusterko wsteczne, ponownie obrzuciła siedzącego obok szybkim spojrzeniem.

– Nasz wywiad cię odnalazł.

– Dlaczego wybrano Andrzeja Leszczyńskiego? Przecież z tym draniem Siejką chciałeś ich okraść. To nie mnie powinni ścigać, lecz was.

– Oni wiedzą tylko o tobie i Siejce. Są przekonani, że się znamy, lubimy i w czasie naszych spotkań w Europejskim kilka razy poszliśmy do łóżka. Wysłali zatem do ciebie faceta, do którego powinnaś mieć zaufanie.

Na słowo „zaufanie” Anna roześmiała się głośno.

– Dlaczego mi to mówisz?

Od czasu, gdy ruszyła, Andrzej siedział nieruchomo, patrząc przed siebie.

Po raz pierwszy odwrócił twarz i spojrzał na nią.

– Chcę, żebyś wiedziała wszystko. Kiedy wrócimy do Stanów i spotkasz się z przedstawicielem Warszawy, możesz powiedzieć mu o mnie wszystko. Jest mi to obojętne. Teraz najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

– Skąd wiedziałeś, że przyjdę wieczorem do willi?

– Nazwij to przeczuciem. A ty?

– Co ja?

– Nie bałaś się wrócić?

– Siedzisz na gazecie. Warto, żebyś ją przejrzał.

Popołudniówka była otwarta na drugiej stronie. Na czarno-białych fotografiach widniały dwie twarze. Pierwsza fotka ukazywała nieznaną Andrzejowi kobietę, druga...

Elwira spoglądała martwymi oczami w obiektyw, jakby zdziwiona, że ktoś chce zrobić jej zdjęcie. Andrzej dotknął palcem pierwszej fotografii.

– Jest do ciebie podobna.

– Dlatego pomyślałam, że mam szansę dostać się do własnego domu.

Andrzej przypomniał sobie o leżącym w krzakach policjancie i jego legitymacji, którą schował do kieszeni. Przymknął oczy, poddając się leniwemu kołysaniu samochodu. Coś było nie tak! Przynajmniej gdzieś na obrzeżach świadomości jego drugie „ja” wierciło się niespokojnie, dając niezrozumiałe znaki. Nie potrafił ich odczytać.

Z tyłu rozległ się sygnał nadjeżdżającego radiowozu. Anna rozejrzała się na boki, spanikowana.

– Nie zwalnij!

– A jeśli to po nas?

Nie musiał odpowiadać. Samochód patrolowy przemknął wolnym pasem obok i szybko się oddalił.

– Kim jest ta kobieta? – Wskazał na zdjęcie.

– Prawdopodobnie przyjaciółka Elwiry.

– Polka?

– Nie znam jej...

Chwilę jechali w milczeniu. W Annie narastała coraz większa złość. Jak to

się stało, że Andrzej wpakował się jej do samochodu, a teraz ją przepytuje? Zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy. Zarazem przyszło jej do głowy, że na razie nie stanowił zagrożenia. Powinna zatem dalej grać rolę wystraszonej naiwnej.

– Tydzień temu Elwira zakomunikowała, że chce się wyprowadzić.

– Do niej? – Palec Andrzeja znowu uderzył o gazetę.

– Nie wiem... To znaczy... Powiedziała, że znalazła kogoś.

– Spałyście razem?

– Chcesz spytać, czy jestem lesbijką?

– To by cię obraziło?

Coś w niej znowu szepnęło, by spuściła z tonu. A mimo to najchętniej zahamowałaby i wyrzuciła go z samochodu.

– Nie spałyśmy ze sobą.

– Ale Elwira chciała... – Andrzej spojrzał na siedzącą za kierownicą, potem skierował wzrok na zamieszczoną w gazecie fotografię.

– Bo tamta jest do mnie podobna?

– Zawsze odpowiadasz pytaniem?

– W rzeczywistości nic o tobie nie wiem. Może nawet inaczej się nazywasz?

– Mam na imię Andrzej. A ty nazywasz się Anna Wermer. Do Montevideo przyleciałaś, posługując się fałszywym paszportem, który był wystawiony na nazwisko Janet Granier. W tamtym wcieleniu byłaś mężatką. Z Pierre'em Granier wzięłaś ślub przed sześcioma laty w Polsce. Od trzech lat jesteście w separacji. Sam wymyśliłem tę legendę. Prosta, nieskomplikowaną i najważniejsze – łatwą do zapamiętania.

– Mówiłeś, że chcesz ze mną porozmawiać.

– Próbuję.

– To nie jest rozmowa. Na razie tylko mnie odpytujesz.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak masz naprawdę na imię?

– Andrzej.

– To nie ma sensu.

– Nie masz więcej pytań?

– Pomyślałam, że twoje odpowiedzi...

– Nie możesz ich zweryfikować?

– Równie dobrze możesz powiedzieć, że nazywasz się Myszka Miki i urwałeś się z kreskówki Disneya.

– Kobiety boją się myszy – skrzywił wargi, jakby zamierzał się rozeźmiać – więc teraz nie siedziałabyś obok mnie tak spokojnie...

Przymknął oczy, poddając się kołysaniu samochodu. Nawet on sam nie bardzo wierzył w to, co zamierzał powiedzieć. Czasami los pisze zaskakujące scenariusze, które i tak podmienia w ostatniej chwili. Mieliśmy grać prawego szeryfa, a oto okazuje się, że obsadzono nas w roli bandyty, z indiańskim pióropuszem na głowie, który w dodatku jest Murzynem.

– Więc, Miki?

Nie zrozumiał.

– Od Miki... Mouse.

– Nie podoba ci się imię Andrzej?

– Nie podoba mi się miejsce, w którym teraz jestem. Nie podoba twoje towarzystwo. To, że moja córka jest teraz sama w motelu. Że moja przyjaciółka została zamordowana. I jeszcze sporo innych rzeczy. Zatem Andrzej jest nic nieznaczącym dodatkiem do mojego „nie podoba mi się”.

– Jestem etatowym pracownikiem kontrwywiadu. Rok temu spotkałem Leona Siejkę, który namówił mnie do ucieczki z tonącego okrętu o nazwie „PRL”. Zawsze chciałem dać nogę z tej łajby, ale byłem na to zbyt leniwy. Miałem dom, a raczej piękną willę, która była własnością mojej żony. Wszystko było jej własnością. Po pewnym czasie również ja zostałem zaliczony do jej osobistego majątku. Kiedy się spotkaliśmy, chciałem już tylko uciec. Najpierw od żony, a potem od PRL-u... A ponieważ przyzwyczałem się do wydawania pieniędzy, nie chciałem być kimś wolnym z pustym portfelem. Moim zadaniem było znalezienie dziewczyny podobnej do agentki, która umieszczała w skrytce Banku Koëniga mikrofiszę przysyłane z Polski pocztą dyplomatyczną. Wybrałem ciebie. Wszystko wydawało się dopracowane i przemyślane w najdrobniejszym calu. W tym wszystkim nie wziąłem jednak pod uwagę tego, że mogę się w tobie zakochać.

Andrzej mówił głosem spokojnym, kompletnie wypranym z emocji. Annie przyszło nawet do głowy, że relacjonuje czyjś życiorys, absolutnie mu obojętny.

– Dopiero na lotnisku zdałem sobie sprawę, jak bardzo skrzywdziłem ukochaną. Próbowałem o tobie zapomnieć. Kiedy miałem już nadzieję, że mi się to udało, ktoś zapukał do drzwi wynajmowanego przeze mnie mieszkania. Masz rację. Jestem ostatnim skurwysynem, ale prawdopodobnie tylko ja mogę wydobyć cię z szamba, w którym utkwiałaś.

Anna słuchała go z drwiącą miną. Już kiedyś nabrał ją na równie ładnie brzmiącą bajkę. Wtedy uwierzyła. Teraz postanowiła nie być tak naiwną. Odwrócił twarz w jej stronę:

– Powiem ci coś ważnego. – Zobaczyła w jego oczach niespodziewaną determinację. – Chcę, żebyś dzisiejszej nocy odpowiedziała sobie na pewne pytanie: Jeśli zabito Elwirę, czy możesz czuć się bezpieczna? To ważne! Myślę, że do końca nie zdajesz sobie sprawy z tego, w co wdepnęłaś.

Podniósł gazetę z kolan i uderzył w nią otwartą dłonią.

– Jej śmierć powinna dać ci wystarczająco dużo do myślenia. Dla ludzi, którzy to zrobili, fakt, czy przeżyjesz do jutrzejszego rana, nie ma najmniejszego znaczenia. Podobnie nic ich nie obchodzi twoja córka. Moja osoba również jest im obojętna. Będiesz bezpieczna tylko wtedy, gdy przekażesz mikrofiszę wysłannikowi z Polski, do którego cię zaprowadzę.

– Ty ich nie chcesz?

– Mam tylko dopilnować, żebyś bezpiecznie doleciała ze wszystkim do Nowego Jorku.

– Oni chcą również pieniędzy?

– Jakich pieniędzy?

– W paryskiej skrytce, prócz dokumentów, było jeszcze... – ugryzła się w język.

Usłyszała jego ciężkie westchnienie.

– Ich interesują tylko dokumenty. Nie słyszałem nic o pieniądzach.

– Ale...

– Co?

– Ty już o nich wiesz, Miki.

- Nie interesują mnie twoje pieniądze.
  - A co cię interesuje?
  - Nie spałem od trzydziestu sześciu godzin.
  - W motelu są wolne pokoje.
  - Co powiesz córce?
  - Że jesteś starym przyjacielem z Polski, który właśnie wpadł nas odwiedzić.
  - Dzięki za tego „przyjaciela”, Minnie.
  - Minnie?
  - To imię przyjaciółki Myszki Miki.
  - Wątpię, żebyś kiedykolwiek miał okazję nazwać mnie przyjaciółką.
- Andrzej westchnął obojętnie, próbując znaleźć wygodne ułożenie pleców na oparciu fotela.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo odpowiada mi ten układ.
- Czy usłyszała w jego głosie kłamstwo?



## Rozdział drugi

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER miał swój gabinet na drugim piętrze wieżowca FBI przy Federal Plaza w Nowym Jorku. Na jego drzwiach nie widniała żadna tabliczka, która informowałaby zainteresowanych, że czeka za nimi sekretarka dyrektora, jeden z jego zastępców, szef oddziału, kierownik sekcji, czy choćby agent specjalny. Nic. Zawieszono na nich zwykłą mosiężną plakietkę, na której można było przeczytać nazwisko: „Schneider”. Zresztą i tak nikt nie szukałby na drugim piętrze kogokolwiek z kierownictwa nowojorskiej centrali agencji. Szefowie zajmowali najwyższe piętra gmachu. Poza tym Natan dosyć luźno był związany z FBI. Mimo to szef nowojorskiej centrali cenił go za doskonały gust przy wyborze win, udzielane rady oraz wyśmienite kontakty w niemal wszystkich agencjach rządowych. Jeśli były one złe, bardziej szkodziło to szefowi danej agencji niż Schneiderowi.

Gdyby nawet ktoś przekroczył drzwi opatrzone tabliczką: „Schneider”, to sekretariat oraz urzędująca w nim od trzydziestu lat panna Rose Simons również nie wzbudziłyby zainteresowania. Pokój wypełniony był meblami jeszcze z początku lat osiemdziesiątych, siedząca w nim gruba Murzynka niczym zaprogramowany automat dokładnie co pół godziny wkładała do ust anyżowego dropsa.

A jednak Schneider niemal z paniką myślał, że pewnego dnia Simons mogłaby nie przyjść do pracy, a on otrzyma powiadomienie o jej śmierci. Jeśli chodzi o własną osobę, raczej nie brał pod uwagę tego, że mógłby zrezygnować z pracy, nawet na skutek czwartego ataku serca. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat wszystkie trzy przeżył w swoim gabinecie. A przecież z medycznego punktu widzenia trójka oznaczała niemal pewne przeniesienie się na tamten świat. Może dlatego Natan był pewien, że swój przydział zgonów już definitywnie wyczerpał i teraz może się niczym nie przejmować. Żeby utwierdzić w sobie to przekonanie, zaczął hojnie wspierać kościół prezbiteriański, w którym pełnił jakże zaszczytną funkcję

przewodniczącego rady parafialnej.

Jeśli zaś chodzi o FBI, zaledwie kilka osób w gmachu wiedziało, że gabinet Natana ma wewnętrzną windę, która w każdej chwili mogła go wynieść na dwudzieste drugie piętro, gdzie mieścił się gabinet dyrektora nowojorskiej centrali. Inni w oficjalnym przewodniku mogli wyczytać, że mr Natan Benjamin Schneider jest doradcą szefa agencji do spraw kontaktów z rezydentami państw sojuszniczych. Innymi słowy był to boczny i mało istotny tor działalności biura federalnego, który ludzie ambitni i marzący o karierze powinni obchodzić jak największym łukiem.

Dokładnie o dwunastej Schneider sięgnął po stojący na prawym brzegu biurka talerzyk z jabłkiem. O jedenastej postawiła go tam panna Rose Simons. Po zjedzeniu jabłka Natan wziął się do przeglądania codziennej porcji raportów, które sekretarka położyła na biurku przed jego przyjściem.

Zadzwęczał dzwonek interkomu.

– Za piętnaście minut czeka na pana samochód. O trzynastej piętnaście spotkanie ze... Scegovskym – wysylabizowała z trudem – w Silver Club.

– Pamiętam.

Jedynym minusem sprawowanej przez niego funkcji była konieczność grania roli osoby przyjmującej (jak drwiąco to określał) listy uwierzytelniające od oficjalnych przedstawicieli policji krajów, które liczyły na współpracę z FBI. Właśnie teraz miał wypełnić taki obowiązek.

– Miejmy to jak najszybciej za sobą – westchnął, wstając zza biurka.

Poprawił garnitur i podszedł do lustra. Jakby dla pewności, dotknął włosów, których siwe długie pasma zaczesywał z prawej strony głowy na lewą, przykrywając nimi środek łysej czaszki. Były na swoim miejscu. Zawsze tam były, od ponad czterdziestu lat.

Wyszedł do sekretariatu.

– Jak wyglądam?

Simons wsunęła do ust anyżową tabletkę, wstała z krzesła i strzepnęła niewidoczny pyłek z jego ramienia.

– Jak zwykle doskonale.

– Szkoda, że jesteś Murzynką.

– Wiem, inaczej by się pan ze mną ożenił. Słyszę to od czterdziestu

sześciu lat.

– Jeśli tak długo – powtórzył znany obojgu tekst – to z pewnością bylibyśmy szczęśliwą parą.

Wszedł na korytarz. Wsiadł do windy i nacisnął guzik „minus sześć”. Kabina zaczęła bezszelestnie zsuwać się w dół. Gdyby nie zaciekawienie, które odczuwał od kilku dni, dzisiejsze popołudnie uznałby za stracone. Chociaż – obrócił się do lustra, żeby sprawdzić, czy dokładnie wystrzygł wszystkie włosy, które dzisiejszego ranka odkrył w jednej z dziurek od nosa – czy rzeczywiście lunch będzie mógł zaliczyć do udanych?

Jak dotąd wszystko, co zmuszało go do kontaktu z Polakami, wprawiało go w rozdrażnienie. Wczorajszy wieczór przecierpiał na koncercie chopinowskim. Ponad półtorej godziny udawał zainteresowanie pajacem, który z mętными oczyma, jakby naćpał się koki, pastwił się nad klawiaturą. Kiedy umilkły ostatnie fortepianowe pasaże, zaczął klaskać najgłośniej ze wszystkich na sali, szczęśliwy, że ma to już za sobą. Podejrzewał, że inni słuchacze, podobnie jak on, również nagradzają brawami własną wytrwałość. Potem był bankiet. W jego trakcie można było spróbować polskiej specjalności – bigosu.

To przerażające, że jedni coś takiego gotują przez tydzień tylko po to, żeby innym przez następny tydzień odbijało się tłustą kapustą.

Dokładnie trzydzieści minut po wyjściu z gabinetu wszedł do Silver Club.

– Gość już na pana czeka.

Skinął chłodno głową w stronę maître d’hôtel i pozwolił się zaprowadzić do stolika. Wbrew oczekiwaniom, nie zobaczył Polaka nieśmiało siedzącego na brzegu krzesła. Tamten założył nogę na nogę i obojętnie studiował kartę win. Kiedy go dostrzegł, wstał z miejsca i wyciągnął dłoń na powitanie

– Tomasz Szczęgowski.

Natan uścisnął jego dłoń. Prócz niewymawialnego nazwiska angielski tamtego był doskonały.

– Cieszę się – rzucił swobodnie – że po tylu latach pan, z komunistycznego kraju, i ja możemy bez ukrywania się zasiąść przy jednym stoliku. Widziałem, że przeglądał pan kartę win. Może już pan coś wybrał?

Tomasz swobodnie wrócił na fotel, i spojrzał na Schneidera z wyrazem zainteresowania. Wystarczył jednak moment, kiedy zmierzyli się wzrokiem.

Choć wydawało się, że Janek za chwilę radośnie porwie Tomasza w ramiona, oczy gospodarza spoglądały na niego zimno spod przymrużonych powiek.

– Wina są tu wyborne. – Amerykanin pochylił się w jego stronę, jakby byli parą starych przyjaciół i staruch zamierzał mu zdradzić jakiś sekret.

Mimo że Schneider skropił się dobrą wodą kolońską, Tomaszowi wydało się, że znowu jest małym dzieckiem i babka za karę zamyka go w dużej starej szafie. Potwornie śmierdziało w niej naftaliną. Od tamtej pory starość niezmiennie kojarzyła mu się z tym duszącym zapachem. A Schneider był stary, jego skóra zaś sprawiała wrażenie szarego pergaminu, który przy nieostrożnym ruchu ulegnie rozdarciu.

– Zaszalejmy? – Natan puścił łobuzersko oko i klepnął Tomasza przyjacielsko po ramieniu. – Ja zamawiam coś do zjedzenia, a pan wybiera wino.

Tomasz zastanowił się w myślach, jak długo ten amerykański Niemiec zamierza traktować go w sposób, jakby miał dostąpić objawienia, którego, jak sam powinien się domyślić, zupełnie nie był godzien.

Informacje, które otrzymał w ambasadzie przed spotkaniem, mówiły wystarczająco dużo o charakterze Natana Schneidera. Instytut, którym kierował, ulokowany był w gmachu FBI tylko dlatego, że jego pomysłodawcą i propagatorem był dawny dyrektor agencji, Edgar Hoover. To on pierwszy zrozumiał, że żadna z instytucji rządowych nie jest skłonna dzielić się informacjami z pozostałymi. W efekcie zdarzały się przypadki, że nad tą samą sprawą pracowały FBI, Secret Service i CIA, marnując tym samym pieniądze podatników. Taka była oficjalna doktryna głoszona przez Hoovera. W rzeczywistości dzięki Komitetowi Koordynacyjnemu zamierzał rozciągnąć kontrolę nad konkurentami, zwłaszcza CIA. Na szczęście, jak łudziła się większość Amerykanów, tak się nie stało.

Po śmierci Hoovera w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku prezydent Nixon zrozumiał, że pomysł sam w sobie wart jest realizacji. Choć oficjalnie Komitet Koordynacyjny został rozwiązany, pół roku później powołano na jego miejsce Północny Instytut Stosunków Międzynarodowych, którego dyrektorem został Natan Benjamin Schneider.

Każdy z kolejnych prezydentów zamierzał wykreślić Instytut z listy, na której znajdowały się nieoficjalnie finansowane przez rząd organizacje

pracujące dla bezpieczeństwa kraju. Jednak, jak się okazało, inni z owego spisu znikali, zaś Instytut Schneidera, jak zaczęto go nazywać, z czasem wprowadzono do ścisłej czołówki najważniejszych agend rządowych Stanów Zjednoczonych.

Tak więc od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku Natan Benjamin Schneider urzędował przy Federal Plaza mając dostęp, na prawach priorytetowych, do sieci najważniejszych informacji FBI, CIA, NASA czy NRO. O istnieniu tego ostatniego poinformowano Amerykanów dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, choć powstało ponad ćwierć wieku wcześniej. Podobne uprawnienia przysługiwały jeszcze dwóm wskazanym przez Natana osobom, które miały prawo dostępu do danych przekazywanych przez podległe prezydentowi agendy, agencje i instytuty badawcze.

NATAN ZASTANOWIŁ SIĘ, jaki trunek wybierze Polak. W tym lokalu nie serwowano żadnych wódek. Kilkanaście sekund później kiwnął z uznaniem głową na wybór Romanée Conti Duo.

– Warte ceny. – Tomasz odłożył kartę win. – Produkowane ze szczepu pinot noir w Burgundii. Z pewnością nieraz pan je próbował?

Zapominasz tylko dodać – Natan prychnął w myślach – że jedna butelka kosztuje ponad trzysta dolarów.

– Czy nie za bardzo zaszalałem? – Na twarzy Tomasza pojawił się fałszywy wyraz zmieszania podobny do tego, który pojawia się u dzieci, gdy coś nabroją. – Słyszałem, że wino warte jest swojej ceny.

– Dokonał pan jedyne go wyboru, który daje pewność, że mam do czynienia ze znawcą tego szlachetnego trunku.

Początek rozmowy powiedział im wzajemnie o sobie wszystko. Zwłaszcza Natan zrozumiał, że zbyt pochopnie ocenił człowieka, który teraz z takim apetytem zajadał wybrany przez niego befsztyk na fasolkach z borówkami.

Tomasz miał być rezydentem polskiego MSW przy nowojorskiej centrali FBI. Z informacji przygotowanych mu przez Simons wynikało, że wszedł w strukturę Solidarności w czasie, gdy był funkcjonariuszem komunistycznego MSW. Przypadek sprawił, że spotkał na ulicy dziewczynę, z którą niegdyś sypiał w czasach studenckich. Romans był bardzo burzliwy. Polak trafił do podziemnej Solidarności tylko dlatego, że dawna miłość nie wywietrzała mu

z głowy, a dziewczyna chciała się zemścić za to, że niegdyś zostawił ją dla żony. Kilka tygodni po tym, kiedy Tomasz odszedł od żony, kochanka również wyrzuciła go za drzwi. Wrócił zatem do pierwszej i ta rzekomo wybaczyła mu głupi poryw serca. Kilka tygodni później doniosła na niego, że wplątał się w podziemną działalność antypaństwową.

Świat jest cholernie dziwny i mimo swoich lat Natan zawsze był zaskakiwany coraz to nowymi kombinacjami ludzkich życiorysów.

– Wkrótce, jak mniemam, zostaniemy sojusznikami. Dużo mówi się o tym, że wasz rząd chce złożyć akces do NATO. – Uniósł kieliszek do toastu. – Zatem za wspólną pomyślność naszych narodów.

Drogi smak wina osłodziła Natanowi informacja, która do niego dotarła przed dwoma tygodniami. Wtedy to na jego biurku wylądował potwierdzony raport, że agentka DEA zginęła w domu kochanki, Elwiry Sas-Koneckiej. Pół roku wcześniej ta ostatnia wraz z Anną Wermer uciekła z Paryża ze zmikrofilmowanym archiwum, w którym znajdowało się dossier wszystkich ludzi, którzy w Polsce doszli lub wkrótce dojdą do władzy. Te dwie informacje, jedna z DEA, druga z CIA, połączone w jedną całość, zapowiadały coś bardzo interesującego.

Natan spojrzał na siedzącego po drugiej stronie stołu. Polacy są nieobliczalni. Może dlatego, że tacy właśnie są, dali radę komunizmowi?

Natanowi nigdy nie przyszło do głowy, że za jego życia czerwoni stracą tam władzę. A jednak... Stało się. I to bez wojny atomowej, do której oba bloki intensywnie przygotowywały się od momentu podpisania traktatu pokojowego po II wojnie światowej. Podobnego dokumentu po trzeciej wojnie chyba nie miałyby już kto podpisać...

Godzinę później podali sobie dłonie na pożegnanie.

Natan miał istotny w swoim zawodzie dar wyrzucania z pamięci informacji, które do niczego nie byłyby mu przydatne. Tym razem postanowił zapamiętać dziwnie brzmiące nazwisko faceta, którego ojciec z pewnością bał się wychodzić na ulicę bez strzelby, niezbędnej do odpędzenia włóczących się po chodnikach niedźwiedzi.

ANNA SKRĘCIŁA W STRONĘ położonej przy autostradzie restauracji.

– Zatrzymajmy się. Chciałabym się czegoś napić.

Andrzej otworzył oczy i spojrzał na siedzącą obok kobietę tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

- Chyba się zdrzemnąłem.
- Chrapałeś.
- Jestem zmęczony.
- Tak, mówiłeś, zanim zasnąłeś.
- Kawa dobrze mi robi.

Zaparkowała przed restauracją, przyklejoną szklanym sześcianem do wielkiego znaku firmowego Ecopetrolu, przedstawiającego zieloną salamandrę.

Weszli do barku. Andrzej zamówił podwójne espresso, Anna butelkę wody mineralnej. Usiedli przy stoliku, lecz dziewczyna nie nalała wody do szklanki.

- Chyba nie jesteś spragniona. – Wskazał na butelkę. – Jeśli będę mógł, odpowiem na twoje pytania.
- Nadal nie wiem, czy powiedziałeś prawdę.
- W tym wypadku musisz uwierzyć mi na słowo.
- Skąd pewność, że jak wszystko oddam, to puścicie nas wolno?
- Jeśli już, to „oni”, nie „ja”. Co zaś się tyczy twojej wolności... – Rozłożył bezradnie ręce. – Na to pytanie też nie znam odpowiedzi.
- Wiesz chociaż, gdzie się urodziłeś?
- Na ulicy 11 Listopada, na warszawskiej Pradze.
- Ja też – wyrwało się jej nieopatrznie.
- Pod numerem dwadzieścia sześć.
- Ja pod osiemnastką.
- Chodziłem do szkoły podstawowej imienia Królowej Jadwigi.
- Ja też.
- Więc może ciągnąłem cię za warkocze.
- Mama zawsze strzygła mnie na krótko. – Wskazała ruchem głowy na szramę przecinającą jego policzek. – Co ci się stało?
- Wariat z nożem. – Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej spod

przymrużonych powiek.

– O co chodzi?

– Zawsze chciałem cię spytać... Ile masz naprawdę lat?

Odpowiedziała prowokującym wzrokiem.

– Na pewno mniej od ciebie, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, co się wokół dzieje.

Andrzej odstawił pustą filiżankę.

– Ja też.

– Co dalej?

– Jesteśmy skazani na własne towarzystwo przez jakiś czas.

– Skąd pewność, że wydobędziesz mnie z tego? – Uczyniła nieokreślony ruch ręką.

– Sama nie masz żadnych szans. Ze mną wzrastają one do sześćdziesięciu procent.

– Dlaczego nie do stu?

– Bo od pół roku mam awersję do kobiet.

– Doskonale, bo od tego czasu gardzę facetami. – Podniosła się z miejsca i ruszyła do wyjścia.

– Nieźle, nasze szanse sięgają zatem pułapu stu dwudziestu procent – zawołał za odchodzącą.

Idąc do samochodu, nadal nie mogła pojąć, co się wydarzyło, gdy wracała z Moniką do domu: śmierć Elwiry, ucieczka do motelu, nocny powrót na Charakas i spotkanie Andrzeja.

Ileż to nocy przepłakała, ile razy zabijała go w myślach, a potem śniła, że znowu bierze ją w ramiona. To niemożliwe, żeby nadal coś do niego czuła. Po tym, co zrobił, powinien iść do piekła.

A ty głupia, poleciałabyś tam za nim – usłyszała w myślach swój drwiący głos.

Już nie!

Kłamiesz!

Przysięgam, że go nienawidzę.

Wsunęła rękę do kieszeni i dotknęła pierścionka, który niegdyś dla niej



ukradł. Lecąc samolotem, wrzuciła go do popielniczki, znajdującej się w oparciu fotela. Po wylądowaniu jednak go wyjęła. Potem wytłumaczyła sobie, że pierścionek będzie nosić tylko dlatego, żeby pamiętać o tym, co ją spotkało. Pamiętać i nigdy więcej nie dać się podejść żadnemu draniowi.

Przed kilkunastoma minutami, kiedy wychodzili z willi na Charakas, zsunęła pierścionek z palca i schowała do kieszeni. Nie chciała, żeby pomyślał...

Niech to diabli porwą. Dlaczego to wszystko musiało spotkać właśnie ją? Dlaczego? Poczwała, jak ze złości lzy cisną się jej do oczu. Zagryzła boleśnie wargi, żeby się nie rozplakać.

Andrzej zapłacił za wodę i kawę. Kiedy wsiadł do samochodu, przytrzymał jej dłoń, którą wyciągnęła, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce.

Już wiedział, że mu nie ufa. Musiał coś zrobić, żeby to zmienić.

– Chciałbym, żebyś dokładnie posłuchała, co mam do powiedzenia. Drugi raz nie powtórzę. Wiem, że bardzo cię skrzywdziłem. Wiem, że nie ma powrotu do tego, co było między nami. Ale chcę... muszę ci pomóc. Jesteś w niebezpieczeństwie, a ja potrafię temu zaradzić. Mogę cię z tego wydostać. Wpakowałaś się w przeklęte kłopoty, kradnąc nam dokumenty, o których lepiej żebyś nie wiedziała, że w ogóle istnieją. Uciekłaś do Urugwaju, sądząc, że na drugiej półkuli ludzie noszą czapki niewidki. Kilka miesięcy spokoju utwierdziło cię w przekonaniu, że wszyscy o tobie zapomnieli. A jednak... – Andrzej wziął do ręki gazetę i rzucił ją Annie na kolana. – Gdyby nie przypadkowe podobieństwo do tej kobiety, leżałabyś teraz w kostnicy.

Zacisnęła mocno usta, aż kreska warg niemal zbielała. Andrzejowi przyszło do głowy, że za chwilę eksploduje. Chryste Panie, a wydawało mu się, że już wszystko wie o tej kobiecie.

– A więc pewnego dnia – głos Anny był drżący, jakby starała się stłumić rosnące wzburzenie – pojawia się facet, który mówi: „Zabieram cię do Nowego Jorku. Tam będziesz bezpieczna”. Oczywiście rzucam mu się z wdzięczności na szyję i biegnę na lotnisko szczęśliwa, że wszystko skończyło się happy endem.

– Tamci mordercy – Andrzej wskazał wzrokiem na gazetę – pokazali już, na co ich stać.

– Ty jeszcze nie?

Milczał, patrząc ze złością na siedzącą obok kobietę. Musiał zagrać swoją rolę do końca, aby wreszcie zaczęła mu ufać. Przynajmniej żeby przestała traktować jak wroga.

– Zrobiłem głupstwo, godząc się na lot do Montevideo, ale stało się. – Zapiął pas.

Anna dostrzegła, że na jego wargach nieoczekiwanie pojawił się drwiący grymas.

– Wszyscy robimy głupstwa – westchnął, mówiąc bardziej do siebie niż Anny. – Dzięki temu życie bywa ciekawsze.

– Mam już dosyć robienia głupstw.

Włączyła silnik i ruszyła z miejsca. Po kilku minutach milczącej jazdy, nie odwracając głowy od rozwijającej się przed nią szosy, nieoczekiwanie zadała pytanie.

– Po co im jestem potrzebna?

– Chcą wiedzieć, co się działo z dokumentami.

– Nikomu ich nie pokazywałam.

– Nie mnie powinnaś o tym przekonać.

– A jak nie uwierzą?

Andrzej westchnął ciężko.

– Każda kobieta zawsze zadaje mnóstwo niepotrzebnych pytań: „A dlaczego”, „Po co”, „A jeśli”, „Gdyby”... Jesteście strasznie porąbane.

– Skąd tyle wiesz o kobietach? – jawnie zadrwiła.

– Mówiąc o was, myślę o facecie i szybko odejmuję od jego charakteru umiejętność logicznego myślenia i przewidywalność w postępowaniu.

– Jesteś zwykłym dupkiem.

– A ty zakompleksioną... – Szukał właściwego słowa.

– Cipą?

– Bingo!

Oboje pomyśleli, że druga strona zaakceptowała łączący ich układ. Z tym tylko, że każde z nich miało co innego na myśli.

ANNA NIE MOGŁA usnąć, leżąc pod cienkim prześcieradłem. Próbowała przeanalizować wszystko, co spotkało ją od momentu, gdy śpiący w pokoju obok Andrzej stanął na jej drodze. Od początku nie wierzyła ani jednemu jego słowu. Choć w przeszłości nigdy nie zapewniał jej o swej miłości, to pewnego dnia zaczęła sobie wyobrażać, że bez niego nie chce dalej żyć. Była przekonana, że kocha i jest kochana. Oszalała ze szczęścia.

Potem przyszła choroba, którą jej wmówił. Już wie, że była podtruwana. Zaczęła krwawić. Kiedy podsunęto jej fałszywe wyniki badań, uwierzyła, że ma białaczkę.

Jak mogła być tak głupia? Przekręciła się na bok i uderzyła pięścią w poduszkę. Pieprzony esbek. Zrobił z niej bezwolnego manekina, który dla miłości gotów był rzucić się w przepaść, wykradając mikrofisze z paryskiego banku.

Choć minął rok, nic się nie zmienił. Inteligentny, zimny, bezwzględny. Oni potrafią się maskować. W końcu tego ich latami uczono. Jednak tym razem nie będzie tak naiwna.

Podniosła się z łóżka ostrożnie, żeby nie zbudzić Moniki. Spojrzała na ścianę, za którą Andrzej wynajął pokój. Podeszła cichutko i przyłożyła do niej ucho. Wydało jej się, że słyszy chrapanie.

Ruszyła w stronę komódki, na której stała torebka. Wyjęła z niej kalendarzyk z telefonami. Sięgnęła po stojący obok aparat. Kabel był wystarczająco długi, a łazienka na tyle blisko, że mogła za sobą zamknąć drzwi. Wkrótce siedziała już na sedesie, wpatrując się w plastikowy aparat. Wreszcie otworzyła notatnik i znalazła numer polskiej ambasady.

DOCHODZIŁA PIERWSZA w nocy. Borys Derczyński poprawił poduszkę na oparciu fotela, gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Choć początkowo uważał hiszpański za trudny język, po kilku miesiącach pobytu w Montevideo nauczył się go niemal perfekt.

W czasach, gdy chodził do podstawówki, matka pędziła go do nauki języka angielskiego. Kiedy uciekał z prywatnych lekcji, dostawał lanie. Najczęściej ojciec brał go wówczas w obronę. Nie widział potrzeby uczenia syna zachodniego języka. W szkole mieli rosyjski. Na Zachód wyjeżdżali tylko wybrani, więc wbijanie do głowy słówek, które nigdy nie będą przydatne, uważał za zbędne marnowanie czasu. Matka jednak była uparta.

On również! Po latach, mimo swych niewątpliwych zdolności, umiał po angielsku liczyć tylko do dziesięciu.

Przełączył kanał telewizyjny, lecz tam również kilka łatwowiernych bab uganiało się za jednym facetem, który każdej wyznawał miłość. Pieprzone tasiemcowe seriale. Nadawano je tu od świtu po brzask następnego dnia. Były w telewizji najważniejsze i gdyby pewnego dnia próbowano zaprzestać ich nadawania, w miastach z pewnością doszłoby do zamieszek.

Patrzył na ekran obojętnie. Właśnie jakaś zawiedziona w miłości naiwniaczka próbowała podciąć sobie żyły męską golarką. Błądził myślami w zupełnie innych rejonach. Do wczorajszego południa wszystko wydawało się proste, a wybrane puzzle zdawały się już tkwić na swoich miejscach. Enrique zadzwonił kilkanaście minut po pierwszej.

– Załatwione – głos, który Borys usłyszał w słuchawce, był chłodno obojętny.

– To pewne?

– Jeśli nie dałeś nam złych zdjęć...

– W porządku. Czekam na kolejny sygnał.

Po drugiej stronie rozległ się odgłos odkładanej słuchawki. Choć wszystkie telefony w ambasadzie były monitorowane, kilka z nich znajdowało się poza systemem. Nie byli na pierwszej linii, jak placówka w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie. Ale Borys nie narzekał. Mniejsze pieniądze czasem stokroć bardziej rekompensował spokój.

Do końca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku obowiązywała struktura jeden plus pięć. Kilka miesięcy później nakazano dwóm agentom powrót do kraju – oszczędności i brak potrzeby większych działań wywiadowczych na terenie Urugwaju były dla centrali wystarczającymi argumentami. Nie wszyscy tak uważali w kierownictwie MSW.

Innego zdania był generał Sulimowicz, ale głównie to jego zalecenia zwolnień zawierał raport zaakceptowany przez szefa wywiadu. Tak to już w życiu jest, myślisz jedno, a mówisz drugie – to, co chcą usłyszeć przełożeni.

Borys był pewien, że Sulimowicz jest największego kalibru facetem, jakiego spotkał w życiu. Takie przekonanie pojawiło się pierwszego dnia, kiedy spotkał, wówczas jeszcze pułkownika, na naradzie służbowej w MSW.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, choć o protestach robotniczych w Radomiu i Ursusie już prawie zapomniano, w kraju czuło się narastające napięcie.

Był świeżo upieczonym magistrem, który tydzień później miał dostać szlify oficerskie w szkole SB w Legionowie pod Warszawą. Na spotkanie do MSW wyjechał z ramienia organizacji partyjnej. W tym czasie był długi majowy weekend i kogoś trzeba było wyznaczyć na „odstrzał”. Sam zgłosił swoją kandydaturę. Myślał, że w ten sposób rozwiąże własne uczelniane problemy. Delegujący go towarzysze nie wiedzieli bowiem, że na biurko komendanta szkoły właśnie trafiła nagana opiekuna roku, który wyliczając wszystkie jego grzechy i antysocjalistyczną postawę, opiniował o skreślenie z listy promowanych na pierwszy stopień oficerski. Borys był wściekły. Od początku szkoły nigdy nie dał nygusowi łapówki. Tamten postanowił odpłacić mu za dodatkowo jawnie okazywany brak szacunku.

Pod koniec narady partyjnej został poproszony o zabranie głosu. Miał świadomość, że po czterech godzinach jałowego przelewania z pustego w próżne każdy będzie oczekiwał, że zajmie zebrany nie więcej niż kilka minut kolejnego pustego mlaskania językiem. Wszyscy przedmówcy pieprzyli o potrzebie nawiązania nowego dialogu z klasą robotniczą i konieczności mocniejszego zwarcia szeregów pod przewodnictwem I Sekretarza PZPR, towarzysza Edwarda Gierka.

Borys wywalił wprost to, co wszyscy myśleli, lecz bali się powiedzieć głośno. Teraz, gdy zanosilo się, iż wyleci ze szkoły, miał gdzieś socjalistyczny bajzel. Kiedy wypowiedział ostatnie zdanie: „Żadne zaklęcia nie zmienią sytuacji gospodarczej, która nie wymaga zwierania szeregów, ale zakasania rękawów do ciężkiej pracy”, na sali zapadła martwa cisza. Wrócił na miejsce odprowadzany zdezorientowanymi spojrzeniami. W jednych widział drwiącą obojętność, w drugich współczucie, a w innych senne zdziwienie.

Z miejsca w prezydium wstał pułkownik Sulimowicz. Podszedł do trybuny. Wsparł się na niej ciężko i zaczął rozglądać po sali.

– Szkoda, że nie mam pistoletu – syknął drwiąco siedzący obok Borysa mikrus w mundurze pułkownika MO, nieznacznie przechylając się w jego stronę. – Pożyczylbym ci, żebyś miał czym palnąć sobie w łeb.

Jednak Sulimowicz powiedział coś innego, niż oczekiwała sala. Przez łomoczącą w skroniach krew Borys usłyszał o odwadze, uczciwości i

bezkompromisowym mówieniu prawdy, dzięki której sztandar sojuszu robotniczo-chłopskiego znowu będzie dumnie powiewał nad głowami obradujących. Sala natychmiast nagrodziła te słowa oklaskami, a pułkownik zaczął mu wieszować, na koniec biorąc w ramiona.

Trzy tygodnie później, w stopniu podporucznika, został asystentem Sulimowicza. Przez pierwszy rok do jego codziennych obowiązków należało przekładanie papierków z jednego biurka na drugie. Czuł, że jest obserwowany. Ale wtedy Borys już wiedział, że to nie partia, ale tacy jak Sulimowicz mogą zapewnić mu karierę. W 1985 roku, kiedy wszystko w kraju się waliło, on wyjechał na placówkę do Montevideo. To nie była tylko nagroda za wierną służbę. Jak wkrótce się okazało, wyróżnienie mogło zapewnić mu dostatnią przyszłość.

Dzwoniący na biurku telefon wyrwał Borysa z zamyślenia. Zerknął na zegarek. Druga dziesięć. Kto o tej porze ma interes do ambasady?

W ramach nocnego dyżuru i w wyniku cięć budżetowych do niego należało odbieranie takich telefonów. Patrzył na ebonitowy aparat, mając nadzieję, że telefonujący zaraz się rozmyśli i odłoży słuchawkę. Ktoś jednak był bardzo uparty.

– Ambasada polska, słucham.

– Więc dobrze się dodzwoniłam? – Wydało mu się, że w głosie kobiety usłyszał wyraźną ulgę.

– Jeśli wybrała pani numer ambasady polskiej, to...

– Muszę spotkać się z ambasadorem.

– Przepraszam, mogłaby pani się przedstawić?

W słuchawce na chwilę zapadło milczenie.

– To coś pilnego? – rzucił obojętnie, zastanawiając się, czy włączyć magnetofon, żeby zarejestrować połączenie.

Kiedy wyciągał dłoń, żeby przesunąć przełącznik nagrywania, usłyszał nazwisko: „Wermer”.

– W czym moglibyśmy pani pomóc? – starał się nadać głosowi ton poprzedniej obojętności.

– Muszę spotkać się z ambasadorem.

– Pełnię obecnie jego obowiązki – skłamał.

Jednocześnie zadał sobie w duchu pytanie, czy dzwoniąca uwierzy, że ktoś taki jak zastępca ambasadora dyżuruje po nocy przy telefonie? Znowu zapadło milczenie. Powinien coś powiedzieć. A jeśli kobieta zrezygnuje i rzuci słuchawkę?

– Jesteśmy tu, żeby pomóc rodakom w trudnych sytuacjach – zaczął trajkotać. – Jeśli zatem to sprawa wymagająca naszej interwencji, jesteśmy do dyspozycji potrzebujących dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oczywiście – dodał pospiesznie – jeśli pani sobie tego życzy, nasze spotkanie będzie objęte pełną dyskrecją.

– Tak, właśnie na tym mi zależy.

– Czy jest pani gdzieś w pobliżu i chciałaby się ze mną spotkać?

– Nie... To znaczy... Jestem na przedmieściach Montevideo.

– Proszę podać adres. Jeśli to sprawa niecierpiąca zwłoki, zaraz wyślę naszych pracowników z pomocą.

– Chcę się spotkać z panem osobiście... Czy to możliwe?

– Oczywiście. Proszę mi tylko dać czas na dojechanie na miejsce, gdzie teraz się pani znajduje.

– Jak pan się nazywa?

– Borys Derczyński. Muszę zadać pani kilka pytań, takie mamy procedury.

– Słucham?

– Czy grozi pani niebezpieczeństwo?

– Na razie... chyba nie.

– Od dawna przebywa pani w Urugwaju?

– Pół roku.

– Czy sprawa ma coś wspólnego z naruszeniem tutejszego prawa?

– Nie. Chodzi o pewną rzecz, którą chciałabym przekazać w pańskie ręce.

– Mogę poprosić o adres?

W słuchawce zapadło milczenie.

– Jest tam pani jeszcze?

– Tak.

– Jeśli mam pomóc, to...

– Oczywiście.

Dzwoniąca nadal się wahała, postanowił więc iść na całego.

– A może jutro sama pani przyjedzie do ambasady?... Nasz adres to Avenida Jorge Canning numer...

– Nie... Proszę przyjechać do motelu Turistivia, przy Wschodniej Szosie Wylotowej. Numer mojego pokoju...

– Tak?

– Trzydzieści dziewięć.

– Będę punkt ósma. Czy to coś, co chce nam pani przekazać, jest teraz w pani posiadaniu.

– Czy mam to ze sobą?

– Właśnie.

– Mam tego część, ale mogę wskazać miejsce, gdzie znajduje się reszta.

– Zatem do zobaczenia.

Borys odłożył słuchawkę. Poczł pot na skroniach i otarł go rękawem koszuli.

– Zatem wszystko zmierza do szczęśliwego finału! – Uderzył radośnie ręką w kolano.

Sięgnął po telefon. Wykręcił numer. Długo czekał, aż po drugiej stronie usłyszy zaspne westchnienie.

– Enrique?

Mówił powoli, żeby tamten dokładnie zrozumiał, zanim do końca nie otrząśnie się ze snu.

– Motel Turistivia przy Wschodniej Szosie...

– Wiem, gdzie to jest.

– Numer pokoju trzydzieści dziewięć. Umówiliśmy się, że przyjadę do niej o ósmej rano.

Pięć tygodni temu Enrique zapytał, co zawierają tajemnicze mikrofiszki. Najwidoczniej uznał, że mógłby od Polaka wyciągnąć więcej pieniędzy.

– Wiesz, kim jest don Ramir Mondega? – Borys odpowiedział, spoglądając Enriquemu prosto w oczy.

Policjant skinął w milczeniu głową.



– To jego własność. Poproszono mnie, żebym ją zwrócił. Don Ramir prowadzi z Polską rozległe interesy, a moja rodaczka ukradła należącą do niego rzecz. Między nami mówiąc, wolałbym nie wiedzieć, co zawierają mikrofiszki. Ty chyba też nie, prawda?

Kiedy Borys wymienił nazwisko „Mondega”, Enrique zeszywniał. Od tej chwili Derczyński nie miał żadnych wątpliwości, że policjant nie będzie interesował się tym, co ma przywieźć.

Nie mylił się. Kiedy Enrique powtórzył rozmowę Miguelowi, ten chciał oddać zaliczkę.

– Wiesz, w co możemy się wpakować? – Drżącymi rękoma zaczął przypalać papierosa. – Ostatniego roku ten facet posłał do piachu kilkaset osób i jestem pewien, że drugie tyle zniknie bez śladu w następnym.

– O czym ty bredzisz? Przecież Mondega nas nie zatrudnił. Pracownik ambasady zwrócił się do nas o pomoc. To wszystko.

Piętnaście minut później Enrique wreszcie wytłumaczył przyjacielowi, że nic im nie grozi.

Teraz, gdy powoli wysuwał się z łóżka, przypomniał sobie tamtą rozmowę. Co go podkusiło, żeby interesować się dokumentami? Gdyby te pieniądze nie były mu potrzebne, przyznałby Miguelowi rację i dziś już o niczym by nie pamiętał.

Spojrzał na żonę, której grube udo wystawało spod prześcieradła. I pomyśleć, że była z niej kiedyś taka zgrabna dupa. Czy to kara za grzechy, których nie popełnił?

Kiedy dochodził do drzwi, nieoczekiwanie usłyszał pytanie Miny.

– Kto dzwonił?

– Z pracy.

– Miałeś mieć wolne.

– Śpij, bo pobudzisz dzieciaki i sąsiedzi nas zlinczują.

– Mam na ciebie ochotę – mruknęła przez nos z tą swoją charakterystyczną chrypką. Kiedyś przyprowadzała go tym o natychmiastowy wzwód. Po dwudziestu latach wręcz odwrotnie.

– W środku nocy?

– A kiedy? W ciągu dnia? Przecież to grzech.

– Wrócę za dwie godziny.

Wyszedł do przedpokoju. Rudy pies spał przy drzwiach. Na widok pana poderwał się z wycieraczki i zamerdał ogonem.

– Tylko ty mnie, brachu, rozumiesz. – Pogłaskał psa po głowie. – Nie ma na tym świecie sprawiedliwości.

W saloniku wciągnął na chude i owłosione nogi spodnie, klnąc w duchu swój parszywy los, tłustą żonę, czworo bachorów i kwity don Ramira, o których lepiej żeby nigdy się nie dowiedział. Narzucił na ramiona koszulkę polo. Zdjął z szafy kaburę z pistoletem, którą zawiesił na szelkach pod ramieniem. Jeszcze tylko marynarka i był gotowy.

Wyszedł na dwór, uważając, żeby wiatr nie uderzył drzwiami o framugę. Gdyby obudził dzieciaki, Mina ujadłaby przez następny tydzień. Wszystko przez to ciupcianie. Kiedy mu dopiekała do żywego dopytywaniem, kiedy będzie prawdziwym mężczyzną, brał dwa niuchy koki i wreszcie mógł ją przelecieć. Potem miał spokój przez jakiś czas.

Kiedyś z chęcią by nawet zapłacił, żeby tylko mieć żonę co noc. Teraz musi becelować, żeby mu do niej stanął... Kurwa, nie ma na tym świecie sprawiedliwości!

Zbiegł po schodach na parter. Czy kiedykolwiek wyniesie się z tego blokowiska do takiej willi, jaką wynajmowały tamte Polki?

Wsiadając do opla, pomyślał o Miguelu. Niepotrzebnie warował na Charakas; żeby dostać się na drugi koniec miasta, straci sporo czasu. Spojrzał na schowek, w którym miał policyjną radiostację. Najprościej byłoby wywołać go drogą radiową. Wtedy jednak operator dyżurny miasta mógłby usłyszeć ich rozmowę. Cholera, znowu będzie musiał coś zrobić za nich dwóch, a przecież pieniądze mają podzielić między sobą po równo. Życie jest niesprawiedliwe. Splunął zły przez okno i włączył silnik samochodu. Muszą rozmówić się później.

**BORYS WRÓCIŁ Z TARASU**, gdzie wypalił dwa papierosy. Znowu usiadł przed telewizorem, kładąc nogi na niskim stoliku.

Kiedy powiedział Enriquemu o don Ramirze, tamten najwyraźniej się przestraszył. On też poczuł się nieswojo, gdy dowiedział się, że w willi przy Charakas 18 B zginęła nie ta, co powinna, osoba.

Pół roku po przyjeździe do Montevideo objął stanowisko rezydenta ambasady. Jego przyspieszony awans na majora miał zniwelować różnicę w stopniach między nim a zespołem, którym zamierzał kierować.

Pod koniec następnego roku do Urugwaju przyleciał generał Sulimowicz, w ramach kontroli placówek wywiadu w Ameryce Południowej.

Dwa dni po przyjeździe do Montevideo Sulimowicz nakazał, żeby jego kierowcą został Borys. Wożący go dotąd szofer od tego dnia przez najbliższy tydzień miał wolne.

Wyjechali po raz pierwszy za mury ambasady i Sulimowicz klepnął go w ramię, pytając:

– Jaki ruch w eterze?

Rutynowe pytanie dotyczące nasłuchu kontrwywiadowczego Urugwajczyków, którzy próbowali wyłapać sygnały wychodzące z ambasady. Kontrolowanie ich aktywności telemetrycznej pozwalało odczytać stan zainteresowania przeciwnika bieżącą pracą polskiej placówki.

Borys przyciszył radio, które zaczęło nadawać przebój Tiny Turner.

– Urugwajczycy nic nie wiedzą o pańskiej wizycie.

– Co z werbunkiem Angola?

– Przekazałem dane do naszych chłopaków w Londynie.

– Dwa miesiące temu poprosiłem cię o coś.

Borys wiedział, że słowo „proszę” oznaczało u Sulimowicza nakaz rzucenia wszystkiego i poświęcenia się sprawie, którą zawierała owa prośba.

– Wyznaczyłem najkrótszą i najszybszą drogę do Santa Corona. Włącznie z objazdami, które osobiście sprawdziłem.

– Masz broń?

– Towarzysz generał kazał zostawić ją w ambasadzie.

– Samochód jest czysty?

– Jak lakier auta po dzisiejszym myciu.

Ostatnie pytanie dotyczyło podsłuchu, który był zamontowany w części wozów używanych przez ambasadora. A jednym z takich aut właśnie jechali.

– Uważaj na znaki. Żadnego przekraczania prędkości.

– Tak jest.

- Miałeś zebrać informacje o don Ramirze.
- Teczka z informacjami leży na siedzeniu obok.
- Papiery zdążę przeczytać później. Teraz chcę o nim usłyszeć od ciebie.
- Wszyscy używają tytułu „Don”. Może dlatego w kilku wywiadach prasowych mówił, że jest potomkiem hiszpańskiego szlachcica...
- Pomiń drzewo genealogiczne.
- Z doniesień prasowych wynika, że podobno liczy sobie pięćdziesiąt osiem lat. Pięciokrotnie żonaty. Ostatnia kochanka, z którą przed rokiem wziął huczny ślub...
- O jego wybujałym życiu erotycznym przeczytam w raporcie. Powiedziałeś „podobno”...
- Rzecz w tym, że na dobrą sprawę nikt nigdy go nie widział, a przynajmniej nie ma żadnego zdjęcia przedstawiającego jego osobę.

Borys dokładnie przygotował się do tej lekcji. Chciał pokazać, że zebrane informacje są wszechstronne i kompletne. Szukał nie tylko na miejscu, ale i ściągnął informację z Polski. Była to krótka notatka, która ukazała się na trzeciej stronie „Trybuny Ludu”, w osiemdziesiątym szóstym roku. Dziennikarz informował w niej o wizycie urugwajskiego biznesmena, który zamierzał zainwestować w Polsce kilka milionów dolarów.

- Nie sądziłem, że do tego dotrzesz – w głosie Sulimowicza usłyszałem pochwałę.
- Pracują dla pana najlepsi – powiedział z pozorną obojętnością – a ja tylko próbuję być od nich lepszy.

W lusterku wstecznym zobaczył, jak generał kiwnął z uznaniem głową.

- Zatrzymaj się przy tamtym gaju oliwnym. Niedługo urwie mi kran. To od tej cholernej kawy, którą wypilem przed wyjazdem.

Zjechał na pobocze, gdzie Sulimowicz odsikał się na jedno z kwitnących drzewek pomarańczowych. Wrócili na trasę i Borys kontynuował omawianie informacji o don Ramirze.

- Niektórzy szacują majątek Urugwajczyka na kilkaset milionów dolarów. Źródło jego pochodzenia dla wszystkich stanowi zagadkę. Oficjalnie mówi się o zyskowej grze na giełdzie. Rzeczywiście, na początku lat siedemdziesiątych otworzył wiele lokat u maklerów. Niektórzy nawet

sugerowali, że był jednym z inicjatorów, a już na pewno głównym beneficjentem afery określanej mianem „srebrnego przekrętu”. Chodziło o spekulacyjny skup, a następnie sprzedaż srebra na giełdach światowych. Niektórzy sugerowali, że częściowo pomógł mu w tym jeden z krajów bloku wschodniego. Niemniej dotąd nikt nie podjął tego wątku. Oficjalnie nic nie można mu zarzucić. W Brazylii jest właścicielem kilku rancz o powierzchni setek tysięcy hektarów. W Boliwii ma znaczące udziały w przemyśle gazowym i naftowym. W Peru...

– A co mówi się o nim nieoficjalnie?

– Rzecz w tym, że nieoficjalnie nikt nic o nim nie wie.

– Nareszcie usłyszałem coś sensownego.

– Za każdym razem, kiedy szukałem o nim informacji, trafiałem do ludzi z jego biura prasowego. Jestem pewien, że nieliczne romantyczne plotki, które o nim krążą, również pochodzą z tego właśnie źródła.

Borys chciał jeszcze coś dodać, lecz dostrzegł, że Sulimowicz układa głowę na zagłówek, jakby szykował się do drzemki.

– Jesteś bystrym człowiekiem – usłyszał głos generała. – Z pewnością domyślałeś się, że przez te wszystkie lata dokładnie ci się przyglądam.

– Skłamałbym, przecząc.

– Z pewnością orientujesz się, że w kraju sprawy układają się nie najlepiej.

– Różnie o tym można myśleć.

– Nie chcę kwadratowego pieprzenia. Masz szansę po raz drugi w swej karierze powiedzieć to, co myślisz. Dzięki tamtym słowom z narady partyjnej znalazłeś się wśród moich współpracowników. Od tego, co teraz powiesz, będzie zależało, jak twoje losy potoczą się dalej.

W pierwszej chwili Borys pomyślał, że Sulimowicz żąda deklaracji lojalności. Szybko się zreflektował. Od Sulimowicza zależała jego dalsza kariera, więc jakiegokolwiek zapewnienia były zbędne. Borys wiedział, kto przed nim postawił pełną miskę i kto, równie szybko, może ją zabrać. A jeśli chodzi o socjalistyczną ojczyznę...

– W siedemdziesiątym dziewiątym wierzyłem, że to wszystko jeszcze da się naprawić. Nie wiem, jak to się skończy, ale wolałbym nie wpaść w przepaść, dodatkowo mając do nóg przywiązane marmurowe popiersie

towarzysza Lenina.

Nie spojrzął w lusterko wsteczne. Mówił spokojnie, bez emocji, co tym bardziej podkreślało jego szczerość.

– Jeśli twoja lojalność będzie taka, jak dotychczas – usłyszał w odpowiedzi – możesz być pewien, że perspektywa, o której wspomniałeś, nas nie dotyczy. Jeśli zaś chodzi o towarzysza Lenina... Rzeczywiście, już czas, żeby jego pomnik znalazł miejsce w muzeum, którego wejście, po skompletowaniu wszystkich eksponatów, zostanie zamurowane.

Przez następną godzinę nie padło żadne dodatkowe słowo. Generał nie zamierzał, jak niektórzy głupcy, ginąć za socjalizm. Dał również niedwuznacznie do zrozumienia, że idee już dawno odłożył na bok, martwiąc się o siebie i lojalnych mu ludzi.

Sulimowicz przysnął na tylnym siedzeniu, a Borys miał wystarczająco dużo czasu, by przeanalizować wszystko, co dotąd spotkało go przy boku generała. Za każdym razem znajdował potwierdzenie, że na tym facecie bardziej można było polegać niż na Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która praktycznie była już skończona.

Na dwieście dwudziestym kilometrze skręcił w boczną drogę. Po przejechaniu kilometra zatrzymali się przed wysoką stalową bramą, nad którą kręciły się na boki owadzie głowy kamer. Od bramy, na prawo i lewo, ciągnęła się aż po horyzont wysoka, trzymetrowa stalowa siatka.

Przez furtkę wyszedł strażnik, uzbrojony w pistolet, którego rękojeść wystawała z kabury podobnej do tych, które nosili kowboje na Dzikim Zachodzie. Nie był to jednak colt, a najnowszy model austriackiego glocka. Tę broń Borys widział jedynie w katalogach najnowszego uzbrojenia, wprowadzanego w policji i armiach państw NATO.

Strażnik nie zadał żadnego pytania. Obejrzał samochód, siedzących w nim pasażerów i podniósł dłoń do góry, w stronę jednej z kamer. Moment później oba skrzydła bramy otworzył automat.

Wkrótce trafili na patrol. Szybkie samochody zrównały się z nimi na pustej drodze. Kierowcy zlustrowali ich uważnymi spojrzeniami, mówiąc coś do radiostacji, zwolnili, zostając w tyle.

Po przejechaniu dwudziestu kilometrów Borys zobaczył szklaną bryłę wieżowca. Dwadzieścia minut później wjechali do podziemnego garażu. Czekal na nich mężczyzna w eleganckim garniturze.

– Zostań w samochodzie. – Sulimowicz wysiadł z auta i ruszył za przewodnikiem, który na przywitanie nie powiedział nawet: „Buenos días”.

Dwie godziny później obudziło go uderzenie otwartej dłoni w dach samochodu.

– Wracamy.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu. W czasie jazdy Borys doszedł do wniosku, że będąc rezydentem placówki wywiadowczej, ma wystarczająco dużo czasu i sposobów, żeby dowiedzieć się, kim w rzeczywistości jest don Ramir i cóż takiego mógł od niego chcieć Sulimowicz.

Kiedy dojeżdżali do ambasady, generał przerwał milczenie.

– Z pewnością myślałeś o tym, że kolejna czteroletnia tura w ambasadzie da ci wystarczająco dużo czasu, żeby dowiedzieć się, kim jest don Ramir. Mam rację?

Kiwnął potwierdzająco głową.

– Nie marnuj na to energii. Być może za pół roku, kiedy wprowadzę cię we wszystkie sprawy, dojdiesz do wniosku, że dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś o tym facecie nigdy nic nie wiedział...

ANDRZEJ GWAŁTOWNIE OTWORZYŁ oczy. Na zegarze elektronicznym, który wisiał nad drzwiami na wprost łóżka, dochodziła szósta rano. Wydało mu się, że z dworu dobiegło uderzenie zamykanych drzwi auta. Jeśli to samochód Anny... Ziewnął...

Szerokiej drogi.

Przekręcił się na drugi bok i zamknął oczy, próbując usnąć. Po paru minutach zrezygnował. Ostatnio nie sypiał najlepiej. Jeśli już zapadał w sen, to był on krótki i rwany na kilka etapów, między którymi leżał w ciemności z zamkniętymi oczami. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien, że za każdym razem śnił mu się ten sam sen. Pamiętał go jeszcze po otwarciu oczu. Potem nocne majaki zakrywała czarna pustka niepamięci.

Usiadł na łóżku, dotykając bosymi stopami chłodnej podłogi.

Jeśli odjechała, nie zamierzał jej ścigać. To nie miało sensu. Niech przyjedzie po nią ktoś inny. Kiedy szedł do łazienki przyszło mu do głowy, że najbardziej odpowiadałoby mu to rozwiązanie – niech przyjedzie po nią

ktoś inny.

Myślał, że kiedy ponownie się spotkają, dawny ból zelżeje...

Kłamiesz – drugie „ja” było zimno obojętne.

W porządku. Wtedy w wynajętym mieszkaniu w Warszawie przystał na propozycję, gdyż...

Znowu kręcisz.

Chcę, żeby była bezpieczna.

Oszukujesz.

Chciałem ją tylko zobaczyć.

Kłamiesz!

Kocham ją.

Ale ona ciebie nie chce.

Kiedy szli nocą zewnętrznym balkonem motelu, przez chwilę miał okazję przyjrzeć się jej sylwetce, wycinanej z mroku bladym światłem księżyca.

– I jak? – nieoczekiwanie dobiegło doń pytanie.

– Co?

– Faceci najpierw patrzą na tyłek, potem na nogi.

– Nie mam ochoty patrzeć na twój tyłek – skłamał.

– Żałuj – w jej głosie usłyszał wyraźną nutę drwiny – miałbyś fajniejszy sen.

Teraz podszedł do okna i odchylił firankę. Samochód Anny stał na miejscu, tam gdzie go wczoraj zostawiła. Ruszył do łazienki, żeby wziąć prysznic.

Chłodny strumień odpędził resztki sennego rozleniwienia. Wyszedł spod natrysku, mocno wycierając się frotowym ręcznikiem. Dostrzegł niewyraźny zarys twarzy w lustrze pokrytym parą wodną. Starł ją ręcznikiem.

– Okej – burknął do siebie. – Wiem, że mnie nie chce.

Nie chce?

Coś przeoczyłem?

Ona cię nienawidzi!

Kiedy kilkanaście godzin temu Anna doszła do drzwi wynajętego pokoju i



ostrożnie wsunęła klucz do zamka, mogła na pożegnanie powiedzieć: „Dziękuję”. Mimo jej uprzedzeń była mu to winna. Zamiast tego bąknęła niewyraźnie: „Dobranoc” i już jej nie było.

Andrzej wrócił do łóżka i sięgnął pod poduszkę po nóż sprężynowy. Przysiadł na brzegu, przyczesując dłońmi mokre włosy. Spojrzał na zegar. Minęła siódma. Widział wczoraj wieczorem sklep w pobliżu motelu. O tej porze powinien być już otwarty.

Sprawdził, czy ma w kieszeni portfel i ruszył do drzwi. Na dworze panował przyjemny, orzeźwiający chłód. Wszystko zmieni się koło południa i znów nie będzie czym oddychać.

Minął pokój zajmowany przez Annę z córką. Z wewnątrz nie napłynął żaden dźwięk. Widocznie obie spały.

W sklepie kupił kilka słodkich bułek i trzy owocowe jogurty. Na pierwsze zaspokojenie głodu wystarczy. Kiedy ruszą dalej, po drodze znajdą McDonalda i zjedzą śniadanie.

Wychodząc ze sklepu, zauważył zajeżdżający pod motel samochód. Wsiadający z niego mężczyzna najwyraźniej nie był w humorze. Trzasnął mocno drzwiami, jakby miał ochotę komuś nimi przyłożyć. W głowie Andrzeja rozległ się dzwonek alarmowy. Rejestracja samochodu wskazywała, że przyjechał z Montevideo. O tej porze? Nie wyglądał na kogoś, kogo kochanka wyrzuciła właśnie z domu. Kierowca ruszył w stronę parkingu. Interesował się rejestracjami samochodów.

Nieznajomy zatrzymał się przy samochodzie Anny. Zajrzał przez szybę do środka, potem odwrócił głowę w stronę motelu. Ruszył w kierunku budynku i wtedy Andrzej zauważył pod prawą pachą marynarki wybrzuszenie.

ANNA WYSZŁA Z ŁAZIENKI, dopinając na sobie szlafrok. Monika jeszcze spała. Zamknęła drzwi do sypialni. Usiadła w fotelu, spoglądając na telefon. Potem przeniosła wzrok na zegar. Dochodziło wpół do ósmej. Czy postąpiła słusznie, dzwoniąc w nocy do ambasady? Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej rosła w niej pewność, że był to najrozsądniejszy krok, który zrobiła. Już wkrótce przekaze dokumenty polskiemu urzędnikowi. Nie musi nigdzie wyjeżdżać ani też przed nikim się ukrywać. Chcą te materiały, zatem dostaną je z powrotem. Potem poprosi ambasadora, by dopilnował sprawy odnalezienia morderców Elwiry. Ona zginęła przez nią. Była tego

pewna. Kiedy Elwira wróciła do domu z tamtą kobietą, zabójcy byli przekonani, że to Anna. W „El Observador” napisano, że mordercy zastrzelili swoje ofiary. Czy wcześniej próbowali z nich wyciągnąć informację, gdzie znajdują się mikrofiszki? Bo to właśnie po nie przyszli do ich domu.

Zaraz po przylocie do Montevideo próbowała opowiedzieć wszystko Elwirze. Przyjaciółka nie chciała o niczym wiedzieć.

– Jestem tu tylko dla ciebie – usłyszała wówczas jej spokojny głos – i nic innego nie jest dla mnie ważne.

– Ale ja cię nie kocham.

Elwira wzięła ją delikatnie za rękę.

– Wiem i nic od ciebie nie chcę. Nic prócz...

– Czego?

– Chcę być tylko obok.

– Wiesz, że to nie ma sensu.

– Daj mi kilka miesięcy.

– Co dalej?

– Wrócę do Polski albo znajdę sobie kogoś. Wtedy wynajmę willę obok – roześmiała się głośno – i będziemy sąsiadkami. Jak się kiedyś wyrwiesz z jakimś facetem na miasto, będziesz miała z kim zostawić małą.

– Nie chcę już nikogo – Anna powiedziała to zdecydowanym głosem. – Dwa razy próbowałam. Dwa razy byłam w chmurach. Za trzecim razem już bym tego nie przeżyła.

Usiadła obok Elwiry i położyła jej głowę na ramieniu.

– Czasami o nim myślę.

– Słyszę, jak w nocy płaczesz.

– Ale mam dla kogo żyć. Kocham swoje dziecko i zrobię wszystko, żeby w przyszłości nie cierpiało. – Podniosła głowę i spojrzała Elwirze w oczy. – Gdybyś mi wtedy w Paryżu nie pomogła...

– Życie jest strasznie popierdolone – zaniósł się głośnym śmiechem Elwira. – Dawno nie przeklinałam. Ale tutaj nawet nie ma kogo nawzywać. Nikt nie zrozumie ludzkiej mowy, a ichnie – zamilkła, jakby szukała w myślach odpowiedniej frazy – *No me toques los cojones* zupełnie mnie nie rajcuje. Ale za to: „Nie wkurwiał mnie”... Hm? Sama przyznasz, że to brzmi!

– Mnie też czasami brakuje smaku żytniej wódki zmieszanej z coca-colą.  
Ze wspomnień wyrwało Annę pukanie do drzwi.

Zegar elektroniczny wskazywał kilka minut do ósmej. Więc przyjechali zgodnie z umową.

– Niech to wreszcie mam za sobą – rzuciła pod nosem, podrywając się z miejsca.

Podeszła do drzwi i położyła dłoń na klamce. Za chwilę wszystko się skończy. Poczowała ulgę. Przekręciła klucz w zamku.

Cios w podbródek odrzucił ją na środek pokoju. Kiedy zataczając się, miała upaść, Enrique do niej doskoczył. Chwycił w pasie. Położył nieprzytomną na podłodze. Hałas był niepotrzebny. Wstając z klęczek, dostrzegł, że ktoś stanął w otwartych drzwiach. Sięgnął po pistolet, lecz zanim wyrywał go z kabury, napastnik wyrzucił przed siebie ramię. W jego kierunku wystrzeliło stalowe ostrze. Przebiło materiał marynarki. Przyszpiliło dłoń do kabury. Nim wrzasnął boleśnie, tamten był już przy nim. Cios z obu stron w potylicę. W czasie coś eksplodowało i Enrique zapadł się w czerń bez dna.

ŚWIADOMOŚĆ ANNY PRZEDZIERAŁA się ku światłu, które wpadało pod jej niedomknięte powieki.

– To ja, Andrzej.

Próbowała sobie przypomnieć, kto miał tak na imię. Niedawno spotkała kogoś takiego. Siedział w fotelu. Potem wyszedł do niej z mroku. Gdzie wtedy była? Usłyszała rozbawiony dziecięcy głos.

– A ten pan w kącie pokoju?

Anna próbowała sobie przypomnieć. Kogo tyczyło pytanie? Jakim rogu pokoju? O kogo pytała dziewczynka?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak się nazywa – usłyszała męski głos. – Chciał zrobić mamie i tobie krzywdę.

– Przyjechałeś na koniu.

Dopiero teraz Anna uświadomiła sobie, że to głos córki. Monika mówiła spokojnie, jakby zaciekawiona tym, co widzi.

– Jakim koniu?

Andrzej usiadł na łóżku obok siedmiolatki. Dziewczynka wpatrywała się w niego dużymi brązowymi oczami i śmiesznie sepleniała z powodu braku przedniego zęba.

– Białym. – Było to tak oczywiste, że Monika zwątpiła, że pytanie skierowała do właściwego królewicza.

No tak, zachnęła się w duchu, królewicze zupełnie inaczej wyglądają. A na pewno nie mają zmarszczek w kącikach oczu.

– Skąd taki pomysł, że przyjechałem na białym koniu?

– Ci, którzy ratują królową, zawsze przyjeżdżają na białym koniu.

– Ty jesteś królową?

– Moja mama.

– Nie jestem królewiczem, ale... – W oczach Andrzeja Monika zobaczyła dziwne isierki.

– Tak właśnie myślałam, nie zaszkodzi jednak spytać.

Jestem jego dobrym znajomym, kiedyś ci o tym opowiem.

– A umiesz czytać po francusku?

– Umiem.

– Mama nigdy nie ma czasu poczytać mi tej bajki. Opowiada o księciu de Mulin i jego siostrze, księżniczce Wstążeczce.

– Mulina... Wstążeczka... Może są tam jeszcze przybory do szycia?

– Oczywiście, przecież to są opowieści z lnu i nitki.

Anna otworzyła oczy. Najpierw widziała wirujące czarne plamy, które w końcu ułożyły się w niewyraźną twarz Moniki i mężczyzny, którego przywiozła w nocy samochodem. Już sobie przypomniała. Miał na imię Andrzej.

– Jak się czujesz?

Z pola widzenia zniknęła twarz Moniki, a rysy Andrzeja gwałtownie się wyostrzyły.

– Boli mnie głowa. – Podciągnęła się na łóżku.

Kiedy chciała spytać, w jaki sposób się na nim znalazła, zobaczyła Latynosa wciśniętego w róg pokoju. Miał okręcone plastrem ręce i nogi. Z otwartych ust zwisała koronka jej fig. Prawą rękę miał obwiązaną

ręcznikiem, na którym wykwitła czerwona plama krwi.

– Znasz go?

Pokręciła przecząco głową, nie mogąc oderwać wzroku od ręki skrepowanego mężczyzny.

– Przyszedł was zabić...

– Widzę go pierwszy raz na oczy.

– Więc dlaczego mu się tak przyglądasz?

Pytanie to uświadomiło Annie, na co patrzy.

– Sygnet.

– Nie rozumiem.

– On ma na palcu sygnet.

– Co w tym dziwnego?

– Należał do Elwiry.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle i wstrząsnął nią zimny dreszcz.

– Chodź, czas na śniadanie. – Andrzej wyciągnął rękę do siedzącej na łóżku Moniki.

Dziewczynka spojrzała pytająco na Annę, a kiedy ta kiwnęła głową, zsunęła się na podłogę.

– A ten pan?

– Jego spytam o to później. – Andrzej zwrócił twarz do Anny. – Leż, nie ruszaj się. Już nic ci nie grozi. Dam małej śniadanie.

Przeszedł z Moniką do drugiego pokoju.

Anna spojrzała w stronę drzwi i przypomniała sobie wszystko: szcęk przekręcanego klucza w zamku; jasne światło dnia wpadające do pokoju; ból i uderzenie, które odrzuciło ją do tyłu.

– A teraz – z sąsiedniego pomieszczenia doleciał głos Andrzeja – bądź tak miła i zjedz choć jedną bułkę.

– A mleko?

– Proszę, to jogurt. Mleko wypijesz później. Teraz zamknę za sobą drzwi, żebyś mogła zjeść w spokoju.

– Ale nigdzie nie będziecie wychodzić?

– Jesteśmy obok.

Jego głos był spokojny, pozbawiony jakichkolwiek emocji.

Andrzej wrócił do pokoju. Anna zobaczyła, jak podchodzi do leżącego. Unieruchomiony cicho jęknął, gdy szarpnął go za palec zranionej ręki.

– Należał do Elwiry? – Podał jej złoty sygnet z błękitnym szafirem zatopionym w czarnej lacie.

Przyglądała mu się chwilę z uwagą, potem podniosła oczy na siadającego na brzegu łóżka Andrzeja.

– Tak, to jej.

– Jak to się stało, że cię odnalazł?

– Powiedziała im, gdzie jestem.

– Komu?

– Zadzwoiłam w nocy do ambasady... – ostatnie słowo wypowiedziała powoli, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co zrobiła. – Przepraszam, ale...

– Stało się.

– Nie byłam pewna...

– Teraz mi wierzysz?

Spojrzał jej prosto w oczy. Zamiast odpowiedzieć powoli kiwnęła potakująco głową.

Dotknął palcem jej brody i przekręcił twarz ku światłu. Wyszedł do kuchni i po chwili wrócił z plastikową torebką, niosąc w niej kostki lodu. Z łazienki przyniósł ręcznik, którym okręcił lodowy kompres.

– Co dalej?

– Trzymaj przy policzku. Na razie widać, że masz rozciętą wargę. Trochę napuchnie. Najwyżej powiesz, że pokłóciłaś się z narzeczoną.

– Ty nim będziesz?

ANDRZEJ PODSZEDŁ DO TELEFONU i poprosił o połączenie z rezerwacją Aeropuerto de Carrasco. Po kilkuminutowej rozmowie zamówił trzy bilety na przelot liniami Copa Airlines do Buenos Aires.

– Mówiłeś, że polecimy do Nowego Jorku.

– Zmodyfikowałam moje plany. – Spojrzał na jej włosy. – Kupiłem czarną farbę. – Sięgnął po papierową torbę z zakupami, która stała nieopodal łóżka. Wyjął z niej farbę do włosów i dwadzieścia pudełek z filmami. Zaczął je rozpakowywać. Kasety rzucał na łóżko, a pudełka do kosza.

– Po co ci tyle filmów?

– Jesteśmy turystami, a ci zawsze pstrykają mnóstwo fotek. Gdyby celnik sprawdzał twoje bagaże, byłby zdziwiony ich brakiem.

Andrzej wziął do ręki pluszowego słonia.

– Chyba powinniśmy się tym zająć.

Rozsunął zamek błyskawiczny. Na łóżko wysypało się kilka mikrofisz i trzy paczki banknotów. Andrzej, zaskoczony, patrzył na mikrofisz:

– Tylko tyle? – zapytał.

– Dowód, że mam resztę – usłyszał spokojny głos Anny. – Jesteś zawiedziony?

Pokręcił przecząco głową.

– Raczej uspokoiony.

– Dlaczego?

– Mam nadzieję, że tamci wiedzą, że nie masz wszystkiego przy sobie. Lepiej, żeby tak było – uprzedził, jak mu się wydawało, jej pytanie. – Tylko nie pytaj: „Dlaczego”.

– Myślę, że tamci tego nie wiedzą. Inaczej nie zabiliby Elwiry... Nie spytasz, gdzie reszta mikrofisz?

Andrzej pokręcił przecząco głową.

– Jest mi to obojętne. – Wskazał na paczki banknotów. – Ile?

– Dziesięć tysięcy dolarów.

– Rozdzielimy na pół i zagramy role bogatych turystów.

– Nie interesuje cię, co się stało z resztą pieniędzy?

W pokoju zapadła cisza. W spojrzeniu Andrzeja dostrzegła znudzoną obojętność.

– Podobnie jak w przypadku mikrofisz, to nie moja sprawa. – Spojrzał na zegarek. – Odlatujemy za cztery godziny. Motel jest na zachód od Ciudad de

la Costa, więc do lotniska jest niedaleko. Mamy trochę czasu. Jak mała skończy jeść, przejdź z nią do mojego pokoju – numer czterdzieści osiem. – Spojrzał w stronę Latynosa. – Użyłem twoich majtek, ale mam nadzieję, że masz jeszcze kilka par w zapasie.

– To miał być dowcip?

– Masz rację – westchnął – nie jestem dziś w formie.

Kiedy Anna z Moniką zamknęły za sobą drzwi, przysunął krzesło do rannego.

– Zadam kilka pytań. Jeśli na nie odpowiesz, wyjdiesz stąd żywy. Jeśli nie...

W powietrzu błysnęło ostrze noża sprężynowego. Stalowy szpikulec zatrzymał się kilka centymetrów od oka Enriquego.

– Twój krzyk będzie ostatnią rzeczą, którą usłyszysz na tym zasranym świecie... Rozumiesz?

Enrique mrugnął oczami, że „tak”.

– Mów wolno i wyraźnie. Mój hiszpański nie jest najwyższego lotu. *Está claro?*

Enrique kiwnął głową.

– Kto cię wynajął?

ANDRZEJ WRÓCIŁ Z RECEPCJI, gdzie zapłacił rachunki. Monika siedziała już w samochodzie i oglądała obrazki bajki, którą kupiła jej kiedyś Elwira. Anna stała przy otwartych drzwiczkach.

– Chcesz zostawić tego drania w moim pokoju?

– Znasz lepsze miejsce? Zapłaciłem do jutra. Poprosiłem, żeby nie sprząтали, gdyż twój brat po wieczorze kawalerskim chce jeszcze spędzić dzień z gorącą damą. Właściciel motelu to równy gość.

– Ale powiedziałaś przy tamtym zbójcu, że lecimy do Buenos Aires.

– Skłamałem. Bilety do Panama City zamówiłem, zanim poszedłem spać. Poza tym rozmawialiśmy ze sobą po polsku.

Andrzej usiadł za kierownicą. Anna była tym obruszona. To był jej samochód i należało najpierw ją spytać, czy się na to zgadza.



Dostrzegł jej nadąsanie.

– Chyba powinienem był spytać. – Odwrócił do niej twarz z wymuszonym uśmiechem. – Mogę poprowadzić twój samochód?

– A gdybym powiedziała, że nie?

– Nalegałbym.

– Z jakiego powodu?

– Czy wy się kłóćcie? – głos Moniki dobiegł do nich z tylnego siedzenia.

Andrzej zareagował szybciej.

– Ależ skąd. Uzgadniamy tylko nasze stanowiska w kwestii kierowania sprawami, mającymi istotny związek z...

– Czyli się kłóćcie – Monika przerwała długą wypowiedź.

Andrzej i Anna niemal równocześnie skinęli głowami, że „tak”. Kiedy sięgał do klamki, żeby wysiąść, Anna przytrzymała go za rękaw. Drugą ręką wsunęła kluczyk do stacyjki.

– Szerokiej drogi. – Zapięła pas. – Jeśli to ma istotny związek z bezpieczeństwem...

Wyjechali na szosę.

– Postąpiłem jak typowy facet. – Kiwnął głową do szyby, jakby rozmawiał sam ze sobą.

– Jesteś typowym mężczyzną – położyła nacisk na słowo „typowy”. Chciała go obrazić i wydawało się jej, że osiągnęła zamierzony cel.

– Jak chcesz, mogę zatrzymać samochód i...

– Nie trzeba.

Zjechał na pobocze. Zgasił silnik i wysiadł. Otworzył drzwi przed Anną. Udając zdziwienie, wysiadła i zajęła miejsce za kierownicą. Gdyby zrobiła to sekundę później, usłyszałaby z tylnego siedzenia westchnienie, które Monika skierowała do trzymanego na kolanach misia: „Zachowują się jak dzieci”.

Andrzej wskazał budynek McDrive’a.

– Na parkingu przed barem będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Kiedy kończyli jeść burgery, Anna wiedziała już, że ma posłużyć się paszportem polskim. – Gdyby policja was szukała, będą chcieli znaleźć Madame Granier.

– Powiedziałeś, że jesteśmy bezpieczni – w głosie Anny dała się słyszeć nuta niepokoju.

– Teraz mówię w trybie warunkowym – „gdyby”.

– Zapalisz?

Wysiedli. Mała została w samochodzie, gdzie Anna włączyła radio z południową audycją dla dzieci.

– Grozi nam niebezpieczeństwo? – Anna zaciągnęła się nerwowo. Potem zaczęła kasłać. Wyrzuciła dopiero co przypalonego papierosa.

– Jeśli wylecimy za kilka godzin... Do tego czasu jesteśmy bezpieczni.

– My? To miłe, że do nas dołączyłeś.

Początkowo nie bardzo zrozumiał, co ma na myśli, więc podpowiedziała.

– To nas szukają, nie ciebie.

– A ja, oczywiście, pętam się wokół nie wiadomo po co?

– Ty do nas dołączyłeś.

– I dzięki temu uratowałem wam życie – Andrzej mówił coraz bardziej emocjonalnie.

– Czy my się kłócimy?

NA LOTNISKU ODEBRAŁ bilety z punktu sprzedaży Copa Airlines. Odlot za dwie godziny, zatem był już czas najwyższy, żeby zdać bagaże i przejść do bramek odprawy paszportowej. Zmierzali w ich stronę, kiedy Andrzej dostrzegł nadchodzącą grupę czeskich turystów. Przytrzymał Annę za ramię.

– Wmieszaj się między tych czterech mężczyzn. Jesteś z dzieckiem, więc na pewno cię przepuszczą.

– Po co?

– Myślisz, że Urugwajczycy odróżnią Czeskę od Polki?

Miał rację. Oficer sprawdzający paszporty z obojętnym wyrazem twarzy spoglądał na dokumenty z dziwnie zapisanymi nazwiskami.

Wkrótce okazało się, że Czesi, podobnie jak oni, lecą do Panamy. Ich dwutygodniowa wycieczka obejmowała zwiedzanie dwóch krajów. Właśnie skończyli pierwszy tydzień w Urugwaju.

Jeszcze w kolejce do odprawy paszportowej Monika nawiązała rozmowę z dziewczynką w jej wieku. Milenka miała niemal identycznego słonia, może więc to zabawki przywitały się ze sobą? Tak przynajmniej orzekł Andrzej, gdy dostrzegł dzieci z ożywieniem rozmawiające ze sobą.

– W tym wieku – Anna uśmiechnęła się, patrząc na córkę – zawsze i z każdym szybko można się dogadać.

– A potem człowiek dorasta i...

– Może tylko mądrzeje.

– Tak zwykle się mówi, żeby ukryć prawdę.

– Przesadzasz.

– Stwierdzam tylko fakty.

– Czy my się tylko kłócimy? – Tym razem Andrzej nie wiedział, czy Anna zadała pytanie na poważnie czy w żartach.

W CZASIE STARTU samolotu Anna zobaczyła na twarzy Andrzeja gwałtowny skurcz.

– Źle się czujesz?

Kiwnął głową, równocześnie zaciskając na poręczach fotela dłonie tak mocno, że aż zbieleły nadgarstki.

– Może zawołam stewardesę?

– Nie trzeba.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Mam lęk wysokości.

Chciała roześmiać się głośno.

– Przecież tu nie ma szklanej podłogi i nie widzisz, że właśnie wzbijamy się...

Moment później zorientowała się, że nie powinna była tego mówić. Najwidoczniej przygotowany na taką ewentualność, wyciągnął torebkę i wymiotował.

Annie przyszło do głowy, że jej bodyguard nie nadawałby się na latającego w chmurach Supermana. Roześmiała się w myślach na to skojarzenie.

Stewardesa wzięła torebkę, wręczając chusteczkę nasączoną wodą toaletową. Oparł ciężko głowę na oparciu fotela. Był pewien, że wspomnienie „szklanej podłogi”, podsuwającej jego wyobraźni przerażające obrazy, było złościwością kobiety, którą zamiast chronić teraz sam udusiłby własnymi rękami.

## Rozdział trzeci

SZYFRÓWKA, KTÓRA WYŁĄDOWAŁA na biurku Sulimowicza sprawiła, że po przeczytaniu cisnął w złości o podłogę filiżanką z kawą. Otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzała sekretarka.

– Stało się coś? Usłyszałam ... – Jej wzrok zatrzymał się na rozrzuconych po podłodze okruchach porcelany.

– Zawadziłem łokciem. – Generał rozłożył bezradnie dłonie, jakby chciał powiedzieć, że nie bardzo wie, jak do tego doszło.

– Zaraz sprzątnę.

– Mam ważny telefon.

– Oczywiście, proszę mnie wezwać przez interkom.

Odchylił się na oparciu fotela, kładąc nogi na blacie. Depesza nie potwierdzała, iż drugą ofiarą morderstwa przy ulicy Charakas 18 B w Montevideo była też Polka. Okazała się nią Jimena Coriales, funkcjonariuszka miejscowej policji turystycznej i prawdopodobnie kochanka pierwszej z zamordowanych Elwiry Sas-Koneckiej. Obie zginęły od kul wystrzelonych przez niezidentyfikowanych sprawców.

Sulimowicz sięgnął po wyciągniętą z archiwum teczkę, którą rezydent kontrolujący hotel Bristol miał obowiązek wypełniać comiesięcznymi raportami. Znajdowały się w nich informacje o przyjazdach i wyjazdach gości, pozostających w zainteresowaniu komórek wywiadu lub kontrwywiadu, rezerwacjach gości z zagranicy oraz ważniejszych wydarzeniach, związanych z nocnym życiem hotelowej restauracji. Generała interesowały szczególnie informacje dotyczące hotelowych prostytutek.

Ze zgromadzonych materiałów wynikało, że Elwira Sas-Konecka była lesbijką. Przed kilkoma miesiącami generał wezwał funkcjonariusza, który nadzorował tamten bajzel.

– Leszczyński? – Sulimowicz zmarszczył brwi, jakby starał się sobie

przypomnieć, czy już gdzieś nie spotkał stojącego przed nim oficera.

– Kapitan Andrzej Leszczyński – zameldował się przybyły.

Generał wysłuchał opowieści o środowisku prostytutek w hotelu i szczegółowej charakterystyki Sas-Koneckiej.

– A druga? – Podsunął kapitanowi papierosy, lecz tamten odmówił ruchem głowy.

– Wermer?

– Właśnie. Też popierdolona?

– Normalna, szła tylko z facetami.

– Z jakimiś konkretnymi?

– Nie bardzo rozumiem.

– Bardziej wolała Amerykanów?... Niemców?

– Wystarczyło, że gość był z zagranicy i mógł zapłacić słony rachunek.

– Miała stałego klienta?

– Przez ostatni rok, od kiedy przejąłem ten obiekt, z mojego rozpoznania wynika, że Wermer spotkała się dwukrotnie z pewnym Holendrem.

– Kiedy to było?

– W osiemdziesiątym ósmym roku.

– Niczego, co byłoby istotne, nie zauważyliście?

– Moim zadaniem było...

– Wiem, co należało do waszych zadań. W tej robocie trzeba jednak zwracać uwagę na pozornie nic nieznaczące szczegóły.

– Ma pan generał rację. Miałem co innego na myśli, mówiąc: „Moim zadaniem”. – Leszczyński sięgnął do teczki. Wyjął kartkę maszynopisu. – Umieściłem tu nazwiska wszystkich naszych ludzi, którym kurewki z Bristolu płaciły haracz. Czerpali z tego niezłe profity, dochodzące niekiedy do stu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie.

Generałowi wydało się, że w oczach kapitana dostrzega coś na kształt dumy z dobrze wykonanego obowiązku. Doszedł do przekonania, że z tego durnia niczego więcej nie wycisnie.

– Właśnie o to mi chodziło. – Sulimowicz wstał zza biurka, dając tym znak, że uważa rozmowę za skończoną. Jednocześnie przyszło mu do głowy,

że przez takich idiotów jak Leszczyński rozwalił się system ogólnej szczęśliwości społecznej. – Dobrze pan się spisał, kapitanie.

Powiedział „pan”, gdyż w resorcie kończono z partią, choć w Konstytucji nadal obowiązywało słowo „Ludowa”.

Kapitan wyszedł, a Sulimowicz podszedł do biurka. Wziął do ręki teczkę z dokumentami Leszczyńskiego. Była do niej przyklejona duża biała kartka. Chodziło o wskazania dla Komisji Kwalifikacyjnej do Spraw Kadr Centralnych MSW. Sulimowicz bez wahania napisał: „Wyrzucić”. Odłożył dokumenty na brzeg biurka i pięć minut później zapomniał, że ktoś taki jak kapitan Andrzej Leszczyński kiedykolwiek istniał.

Zatem Anna Wermer była heteroseksualna. Co zatem połączyło ją z tamtą lesbą? Od kilku miesięcy sprawa nie dawała Sulimowiczowi spokoju. Po raz pierwszy nazwisko Sas-Koneckiej zostało dostrzeżone na liście pasażerów wylatujących z Paryża do Montevideo. Miejsce obok wykupiła niejaka Granier, kobieta zamężna, która leciała z siedmioletnią córką. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Szukano tylko samotnych kobiet, podróżujących z córkami w wieku od 5 do 8 lat i tylko w dniu, w którym zniknęła zawartość skrytki z Banku Koëniga. Tamtego dnia trzydzieści sześć kobiet z dziećmi w podobnym przedziale wiekowym wyleciało z europejskich lotnisk samolotami w różne strony świata.

Po trzech miesiącach sprawdzania na liście została tylko Janet Granier, która wykupiła bilet do Montevideo. Wtedy zwrócono również uwagę na nazwisko: Sas-Konecka.

Do majora Siejki oraz Wermer dołączyła lesbijka z warszawskiego hotelu Bristol. Czy to możliwe, że tych troje mogło zniszczyć plan, który z mozołem przygotowywał od połowy lat 80.? Jak dotąd generał nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Mimo początkowych obaw okazało się, że jego agentka, która umieszczała materiały w paryskiej skrytce bankowej, nie zdradziła. Kilka dni później paryska prasa doniosła o jej śmierci. Pisano o sadystycznym mordzie dokonanym na Polce, która zatrzymała się w jednym z paryskich hoteli.

Parę dni później na biurku Sulimowicza wylądował raport wysłany z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego Policji. W trakcie badania zachowanego materiału genetycznego okazało się, że zwłoki w spalonym samochodzie, w którym rzekomo miał zginąć Siejka, należały do kogoś zupełnie innego. Czyżby był nim Czyściel, którego wysłał, by zabił majora?

Zatem Siejka upozorował własną śmierć?! Z pewnością znacznie wcześniej przygotował dla siebie i tych kurew paszporty. Generał dotąd nie mógł sobie wybaczyć, że dał się podejść takiemu parszywemu zeru... Takiemu „nic”.... Takiemu...

Rozpiął guziki pod szyją, czując, jak zaczyna dusić go astma, a puls nagle przyspieszył. Nie powinien się denerwować. Sięgnął po fiolkę z proszkami, jednocześnie wciskając przycisk interkomu.

– Mogę już posprzątać?

– Co posprzątać?

– Rozbitą filiżankę...

– Przynieś wodę sodową. A filiżankę niech zajmą się sprzątaczkі. – Spojrzał na wiszący nad drzwiami zegar. Minęła osiemnasta. – Możesz już iść do domu. Nie będziesz mi potrzebna.

Kiedy sekretarka przyniosła wodę, wziął od razu dwa proszki. Tego wieczoru z pewnością nie będzie mógł zaliczyć do spokojnych.

Musiał jak najszybciej rozsupłać ten węzeł.

Narysował na kartce trzy koła, w które wpisał nazwiska Siejka, Wermer i Sas-Konecka. Czy to oni wyczyścili sejf w Paryżu? Tylko jak? Po raz setny w czasie ostatnich kilku miesięcy zadał sobie pytanie.

Okazało się, że Siejka nie był tak sprytny, jak można było przypuszczać. Tydzień po wyczyszczeniu sejfu w Banku Koëniga major został znaleziony na ulicy. Został dwukrotnie pchnięty nożem w okolice brzucha. Przyczyną śmierci było wykrwawienie. Po prostu ludzie mijali na ulicy leżącego przy murze mężczyznę, biorąc go za pijanego. Nikt nie dostrzegł krwi, która spływała przez kratę do wnęki nad okienkiem piwnicznym, przy którym majora porzucili napastnicy.

Sulimowicz przekreślił koło z nazwiskiem: „Siejka”. A jeśli Anna i Elwira współpracowały z kimś z zewnątrz?

Kto to mógł być?

Rosjanie? Niemcy? Amerykanie? Każda z tych opcji była prawdopodobna. Tylko wówczas łamigłówa miała sens i układała się w logiczną całość. Nawet głupia śmierć Siejki okazywała się usunięciem durnia, który uwierzył, że przechytry cały świat – eliminacją przez tych, którzy nie zamierzali zostawiać po sobie jakichkolwiek śladów.



Znowu zapędził się w ślepią uliczkę. Jeśli tamci byli tak dobrymi fachowcami, to dlaczego ta dziwka uciekła im z aktami? Sulimowicz spojrział na kartki wypełnione przez siebie rysunkami. Znajdujące się w kółkach nazwiska łączyło ze sobą kilka strzałek. Za każdym razem, kiedy generał próbował rozszyfrować wykres i złożyć go w logiczny i przejrzysty schemat, w jednej sekundzie wszystko rozsypywało się niczym domek z kart. Co w nim było błędnego?

Każdy pojedynczy moduł miał sens – obcy agent, udając klienta, werbuje obie dziwki. A Siejka? Kiedy łączył ten moduł z innym, wszystko przestawało mieć jakikolwiek sens. Jedynym logicznym wytłumaczeniem mogłoby być tylko to, że wszystko, co wydarzyło się w ostatnim półroczu, było... dziełem przypadku. Jednak Sulimowicz nie wierzył w przypadki!

Choć dręczyło go, że nie potrafi zrozumieć, jak doszło do tego, że Wermer wykrađa z Banku Koëniga mikrofiszę, postanowił odłożyć rozwiązanie na bliżej nieokreślona przyszłość. Najważniejsze było odnalezienie wywiezionych z Polski akt. Jeśli w ciągu najbliższego miesiąca nie znajdą się w jego rękach...

Sulimowicz poczuł zimno przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Nigdy nikogo się nie bał. Tak było do czasu, aż spotkał pewnego Greka.

Ten facet przerażał już samym swoim widokiem. Sulimowicz spotkał go w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku, kiedy przedstawiciel don Ramira przyleciał do Polski. Wówczas dla Urugwajczyków wynajęto willę na obrzeżach Sopotu.

W czasie rozmów Grek, który przedstawił się jako Geen Daar, zawsze siedział w oddalonym kącie pokoju: nieruchomy, obojętny i nieobecny, choć zarazem gotowy do akcji i błyskawicznego działania.

Może dlatego budził takie emocje, przypominając bardziej automat niż człowieka... odpychającego człowieka. Jego niegdyś oliwkowa skóra nosiła białe ślady, mówiące o chorobliwej utracie barwnika. Ktoś podpowiedział Sulimowiczowi, że taki wygląd może być wynikiem rzadkiej choroby, zwanej bielactwem.

Generał podszedł do okna, spoglądając na zachmurzone niebo. Jak to możliwe, że przez tyle lat nie spotkał się z don Ramirem? Zawsze kontaktował się z nim jego pełnomocnik. Niekiedy zastępował go adwokat lub doradca finansowy. Kilka razy próbował dowiedzieć się czegoś więcej na

temat Urugwajczyka, ale nigdy mu się to nie udało.

– Co się odwlecze... – mruknął pod nosem.

Podszedł do biurka i ponownie wziął do ręki niedawno otrzymane depesze od rezydentów wywiadu. Pierwsza była z ambasady z Montevideo. Najprawdopodobniej Anna Wermer wraz z córką opuściły Urugwaj.

Nie trzeba było być wysokiej klasy analitykiem, by po zestawieniu kilku depesz mieć jako taki ogląd całej sytuacji. Z Nowego Jorku dostał informację, że po Wermer został wysłany Leszczyński.

Nieszkodliwy głupek. Jeden z wielu, którzy pilnowali kurewek w luksusowych hotelach Warszawy. Podobno dziewczyny uważały go za „dobrego człowieka”. Miał ochotę splunąć. Ale Leszczyński miał zaufanie dziwek i mógł je ściągnąć do Nowego Jorku. To nie było głupie pociągnięcie!

Generał spojrzął na zegar. Do spotkania z podkomisarzem Bielińskim miał czterdzieści minut.

Opadła naciśnięta klamka. Drzwi uchyliły się wolno. Do gabinetu weszła sprzątaczką. Na widok siedzącego za biurkiem Sulimowicza próbowała się cofnąć.

– Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam, że...

– Ależ nic się nie stało. Proszę wejść. – Wskazał na rozbitą filiżankę. – Gdyby była pani tak miła. – Uśmiechnął się z zażenowaniem, jakby prosił o wybaczenie. – Niezdara ze mnie... Sam bym sprzątnął, ale nie bardzo wiem – ściszył głos, jakby powierzał sprzątaczkę tajemnicę państwową – gdzie tu są zmiotki.

– Oczywiście... Raz, dwa... – Kobieta, już bardziej ośmielona, odwzajemniła uśmiech.

– Bez pośpiechu. Wyjdę...

Sulimowicz westchnął bezradnie i zamknął za sobą drzwi. Sprzątaczką, która wzięła do ręki szufelkę i zmiotkę, pomyślała, że już nieczęsto można spotkać ludzi, którzy ceniliby pracę takich jak ona prostych kobiet.

PODKOMISARZ ZYGMUNT BIELIŃSKI wyszedł na korytarz i ruszył w stronę wind. Generał poprosił o wieczorne spotkanie. Obaj znaleźli w

swoich kalendarzach wolną godzinę między dwudziestą a dwudziestą pierwszą.

Początkowo Bieliński miał za złe nowemu kierownictwu resortu, że zostawiło komucha na dawnym kierowniczym stanowisku. Najchętniej widziałby, jak Sulimowicz leci z trzeciego piętra głową w dół, na wybetonowane podwórko...

Nigdy nie zapomni krzyku Sławka, kiedy milicjanci wypchnęli go za okno... W trakcie tamtego przesłuchania sierżant najpierw wskazał na niego. Jednak blondyn, w mundurze kapitana, wybrał Sławka. Ponieważ przyjaciel nie chciał sypać, postawili go w otwartym oknie, trzymając za nogawkę spodni i marynarkę. Blefowali, że jeśli nie zacznie mówić, wypchną go na zewnątrz.

W sądzie okazało się, że milicjanci w rzeczywistości byli esbekami. Z ich zeznań wynikało, że mimo podjętej próby nie udało się chwycić przesłuchiwanego, który rzucił się z trzeciego piętra...

Zygmunt siedział na sali sądowej i prosił opatrność, by nigdy nie zapomniał twarzy tych drani.

Od dwóch miesięcy Bieliński pracował w MSW. Po miesiącu, decyzją ministra, otrzymał awans na pierwszy stopień oficerski. To powinno było ułatwić mu wejście w resortowe struktury. Miał to gdzieś.

Kiedy zaproponowano mu pracę w ministerstwie, od razu pomyślał o esbekach. Miesiąc później już rozumiał, że takich bydlaków jest znacznie więcej i to wysoko postawionych. Zanim jednak przyjdzie czas, gdy wszyscy wylądują w więzieniu, jego zadaniem było dowiedzieć się wszystkiego, o czym ich szefowie chcieliby zapomnieć w czasie nerwowo przesypianych nocy.

Sam zgłosił się do tego zadania. Nadarzała się niepowtarzalna okazja, żeby wyrównać rachunki za śmierć Sławka.

– TY CHYBA ZWARIOWAŁEŚ? – Gabriel Sawicki spojrzał na Zygmunta Bielińskiego niczym na człowieka niespełna rozumu. – To nie przejdzie.

– Co nie przejdzie?

Jedli obiad w restauracji. „Prawdziwej” restauracji. Tak nazywali lokale,

gdzie podawali kelnerzy. Do niedawna stołowali się w barach mlecznych, gdzie najtańsze były ryż ze śmietaną oraz cukrem i pomidorowa z kluskami. W sumie, żeby się najeść, wystarczyło niecałe cztery złote. To były jedyne restauracje, które odwiedzali do końca lat osiemdziesiątych.

Na podwyższeniu obok stał fortepian, na którym grał starszy jegomość. Wszyscy mówili do siebie dyskretnie, ścisząc głos, żeby nie przeszkadzać jedzącym obok.

– Gwarantuję, że przejdzie – dodał Bieliński z uporem.

– Chcesz zniszczyć sobie tak wspaniałą życiorys?

Bieliński spojrzał na przyjaciela z wyraźnym zaskoczeniem.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Raz zrobiona plama tak łatwo nie da się sprać. – Odłożył na talerz kostkę z kaczki. – Myślę, że nigdy już nie da się usunąć.

Zygmunt zrozumiał, o co przyjacielowi chodzi.

– Tylko że my przez te wszystkie lata nie walczyliśmy o to, żeby teraz mieć czyste garniturki. Najważniejsza była walka. Jej podporządkowałeś życie, rodzinę, a niektórzy nawet zdrowie. Walczyliśmy o to, żeby ludzie mogli śmiało iść po ulicy i głośno powiedzieć, że mają własny rząd w dupie, kiedy będą mieli ochotę... Dlaczego się śmiejesz?

– Przyszło mi do głowy, że być może pięćdziesiąt lat temu w jakiejś restauracji siedziało dwóch podobnych do nas komunistów, którzy mówili, że walka musi być kontynuowana z równą bezwzględnością.

– Myślałem, że już skończyłeś z wykładami na uniwerku. – Zygmunt uśmiechnął się ironicznie.

– Takie tam skojarzenie.

– Chyba nie jesteś idealistą i nie uwierzysz w to, że jutro, kiedy zwołasz wszystkich pracowników departamentu w MSW, jeden przez drugiego powiedzą o nieprawidłowościach, kantach, szalbierstwach i świństwach, które przed laty wyrządzono zwykłym obywatelom tego kraju. Twój pracownicy nie przyznają się, że...

– Wiem, do czego zmierzasz...

– Oni nigdy nie powiedzą o sobie prawdy. W siedemdziesięciu procentach nikogo z nas ona nie obchodzi. W dziesięciu być może wywołałaby u

słuchającego odruch wymiotny. Jednak w dwudziestu może stanowić zagrożenie dla Rzeczypospolitej. – Ostatnie słowa dokończył z przekonaniem w głosie.

Tamtego wieczoru ostatecznie przekonał Gabriela do własnego pomysłu. W języku wywiadu nazywało się to „zostać kretem”. Spreparowane dokumenty wkrótce podważyły nieposzlakowany życiorys Bielińskiego. „Skrobnij mocniej – mówi przysłowie – a brud zawsze wylezie na wierzch”.

Pewnego dnia „przez przypadek” poufne dokumenty, adresowane do dyrektora Gabriela Sawickiego, trafiły na biurko Sulimowicza.

GENERAL W PIERWSZEJ CHWILI miał wezwać sekretarkę i polecić zabrać szarą kopertę. Jednak zauważył, że rozkleiła się w czasie drogi i pomyślał, że nic się nie stanie, jak zajrzy do środka. Nigdy potem tego nie pożałował. Informacje, które znalazł w znajdujących się w środku dokumentach, mogły postawić adresata, delikatnie mówiąc, w niezbyt korzystnym świetle.

Korzystnym? To wszystko pachniało wieloletnim kryminałem. Z pewnością do tego by nie doszło. Zasłużonych ludzi, zwłaszcza jeśli byli bohaterami podziemia, należy udusić bez świadków w ciemnym kącie i wyprawić im pogrzeb z pompą.

Generał zmarszczył czoło, intensywnie myśląc. To mógł być ciekawy rozkład. Walet nieoczekiwanie mógł stać się nieistotną blotką.

Oczywiście – zachnął się w myślach, – jeśli rozłożone na stole karty nie były znaczone.

Sulimowicz postanowił to sprawdzić. Miesiąc później z delegatury UOP w Koszalinie dostał informację od swojego człowieka, którego udało się przepchnąć przez weryfikacyjne sito. W nadesłanym liście, na kartce odnalazł tylko jedno słowo: „Potwierdzam”.

Jednak generał był zbyt wytrawnym graczem, żeby od razu uwierzyć, że trzyma w ręku najsilniejsze karty. Czasem zdarzało się przecież, że król padał pod ciosem zwykłej dwójki.

Na korytarzu ministerstwa pewnego dnia dołączył do Bielińskiego i wsiadł razem z nim do windy. Z głębi biegł jakiś urzędnik. Kiedy jednak zobaczył wyraz oczu Sulimowicza, uśmiechnął się głupkowato i zamiast

wsiąć, skrzył w stronę schodów.

– Pracujemy od pół roku razem. – Głos Sulimowicza był przyjacielski. – Dotąd jednak nie miałem okazji poznać bliżej doradcy ministra.

Bieliński odwrócił się do generała i z nijako uprzejmym wyrazem twarzy stwierdził, że nie widzi takiej potrzeby.

– Myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi. – W głosie generała wyraźnie odezwała się nuta rozżalenia.

– Przyjaciół dobieram sobie z dużą starannością. – Najwyraźniej stojącego przed generałem zaczynała irytować wymiana zdań, a winda jak na złość zdawała się coraz wolniej zsuwać na parter.

– Słyszałem o pańskich przyzwyczajeniach i nie zamierzałem ich łamać. Po prostu, pomyślałem, że byłoby nam obu miło powspominać dwudziesty ósmy lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku. Zwłaszcza pomówić o pewnym wieczorze w Jastarni.

Cios był celny. Generał dostrzegł, jak skóra na szyi stojącego przy drzwiach gwałtownie się naprężyła. Nim Bieliński odpowiedział, automat rozsunał na boki drzwi windy. Wysiadając, Sulimowicz poklepał Bielińskiego przyjacielsko po plecach.

– A może jednak będzie pan miał ochotę na kolację? Od dwudziestej czekam w restauracji hotelu Bristol. To jedyny lokal w Warszawie, gdzie mają jeszcze doskonale medaliony cielece.

Ostatnie słowa dodał dla złagodzenia nakazu, którym wcześniej świadomie się posłużył.

O wyznaczonej godzinie w uchylonych drzwiach gabinetu, który przylegał do sali restauracyjnej, ukazała się głowa kelnera.

– Panie generale, ktoś pyta o pana.

– Ktoś?

– Bieliński.

– Kaziu – w głosie generała odezwała się wyraźna nagana. – Nie znasz jednego z czołowych działaczy Solidarności?

– Ja tam, za przeproszeniem pana generała, staram się z gaci jak najszybciej smród wypuszczać, żeby o nim zaraz zapomnieć.

Sulimowicz roześmiał się głośno, kiwając ręką, żeby wprowadzono

gościa. Bieliński nie był już taki sztywny jak dzisiejszego przedpołudnia. Czuć było od niego wódkę, której najwyraźniej gołnął kilka kieliszków dla dodania sobie animuszu.

– Przepraszam, że zacząłem obiad bez pana – generał skłamał, robiąc strapioną minę. – Jednak między Bogiem a prawdą nie liczyłem, że zaszczyci mnie pan obecnością.

Sulimowicz położył nacisk na słowo: „zaszczycić”. W tym ich pierwszym rozdaniu Sulimowicz czuł się pewny i wyluzowany. On tę grę ćwiczył od ponad czterdziestu lat. Bieliński dopiero niedawno wziął karty do ręki i, jak sądził generał, jeszcze nie bardzo wiedział, co należy z nimi robić.

WIECZÓR W BRISTOLU Sulimowicz będzie mógł chyba zaliczyć do udanych. No cóż, zdarza się, że nawet ukrywający się w podziemiu faceci w kimś się zakochują. Druga strona też odwzajemnia uczucie i padają słowa, że już zawsze, że tylko we dwoje, nierozłączni, szczęśliwi... Stary schemat, który wali się jakiś czas później w gruzy. W końcu jak długo można czekać na ukochanego, nie bardzo wiedząc, czy tej nocy przy nas zaśnie? Jak długo można budzić się samej, słysząc, jak za ścianą sąsiadka kłóci się z mężem? Wtedy kobiecie przychodzi do głowy idiotyczna myśl, że nawet kłótnia z ukochanym jest niemożliwa – gdyż nigdy go przy nas nie ma.

Bieliński usiadł i kelner natychmiast postawił przed nim nakrycie. Było z pięknej porcelany. Później pojawił się półmisek z mięsem, sos, surówki, kieliszek na wodę, kieliszek na wino, szklanka na piwo...

– Tak więc po pierwszych fajerwerkach – Sulimowicz zaczął mówić dalej, gdy zostali już sami – wystrzeliły pierwsze niewypały. Ona nie potrafiła czekać, więc znalazła sobie innego. On pewnej nocy przyszedł pod okno ukochanej i usłyszał, jak wzdycha w łóżku w ramionach rywala... Nigdy nie znaleziono mordercy dwojga młodych ludzi... I niech tak zostanie. Nikomu to nie przywróci życia. Bo, jak mówi poeta – potarł pustym kieliszkiem o czoło – trzeba z żywymi naprzód iść... Czy jakoś tak... – Sulimowicz wsparł się ciężko na stole. – Mam rację? – Spojrzał na przyglądającego mu się nieruchomo Bielińskiego. Po dłuższym milczeniu generał zapukał w blat stołu. – Powiesz coś? Myślałem, że jestem dobrym gawędziarzem. Przyznasz, że akcenty i interwały czasowe, które miały podkreślać napięcie, stawiałem prawidłowo – westchnął. – Przynajmniej mógłbyś mnie pochwalić

za to, że się starałem. Chyba na to zasłużyłem.

Bieliński chwilę spoglądał na zaczerwienioną od alkoholu twarz Sulimowicza, który patrzył na niego pytająco.

– Rzeczywiście...

– Co?

– Powinienem cię pochwalić.

– A jednak. – Generał uśmiechnął się szeroko.

– Ale nie za... Jak to powiedziałaś? „Akcenty i interwały czasowe”... Zaskoczyło mnie to, jaką masz rozległą wiedzę.

– Czy to źle, że chcę wiedzieć, z kim pracuję?

Bieliński nalał każdemu wódkę do kieliszków. Stuknął się z generałem i, nie czekając na Sulimowicza, wypił swój.

– Wiesz coś jeszcze?

– Słyszałem o tym nieszczęściu. – Generał wypił wódkę. – Kiedy twój przyjaciel wypadł, albo mówiąc bardziej precyzyjnie, został wypchnięty z trzeciego piętra. Rozmawiałem z oficerami, którzy to zrobili. Podobno najpierw ciebie chcieli wziąć w obroty.

– Ale wybrali Sławka.

– Nigdy nie interesowało cię dlaczego?

– Ty wiesz?

– Domyślam się.

– Powiedz.

– Przesłuchujący zobaczyli w twoich oczach strach. W spojrzeniu tamtego tylko pogardę. Ty się bałeś, a on nie, więc to ty byłeś bardziej skory do mówienia niż twój kumpel. Gdybyś zamiast niego wypadł na podwórko, przyjaciel jeszcze bardziej i mocniej zasznurowałby usta. Nie powiedziałby nawet, jak ma na nazwisko. W tej robocie trzeba się znać na ludziach. Zatem tamtego postawili na parapecie, żeby tobie rozwiązać język. Jak więc rozumiesz, taki porządek przesłuchania dawał pewność, że wyciągną od ciebie wszystko, co tylko zechcą.

– Późniejsze wydarzenia nie pozwoliły zweryfikować tamtego układu.

– Dlatego robimy to właśnie teraz. – Zdawało się, że Sulimowicz



wytrzeźwiał w jednej sekundzie. – Może na początku, gdy w kadrach wydano polecenie, aby wciągnąć cię na listę urzędników MSW, co rano mówiłeś sobie, że musisz się zemścić. To fajnie mieć w życiu jakiś cel – zadrwił jawnie Sulimowicz, lecz Bielińskiego to nie obeszło. Jakby wszystko dotyczyło kogoś zupełnie innego.

Trzy godziny później Sulimowicz odwoził Bielińskiego, który leżał nieprzytomny na tylnym siedzeniu samochodu, co raz puszczając głośne bąki, do domu. Generał miał nadzieję, że na tym niedyspozycja nowego przyjaciela się skończy.

Biedny mały Pan Nikt, który przez przypadek nabrał ważności. Wypadający przez okno przyjaciel podżyrował Bielińskiemu weksel z nieograniczonym limitem wypłat. Pierwsze sto złotych być może sparzy Zygmunta w palce. Tysiąc będzie uwierało w kieszeni. Coraz większe pieniądze mają jednak w sobie taką siłę, że nie chce się już wypuszczać z dłoni banknotów, przyjemnie ślizgających się między palcami. Pierwszy kierowca, pierwsze mieszkanie służbowe, zaskoczenie, że ładne dziewczyny zabiegają choćby tylko o to, by zwrócić na nie uwagę.

Sulimowicz był pewien, że Bieliński będzie chciał posmakować jeszcze więcej.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ podkomisarz Bieliński wszedł do gabinetu Gabriela, niosąc pod pachą teczkę z dokumentami. Nie miały żadnego znaczenia. Obaj umówili się, że pod pretekstem zdawania raportów będą omawiali postępy w pracy „wywiadowczej” Zygmunta.

Właśnie wtedy Zygmunt uświadomił sobie, że nie zależy mu już na tym, by dawni przyjaciele i znajomi podawali mu dłoń na powitanie dlatego, że go poważają. Większą satysfakcję zaczęło sprawiać to, gdy inni bali się, że jednym pociągnięciem pióra może przekreślić ich karierę.

Jeszcze jakiś czas miał swoje małe alibi, że niby wszystko robi dla sprawy. Jednak gdzieś w duchu zaczynał gardzić Gabrielem, w którego oczach stale widział podziw dla osoby i niezachwianą ufność w sens misji, której Zygmunt się podjął. Kolejny ideowy głupek, który bez wahania stanąłby na brzegu parapetu okna na trzecim piętrze.

Jeszcze tego wieczora Bieliński pojechał z Gabrielem na bankiet do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam poznał Dominikę. Była asystentką

lub sekretarką kogoś ważnego, czyje nazwisko wyleciało mu z głowy. Przed północą poprosiła, żeby odwiózł ją do domu. Była ładna, młoda i najwyraźniej miała na niego ochotę.

Kiedy pomagał jej wysiąść z mercedesa, dziewczyna zatoczyła się na niego i popchnęła w stronę mijającego ich mężczyzny. W świetle latarni Bieliński zobaczył wpatrzony w siebie znajome oczy. Mimo zmroku poznał dawnego kolegę z podziemia. Tamten również nie miał wątpliwości co do tożsamości ubranego w elegancki smoking mężczyzny.

– Dorwaliście się do koryta i już wam odpierdala?

Okręcony w liche palto splunął Bielińskiemu pod nogi. Zygmunt spodziewał się, że kiedyś, w nierealnie odległej przyszłości przyjdzie mu za wszystko zapłacić. Nie sądził jednak, że stanie się to aż tak szybko!

Chciał coś odpowiedzieć. Coś zakłuło go w piersiach. Dominika, która nic nie rozumiała z wypowiedzianego zdania, zaśmiała się głośno i pociągnęła Zygmunta za rękę w stronę furtki. Przeszli przez niewielki ogród i stanęli na ganku willi. Dziewczyna otworzyła kluczem drzwi i pociągnęła za kłapę marynarki w głąb mieszkania.

– Tu mnie rozbierzesz. – Tupnęła nogą w parkiet salonu. Potem wskazała na kominek i rozłożoną przed nim olbrzymią niedźwiedzią skórę. – A tam przelecisz. Jak ci się podoba mój plan?

Szybko się rozebrała, pocałowała go namiętnie i... już spała z językiem wepchniętym do jego ust. Gdyby nie trzymał jej mocno w ramionach, poleciałaby bezwładnie na podłogę.

Kilkanaście minut później znów zakłuło go w piersiach. Przyszło mu do głowy, że gorąca kąpiel postawi go na nogi. Moment później coś chwyciło go za gardło i nie pozwoliło złapać oddechu. Dowłókł się do telefonu i wezwał pogotowie. Czuł rozdzierający ból w piersiach. Nim zemdlał, zdążył zarzucić koc na nagie ciało młodszej od niego o trzydzieści lat dziewczyny.

BIELIŃSKI OTWORZYŁ OCZY i zobaczył nad sobą białą płaszczyznę. Czy to było niebo? Ale dlaczego białe i z żółtymi zaciekami w rogach?

To był sufit.

Dlaczego nie czuł własnego ciała?

Może już umarł i jest w prosektorium?

Idiotyzm!

Gdyby był martwy, nic tak głupiego nie przyszłoby mu do głowy. Więc żył...

Poruszył gałkami oczu. Na prawo zobaczył zaciągniętą do połowy okna niebieską zasłonę. Zza niej przebijały ostre promienie słońca, a pokój tonął w łagodnym cieniu. Na lewo zamknięte przeszklone drzwi.

Dopiero teraz wróciło czucie w całym ciele. Równocześnie odniósł wrażenie, że ktoś wyjął mu zatyczki z uszu i z ciszy napłynęły dźwięki otaczającej rzeczywistości. Najpierw na granicy słyszalności, potem coraz głośniejsze, wyraźniejsze... Pierwszym wyłowionym sygnałem był jednostajny „bip”. Pomyślał o nim niczym o radiolatarni, która pozwoli zorientować się w czasie i przestrzeni, przez którą żeglował. Wkrótce zrozumiał, że jest to sygnał urządzenia medycznego. Nie bardzo miał siłę zastanowić się, co mogło o to oznaczać.

Pamiętał chwilę, gdy zakreśliło mu się w głowie i zobaczył w zwolnionym tempie, jak leci w stronę brązowej podłogi. To było w mieszkaniu tej cycatej blondynki. Co stało się później?

Żył! To najważniejsze.

Z sufitu wzrok ześliznął się w dół. Zobaczył pielęgniarkę, która siedziała w fotelu przysuniętym do szpitalnego łóżka. Właściwie to w nim drzemała z otwartymi ustami i głową odchyłoną do tyłu.

Poruszył palcami. Chciał unieść dłoń. Nie udało się. Jakby nałożony na serdeczny palec napałek był zbyt duży i ciężki. To nie był napałek. Zygmunt czuł w nim pulsowanie opuszka, które odzywało się krótkim maszynowym „bip”, dolatującym gdzieś spoza jego pleców.

Drzwi do pokoju uchyliły się i do środka zajrzała siostra oddziałowa. Podeszła do śpiącej i lekko potrząsnęła jej ramię. Zobaczyła jego otwarte oczy.

– Jak się pan czuje?

– Nic mnie nie boli – słysząc swój głos, zdziwił się własną chrypką. – Coś się stało?

Idiotyczne pytanie, na które pielęgniarki odpowiedziały szerokim uśmiechem. Trochę go to zbiło z tropu. Śmiały się z jego niewiedzy czy też indolencji?

- Już jest wszystko w porządku – odpowiedziała nowo przybyła.
- A było gorzej? – Ponownie skrzywił wargi.
- Wszystko, co złe, ma pan za sobą.

Chciał spytać, czy myśli o przejmującym bólu w klatce piersiowej, czy też obrzydzeniu do siebie, że chciał przelecieć zamroczoną alkoholem dziewczynę.

Przez kolejne dwa dni faszerowano go niczym tuczoną gęś, którą unieruchomiono, żeby nie wyrwała się, gdy przemocą wpychano do jej żołądka kasztany dla stłuszczenia wątroby.

Miał czas, żeby nad wszystkim się zastanowić. Dużo czasu. Dlaczego zgodził się przyjąć propozycję pracy w MSW? Było coś przekornego w zajęciu miejsca ludzi, którzy jeszcze kilkanaście miesięcy wcześniej rozsyłali za nim listy gończe.

Początkowo szukał zemsty za to, że na przesłuchaniu wypchnięto przyjaciela przez okno. Zrobiono to celowo i nikt nie poniósł kary. Takie miał wewnętrzne przekonanie. Przynajmniej do czasu, gdy trafił do szpitala w karetce reanimacyjnej. Otarł się o śmierć. Był to wystarczający powód, żeby dokonać uczciwego rachunku sumienia. Dzięki temu uświadomił sobie, iż rzekoma zemsta była zwykłą wymówką i samooszustwem. Jaka była prawda?

W podziemiu znalazł się przypadkowo. Pomylił datę urodzin Sławka. Zamiast wcześniej zapukał do jego drzwi dzień później. Trafił na spotkanie podziemnej redakcji. Sławek za niego poręczył, więc pozwolono mu zostać. Dwadzieścia minut później drzwi wyważyła milicja. W oczach przyjaciół Sławka odczytał wyrok: „Sprzedałeś nas”. Musiał udowodnić, że się mylą. Strach tylko go podkreślił. Wdał się w bójkę z wdzierającymi się do środka mundurowymi. Został ciężko pobity i trafił do szpitala. Potem rozprawa sądowa i wyrok za udział w wydawaniu prasy podziemnej. Nigdy nie powiedział głośno, że to wszystko było cholernym zbiegiem okoliczności. Jego walka z milicjantami stała się głośna w podziemiu. Przyjaciel potraktował ten fakt jako wyraźny akces do Solidarności. Zygmunt nie miał odwagi się wycofać i powiedzieć, jak było w rzeczywistości.

Z farsy, którą odgrywał przez kilka lat, zdał sobie sprawę, gdy Sławka przemocą postawiono w otwartym oknie. Wtedy chciał wykrzyczeć, że... Nie zdążył...

A teraz? Przed kim próbował grać komedię? No właśnie. Czy to nadal była gra?

Nigdy nie sądził, że młode dziewczyny mogą mieć ochotę iść z nim do łóżka. Był brzydki. Miał wyłupiaste oczy i nie należał do wysokich. A jednak widział na przyjęciach, że kobiety tylko czekały, żeby zwrócił na nie uwagę. Nie oszukiwał się, że robią to z miłości – tak głupi już nie był. Ale dlaczego miałyby z tego wszystkiego zrezygnować? Ludzie go szanowali. Ktoś stawiał za wzór.

Wszystko wokół jest pozorem i fikcją, dlaczego więc on pierwszy miałby o tym głośno mówić, dodatkowo wskazując na własną osobę? W końcu nie robił nic złego. To ostatnie stwierdzenie ostatecznie go przekonało. Może i zaplątał się do podziemia przez przypadek... Jednak w nocy, w więziennej celi, to jemu było zimno, a nie komuś innemu. To on bał się, że wypchną go z trzeciego piętra... On, a nie ktoś inny miał złamaną szczękę...

Dlatego miał prawo odcinać teraz kupony za całe zło, którego zaznał za komuny. Uczciwie na to zapracował.

Trzeciego dnia oświadczył, że jeśli lekarz nie pozwoli mu wstać z łóżka, to wypisze się na własne żądanie. Chyba coś znaczył, gdyż wśród pielęgniarek zrobił się popłoch i do separatki w końcu przybiegło kilku lekarzy, z ordynatorem oddziału na czele.

IDĄC POWOLI KORYTARZEM, Bieliński wspierał się na kulach. Asystująca pielęgniarka wskazała drzwi do sekretariatu ordynatora. Wszedł. W środku czekał Sulimowicz. Generał pomógł mu usiąść w fotelu. Tylko tu mogli się spotkać, gdyż lekarz prowadzący Bielińskiego kategorycznie odmówił pozwolenia na wyjazd poza teren szpitala.

– Jak się czujesz? – Sulimowicz odstawił kule w róg pokoju.

– Bywało lepiej.

– Znaleźliśmy się w szachowym pacie i tylko ty możesz go rozwiązać. – Sulimowicz siorbnął wodę, którą pielęgniarka przed nim postawiła.

– Użyłeś liczby mnogiej. – Spojrzał pytająco na generała. – Więc nie wiem, kto gra w te szachy. A jeśli chodzi o samą grę... Rozumiem, że ktoś w niej powinien przegrać, a ktoś wygrać.

– Użyłeś dobrego określenia: „powinien”.

Nie przestając się uśmiechać, Sulimowicz spojrział w oczy siedzącego na wprost. Wiedział, że ten moment pewnego dnia nadejdzie. Dzisiejsze spotkanie miało być sprawdzianem. Musiał wiedzieć, czy dawny bohater podziemia stanie po jego stronie, czy też po stronie tamtego idioty, który niegdyś dał się wypchnąć przez okno?

Dzisiejszego ranka otrzymał z Montevideo potwierdzenie, że Anna Wermer wyleciała z Urugwaju. Oficer policji kryminalnej, który odnalazł podejrzaną w motelu, został ranny na przedmieściach stolicy. Borys zdołał się dowiedzieć, że Wermer chronił nieznanego mężczyznę.

– Wiek około czterdziestu lat – generał zaczął wyliczać do słuchawki obojętnym głosem. – Średniego wzrostu, brunet.

Borysa zatkało.

– Jesteś tam?

– Oczywiście, panie generale... To znaczy...

– To znaczy, że mamy do czynienia z facetem, którego wysłano po Wermer z Nowego Jorku.

Sulimowicz dzięki swoim ludziom, których zdołał uchronić przed odwołaniem z nowojorskiej ambasady do kraju, dowiedział się o Leszczyńskim.

– Tak myślałem, ale...

– Nie myśl, tylko słuchaj mnie uważnie – generał zaczął mówić krótkimi wyraźnie artykułowanymi zdaniami. – Skontaktuj się telefonicznie z sekretarzem don Ramira. Powiedz o naszych ustaleniach. Nie podejrzaniach – podniósł nieznacznie głos – ale ustaleniach.

– Tak jest.

– I na jakiś czas zerwij kontakty z tymi idiotami z miejscowej policji.

– A kiedy ludzie don Ramira spytają o źródła informacji?

– Dopiero wtedy wskaż im Enrique’a i tego drugiego...

– Miguela.

– Właśnie

– KTO ZATEM MUSI WYGRAĆ? – Bieliński poprawił się w fotelu.

– My!

– Nadal brzmi to zbyt ogólnie. Polska? MSW? Akcja, którą teraz prowadzimy na Zachodzie?

Sulimowicz nie miał wyboru. Musiał zagrać *va banque*.

– Konkretnie ty i ja.

Bieliński niespokojnie przebiegł wzrokiem po ścianach, więc Sulimowicz uspokoił go ruchem dłoni.

– Kazałem sprawdzić przed naszym spotkaniem – w głosie generała słychać było obojętność. – W gabinecie nie ma podsłuchu. – Sulimowiczowi przyszło do głowy, że wygrał to rozdanie. Chociaż było jeszcze trochę czasu do położenia na stole ostatniej karty.

– Ty i ja? – Patrząc prosto w oczy siedzącego na wprost generała, Bieliński odniósł wrażenie, że zobaczył w nich błysk rozbawienia.

– Masz coś przeciw temu? – Sulimowicz z chęcią pociągnąłby duży łyk koniaku.

– Pół roku temu w moje ręce trafiły dwa listy pożegnalne. Autor pierwszego się powiesił, drugi palnął sobie w łeb z broni myśliwskiej.

Sulimowicz wiedział, o kim Bieliński mówi. Dotąd był pewien, że Grek, Geen Daar potrafi załatwiać te sprawy zgodnie z najbardziej wyszukаныmi życzeniami klientów. Generałowi nie zależało na niczym szczególnym. Wszystko miało wyglądać na zwykłe samobójstwo. A jednak stało się inaczej.

– Zaraz przypomnę sobie, jak mieli na nazwiska. – Bieliński udał skupiony wyraz twarzy.

– Jastrzębski i Tabor.

Jeśli chodzi o tego ostatniego, ciężko postrzelony, przeżył kilka godzin i zdążył napisać list, w którym oskarżył Sulimowicza o zorganizowanie akcji z kopiowaniem i przrzucaniem na zachód zmikrofilmowanych teczek kilku tysięcy ludzi działających w różnych strukturach opozycji demokratycznej.

– Otóż to, Jastrzębski i Tabor. Według tego drugiego, to był twój pomysł, żeby przrzucić na Zachód mikrofiszę z danymi...

– Wyjaśniałem to już wielokrotnie – przekazał Bielińskiemu generał.

– Jesteś nam potrzebny, więc uwierzono w twoje słowa. Jeśli chcesz,

żebym poważnie potraktował twoje zapewnienie o wygranej, muszę znać prawdę. Nie sądzisz chyba, że będę tak łatwowierny jak tamci dwaj idioci?

LEKARZ DYŻURNY SPOJRZAŁ na zegarek. Na wszelki wypadek zerknął na zegar wiszący nad wejściem do gabinetu lekarskiego. Jakby wywołana myślami, w progu ukazała się pielęgniarka.

- Nadal rozmawiają.
- Spotkanie miało trwać najwyżej trzydzieści minut.
- Mija druga godzina – dopowiedziała niepewnie siostra, patrząc na drzwi.
- Nie wiem, czy możemy im przeszkadzać.

Lekarz wstał z miejsca i wygładził poły lekarskiego kitla.

- Jako prowadzący pacjenta mam jeszcze w tej sprawie coś do powiedzenia.

Wyszedł na korytarz. Minutę później nacisnął klamkę sekretariatu ordynatora. Wewnątrz siedział oficer w ciemnym garniturze. Na jego widok nie poprawił nawet poły marynarki, żeby osłonić półautomatyczny pistolet, zawieszony w skórzanym nosidle pod lewą pachą.

- Generał prosił, żeby nie mu przeszkadzano. – Oficer stanął przed drzwiami gabinetu ordynatora.

- Generał nie jest moim przełożonym, żeby wydawać polecenia. Zwłaszcza, że...

Drzwi za plecami oficera BOR nieoczekiwanie się otworzyły. W progu ukazał się Sulimowicz.

- Oddaję pańskiego pacjenta w doskonałej formie. Proszę podziękować całemu zespołowi za tak wyśmienitą opiekę.

Sulimowicz sięgnął po rękę ogłupiałego lekarza, uściśnął i potrząsnął ją z mocą.

- Miło mi słyszeć takie słowa uznania – bąknął doktor, zaskoczony obrotem sprawy. Chciał jeszcze coś dodać, ale chwilę później był już sam, stał przed otwartymi drzwiami prowadzącymi do gabinetu. Wszedł do środka i spostrzegł dziwny wyraz twarzy pacjenta. Jakby zaszokowany, a może wystraszony.

- Dobrze się pan czuje?



Zbadał puls Bielińskiemu. Był prawidłowy.

– Czy dobrze... To zależy, co pan ma na myśli.

– Fizyczne odczucia. Zawroty głowy, nudności, przemęczenie. Może jakieś ciemne plamy wirujące przed oczyma?

– Jeśli o to chodzi, to wszystko w porządku.

Sekundę później lekarzowi wydało się, że Bieliński zapadł się w siebie, jakby celowo odgrodził murem od otaczającej rzeczywistości. Pacjentowi było obojętne, że pielęgniarz pomógł mu usiąść na wózku, którym został przewieziony do separatki. Tam położono go na łóżku. Przez cały czas Bieliński powtarzał tylko obojętnie: „Dziękuję, ale może sam sobie z tym poradzę” i nie robił najmniejszego ruchu.

Tej nocy nie zmrużył oka. Gdyby jakiś czas wcześniej ktoś powiedział mu, co odkryje...

Chryste Panie – przetarł łzawiące oczy. Jeśli Sulimowiczowi się powiedzie... Dlaczego użył słowa: „Jeśli”? Wszystko wskazywało na to, że napisany kilka lat temu scenariusz zostanie zrealizowany w najdrobniejszych szczegółach. Uświadamiając sobie ten fakt, doznał niemal fizycznego szoku. Aparatura, do której był podpięty, zaczęła rejestrować podwyższone ciśnienie, przyspieszone tętno serca... Pomimo zaaplikowanych leków uspokajających nie mógł znaleźć spokoju do rana. Dlaczego powiedział: „Jeśli Sulimowiczowi...”, a nie: „Jeśli nam się powiedzie?”.

To, co usłyszał od generała, odebrało mu mowę. Tu nie chodziło o tysiące, setki tysięcy czy kilka milionów dolarów. Przed nimi stał Mount Everest szmalu. Był niemal na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło tylko odebrać tamtej kobiecie mikrofiszę. Ponieważ Wermer chronił Leszczyński, należało zatem rozprawić się z tym człowiekiem.

Zaśmiał się w duchu ze swoich niedawnych wątpliwości i moralnych niepokojów. Te dobre są dla zakonników – takie życie wybrali. Tu gra szła o stawkę, która nie przyśniłaby się nawet Rockefellerowi w najbardziej fantastycznym śnie. A on mógł być jednym z głównych udziałowców tego biznesu.

Musiał wymyślić sposób przekazania Gabrielowi spreparowanej informacji, z którą przyszedł do niego Sulimowicz. Generał miał rację. Tylko jemu mogli uwierzyć. Jego słów nikt nie podał w wątpliwość.

Według wymyślonej przez Sulimowicza historii Leszczyński nawiązał kontakt z Siejką. Obaj postanowili zmikrofilmować tysiące teczek, które później miały posłużyć do szantażowania nowych władz w kraju.

– Skąd będzie wiadomo, że Leszczyński uczestniczył w tym przekręcie? – Bieliński zadał wówczas to pytanie generałowi. – Ktoś może być ciekaw, w jaki sposób odkryliśmy powiązania kapitana z tą aferą.

Zamiast odpowiedzieć Sulimowicz sięgnął po jedną z przyniesionych ze sobą teczek.

– Tu masz wyznanie Siejki. Znalaziono je w paryskim mieszkaniu, które wynajmował przed śmiercią.

Bieliński wziął do ręki kartkę zapisaną odręcznym, chaotycznie nakreślonym pismem.

– To rzeczywiście jego słowa?

Generał pokręcił przecząco głową.

– Ale nie zaprzeczy, że to pismo nie wyszło spod jego ręki.

– A inni?

– To pismo jest dobrze podrobione, zapewniam. A jeśli chodzi o te sprawy, mnie możesz wierzyć na słowo!

– Z pewnością pytają mnie, jakie powinniśmy podjąć przeciwdziałania?

– Tak zrobią – potwierdził Sulimowicz.

– Co im odpowiem?

– Że wybierzesz zespół, który wyleci do Nowego Jorku, żeby przejąć od tamtej dziwki ukradzione mikrofiszki.

– Mamy już na miejscu naszego człowieka. Pamiętasz, to on wysłał Leszczyńskiego do Montevideo.

– Więc niech tamten nadzoruje pracę naszego zespołu. To będzie dla Warszawy podwójnym zabezpieczeniem.

– Czy jeszcze czegoś nie przewidziałeś w tej rozgrywce?

Bieliński dostrzegł, jak twarz generała zasnuwa cień.

– Rok temu przez tę dziwkę cały plan legł w gruzach. Odbierzemy od niej naszą własność i wystawimy jej rachunek. Sas-Konecka, z którą nas wydymała, już zapłaciła właściwą cenę.

Mówiąc te słowa, Sulimowicz przyglądał się spod opuszczonych powiek Bielińskiemu. Generałowi przyszło do głowy, że gdyby siedzący na wprost działał w podziemiu, z pewnością nadal byłby uczciwym facetem. A teraz? Teraz jakaś młoda dupka o imieniu Dominika rozpowiada, że różni się wszędzie. I zaliczyliby jeszcze żyrandol, gdyby dziadek nie dostał ataku serca.

## Rozdział czwarty

WYCHODZĄC Z WARSZAWSKIEGO szpitala, generał Sulimowicz przeszedł przez izbę przyjęć i wyszedł na parking dla karettek, gdzie czekał na niego samochód. Dotychczas przy wyjściu zawsze żegnał go dyrektor szpitala. Dziś jakiś zdezorientowany lekarz poinformował go, że pan docent strasznie przeprasza, ale...

Już nie raz na Sulimowiczu stawiano krzyżyk. Potem zaś okazywało się, że jego kariera nie kończyła się, lecz przyspieszała. Najwidoczniej szef szpitala był pewien, że nowa ekipa, prędzej czy później, wyrzuci na bruk starego komucha.

Jak to niewiele potrzeba – generał miał ochotę splunąć na chodnik – żeby zapomnieć pewien maj osiemdziesiątego pierwszego. Wówczas przyszedł pan docent miał w oczach łzy, dziękując towarzyszom z Komitetu Zakładowego PZPR w resorcie za zaufanie i poparcie nominacji na dyrektorski stołek.

– Złóżcie ode mnie życzenia naszemu kochanemu dyrektorowi – generał poklepał spoconego lekarza – żeby tak bardzo się nie przemęczał. Wolę widzieć go w dobrym zdrowiu niż na oddziale, gdzie leżą zawałowcy.

– A on już po dwóch zawałach. – Lekarz dał się nabrać na serdeczny ton Sulimowicza.

– Zatem dla was jako lekarzy to jasne, że trzeciego można nie przeżyć. Szkoda tak obrotnego człowieka... Podobno kończy budowę willi i zaczyna mu brakować funduszy, więc ma się czym chłop przejmować.

Generał wszedł do samochodu i trzasnął za sobą drzwiami. Był pewien, że jego słowa lekarz przekaze przełożonemu

– Dokąd teraz? – Kierowca odwrócił się do Sulimowicza.

– Do naszego kochanego biskupa, Władeczku.

– Się robi.

Wyjechali przez szpitalną bramę. Kierowca zerknął w lusterko wsteczne,

wskazując równocześnie stojące przed nimi na światłach samochodu.

– Jedziemy normalnie czy nam się spieszy? – Otworzył schowek, gdzie leżała niebieska lampa samochodu uprzywilejowanego.

– Pojedziemy, Władeczkule, jak Pan Bóg przykazał. Powolutku, niczym zwykli obywatele. Może wreszcie zauważymy po drodze, że coś zmieniło się w tym kraju na lepsze?

– Tak jest.

Wkrótce skręcili w Puławską. Sulimowicz przyglądał się przez przyciemnioną szybę mijanym ludziom.

Jak dawno temu szedł chodnikiem? Zadał sobie w duchu pytanie i nie bardzo potrafił na nie odpowiedzieć. Wiecznie jeździł samochodami, wiecznie w pośpiechu, jakby świat się walił, a on pędził stawiać podpierające go słupy. Jak długo tak można? Miał już swoje lata.

Gdyby nie Wermer, układałby się teraz na leżaku w ciepłym kraju, nad Morzem Śródziemnym.

– Co się odwlecze... – mruknął pod nosem.

Nienawidził tej kobiety, choć widział tylko jej zdjęcie i pewien film. To było kilkanaście miesięcy temu. Paryskiej rezydenturze wywiadu udało się zdobyć taśmy z bankowym nagraniem wideo. Widać na nich było, jak Wermer wchodzi do banku. Potwierdza prawo do otwarcia skrytki i kradnie z Banku Koënika mikrofiszę oraz pieniądze.

Kiedy Sulimowicz po raz pierwszy zobaczył ten obraz, był przekonany, że widzi Josephine. Miło było słuchać, jak szeptała mu w nocy, że kocha, że tylko on, że z nikim nigdy nie było jej tak dobrze. Kłamała, ale Sulimowicz chciał w to wierzyć. Był już w wieku, w którym przed samym sobą trzeba zacząć udawać, że dziewczyny mówią prawdę.

Wermer była doskonale ucharakteryzowana. Ekspert oglądający film, nie miał najmniejszych wątpliwości, że musiała przejść operację plastyczną albo też znaleziono dziewczynę, która była ładną podobną do Josephine. Obie te możliwości potwierdzały, że Siejka musiał rozpocząć przygotowania wiele miesięcy przed finałem akcji.

Jak taki głupiec wpadł na ten pomysł? Czy to możliwe, że Sulimowicz po raz pierwszy w życiu dał się oszukać?

Jeszcze chwila, a rozboli go od wszystkiego głowa. Nie ma co patrzeć

wstecz. Ważniejszy był dzień następny.

Zerknął w stronę afisza nad kinem „Moskwa”.

– *Mów mi Rockefeller* – przeczytał pod nosem tytuł filmu. – Co tam ludzie na mieście gadają? – zwrócił się w stronę kierowcy. – Wszyscy marzą, że w rynsztoku znajdą milion?

– Na razie liczą, że Mazowiecki zrobi porządek z komuchami.

– A o czym jeszcze mówią?

– Że za komuny każdy miał forszę, ale w sklepach nie było towaru. A teraz wszędzie pełne półki, ale nikt nie ma pieniędzy.

– Nie o tym myślałem.

– A, jeśli pan generał... No więc... Wałęsa wybrał się z małżonką na premierę baletu do Teatru Wielkiego. Tuż po rozpoczęciu spektaklu przewodniczący związku usnął. Obudziły go oklaski po zakończeniu przedstawienia. Nieco zmieszany Wałęsa pyta szeptem współmałżonki: „Danka, czy ktoś wie, że przyciąłem komara?”. Na co słyszy w odpowiedzi: „Ci na widowni to nie, ale na scenie, jak zasnąłeś, zaraz zaczęli chodzić na palcach.”

– Wiesz co, Władeczkule – generał skrzywił się – kiedyś twoje kawały o komunistach były o wiele śmieszniejsze.

– Cóż robić, panie generale, od kiedy mamy dymokrację, wszystko schodzi na psy.

Na słowo „dymokracja” Sulimowicz wybuchnął niepohamowanym rechotem:

– Wiedziałem, Władeczkule, że mogę na ciebie liczyć. Nareszcie powiedziałeś coś do śmiechu.

– PRZEPRASZAM, KSIĘŻE BISKUPIE. – Kleryk stanął w uchylonych drzwiach gabinetu.

– Tak?

– Przyjechał generał Sulimowicz.

– Co z kolacją?

– Zgodnie z poleceniem już czeka.

– Chodźmy zatem do jadalnego.

Zażywny sześćdziesięciolatek zamknął czytaną broszurę, którą kilka dni temu przywiózł z Watykanu. Znalazł w niej informacje, że kilku amerykańskich autorów złożyło u jednego z wydawców manuskrypt książki, z której jednoznacznie wynikało, że Jezus nie umarł na krzyżu. Co więcej, jako ojciec rodziny dał początek dynastii francuskiej. Co też ludzie nie wymyślą dla sławy i pieniędzy. Czy takie bzdury mogłyby zagrozić Kościołowi? Od stuleci trwa mocno na Piotrowej skale, więc żadne burze mu nie zaszkodzą.

Wyszedł z gabinetu. Drobiąc szybkimi kroczkami, przeszedł przez długi hol, w którym na ścianach wisały portrety włodarzy stolicy biskupiej ostatnich trzystu lat. W drzwiach do pokoju jadalnego niemal zderzył się z wychodzącą zakonnicą. Siostra usunęła się na bok, skłaniając przed hierarchą głowę w ukłonie.

– Jak zdrowie, siostrze Eufemio? Ostatnio was nie widziałem.

– Dziękuję Waszej Eminencji za pamięć, już lepiej.

– No i chwalić Pana Boga.

Pobłogosławił stojącą siostrzyczkę i wszedł do środka, słysząc skrzypienie zamykanych za sobą drzwi. W środku czekał Sulimowicz. Generał stał przy oknie, spoglądając na wieczorny ogród. Odwrócił się.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Gość ruszył w stronę biskupa z wyciągniętą do powitania ręką.

Jego Przewielebność uniósł dłoń, jakby zamierzał pobłogosławić generała, szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu i obaj uścisnęli sobie mocno prawice.

– Miło znowu spotkać księdza biskupa.

Ostatnim razem widzieli się kilkanaście miesięcy temu. Wówczas Sulimowicz wręczył mu pewne akta, zawierające opisane przez kilku kleryków niezbyt cnotliwe zachowanie się hierarchy w łóżku. Od tego czasu kilkakrotnie do siebie dzwonili. Wzajemne telefony nabrały intensywności po wyborze Mazowieckiego na pierwszego niekomunistycznego premiera. Teraz, kiedy rząd Unii Wolności chylił się ku upadkowi, Sulimowicz poprosił o spotkanie.

– Na co pan generał ma ochotę? – Eksceleńcja wskazał zastawiony stół. –

A może coś na ciepło? Kazałem przygotować kurę w potrawce...

– Nie ukrywam, że nic nie jadłem od rana. – Sulimowicz podszedł do stołu i bezceremonialnie nałożył sobie na chleb cztery plasterki szynki. Ugryzł duży kęs i zaczął mówić z pełnymi ustami. – Ale sprawy doczesne mogą chwilę poczekać. – Wskazał wzrokiem na drzwi balkonowe, które prowadziły na taras. – Mamy dziś piękną pogodę. Może przejdziemy się przed posiłkiem?

Biskup kiwnął głową i sięgnął do kieszeni sutanny, skąd wyjął mikronadajnik. Odłożył go na parapet, skąd wziął zapalniczkę i paczkę papierosów. Generał również wyjął z kieszeni marynarki podobny aparat i położył obok urządzenia duchownego. Uśmiechnęli się do siebie. Mogli rozmawiać ze sobą szczerze i bez obawy, że ktoś niepowołany usłyszy ich głos.

Wyszli na zwirową alejkę, którą przemierzali zimą osiemdziesiątego dziewiątego. Od tamtego czasu tak wiele się zmieniło. Wałęsa parł do prezydentury. Kraj, jak długi i szeroki, podzielił się na dwa obozy.

– Wszystko wskazuje – biskup zaciągnął się papierosem – że Mazowiecki wystąpi przeciw Wałęsie w ubieganiu się o fotel prezydenta kraju.

– Obywatelski Klub Parlamentarny chyba pójdzie w rozsypkę – stwierdził obojętnie generał.

– Chyba? – biskup nie krył zdziwienia.

– Ma ksiądz rację. Wałęsa już ich zjadł... Tylko, że jak ci na górze zaczynają toczyć wojnę, należy oczekiwać, że spadnie kilka głów tych, którzy stoją niżej.

– Interesujące spostrzeżenie.

– Z pewnością znane księdzu biskupowi, choćby z historii Kościoła powszechnego – w głosie generała dało się wyczuć ukrytą drwinę.

– W ostatnich latach nasz Kościół cieszy się najwyższym zaufaniem społecznym od pół wieku.

– Właśnie dlatego chciałem się spotkać z Jego Eminencją. Mówiąc otwarcie, dochodzą mnie pewne słuchy, że dla niektórych osób wysoka pozycja społecznego zaufania Kościoła jest solą w oku.

– Do niedawna – biskup wyrzucił na trawnik niedopałek papierosa – tym kimś byli pańscy koledzy z politbiura.



– Ależ księżę dobrodzieju! – Sulimowicz rozłożył ręce, zaskoczony, że biskup nie znalazł lepszej riposty. – To dzięki nam osiągnęliście tak wysokie notowania. Ale, jak powiedziałem, wkrótce to może się zmienić. Tylko że tym razem już nie my będziemy ich autorami.

– Byłby pan generał łaskaw wyrażać się jaśniej? W końcu właśnie po to się spotkaliśmy.

– Stary nawyk.

– Zatem ad rem.

– Jak obaj wiemy, na szczytach władzy zaczyna się wojna. Padły już pierwsze słowa, których nie da się cofnąć. Wkrótce ktoś kogoś może oskarżyć o zdradę solidarnościowego etosu. – Głos Sulimowicza był obojętny. – To normalne. Kiedyś bliscy sobie komunardzi prowadzili niedawnych towarzyszy na gilotynę.

– Ależ pan generał ma posępne myśli. Komunardzi to tysiąc osiemset siedemdziesiąty któryś rok...

– Myśli ksiądz biskup, że od tamtej pory cokolwiek się zmieniło? Niedawno dowiedziałem się, że delegowani do MSW przedstawiciele premiera zamierzają wyczyścić ludzi, którzy na Zachodzie, rzekomo, wspierali Solidarność.

– Rzekomo?

– Mówiąc wprost, byli komunistycznymi agentami. Wielu z nich to osoby duchowne.

Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. Spojrzenie Sulimowicza wyrażało znużenie, w oczach biskupa zaś można było dostrzec źle skrywane zainteresowanie. Ksiądz zerwał witkę z mijanej wierzby płaczącej. Potem wskazał na ławkę.

– Siądziemy? Jeśli dobrze pamiętam, nasi kapłani za granicami oddali ojczyźnie nieocenione usługi. W końcu w Kościołach Zachodu zrodził się pomysł pomocy dla Solidarności Walczącej.

– No właśnie. – Sulimowicz westchnął, jakby próbował zrzucić z piersi olbrzymi ciężar. – W takiej perspektywie nie najlepszym przykładem będzie – rozejrzał się wokół, jakby oczekiwał, że ukryty za najbliższym krzakiem sufler podpowie mu nazwisko – na przykład ksiądz Stefan z Nowego Jorku.

– Niemożliwe – w głosie biskupa dało się słyszeć zaskoczenie.

– Mogę zdradzić Jego Eminencji w sekrecie, że wkrótce za Oceanem zacznie się robić gorąco. Nawet jestem pewien, że tak się stanie. Wtedy może wyjść na jaw prawdziwa rola duchownego. – Sulimowicz wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożone papiery i wręczył je biskupowi. – To lojalka i zawartość jego teczki tajnego współpracownika. Już na trzy lata przed wyjazdem z Polski pracował dla nas.

Biskup przebiegł wzrokiem dokumenty:

– Natura ludzka jest nieodgadniona i niekiedy prowadzi człowieka na manowce. – Westchnął, zamierzając oddać dokumenty. Jednak Sulimowicz uczynił przeczący ruch głową, jakby chciał powiedzieć: „Należą do Jego Eminencji”.

– W ramach przyjaźni mógłbym wskazać sporo nazwisk, które mogą wywołać zakłopotanie nie tylko na twarzy prymasa, ale nawet i papieża.

– Wszystko trzeba przeprowadzić niezwykle delikatnie.

Sulimowicz puknął palcem w trzymane przez księdza papiery.

– Odwołując go z nowojorskiej placówki, sprawicie, że nikt nigdy nie dotrze do sedna sprawy.

– Niektórzy ludzie bywają bardzo wścibscy.

– W tym również mógłbym księdzu pomóc. Jego Eminencja chyba nie sądzi, że ksiądz Stefan był jedynym agentem, który pracował dla nas za oceanem? Żli ludzie strzelają, a Pan Bóg kule nosi. W tym przypadku mogę postarać się, by owa kula trafiła nie w tego, w kogo zostanie wycelowana. Inaczej mówiąc, ekipie łowców, która niedługo wylatuje za ocean, wskażę bardziej interesujący cel.

Sulimowicz położył uspokajająco dłoń na ramieniu biskupa.

– Proszę się nie obawiać. To taka sama kanalia. Wcześniej szkodził Kościołowi tu, w kraju. – Uśmiechnął się fałszywie. – Chyba powiedziałem za dużo. Proszę mi wybaczyć, ale w towarzystwie Jego Eminencji wiem, że mogę mówić wszystko, co noszę w sercu. Zatem amerykański problem możecie uznać za rozwiązany.

– To bardzo szlachetne z pana strony.

– Jedni z moich dawnych towarzyszy opowiadają, że zrozumieli swe błędy i, wyznając grzechy, proszą o przywrócenie na łono Kościoła. Inni, zamiast mówić, dają tego dowody czynami.

– To wielce chwalebne, mój synu.

– Jak sam ksiądz wspomniał, ludzka natura jest nieodgadniona i niekiedy prowadzi człowieka na manowce. Dlatego lepiej, żeby nie rzucała cienia na instytucję, która przez tyle lat prowadziła Polaków ku dobremu.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Sulimowicz patrzył gdzieś przed siebie nieruchomymi oczami.

– Sam jednak ksiądz rozumie – zaczął nieoczekiwanie – że informacja o tym człowieku nie powinna wyjść od ludzi z mojego kręgu. – Generał położył szczególny nacisk na słowo „krąg”. – W przeciwieństwie do księdza biskupa – westchnął nieszczercze – nie wszyscy widzą we mnie prawego Polaka i patriotę.

– Ma pan generał rację – wypowiadając te słowa, biskup jednocześnie zadał sobie w duchu pytanie, czego w zamian będzie chciał ten przechrzta. Ostatnim razem wystawił słony rachunek za dossier o jego życiu erotycznym, zebrane przez agentów bezpieczeństwa.

– Jak mógłbym odwdziaczyć się panu generałowi za troskę o nasz Kościół?

– Chodzi o Andrzeja Leszczyńskiego. Dobrze by było, gdyby Jego Eminencja ostrzegł przed nim moich przełożonych

KOLEJKA ROLLERCOASTERA POWOLI pięła się w górę. Im wyżej znajdowały się wagoniki, tym bardziej przeraźliwy wydawał się Annie stukot kół na łączeniach szyn. Dlaczego dała się namówić na niedzielny wypad do wesołego miasteczka? A jeśli już weszli na jego teren, mogli iść na huśtawki albo pokręcić bączki w dużych plastikowych filiżankach karuzeli.

Kto wpadł na pomysł, żeby kupić bilety na to szaleństwo?

Doskonale pamiętała moment, kiedy Andrzej pokazał im migające neony. Potem kupił bilety wstępu. Sam został na dole, wymawiając się lękiem wysokości. Nawet pomógł jej wsiąść do wagonika.

Zerknęła w bok i widząc piętnastometrową przepaść, chwyciła za ramię siedzącą obok córkę. Monika z wypiekami na twarzy oczekiwała na kolejny zjazd.

A jeśli mechanizm nie wytrzyma na ostrym zakręcie i wypadną z toru? Po raz nie wiadomo który Anna zadała sobie w duchu paniczne pytanie. Chryste,

co też strzeliło jej do głowy, żeby dać się namówić temu mordercy?

Może on chce w ten sposób się ich pozbyć? Najpierw zabił Elwirę, a teraz... nikt nie będzie podejrzewał, że...

Kolejka zatrzymała się na szczycie, a pod spodem rozległ się cichy szcęk odłączającej się wciągarki.

„Zdrowaś Mario, łaski pełna” – Anna poczuła gwałtowną suchość w gardle.

Wagoniki runęły w dół. Wiatr niemal zatamował jej oddech. Wtłoczył w otwarte usta powietrze. Pasy napięły się mocno. Wszyscy wrzasnęli. Krzyczeli siedzący z przodu. Darli się wniebogłosy.

Rozbiją się!!!

– Nie!!!

Żyją nadal!

Staczali się pod kątem pięćdziesięciu stopni.

Coraz szybciej.

Gwałtowniej.

Stukot kół stał się grzechotem.

Pędzili.

W stronę zakrętu.

Na złamanie karku.

Ku zatraceniu!

– Aa!!!

A jeśli mechanizm nie wytrzyma?

Objęła Monikę mocno.

„Święć się imię Twoje”.

Zaskrzypiały metalowe obręcze kół.

Zacisnęła mocno powieki.

„Przyjdź królestwo Twoje”.

To już koniec!

– *Santa Maria mater dei...* – gruba kobieta rozdarła się za nimi histerycznie.

Cisnęło nimi w bok.

Gdyby nie pasy bezpieczeństwa, zostaliby wyrzuceni z miejsc.

Szczęśliwie wyszli na prostą. Znowu pikowanie w dół.

Nastolatki siedzące w ostatnim wagoniku zapiszczały przeraźliwie.

Komuś zaczęło się nieprzyjemnie odbijać.

Bała się.

Anna była pewna, że nie znajdzie siły na krzyk.

Znalazła!

Wrzeszczała jak opętana.

Monika zacisnęła powieki. Niekiedy otwierała je i sekundę później, przerażona, na powrót zamykała.

Zakręt w lewo.

Dwa w prawo.

Błyskawiczna prosta.

Znowu lot w dół.

Grzechot kółek.

Metaliczny pisk.

Dudnienie.

– Nie!!!

Jeszcze jeden podjazd. Tym razem łagodniejszy. Wreszcie stoczyli się bezwładnie z niewielkiego wzniesienia i wyhamowali przed bramką wyjściową. Grubaska z przodu próbowała wstać z miejsca, lecz nie mogła ustać na rozdygotanych nogach. Obsługa pomogła jej wysiąść. Jakaś dziewczyna śmiała się głośno. Inna chlipała, by dołączyć do wesołej koleżanki.

Kiedy wysiadły z wózka, Anna chciała tylko stanąć na twardym podeście. Potem rzucić Andrzejowi w twarz, żeby już nigdy, nigdy nie fundował im takiego szaleństwa.

– Mamusiu! – Monika rzuciła się w jej ramiona. – Miałaś genialny pomysł.

– Co?

– Gdybyś mnie nie przekonała...

– Ale...

– Byłam pewna, że wypadniemy na pierwszym zakręcie i zostanie z nas krwawa miazga. – Monika była zachwycona

– Jak się bawiliście?

Podszedł Andrzej. Monika podbiegła i pocałowała go w policzek.

– Wspaniała zabawa.

– Co robimy teraz? – Anna wzięła Monikę za rękę. Jednocześnie pomyślała, że Andrzej powinien być bardziej uważny i wesprzeć ją ramieniem.

– Kiedy pokazałaś nam neon wesołego miasteczka – Andrzej puścił do Anny oko – mówiłaś coś o lodach.

Ruszyli do najbliższego stoiska. Andrzej zamówił dla wszystkich po dużej porcji. Zajęli miejsce przy stoliku, gdzieś z góry napłynął przerażony krzyk.

– Było super. Ale...

– Co?

– Właściwie to nic nie widziałam.

– Jak to?

– Miałam zamknięte oczy.

Andrzej spojrzął na drewnianą konstrukcję rollercoastera.

– Chyba mam na to sposób.

Anna domyśliła się, o czym mówi.

– Nie zgadzam się.

– Na co? – zaciekawiała się Monika.

– Miałabyś ochotę na powtórzenie szaleńczej jazdy? – spytał Andrzej.

W oczach dziewczynki zaigrały radosne chochliki. Zanim jednak odpowiedziała, zerknęła pytająco na matkę.

– Raz ci nie wystarczy? Przecież sama mówiłaś, że myślałaś o śmierci.

– Tak mówiłam? – skłamała.

– A niech tam! – Tym razem Anna zachichotała niczym mała dziewczynka. – Tym razem zobaczymy, kto będzie piszczał najgłośniej!

GODZINĘ PÓŹNIEJ WYSZLI z wesołego miasteczka i Andrzej pożegnał się z Anną i Moniką.

– Myślałam, że pójdziesz z nami na pizzę. – Mała była najwyraźniej zawiedziona.

– Następnym razem zapraszam wszystkich.

– I nie ma żadnych ograniczeń? – upewniła się mała.

– Nie ma...

– W takim razie będziesz bankrutem.

Odprowadził je do samochodu. Kiedy Monika wsiadła do środka, napotkał spojrzenie Anny.

– Co z naszym odlotem do Nowego Jorku?

– Kupiłem bilety dopiero na przyszły tydzień.

– Za cztery dni? Przecież niedawno zamierzałeś jak najszybciej odstawić nas na miejsce. Dzwoniłam do Pan American. Mają na dziś wolne bilety.

– Zanim wylecimy, chcę coś sprawdzić.

Mała zastukała w szybę, niecierpliwie podskakując na tylnym siedzeniu. Anna uchyliła drzwi.

– Jeszcze moment, kochanie.

– Chce mi się pić.

– Zaraz jedziemy. – Ponownie zatrzasnęła drzwiczki. – Chyba powinnam wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Andrzej spojrział na zegarek. Dochodziła trzecia po południu.

– Umówmy się na ósmą na kolację, wtedy o wszystkim powiem.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo zanim bym skończył mówić, mała umarłaby z pragnienia. – Wskazał na nos Moniki, rozpląszczony na szybie samochodu.

Anna pomyślała, że znowu ktoś zamierza mówić jej, co i jak powinna robić. Już miała to powiedzieć na głos, kiedy przypomniała sobie o nocnym telefonie do ambasady i wizycie bandyty.

Okej, mruknęła do siebie w myślach. Do wieczora jest zaledwie kilka godzin.

– Zatem do ósmej. – Wsiadła do samochodu i po chwili odjechała.

Andrzej spoglądał za autem znikającym w tłumie innych. Przywołał taksówkę.

– Hotel Riande

– Continental?

Zdziwił się, że w mieście może być jakiś inny, ale kiwnął potakująco głową.

– Mam tylko dolary. – Pokazał pięćdziesiątkę. Na twarzy kierowcy pojawił się łakomy wyraz. – Znam Panamę – skłamał – więc nie zarobisz tego banknotu, wożąc mnie dokoła miasta. Za dwadzieścia minut mam w hotelu umówione spotkanie. Jak zdążysz: zaoszczędzę czas, ty benzynę i zarobisz całą tę sumę. Dobrze mnie zrozumiałeś?

Taksówkarz przytaknął i gwałtownie wcisnął pedał gazu. Nie zważając na przesuwające się ulicą samochody, wyskoczył z podjazdu przed wesołym miasteczkiem.

Najdłużej przebijali się bocznymi uliczkami śródmieścia do Diaz Avenida. Ale o tej porze na zatłoczonych ulicach Panamy było to jedyne rozsądne rozwiązanie. Naciskając to klakson, to znów pedały hamulca i gazu, kierowca lawirował między samochodami, jakby uczestniczył w szaleńczym slalomie. Kilka razy ich auto niemal otarło się o jadący pasem obok samochód. Gdy już miało dojść do kolizji, oba pojazdy odskakiwały od siebie. Taksówkarz zaczynał wrzeszczeć, co drugie słowo okraszając słowem „puta”. Z gestykulacji obcego kierowcy, który odbijał w bok, można było wnioskować, że pod ich adresem leci nie mniej soczysta wiązanka przekleństw.

Już wkrótce Andrzej zaczął żałować, że pokazał kierowcy pieniądze. To była zbyt niska cena za życie. Już lepiej należało za dziesięć dać się obwieźć dokoła centrum.

Wreszcie zajechali na miejsce, wręczył więc taksówkarzowi za kierownicą pięćdziesiąt dolarów i odetchnął z ulgą. Był cały i zdrowy. Prócz tego dojechali na czas.

W hotelowym holu ogarnął go przyjemny powiew chłodu. Ruszył w stronę szklanych drzwi, prowadzących do Wurlitz Bar. W środku panował senny spokój, przetykany rytmiczną bossa novą. Usiadł nieopodal wejścia, przy oknie wychodzącym na ogród tropikalny. Podszedł kelner. Zamówił sok i kawę.



Zerknął na zegarek. Greg powinien był wylądować godzinę temu na lotnisku. Odprawa paszportowa trzydzieści minut. Lotnisko znajdowało się w niewielkiej odległości od hotelu. Tylko patrzeć, jak ukaże się w drzwiach baru.

Czy postąpił słusznie?

Dwa dni temu, po wylądowaniu w Panamie, jeszcze tego samego dnia zadzwonił do Nowego Jorku. Greg był luzakiem, który miał wszystkich i wszystko gdzieś. Wszystkich – prócz Andrzeja.

Greg uważał się za poetę, a Andrzej potrafił słuchać jego wierszy, które, obiektywnie rzecz biorąc, były do niczego. Pewnego dnia Andrzej przyznał, że sam chciałby kiedyś coś napisać i odtąd Greg uznał ich za duchowych braci, którzy powinni wspierać się w życiu ze wszystkich sił. Dotąd ten obowiązek spadał raczej na Andrzeja, gdyż Greg wszystkie pieniądze wydawał na zakup nowych książek. Ponieważ przez trzydzieści lat uzbierało się ich o wiele za dużo, pewnego dnia Greg otworzył antykwariat. Z tym tylko, że zamiast w nim handlować, on jedynie skupował coraz to nowe pozycje.

Greg mieszkał w Stanach od czterdziestu dwóch lat, kiedy to jako kilkuletni chłopiec przyплыł z rodzicami do Nowego Jorku. Odkąd Andrzej go znał, czyli od dwóch miesięcy, Irlandczyk pracował w antykwariacie i z poezji czytał tylko romantyków. Poza tym tęsknił za rodzinnym Corkiem, którego obraz matka przywiozła ze sobą na pocztówce. Jako prawowierny Żyd nie tykał wódki przez jedenaście miesięcy w roku. Jednak, jak kiedyś wyznał, pierwszego dnia Święta Chanuka zaczynał pić i nie trzeźwiał do styczniowego Tu bi-Szwat. Kiedyś Andrzej spytał, czy pozwalał sobie na jakiegokolwiek odstępstwa od tej reguły?

– Widzisz, przyjacielu... – Greg zadumał się wówczas. – Po pierwsze jestem Żydem. Po drugie muszę jak irlandzki dziadek czasem łyknąć coś mocniejszego. Poza tym Chanuka, rytuał zapalania świec, to czas radości, pojednania i uwielbienia. Nie mam bliskich, a samemu śpiewanie jakoś mi nie idzie. Bez brandy zrobiłbym sobie krzywdę, gdyż tęskniłbym po tysiącokroć. A tak trochę popłaczę, a po wszystkim przez tydzień pęka mi głowa. W sumie mam tylko z tego zysk, gdyż zrzucam niepotrzebne kilogramy, wiadomo bowiem, że jak człowiek pije, to tylko coś tam zagryzie i mniej chce mu się jeść.

Tak więc Andrzej zadzwonił do Grega i poprosił, żeby za dwa dni

przyleciał do Panamy. Oczywiście opłacił samolot w obie strony. Początkowo Irlandczyk szukał sposobu, żeby się wykręcić.

– Mam na głowie antykwariat – sapnął do słuchawki.

– Który należy do ciebie, więc możesz zamknąć go w każdej chwili. Kiedy miesiąc temu poprosiłeś o pożyczkę...

– Nie musisz przypominać, że do tej pory nie oddałem. Co prawda umówiłem się jutro z gościem, który ma pierwsze wydanie poezji Poego, ale w końcu przyjaźń nie wybiera sobie czasu ani...

– Greg – rzucił ostro do słuchawki – zamknij się i słuchaj!

Pięć minut później wszystko było jasne.

Kelner postawił przed Andrzejem sok oraz kawę i w tej samej chwili w drzwiach ukazał się zaspany grubasek. Miał na sobie luźną koszulę, wypuszczoną na sprane lniane spodnie niewiadomego koloru. Głowę przykrywał wielki, wystrzępiony słomkowy kapelusz.

– Jestem, przyjacielu. Co prawda wpadliśmy w taką dziurę powietrzną, że siedząca obok mnie baba obrzygała cały sufit, ale jestem.

Andrzej wręczył Gregowi powrotny bilet lotniczy. Dwa dni temu kupił jeden na nazwisko Grega i dwa na nazwisko Anny.

Andrzej chciał być pewny, że morderstwo Elwiry nie będzie miało wpływu na ich dalszą podróż.

– A zatem, przyjacielu... – Greg bezceremonialnie wypił kawę i sięgnął po szklanekę z sokiem. Potem przywołał kelnera i zamówił na koszt Andrzeja dwa piwa. Oczywiście dla siebie. – Zatem, jak tylko wrócę do Nowego Jorku, pakuję się do taksówki i jadę do antykwariatu. Potem dzwonię do ciebie wieczorem i informuję, czy miałem kłopoty na granicy. A właściwie – podrapałem się w łysą czaszkę – to dlaczego miałbym mieć kłopoty?

– Nie wiem, tak tylko powiedziałem.

Greg kiwnął głową, że rozumie.

W jego oczach Andrzej zobaczył taką prostolinijność, że przyszło mu do głowy, iż powinien uprzedzić przyjaciela.

– To znaczy ktoś może cię wziąć za mnie.

Greg roześmiał się głośno.

– Tylko, że ja ważę dwieście czterdzieści dwa funty, a ty... – zerknął na

Andrzeja krytycznie – co najmniej siedemdziesiąt mniej. To niby jak nas ze sobą pomyłają?

– W paszporcie nie masz wpisanej wagi – wybrnął z sytuacji, unikając dalszych pytań.

Dwie godziny później wsiedli do taksówki.

– Wszystko jasne, jak tylko wrócę do Nowego...

– Masz kłopoty z pamięcią?

– Dlaczego pytasz? – zdziwił się Greg.

– Powtarzasz to już trzeci raz, że jak tylko wrócisz...

– Pomyślałem, że chcesz być pewien, że niczego nie zapomnę.

Na lotnisku podali sobie ręce na pożegnanie.

– Zatem do dzisiejszego wieczoru. – Greg uniósł dłoń do ucha, jakby trzymał w niej słuchawkę telefonu. – Dzwonię – upewnił się Irlandczyk – i mówię, co i jak.

– Okej.

– Najważniejsze – Greg puścił do niego oko – żeby wszystko się dobrze ułożyło.

– Niby co takiego?

– Ten facet od Poego zgodził się spotkać się ze mną jutro rano. Tylko że... – westchnął ciężko.

– Co?

– Powiedział, że cena będzie o sto dolarów wyższa.

Tym razem Andrzej westchnął ciężiej i dał grubaskowi sto dolarów.

Greg ruszył w stronę bramki kontroli paszportowej. Przeszedł ją i zakręcił w stronę sklepu wolnocłowego. Po dzisiejszym porannym locie, kiedy to rzucało nimi w górę i dół, wolał nie ryzykować. Kupił małą piersiówkę Rémy Martin. Potem poszedł do toalety i zamknął się w kabinie. Nie powinien był pić. Do grudnia było jeszcze sporo czasu. Ale cóż mógł poradzić, skoro przyjaciel poprosił go o przysługę.

Przechylił butelkę. Wstrząsnął się i wrzucił ją do plastikowego kosza.

Ruszył w stronę odprawy celnej i wkrótce znalazł się w poczekalni. Usiadł i czekał na wezwanie do podejścia do wyznaczonego gate'u.

Alkohol zaczynał przyjemnie szumieć w głowie. Zrobiło mu się nieco głupio, że naciągnął Andrzeja na stówkę. Z tym Poem pojechał po bandzie. Egzemplarz poezji, z końca XIX wieku, już kupił za kilka dolarów na straganie ze starzyzną. Prawdopodobnie sprzedający nawet nie miał pojęcia, czego się wyzbywa. Wytargował zatem broszurę za niecałe dwa dolary. W rzeczywistości warta była dwieście. Greg nie wzięłby od Andrzeja złamanego centa, ale ten był przy forsie. Tak przynajmniej usłyszał od Sunny, królującej za ladą baru Odessa.

Greg dobrze zapamiętał dzień, gdy widział ją, jak stała w szlafroku na balkonie na pierwszym piętrze i strzelała z pistoletu do mężczyzny tkwiącego nieruchomo na chodniku. Wydawało się, jakby tamten chciał, żeby go trafiła. Stało się inaczej. Od tamtego dnia, kiedy Greg wchodził do baru na kawę, zawsze odnosił wrażenie, że Sunny na kogoś czeka. Czyżby na faceta, którego nie udało jej się zabić?

KIEDY ZA DOSTARCZYCIEM specpoczty zamknęły się drzwi, panna Rose Simons włożyła do ust anyżowego dropsa. Przyniesiona koperta była zamknięta w specjalnej, zaplombowanej skórzanej kopercie. Zerknęła na adres nadawczy i wcisnęła przycisk interkomu.

– Tak?

– Jest przesyłka z Montevideo.

– Świetnie.

Panna Simons wstała zza biurka i, nie pukając, otworzyła drzwi gabinetu. Podeszła do Schneidera.

Natan właśnie gapił się w okno, którego szyby znaczyły mokre plamy deszczu.

– Mówili, że będzie słońce. – Poprawił kamizelkę garnituru, jakby jej nieskazitelnie ułożony materiał uległ zagięciu. – Czy dzisiaj można jeszcze komukolwiek wierzyć?

Panna Simons wiedziała, że powinna odczekać, nim szef wyrzuci z siebie poranne przygnębienie. Potem wyszła z gabinetu, zamykając za sobą cicho drzwi. Była pewna, że zapatrzony w okno dyrektor nawet tego nie zauważy.

Jeśli chodzi o pogodę – zerknęła w okno sekretariatu – to boss miał rację.

Zegar zaczął wybijać południe. Schneider sięgnął po stojący na prawym

brzegu biurka talerzyk z jabłkiem i nożykiem. O jedenastej rano postawiła go tam Simons. Natan powoli obierał owoc ze skórki. Jednocześnie zaczął czytać przyniesiony raport.

Z ustaleń funkcjonariuszy agencji antynarkotykowej DEA wynikało, że Jimena Coriales zginęła od strzału w klatkę piersiową. Kula pochodziła z pistoletu beretta, który był na wyposażeniu policji w Montevideo. To jeszcze nic nie znaczyło. Na miejscu morderstwa ekipa śledcza nie znalazła śladów, które pozostawiliby po sobie napastnicy lub napastnik. Żadnych odcisków palców, obuwia, pistoletowych łusek, nic. Chyba jednak należało mówić o strzelających. Obie zostały zabite niemal w tym samym czasie. Mogło zatem być dwóch napastników. Wobec braku śladów na miejscu zbrodni, można z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że w tym przypadku przestępstwa dokonali fachowcy. W komendzie policji w Montevideo sprawę powierzono dwóm policjantom wydziału kryminalnego...

Prócz imienia Enrique Natan nie mógł odczytać pod rozmazanym tuszem dalszych danych. Obecnie nie miało to większego znaczenia.

Odkroił kawałek jabłka i niósł go do ust na ostrzu nożyka. Na sekundę zamarł, przebiegając pośpiesznie oczami po kolejnym raporcie.

Słusznie postąpił, nakazując, żeby kontrolowano wszystkie wschodnio brzmiące nazwiska osób, które kupiły bilety i zamierzały polecieć z Ameryki Południowej do Stanów Zjednoczonych. Kazał szukać dwóch osób: Granier i Wermer. Z otrzymanych informacji wynikało, że pani Granier zamierzała przylecieć do Stanów wraz córką w towarzystwie Grega MacCoina. Czy pod takim nazwiskiem Andrzej Leszczyński zamierzał przywieźć Wermer wraz z córką do Stanów?

Natan lubił podobne chwile i nazywał je „istotnymi momentami wstępnej rozgrywki”. Nigdy nie był hazardzistą, a jednak w takich sytuacjach czuł mrowienie w opuszkach palców, jakby miał dotknąć kart. W DEA nic nie wiadano o tym, że jedna z Polek wykradła z paryskiego banku komunistyczne archiwum. Znowu CIA, jak wynikało z ich analiz, uznała związek Polki i agentki DEA za mało istotny.

To, czy owe powiązania mają sens, pokaże najbliższa przyszłość. Żeby jednak ów sens odnaleźć, najpierw należało drobiazgowo przeanalizować wszystkie wydarzenia i zadać stosowne pytania.

GREG OTWORZYŁ OCZY. Zobaczył uśmiechniętą twarz stewardesy.

– Wylądowaliśmy. Prawie wszyscy opuścili samolot.

– Jasne.

Ziewnął i wstał z miejsca. Wyjął bagaż z otwartego schowka i ruszył do wyjścia.

– Jesteśmy o czasie? – Odwrócił się do idącej za plecami dziewczyny.

Zamiast odpowiedzieć, kiwnęła głową.

Wszedł do rękawa portu lotniczego. Kilkanaście minut później doszedł do stanowiska odprawy nowojorskiego lotniska Kennedy’ego.

Funkcjonariusz wziął do ręki jego paszport i zaczął mu się przyglądać z uwagą. Gapił się na jego zdjęcie, żuł gumę i coś sprawdzał w papierach.

– Czternaście godzin temu wyleciał pan do Panama City?

– I co z tego?

– Ja zadaję pytania.

– Owszem, poleciałem.

– Po wylądowaniu odczekał pan dwie godziny i wrócił do kraju?

– Mógłbym zapytać, czy to zabronione, ale to pan zadaje pytania, więc odpowiadam krótko: tak.

– Co „tak”?

– Poleciałem, pokręciłem się dwie godziny po mieście i wróciłem. – Rozmowa zaczęła Grega denerwować.

– Miał pan przylecieć z kobietą i dzieckiem.

– Przyleciałem sam i nic nie wiem o żadnej kobiecie ani tym bardziej dziecku.

Greg instynktownie odwrócił głowę i zauważył stojących za jego plecami dwóch cywili ubranych w ciemne garnitury. Na milę jechało od nich „fedliną”, jak Greg określał agentów federalnych. Nie rozumiał też, dlaczego poproszono go, żeby poszedł za funkcjonariuszami do odosobnionego pomieszczenia, gdzie zamierzano mu zadać kilka pytań.

– Czy jestem o coś oskarżony?

– W żadnym wypadku. – Mężczyzna o twarzy poznaczonej głębokimi dziobami po ospie pokręcił przecząco głową. – Chcieliśmy jedynie uzyskać

od pana potwierdzenie lub zaprzeczenie określonych informacji.

Posadzili go w pustym pokoju i zapytali, czy zna Andrzeja Leszczyńskiego?

- To mój sąsiad, ale nie widziałem go od pewnego czasu.
- Pewnego?
- Tydzień? Może dwa tygodnie? Słyszałem, że kiepsko mu się powodzi.
- Mieszkacie w jednym domu?
- Aha! Ale znamy się stąd, że jadamy w jednym barze. To wszystko.

W Gregu obudziła się przezorność. Jego ojciec powtarzał mu aż do śmierci: „Nie wychylaj się, bo przeciąg urwie ci jaja”. Dlaczego nie głowę? Greg długo nie mógł tego zrozumieć. Stary był zawsze zbyt dosłowny w tym, co mówił. Tak więc nie zamierzał afiszować się ze znajomością Polaka. Przynajmniej nie przed agentami.

- Co pan o tym myśli?
- O czym?
- Mówił pan, że...

Zrobił zaskoczoną minę.

– Ja? Coś mówiłem? – wyrzucił z siebie podniesionym głosem. – Powtarzam, co usłyszałem na ulicy. Raz słyszę to, raz co innego.

– A to coś innego – nie ustępował agent – to co takiego?

– Mops tej suchej Lei Szłomo, który to czworonóg ma raka odbytu i nie może się załatwić. I wszystkich nas to denerwuje, bo Lea płacze nocami. Ściany są cienkie i nikt nie może spać przez to jej szlochanie. A jak już człowiek uśnie, to śni mu się, że jest tym zaślinionym bydlęciem mopsem. I wtedy się napina i napina i nic nie może zrobić... To czy tak długo można żyć?

Funkcjonariusz próbował wpaść Gregowi w słowo, ale ten nie przestawał mówić.

– Dlatego my ją od roku błagamy: Lea, nieszczęście ty nasze, co to nam siedzisz na karku jak wrzód o zaślinionej gębie mopsa. Idź ty do weterynarza.

Lea płacze i pyta: „Po co?” Jak to po co? Niech mu znowu co wytną albo dadzą na sen wieczny, spokojny i bez bolesnego wypróżniania. Już my się złożymy w całej kamienicy po tych kilkanaście centów na zastrzyk. Niech on

wybawi to biedne zwierzę od męczarni i tych biednych ludzi, którzy przez niego męczą się już nie tylko w łóżkach, ale we własnych ubikacjach. Ale czy Lea Szlomo kogokolwiek słucha? Nie! Nigdy! Ona nawet nie słuchała swoich biednych rodziców, co to przez nią dostali fioła. A przecież właśnie przez lekceważenie rad starszych i mądrzejszych została się starą panną z dzieckiem i tym cholernym mopsem z rakiem odbytu.

– A POTEM ZACZAŁEM opowiadać o dziadku Patryku, któremu tydzień temu ukradziono metalową szczękę. I wtedy fedzie wzięli mnie pod pachy i wyrzucili za drzwi. – Andrzej usłyszał westchnienie Grega w słuchawce. – Wyrzucili jak byle przybłądę, a nie właściciela kompletnie niedochodowego antykwariatu.

– Tylko o to pytali? – Andrzej był coraz bardziej zniecierpliwiony monologiem Grega.

– Ty się czegoś boisz, że mnie tak podpytujesz?

– Nie powiedziałem ci wszystkiego.

– I bardzo dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Ty nic nie mówiłeś, więc nic nie mogłem powiedzieć o tobie i nie mam przez to grzechu kłamstwa na sumieniu.

– A telefon, przez który rozmawiamy? Może jest na podsłuchu?

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

– Z tego telefonu korzystam już dziesięć lat i pies z kulawą nogą nigdy nie przysłał mi za to choćby pięciocentowego rachunku. Więc jak oni mogą mnie podsłuchiwać, skoro nie mam żadnego telefonu?

Andrzej nalał sobie do szklanki whisky.

– Dzięki za pomoc.

– Czasami jakaś rozrywka przydaje się dla odmiany szarych dni. Zwłaszcza jeśli funduje przyjaciel. W końcu jak długo można siedzieć nad książkami? Do zobaczenia. – Rozległ się trzask przerwane połączenia.

Andrzej podszedł do okna. Z trzeciego piętra hoteliku Palo Grande rozciągał się widok na zatokę. Na nocnym niebie księżyc jaśniał srebrnym kręgiem, który po wielokroć odbijał się w ciemnych wodach Oceanu Spokojnego. Chyba położy się i coś poczyta...



– Mieliśmy porozmawiać w czasie kolacji – usłyszał głos wchodzącej do pokoju Anny.

– Dzwoniłem do Grega.

– Już z nim rozmawiałeś?

– Tak.

– Coś z tego wynika?... Myślę o naszej sytuacji, mojej i dziecka.

Odwrócił się twarzą do pokoju. Anna usiadła w fotelu. Miała na sobie ciemnobłękitną bawełnianą sukienkę. Wsparła głowę na prawej ręce, opartej na poręczy fotela. Wydawała się zagubiona.

– Gdybyśmy wylecieli samolotem, na który kupiłem bilety, to najprawdopodobniej zostalibyśmy aresztowani przez FBI.

– Co oni mają z tym wspólnego?

– Może również chcieliby zajrzeć do twoich mikrofisz?

– A jeśli?

– Co?

– Może ci z Warszawy poprosili ich o pomoc?

– Wątpię.

– Co teraz?

– Tak jak planowałem, wracamy do Nowego Jorku.

– Nie musimy. Możemy lecieć, gdzie tylko nam się podoba.

– Ale tylko w tamtym mieście nikt nas nie znajdzie.

– Skąd pewność?

– Na niewielkim obszarze żyje ponad dziesięć milionów ludzi. Znasz większy tłum, w którym moglibyśmy się zgubić?

Anna zmrużyła powieki, jakby próbowała się lepiej przyjrzeć stojącej w półmroku postaci Andrzeja. Dlaczego powiedział „moglibyśmy”. Odkąd zobaczyła swój dom, z którego wychodzą policjanci i przed którym stoi prosektoryjna karetka, coś w niej pękło. Teraz miała wrażenie, że niczym oślepiąca próbuje to coś zebrać z podłogi pomieszczenia, w którym panowała absolutna ciemność. Co to było za pomieszczenie i czym było owo „coś”?

– Dotąd mówiłeś, że chcą tylko mnie.

– Najwyraźniej od tamtego czasu wiele się zmieniło.

– Dlatego wyjechaliśmy z miasta?

– Nie podoba ci się okolica?

Zbyt późno dostrzegł, że palnął głupstwo. Choć Anna mówiła zimno i powoli, jednak z każdego słowa przebijała narastająca złość.

– Nie podoba mi się, że ktoś mnie i moją córkę traktuje jak przedmiot. Nie jesteśmy bagażem, który, jak przyjdzie ochota, schowasz do dworcowej skrytki. Tu chodzi o nasze bezpieczeństwo. Dlatego muszę o wszystkim wiedzieć.

– O czym chcesz wiedzieć? – Andrzej odstawił pustą szklankę na stolik. – Bo jeśli chodzi o mnie, to nic z tego nie rozumiem. – Zaczął spacerować po pokoju. – Ktoś chce, żebym przywiózł cię z Montevideo do Nowego Jorku. Okej, czemu nie? Płacą za wszystko. Wsiadam do samolotu i kilka dni później podjeżdżam samochodem pod twój dom, w którym zamordowano dwie osoby. W nocy okazuje się, że ukryty gliniarz pilnuje willi. Rozumiesz coś z tego? Są tylko dwa rozwiązania. Zamierzano cię zabić i w twoich rzeczach znaleźć to, z czym przyjechałaś do Urugwaju.

– Lub?

– Zabiłaś współniczkę i próbowałaś wymknąć się policji.

– A jeśli nie zrobiłam żadnej z tych dwóch rzeczy?

– To znaczy, że rozpoczęto na ciebie polowanie. Wróc. Jest jeszcze inne rozwiązanie. Zabito dwie kobiety. Czyli tamci byli przekonani, że zlikwidowali dwie wskazane im osoby. Potem wystarczyło, w ramach policyjnego śledztwa, przeszukać wasz dom i znaleźć to, co schowałyście. I na koniec do skrytki zamiast mikrofisz podrzucić narkotyki. Sprawa czysta i prosta. Dwie amatorki miłosnych przygód zafundowały sobie kokainowe wakacje. Potem doszło między nimi do kłótni. Może z zazdrości? Co za różnica, jaki ktoś wymyśliłby na tę okoliczność scenariusz?

– Brzmi logicznie.

– Tamtej nocy, gdy wróciłaś do domu po mikrofisz, dałaś mi pewność, że nie masz zielonego pojęcia o rozpoczętym na ciebie polowaniu. Naiwność bywa niebezpieczna. Na szczęście zdjęłem czekającego na zewnątrz policjanta. Tylko że potem zadzwoniłaś, niczym durna cipa, do polskiej ambasady.

– Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. – Anna uderzyła dłonią o

poręcz. – Zaczynaj myśleć! Jak zachowałbyś się na moim miejscu? Przyjechałeś do Urugwaju, ale nie zależy ci na kontakcie z policją. Raczej unikasz ich towarzystwa. Chcesz tylko żyć spokojnie, z dala od jakichkolwiek kłopotów. Jednak pewnego dnia podjeżdżasz pod własny dom i widzisz przed nim gliniarzy. Nim odjedziesz, wynoszą przykryte prześcieradłem zwłoki. Domyślasz się, że zabito twoją przyjaciółkę. Nie możesz jednak rzucić wszystkiego w diabły. Musisz zabrać coś, po co przyszli tamci, którzy zamordowali Elwirę. Wracasz więc w nocy, a tam z mroku wyłazi facet i mówi jakby nigdy nic, że jest twoim przyjacielem. Potem gada, że powinniśmy razem polecieć do Nowego Jorku, gdzie oddam to, co do mnie nie należy. Jak już wszyscy będą zadowoleni, a każdy dostanie, co chce, uściskną mi dłoń i będę wolna. Uwierzyłbyś na moim miejscu?

– Co w tym było nie tak?

– Trzeba być idiotką, żeby dać wiarę takiej bajce. Zadzwoiłam więc do ambasady. Mimo wszystko jest z tego jakaś korzyść. Ludzie, do których miałeś mnie zawieźć, zmienili zdanie i już teraz mieli ochotę posłać mnie na tamten świat. I kto wyszedł na złamasa, który dał się wykołować? Ja czy ty?

Anna zaczęła spacerować po pokoju. Andrzej przyglądał się spod przymrużonych powiek, jak przemierza pokój długimi krokami. Miała ładne nogi. Cholera z nią i jej humorami!

– Zatkąło jaśnie pana? – prychnęła pogardliwie.

– Zastanawiam się, jak można być tak naiwną, żeby wbić sobie do główki brednie, które przed chwilą usłyszałem. Od czasu wyboru Mazowieckiego Ministerstwo Spraw Zagranicznych dokonało wymiany personelu najważniejszych ambasad. Myślę o Londynie, Paryżu, Berlinie czy Nowym Jorku. Co z pozostałymi ambasadami i konsulatami? Jak sądzisz, ile ich mamy na całym świecie?

Zamiast odpowiedzieć wzruszyła ramionami.

– Kilkaset, i średnio licząc, pracuje w nich parę tysięcy ludzi. Tych najważniejszych, odpowiedzialnych za szyfry, kontakty i wszystkie sprawy związane z wywiadem jest co najmniej jedna trzecia.

– Po co to mówisz?

– Solidarnościowcy roznoszący w podziemiu ulotki może i byli dobrzy do organizowania ulicznych zadym. Ale do pracy w wywiadzie potrzeba

fachowców. Nowa władza nie ma ich wielu. Dlatego zaufanymi obsadzono jedynie najważniejsze ambasady. Takie zadupia jak Montevideo pozostawiono na później.

– Nadal nie rozumiem.

Niczym mała dziewczynka, złapana na kłamstwie, zacisnęła usta w podkówkę i patrzyła na Andrzeja prowokującym wzrokiem.

– Przecież mówiłaś, że jesteś inteligentna.

Chciał jeszcze coś dodać, żeby poszło jej w piętę. W porę dostrzegł wąską kreskę bielejących warg. Potem to złe spojrzenie. Świdrowała go węgielkami oczu jak wówczas w Montevideo. Coś szepnęło ostrzegawczo, żeby nie przeginał. Ona była gotowa rzucić się na niego z pięściami.

– Z tego, co dotąd powiedziałem, jasno wynika, że choć Mazowiecki objął władzę, nadal na wielu szczeblach pozostali ludzie, którzy niedługo stracą przywileje. Inaczej mówiąc, ci, których okradłaś, mają jeszcze długie ręce i nie zamierzają podarować Annie W. tego, że wystawiła ich do wiatru.

– Okej, źli faceci chcą mnie dorwać. Ale rzecz jasna ci dobrzy, którzy wysłali ciebie po mnie, są mili i pragną tylko mojego szczęścia.

– Inkasując w zamian mikrofiszę.

– Jednak coś idzie nie tak. Twój przyjaciel Greg, kiedy wrócił do domu, nie został powitany na lotnisku kwiatami. Na pewno dzięki swej wybitnej inteligencji już rozwiązałeś tę szaradę.

Usiadła ciężko na kanapie i schowała głowę w dłoniach. W pokoju zapadło milczenie. Wreszcie Anna usłyszała cichy i niepewny głos Andrzeja:

– Nie znam odpowiedzi i nie mam zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Jego bezradność wytrąciła Annie z rąk wszystkie argumenty. Czy mogła złościć się na faceta, który wydawał się być tak samo zagubiony w tym wszystkim jak i ona?

Siedzieli w milczeniu, gapiąc się w ścianę, na której wisiał rdzawo-niebieski bohomaz.

– Nikomu nie dam skrzywdzić mojej córki – głos Anny był zimny, a słowa wypowiedziała pewnie, dokładnie artykułując każdą głoskę.

– Może i jestem gburem i pajacem – mruknął na tyle wyraźnie, że mogła

go zrozumieć – ale nikt nie będzie ze mnie robił wała.

– Co zamierzasz?

Andrzej nie dał po sobie poznać, że czekał na to pytanie. Źle zaczął rozgrywkę. Zapomniał, jak należy rozmawiać z kobietami. Niczego się nie osiągnie, idąc na udry. Należało wysuwać sugestie, niby przypadkiem wskazywać dobry kierunek rozwiązania problemu. Potem tylko cierpliwie czekać, aż pobiegną tam, gdzie wskazało się kierunek. Kobiety to głupie stworzonka, którym wystarczy wmówić, że wszystko dzieje się podług ich woli, a wówczas zrobią to, czego się od nich chce.

– Polecimy do Baltimore – zaczął zmęczonym głosem. – Wynajmiemy samochód i dostaniemy się do Nowego Jorku. Tam znajdę czas, żeby rozejrzeć się w całej sytuacji.

– Dlaczego do Baltimore?

– Bo właśnie teraz nazwa tego miasta przyszła mi do głowy. Przypadkowy wybór, więc nikt nie wpadnie na to, że właśnie tam polecimy. – Zacisnął dłonie w pięści. – Dobry plan?

– Wydaje się nie najgorszy.

Annie przebiegło przez głowę, że niepotrzebnie się stawiała. Facetów należy traktować jak małych chłopców. Należy im przytakiwać, czasami nawet wyrazić zaskoczenie, że wpadli na genialny pomysł. Wszyscy są naiwniakami, którzy nigdy nie wpadną na to, że tak łatwo można nimi manipulować.

Spojrzała na profil Andrzeja ostro rysujący się w świetle lampy ustawionej w rogu pokoju. Wysokie czoło, kształtny nos, ładnie zarysowana kreska, stanowczy kontur brody. Przystojny...

Nieoczekiwanie rozległo się pukanie do drzwi.

– To Monika – Anna wstała z kanapy.

Otworzyła drzwi i zobaczyła w progu niewysokiego chłopca z uśmiechniętą buzią Kaczora Donalda, ubranego w krótkie spodenki i jasny podkoszulek. Obok stała córka. Oboje trzymali się za ręce.

– *Buenos días, señora.* – Młody dżentelmen skłonił głowę. – Mam na imię Federico i mieszkam w tym hotelu z rodzicami, pod numerem czterdzieści sześć. Byłoby mi bardzo miło, gdyby pozwoliła pani córce zjeść ze mną i moimi rodzicami wieczorne lody. Stolik jest już zamówiony na tarasie

hotelowym od strony parku.

Anna miała ochotę głośno się roześmiać, ale przyszło jej do głowy, że chłopiec był bardzo przejęty wyrażoną przed chwilą prośbą.

– Jeśli twoi rodzice się na to zgodzili... – Spojrzała na córkę. – O której wrócisz?

Federico nie dał Monice dojść do słowa.

– Zapewniam panią, że przed godziną dwudziestą drugą, po której dorośli powinni mieć czas dla siebie, pani córka wróci do zajmowanego przez nią pokoju.

– Zatem zgoda.

Federico uklonił się po raz wtóry, a potem uśmiechnął się szeroko i pociągnął Monikę za sobą.

Anna wróciła na kanapę.

– Książkę z bajki? – Andrzej puścił do niej oko.

– Może... Powiesz mi coś? – Usiadła obok niego.

– Słucham.

– Zawsze ze wszystkiego drwisz?

– Zawsze wszystko traktuję bardzo poważnie.

– Nie wydaje mi się.

– No... – westchnął głośno. – Może czasami o niektórych sprawach myślę z przymrużeniem oka.

Zapadło milczenie.

– Nad czym się zastanawiasz? – pytając, nie spojrzała w jego stronę.

– Czy do siebie pasujemy?

– Miało być o tobie.

– Nie pasujemy?

– Nie jesteśmy do siebie podobni.

– Choć moneta jest jedna, ale ma dwie różne strony: awers i rewers.

– Nie zamierzam nic kupować.

– A ja sprzedawać.

– Awers i rewers. – Zamyśliła się. – Brzmi oryginalnie.

– Życiowo. – Sięgnął po stojącą na stoliku szklanę, jakby spodziewał się, że na jej dnie znajdzie jeszcze kilka kropel alkoholu.

– Nigdy mi nic o sobie nie mówiłeś. – Przeniosła się na fotel, na drugą stronę, jakby chciała widzieć jego twarz, gdy będzie mówił. – Byłeś żonaty i żona nie umarła na raka?

– Tak.

– Zatem świadomie mnie oszukiwałeś.

– Tak. Ale potem...

– Jak było wam razem?

– Raz lepiej, raz gorzej. A mówiąc prawdę, to „pomiędzy”. Wszystko przez Cyganę.

– Jaką Cyganę?

– Jak byłem chłopcem, spotkałem jedną. Powiedziała, że opowie o wszystkim, co mnie spotka w nadchodzącym życiu.

– Uwierzyłeś?

– Dzieciaki są bardzo ciekawe, czy będą szczęśliwe, bogate i takie tam...

– Co wywróżyła?

– Że pewnego dnia polecę za wielką wodę i odnajdę kogoś, kogo straciłem.

– Uwierzyłeś?

– Jestem za wielką wodą.

– Znając ciebie, pomyślałabym, że nie chcesz burzyć wywrózonego ci losu i robisz wszystko, żeby przepowiednia się spełniła.

– Może masz rację...

– Gdzie studiowałeś?

– Skończyłem polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Potem trafiłem do MSW.

– Prawda, mówiłeś kiedyś o tym. Gdyby cofnąć czas o tydzień...

– To?...

– Przyjechałbyś do Montevideo?

Znowu zobaczył w jej spojrzeniu przekorę małej dziewczynki. Była ładna

w swej naiwności i udawanej sile. Kosmyk włosów zsunął się na czoło, nadając twarzy łobuzerski wyraz. Oczy ciemne, osadzone w otoczce długich rzęs. Usta pełne, wyraźne... Była piękną kobietą.

– Nie odpowiedziałeś...

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER odłożył na brzeg biurka równo obcięty nożykiem ogryzek jabłka. Na zegarze dochodziło wpół do pierwszej. Wstał zza biurka i ruszył do drzwi gabinetu. Nacisnął kłamekę i wszedł do sekretariatu. Panna Simons jak zwykle była przygotowana. Wręczyła skórzaną teczkę z szyfrowym zamkiem. Potem obrzuciła wzrokiem nieskazitelny garnitur i otworzyła przed Schneiderem drzwi wyjściowe.

Natan przeszedł na drugą stronę korytarza, gdzie znajdowała się niewielka sala konferencyjna. W duchu nazywał ją „pralnią mózgów”. Za stołem przykrytym czarnym błyszczącym laminatem siedziało jego dwóch dyrektorów. Każdy kierował osobnym zespołem eksperckim, którego zadaniem była weryfikacja dotychczasowych działań Instytutu Schneidera, ocena skuteczności bieżących akcji i planowanie kolejnych posunięć.

Obaj stawili się na drugim piętrze punkt dwunasta. Tak nakazał Natan. Kiedy zatem wszedł do środka, zobaczył dwóch mężczyzn siedzących w oddalonych od siebie miejscach sali narad. Schneider był przekonany, że przez ostatnie dziesięć minut nie zamienili bodaj jednego słowa. Konkurowali ze sobą i każdy mógł uważać się za zwycięzcę lub przegranego. Góra, dół. Piekło, niebo. Na tej zasadzie dawania nagród za sukces lub karanie za porażkę przez trzydzieści lat urzędowania Natan w swoich decyzjach nigdy nie popełnił znaczących błędów, które mogłyby narazić Instytut na kłopoty.

Dwaj mężczyźni, którzy przywitali się z przybyłym podaniem ręki i nieznacznym skinieniem głowy, serdecznie się nienawidzili. Natan nazywał ich: „Primus” i „Secundus”. Jeśli Primus o jakimś problemie mówił „tak”, obowiązkiem Secundusa było znalezienie argumentów na „nie”. To jednak dla Natana było za mało. Każdy z nich musiał też wskazać przekonujące uzasadnienie, że to on ma rację, a oponent się myli.

Jeśli któryś z doradców tracił agresję, Natan wymieniał go na bardziej krwiożerczego. Dotąd zdarzyło się tak tylko raz, przed dwudziestu laty. Wówczas Primus był kobietą, a Secundus mężczyzną. Od tamtego czasu



zrezygnował z kobiet. Gdyby nie panna Simons, miałby o nich zupełnie negatywną opinię. Chociaż... Simons była Murzynką, zatem w sumie niewiele to zmieniało w tym, co myślał o płci przeciwnej.

Zawsze kiedy przyjmował nowego pracownika, wypowiadał znamienne słowa: „Nie chcę, żeby pan się ze mną zgadzał. Jeśli pewnego dnia nie będzie pan miał własnego zdania na określony temat, to będzie on ostatnim dniem naszej współpracy”. Ci, którzy wytrzymywali z Natanem co najmniej pięć lat, mogli liczyć, że dyrektor znajdzie im stanowisko na szczytach urzędniczej hierarchii Waszyngtonu. Z nakazu Natana cała struktura Instytutu działała na schemacie trójkowym: boss i dwóch oponentów-doradców.

Przyglądając się swoim dyrektorom, Natan po raz pierwszy od dwudziestu lat dostrzegł swoistą prawidłowość, która dodatkowo fizycznie ich dzieliła. Secundus był wysoki, Primus nie zaliczał się do najwyższych. Jeden był gruby, drugi należał do szczupłych osób. Introwertyk, ekstrawertyk. Matematyk, lingwista. Obaj jednak mieli to coś, co wyróżniało ich spośród setek innych. Primus miał ochotę przegryźć gardło Secundusowi i odwrotnie!

Dyrektor rozłożył przed doradcami przyniesione dokumenty i pokrótce przedstawił spostrzeżenia, które dotyczyły Anny Wermer i zastrzelonej agentki DEA. Dalej jego dwa psy gończe miały już pójść wskazanym śladem.

Natan przywołał w pamięci poranną rozmowę z Secundusem. Doradca omówił z nim raport dotyczący wydobycia ropy w Zatoce Meksykańskiej. Zanim wyszedł, spojrzał pytająco na Schneidera.

– Mógłbym o coś spytać?

– Słucham.

– Dlaczego interesujemy się Polkami?

– Jedna z nich miała romans z agentką DEA. Nie jest to dla ciebie wystarczający powód, by tymi kobietami zainteresował się Instytut? W Urugwaju mamy kilka niedokończonych spraw. Jakich? Myślę, że przyjdzie czas, kiedy się o nich dowiesz. Na razie ta wiedza może być jedynie niepotrzebnym obciążeniem.

– Rozumiem. To znaczy...

– Nie rozumiesz. – Schneider nie dał dokończyć. – I wierz mi, to jest chwilowo najlepsze w rozwiązaniu sprawy, którą zacząłem przed ośmioma laty.

GEEN DAAR BYŁ SZCZUREM, który potrafi żyć tylko w cieniu i w bezpiecznej odległości od ludzi. Taka była jego karma i przeznaczenie.

Jak to się stało, że pewnego dnia zapragnął zabić wszystkich? Miało to miejsce przed ośmioma laty, w dniu jego urodzin. Skończył dwadzieścia sześć lat. Tamtego dnia w zaułku jednej z uliczek portowych As-Sawira w Maroku znalazł pistolet. Stary model parabellum P 08 z końca I wojny światowej. Broń była w doskonałym stanie, a w magazynku tkwiły dwa naboje. Powąchał lufę. Najwyraźniej była niedawno używana, gdyż wyczuł wyraźną woń prochu.

Ktoś zgubił pistolet? A może zostawił go celowo, żeby Geen Daar wreszcie odnalazł parabellum? Może czekało na niego do momentu, gdy schylił się i odgarnął rudy piasek, spod którego wystawała czarna obsydianowa lufa?

Tamtego dnia Geen był na wycieczce turystycznej. Jakiś czas wcześniej, niczym inni podobni do niego greccy urzędnicy, wykupił tygodniowy pobyt turystyczny. Tak jak w poprzednich latach miał w planach opalać się, kąpać w basenie i chodzić na wycieczki z przewodnikiem ze znudzoną miną. Dlaczego znudzoną? As-Sawirę Geen odwiedzał po raz trzeci. Radzono mu, żeby wybrał inne, bardziej urokliwe miejsca, jednak gdy nadchodził marzec, on szedł do biura turystycznego Skopos i wykupywał tygodniowy pobyt w hotelu Mogador, gdzie już od pierwszej wizyty personel zaczął mówić o nim: „Ten walnięty milczek, Grek”. Dlaczego walnięty? Było zrozumiałe, że mógł się wściec, gdy w czasie porannego posiłku zobaczył włos na swoim rzekomo czystym talerzu. W końcu golił twarz i głowę dwa razy dziennie i nie znosił jakichkolwiek włosów na ciele. Ale żeby zaraz nazywać go walniętym albo łysym Grekiem?

Inni w trakcie wycieczki doznawali metafizycznego wstrząsu, siadając półdupkami na przydrożnych wiekowych skałkach, za którymi odlewali się legionie stacjonującej w Tangerze VI kohorty Publiusza Decimusa Grakchusa, on włóczył się po wąskich wypalonych słońcem uliczkach starej części miasta. Tu też śmierdziało moczem, tylko że mniej antycznym.

Właśnie jednego z takich dni znalazł pistolet. Wziął go do ręki i doznał wstrząsu. Oglądając broń, dotknął wytartego języka spustowego. Ile razy go naciśnięto? Czy tę lufę kiedykolwiek przystawiono do głowy człowieka? A jeśli tak, jaki był odgłos pękającej czaszki, w którą uderzył pocisk?

Geen Daar znał się na broni. Taka była jego karma i przeznaczenie. Starą

strzelbę ojca nauczył się rozkładać i składać już w wieku sześciu lat. Zawsze konkurował w tym z bratem bliźniakiem. Nie mógł poradzić sobie z mechanizmem zamka, który bezskutecznie próbował złożyć odwrotnie. Może dlatego ojciec zaczął nazywać pierworodnego na opak Daar Geenem. Początkowo nikt nie wiedział, który z nich jest którym. Stało się to możliwe dopiero, kiedy Geen Daar w wieku trzynastu lat nabawił się choroby skóry, powodującej utratę barwnika. Mimo iż ludzie mogli ich wreszcie rozróżnić, nadal zdarzały się pomyłki, Daar Geena nazywali Geen Daarem i odwrotnie. Taka była ich karma i przeznaczenie.

Wieczorem wrócił autokarem wraz z turystami do hotelu i poszedł do pokoju, zapominając o kolacji. Następnego dnia rano spakował rzeczy i mimo że do końca pobytu były jeszcze cztery dni, wyjechał. Od tamtej pory już nikt nie powiedział o nim: „Ten walnięty milczek, Grek”.

Miesiąc później Geen Daar był już pewien, że jego krokami kieruje opatrzność. Nie bez przyczyny przez tyle lat jeździł do As-Sawiry. Może parabellum czekało już na niego pierwszego dnia w czasie pierwszego przyjazdu, tylko że on nie potrafił znaleźć do niego drogi?

W końcu odnalazł, gdyż taka była jego karma i przeznaczenie. Odnaleziony pistolet sprawił, że się przebudził. Wówczas spotkał tamtego człowieka. Zapamiętał każdy szczegół jego twarzy, układ bruzd na czole i nawet rysunek zmarszczek w kącikach oczu.

To było zwykłe popołudnie. Niemal pusta ulica na peryferiach Salonik i kafejka, w której postanowił wypić popołudniową kawę. Wszedł do środka, zajął stolik przy oknie i sięgnął po najnowsze wydanie „Agelioforos”. Przerzucił strony gazety, czytając jedynie nagłówki. Wtedy usłyszał dzwonek nad otwieranymi drzwiami.

Ich oczy spotkały się i nie potrzebowali dalszych słów.

Kilkanaście minut później gość wstał od stolika i ruszył do wyjścia w towarzystwie ochroniarzy. Geen Daar również podniósł się z miejsca. Rzucił na talerzyk pięćdziesiąt drachm i wyszedł na ulicę. Na wprost drzwi do kawiarni, tuż przy krawężniku, czekał czarny mercedes. Wiedział, że siedzący wewnątrz mężczyzna czeka na niego.

Opowiedział wszystko bratu, a ten przyznał mu rację, godząc się, że od tej pory powinni pracować tylko dla don Ramira. Taka była ich karma i przeznaczenie.

Geen Daara wyrwał z przeszłości dźwięk telefonu. Podniósł słuchawkę.

– Jestem.

Głos był beznamiętnie dokładny.

– Spotkasz się z attaché ambasady polskiej. On przekaże ci informacje na temat Anny Wermer. To Polka. Chroni ją pewien mężczyzna. Znajdź tych dwoje i daj sygnał, że masz ich na celowniku.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Coś jeszcze?

– Znajdź dwóch policjantów. Są oficerami wydziału śledczego i prowadzą sprawę zabójstwa dwóch Polek. Ostatnio dużo pisała o tym prasa.

– Czytałem.

– Wiesz, o kim mówię?

– Tak.

– Skończ z nimi.

– Zajmie się tym mój brat.

– W porządku.

Rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy. Nie znał dzwoniącej osoby. Zawsze słyszał ten sam nosowy głos, jakby wypowiadający miał problemy z gardłem.

Geen Daar wyszedł na balkon. Usiadł przy stoliku i dopił ciepłe piwo. Co by się stało, gdyby wówczas na jednej z uliczek As-Sawiry nie znalazł tamtego parabellum? Pytanie to od lat nie dawało mu spokoju. Za każdym razem odpowiadał, że to niemożliwe. Tak musiało się stać! Taka była jego karma i przeznaczenie.

## Rozdział piąty

NIEOCZEKIWANIE ZADŹWIĘCZAŁ dzwonek telefonu. Tomasz otworzył oczy. Otaczała go atramentowa ciemność, w której terkotał ogłuszający dźwięk aparatu telefonicznego. Wyciągnął w mrok dłoń. Rozległ się szelest spadającej gazety, potem brzęk łyżeczki w kubku. Wreszcie trafił na słuchawkę. Odchrząknął, żeby nadać głosowi w miarę normalny ton. Miał nadzieję, że dzwonił Leszczyński.

– Halo?

– Zamawiał pan budzenie na piątą?

Spojrzał w stronę, gdzie na szafce nocnej powinien stać budzik. No tak, trzeba jeszcze zapalić lampkę nocną, żeby cokolwiek zobaczyć. Ostre światło żarówki poraziło oczy. Osłonił je dłonią. Dochodziła piąta rano.

Bez słowa rzucił słuchawkę na widełki.

Skąd ta złość? Czy dlatego, że to nie był telefon, którego oczekiwał. Trzy dni temu agent miał przylecieć z Anną Wermer. Trzy dni! Czyżby coś się stało? Ponownie zadzwonił telefon.

– Mister Ronald Sanders? Zamawiał pan budzenie na piątą?

Gdyby znowu rzucił słuchawkę na widełki, mógłby spodziewać się, że telefon ponownie zadzwoni obok ucha.

– Zamawiałem. Dziękuję.

– Życzę miłego dnia.

W taki sposób jakiś Sanders spóźni się do biura. Gorzej, jeśli będzie to samolot lub pociąg. Zrobiło mu się głupio, że nie wyjaśnił pomyłki.

Wstał z łóżka. Przeszedł do łazienki. Stanął przed lustrem. Przetarł dłonią nieogolony policzek i puścił wodę z kranu.

Czterdzieści minut później wyszedł z mieszkania. Na ulicy dobiegł do autobusu linii M01 i dwadzieścia minut później wysiadł przed konsulatem generalnym na Madison Avenue. Spojrzał na zegarek. Minęła szósta rano.

Postanowił wstąpić jeszcze na kawę do pobliskiego Asia de Mauro.

Zajął stolik przy oknie. Patrzył na gęstniejący tłum przechodniów. Gdyby rok temu ktoś powiedział, że będzie pił kawę w nowojorskim barze i gapił się przez szybę na jedną z głównych ulic Manhattanu...

Jeszcze kilka dni temu poranna mokka wyzwalała w nim poczucie dumy i satysfakcji, że doszedł do czegoś w życiu. Dziś nie miało to dla niego znaczenia. Nie przyjechał tu, żeby wzdychać do własnego odbicia w szybie, ale po Annę Wermer i jej dokumenty. Trzy dni temu, zgodnie z planem, Leszczyński miał ją przywieźć z Montevideo. Tak się nie stało. Gdyby odlot z Urugwaju został przesunięty, umówili się, że agent będzie miał następne trzy dni, żeby zadzwonić i wyjaśnić przyczynę spóźnienia. Przez dwa dni telefon milczał.

Czy mogło się wydarzyć coś, co nie pozwoliło...?

Sklął siebie w duchu za pesymizm. Pewnie, jak się potem okaże, na przeszkodzie stanęła nic nieznacząca drobnostka. Dziś na pewno zadzwoni ten cholerny telefon i po drugiej stronie usłyszy głos Leszczyńskiego, a nie budzącej go zegarynki.

ENRIQUE ŚCIAĞNĄŁ MOCNIEJ opaskę uciskową na przestrzelonym udzie. Jak to się stało, że trafił w to miejsce? Rozejrzał się niepewnie dokoła. Był na drugim piętrze wieżowca, wznoszonego w zachodniej dzielnicy Montevideo.

Kilkanaście metrów dalej zobaczył metalową klatkę windy. Z dołu dobiegł trzask wywalanych kopniakiem drzwi.

– Pogadajmy – usłyszał wołanie idącego jego tropem mężczyzny.

Dwa dni temu, po tym, jak nieznajomy obezwładnił go w motelu, gdzie zatrzymała się Polka, Enrique zdołał się wyswobodzić i wrócić do Montevideo. W komendzie złożył obszerny raport z zabójstwa. „Zabójstw na Polkach, jak napisał w raporcie, dokonano na tle narkotykowym”. Wraz z nim raport podpisał Miguel. Oddali go szefowi wydziału i wszystko wskazywało, że sprawę mogą uważać za zamkniętą. Co prawda nie zarobili oczekiwanych pieniędzy, ale i tak mieli dużo szczęścia, że wykręcili się z tej draki tanim kosztem. Tak przynajmniej Enrique myślał jeszcze do dzisiejszego popołudnia. Mieli z Miguelem o drugiej zacząć dwunastogodzinna służbę. Postanowili wcześniej zjeść coś w restauracyjce

starego Santisa.

Zajęli stolik nieopodal drzwi, żeby mieć oko na zaparkowany przy krawężniku samochód. Sięgali po karty dań, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych i do środka wszedł nieznajomy mężczyzna. Ubrany był w jasny płócienny garnitur. Był niewysokiego wzrostu i właśnie wycierał chustką spoconą łysą czaszkę. Enrique'owi przyszło do głowy, że facet musi cierpieć na egzemę, gdyż na twarzy i rękach widać było jasne plamy odbarwionej skóry. Mężczyzna wyciągnął pistolet i strzelił do Miguela. Enrique zobaczył, jak przyjacielem rzuca na oparcie krzesła. Krew z przestrelonego oka gwałtownie wypłynęła na policzek. Wtedy los przyszedł Enrique'owi z pomocą. Wchodzący z zewnątrz do baru kelner nie zauważył gościa stojącego przy drzwiach. Otworzył je, uderzając nimi w dłoń z pistoletem. Broń potoczyła się pod stoliki, a Enrique uwierzył, że zdąży uciec mordercy.

Odpychając na bok zaskoczonego kelnera, wybiegł na ulicę w stronę samochodu. Dopiero w tej sekundzie uświadomił sobie, że kluczyki miał przy sobie przyjaciel. Kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł płot oddzielający ulicę od terenu budowy wysokościowca. Pobiegł w tamtym kierunku. Przez szparę w deskach dostał się między sterty cegieł. W niedzielę nikogo z pracowników nie było na placu. Przebiegł kilkanaście metrów.

Zatrzymał się zdyszany przy olbrzymiej stercie płyt. Zaczął nasłuchiwać. Może napastnik nie zdążył zobaczyć, w którą stronę pobiegł?

Kim był zabójca? Wszyscy wiedzieli, że on i Miguel są policjantami. Nikomu nie przyszłoby do głowy mierzyć do nich z pistoletu. To zakrawało na absurd.

Rozległ się strzał. Enrique obrócił się w stronę, skąd dobiegł huk. W wąskim przesmyku między drewnianymi paletami zobaczył nieznajomego z pistoletem. Padł drugi strzał. Wtedy poczuł gorące smagnięcie, które sparzyło mu udo. Automatycznie złapał się za nogę, by chwilę później zobaczyć na dłoni krew.

Utykając, pobiegł za kolejną z palet z marmurowymi płytami. Zatrzymał się, czując drętwienie mięśni. Zostawił za sobą czerwony ślad. Obficie krwawił.

Ściągnął pasek i zacisnął go mocno wokół uda. Na jakiś czas powinno wystarczyć. Wyszarpnął z kabury pistolet. Napastnik mógł nadejść z dwóch

kierunków. Od strony zgromadzonych na placu maszyn lub palet z cegłami. Enrique wstrzymał oddech, jakby dzięki temu spodziewał się usłyszeć szmer. Ten pozwoliłby zlokalizować kierunek, z którego należało spodziewać się ataku. Nic, wokół panowała cisza, przerywana odgłosem przejeżdżających za płotem samochodów.

Wtedy dostrzegł wejście do wieżowca. Tam miał większe szanse w pojedynku ze sprawnym napastnikiem. Spojrzał na zakrwawioną nogawkę spodni i zrobiło mu się słabo. Nie wolno mdleć! Nie wolno. Inaczej może już postawić na sobie krzyżyk.

– Święta Isabelito, ratuj!

Czego tamten od niego chce? Przypomniawszy sobie twarze tych, których ostatnio aresztował. Żaden nie byłby zdolny do czegoś takiego. Zabijając policjanta, skazywał się na wieczną pogoń. To na pewno jakiś psychol. Modląc się, pokuśtykał w stronę schodów. Obejrzał się, wyciągając przed siebie dłoń z pistoletem. Nikogo nie dostrzegł.

Krzywiąc się z bólu, wbiegł na drugie piętro.

– Pogadajmy – z dołu rozległ się głos idącego jego tropem mężczyzna.

– Ty nie chcesz gadać. – Wściekły wychylił się nad barierką i strzelił na oślep w dół. – Ty chcesz mnie zabić!

– Pogadajmy.

Enrique nie zamierzał rozmawiać z mordercą. Powłócząc nogą, dotarł do klatki windy. Otworzył jej metalowe drzwi. Wszedł do środka i nacisnął przycisk ostatniego piętra. Dźwig drgnął i powoli zaczął piąć się w górę.

Czy właściciel restauracji powiadomił policję? Z wysokości czwartego piętra spojrzawszy w stronę uliczki, w której głębi mieścił się lokal. Ku swemu rozczerwowaniu zobaczył tylko biegnącego chodnikiem kota.

Może powinien kilka razy strzelić w powietrze? Może huk zaalarmuje znajdujący się w pobliżu patrol?

A jeśli tak się nie stanie, a on straci cenne naboje? Musi uciec czającemu się na dole mordercy.

Zobaczył nadlatujący policyjny helikopter. Zaczął się drzeć jak opętany. Machać rękami. Tamci jednak odlecieli.

Jak mógł być tak głupi? Przecież nie mogli go zobaczyć. Rozpościerająca się nad nim siatka o gęstych oczkach czyniła go dla tamtych niewidocznym.



Następnym razem strzeli w powietrze. Najlepiej celować wprost w lecących frajerów. Wtedy wezwą przez radio pomoc, a wówczas...

Nieoczekiwanie winda zatrzymała się między piętrami. Był w trzech czwartych drogi na szczyt. Zaczął wciskać po kolei wszystkie guziki, lecz te nie reagowały, jakby odcięto zasilanie. Szarpnął zamek, ale zabezpieczenie uniemożliwiło odsunięcie rygla między piętrami.

Windą szarpnęło i zamiast w górę klatka zaczęła powoli opadać w dół.

NATAN WYSŁUCHAŁ opinii Primusa i Secundusa, po czym długo spoglądał przez okno na kłębiące się w dole samochody.

– Chcę, byście wzięli pod lupę don Ramira Mondego...To robota dla Secundusa. Primus znajdzie Annę Wermer.

– Co z chłopakami z CIA?

Natan wzruszył ramionami.

– Ty mi to powiedz.

– Są zbyt blisko sprawy, którą również interesuje się DEA. Ci drudzy uznali zabójstwo obu kobiet za trop bez znaczenia. Prawdopodobnie mają rację. Może nawet bardziej niż prawdopodobnie.

Natan zaczął się bawić leżącą przed nim czarno-białą fotografią.

– Warto sprawdzić ten trop.

– Jak bardzo interesuje nas archiwum wywiezione przez Polkę?

– Nas? – Natan wydał obojętnie wargi. – To sprawa chłopaków z CIA. Chcę wiedzieć, co Anna Wermer ma wspólnego z don Ramirem.

– Zastanowił się pan nad moją propozycją? – Secundus spojrzał na dyrektora.

– Dajcie mi czas. – Natan potarł w zamyśleniu brodę. – Obaj wykonaliście kawałek dobrej roboty – na chwilę zawiesił głos, żeby dodać – ale, jak wiecie słowo „dobry” znaczy dla mnie tyle, co „niewystarczający”.

Pochwalić i za sekundę strącić w dół. To była jedyna metoda, by charty rwały się ze smyczy, węsząc wskazany im trop. Prawdą jednak było, że Primus i Secundus interesująco ułożyli tę łamigłówkę. Zrobili to osobno, ale każdemu wyszło, że centralną postacią jest don Ramir Mondega. Wcześniej Natan prawie się nim nie interesował. Z oficjalnych informacji wynikało, że

Urugwajczyk był ekscentryczną postacią. Nigdy nie udzielał wywiadów, a jego jedyne znane zdjęcie zrobiono przed dwudziestu laty. Olbrzymiego majątku dorobił się na spekulacji srebrem. Od tego czasu uchodził za dobroczyńcę sierot i biedaków i był znany niemal we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej.

– Chcę o nim wiedzieć więcej. – Natan rzucił na stół starą fotografię. Prawdopodobnie zrobił ją fotoamator i z pewnością zdjęcie nie posłuży do identyfikacji Urugwajczyka.

– To może być trudne – stwierdził Secundus. Jednak dodał szybko. – Ale wykonalne.

– Co jeszcze masz dla mnie? Jakież wieści z Montevideo?

– Z raportów CIA wynika, że prawdopodobnie policjanci z wydziału kryminalnego odpowiadają za śmierć agentki DEA.

– Najprawdopodobniej? – Natan skrzywił się, jakby przełknął plasterek cytryny.

Primus uśmiechnął się ironicznie, dla podkreślenia niekompletności informacji przekazywanej przez Secundusa.

– Z zebranych informacji można wnioskować, że niekiedy podejmowali zlecenia przekazywane im od ludzi don Ramira.

– Zlecenia? – Natan ożywił się.

– Raz chodziło o przetrzymanie w areszcie wskazanej osoby. Kiedy indziej o przemodelowanie komuś twarzy. Przynajmniej tak wynika z kilku publikacji prasowych, których autor kilka tygodni później znalazł się w szpitalu z połamaną szczęką i przemodelowaną twarzą.

Natan obrzucił mówiącego pytającym spojrzeniem.

– Zatem don Ramir zajmuje się nie tylko działalnością charytatywną? Potwierdź to.

– Ten facet znany jest z tego...

Natan przerwał Secundusowi:

– Skąd wiesz, że to facet? Dotąd nikomu nie udało się zdobyć żadnej fotografii prócz tego niewyraźnego śmiecia sprzed lat. À propos – puknął palcem w leżące przed nim czarno-białe zdjęcie – podrzuć to do wydziału fotografii. Jestem ciekaw, co na jego temat powiedzą specjaliści. Jeszcze coś?

Odpowiedzią było milczenie.

– Możecie wracać do swoich zajęć.

Natan wyszedł bez pożegnania. Wrócił do sekretariatu.

– Jakież telefony?

Panna Simons wskazała oczami na sufit.

– Dyrektor chciałby zjeść z panem kolację. Powiedziałam, że zaraz oddzwonię, jak tylko pan wróci.

– W porządku. Spytaj gdzie.

– Godzina dziewiętnasta, Klub Golfowy w Maine Rock.

– Oddzwoń, że będę. – Ruszył w stronę gabinetu, lecz zatrzymał się z dłonią na klamce. Odwrócił się do panny Simons, która właśnie wsuwała do ust anyżkowego dropsa. – Jeszcze jedno. Złap tego Polaka, który ma być rezydentem przy naszej centrali i umów mnie z nim jutro na obiad.

– Tomasza Szczęgowskiego?

Natan zerknął zaskoczony na sekretarkę, ale ta odwzajemniła się tylko obojętnym mrugnięciem pomalowanych na fioletowo powiek. Kiedy zdążyła się nauczyć tak trudnego nazwiska?

– Czy już ci mówiłem, Simons, że jesteś nieoceniona? – Natan uśmiechnął się i pchnął drzwi do gabinetu.

– DLACZEGO ZABIŁEŚ MIGUELA? – Enrique podniósł wzrok na łysego mężczyznę siedzącego na wprost. Kilka minut wcześniej tamten zaciągnął go do starej metalowej chłodni, która służyła robotnikom za szatnię. W środku stało kilka plastikowych krzeseł. Łysy grubas w jasnym płóciennym garniturze kazał mu usiąść na jednym z nich.

– Dlaczego?

W głosie Enrique'a brzmiała podszyta lękiem niepewność co do jego dalszych losów.

Jasna i ostra jak brzytwa smuga słonecznego światła wpadła do środka przez uchylone drzwi. Obok krzesła, na którym siedział Enrique, utworzyła się spora kałuża krwi.

– Im dokładniej odpowiesz na wszystkie pytania, tym szybciej się

rozstaniemy... Dlaczego nadal przekazujecie do prasy informacje, że w willi zginęły dwie Polki?

– Takie ustalenia wyszły z wydziału narkotyków.

– Po co?

– Druga kobieta, która zginęła, nie była policjantką z wydziału turystycznego.

– A kim?

– Agentką amerykańskiego DEA.

– Interesujące.

– Właśnie dlatego w prasie wciska się bajkę o dwóch Polkach i wkurzonym handlarzu narkotyków, któremu zalegały z forszą.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Co teraz?

Daar Geen spojrzął na zegarek i niezadowolony pokręcił głową.

– Już spóźniłem się na autobus do Canelones. A jeśli chodzi o twoje pytanie... Nic do ciebie nie mam. – Grek trzymający pistolet rozłożył dłonie w geście wyraźnie mówiącym, że on nie jest tu niczemu winien. – Powiedziałeś wszystko, co chciałem wiedzieć. Nadal żyjesz. Zatem, jak widzisz – Geen Daar uśmiechnął się zimno – nie warto było uciekać.

– Więc mogę iść?

– Wolna droga. – Pistolet wskazał uchylone drzwi.

Enrique pomyślał, że może ten łysy mężczyzna pokryty plamami miał rację. Rzeczywiście, niepotrzebnie uciekał. Nic nie zataił. Powiedział wszystko o zastrzelonej Polce: jak przyjechała do willi z lesbą, która była łudząco podobna do drugiej poszukiwanej przez nich dziewczyny, o nocnym telefonie od rezydenta wywiadu polskiej ambasady; o jeździe na przedmieścia Montevideo do motelu.

Enrique wstał z miejsca i, powłócząc bezwładną nogą, powłókł się w stronę światła. Uchylił szerzej drzwi i słońce poraziło jego oczy. Równocześnie z tyłu padł strzał, który przebił czaszkę. Enrique bluznął krwią, padając ruchem manekina na stertę porwanych worków po cemencie.

ANDRZEJ, ANNA I MONIKA ruszyli w stronę stanowisk kontroli paszportowej. W strefie wolnocłowej Anna postanowiła zjeść lunch. Do odlotu mieli jeszcze dwie godziny. Andrzej nie miał ochoty na jedzenie.

– Gdzie się spotkamy? – Poprawiła torbę na ramieniu.

Wskazał głową na pobliską kawiarenkę.

– Jest niedaleko wejścia do kontroli celnej.

Anna pobiegła za oddalającą się Moniką, a Andrzej ruszył w stronę plastikowych palm, pod którymi ustawiono kilka stolików. Przy barku zamówił espresso, drożdżówkę i wziął ze stojaka gazetę „El Observador” wydawaną w Urugwaju.

Na pierwszej stronie widniało zdjęcie mężczyzny, który leżał w kałuży krwi na placu budowy. Andrzej skojarzył, gdzie już widział tę twarz. Należała do gliniarza, którego zostawił zmęczonego w motelu.

Nie czuł się mocny w hiszpańskim, ale z tego, co zdołał zrozumieć, wynikało, że funkcjonariusz został znaleziony przez robotników. Strzał oddano z bliskiej odległości w tył głowy. Z dalszej części artykułu wynikało, że zabity był oficerem wydziału kryminalnego, który prowadził śledztwo w sprawie morderstwa dwóch Polek. Zastrzelono je na tle porachunków narkotykowych.

Wstał z miejsca i podszedł do stojaka na prasę. Przejrzał jeszcze kilka gazet, ale niedawno przeczytana informacja znajdowała się tylko w „El Observador”. W „El Pais” o morderstwie nie było żadnej wzmianki.

Stojąca za kontuarem śliczna Mulatka uśmiechnęła się szeroko, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Była młoda, z pewnością miała śliczne ciało i patrzyła na niego spod przymrużonych powiek, jakby za chwilę zamierzała...

Co też łązi mu po głowie. Patrzy tak na niego tylko dlatego, iż liczy, że coś jeszcze kupi.

Odchodząc z niepotrzebną paczką fistaszków, pomyślał, że mimo wszystko Anna bardziej mu się podoba.

Usiadł przy stoliku, rozerwał paczkę i zaczął jeść. Zobaczył Annę i Monikę, jak schodzą ze schodów. Trzymały się za ręce, jakby wyszły na spacer, wokół była ładna pogoda i czekał je dzień pełen słońca.

To prawda – przyznał w duchu, Anna jest ładną kobietą. No... może gdyby stopy stawiała trochę inaczej. Tak, jak robią to kobiety na wybiegu w

czasie pokazów mody. Wtedy biodra w naturalny sposób kołyszą się na...

– Skończ już z tymi idiotyzmami – zbeształ głośno sam siebie.

Zza stojaka z okularami wyjrzała Anna.

– Rozmawiasz sam ze sobą?

– Widzisz w tym coś naganego?

– Ja nie, ale niektórzy psychiatrzy...

Wzięła Monikę za rękę i ruszyła w stronę bramki, gdzie stało dwóch celników.

Czasami rodziła się w nim chęć, by przyciągnąć ją ku sobie i pocałować. Niekiedy wydawało mu się, że widzi w jej oczach oczekiwanie, że to zrobi. Potem jednak pojawiał się w nich dziwny błysk... Wolał nie ryzykować oberwania po twarzy. To prawda. Pragnął jej. Z całych sił. Zawsze była w jego myślach. Gdy się budził, najpierw widział jej twarz. Co rano szukał na poduszce obok jej głowy, okolonej burzą włosów.

– Jaki jest cel podróży? – Celniczka wskazała Annie stolik, na którym podróżna miała postawić bagaż.

– Filadelfia.

– Z przesiadką?

– W Baltimore.

– Życzę miłego lotu.

Kilka minut później do bramki podszedł Andrzej. On wykupił bilet do Richmond, również z przesiadką w Baltimore.

– Coś do oclenia? – Oficer wskazał na wysłużony plecak.

– Tylko rzeczy osobiste.

– Niewiele ich.

– Wpadłem do znajomych na dwa dni.

Celnik wziął do ręki plecak, jakby ważąc go w dłoni.

– Może pan przechodzić.

Andrzej zajął miejsce na plastikowym krzeselku z daleka od Anny i Moniki. Umówili się, że zaczną rozmawiać po tym, jak przejdą kontrolę na lotnisku w Baltimore. Do tego czasu będzie dla nich lepiej, żeby udawali, że się nie znają.

Kilkanaście minut później pasażerowie ruszyli w stronę stewardes odbierających karty pokładowe i wpuszczających podróżnych do rękawa, łączącego z wejściem do samolotu.

Gdy wzbili się w powietrze, Andrzej zamknął oczy starając się zająć czymś myśli. Kiedy poprzednio wylatywali z Montevideo, miał podobne wrażenie, że znowu pozostawiają za sobą burzę. Znowu umkną jej na jakiś czas, ale przyjdzie moment, że ścigająca ich nawałnica będzie szybsza.

Pośrednio potwierdzeniem tego był telefon, który wykonał dwie godziny temu do Nowego Jorku. Taką miał umowę z Tomaszem...

Wykręcił numer i czekał jakiś czas na połączenie. Anna właśnie kierowała się do wejścia, przy którym stali celnicy. Czekał dziesięć... dwadzieścia sekund. Już miał przerwać połączenie, kiedy z drugiej strony podniesiono słuchawkę.

– Najlepsze kasztany są na placu Pigalle – rzucił obojętnie, przypominając sobie własny śmiech, kiedy ustalił to hasło.

– Zuzanna lubi je szczególnie jesienią – usłyszał głos Tomasza.

– Witaj.

– Nigdy nie sądziłem, że coś tak idiotycznego przejdzie mi przez gardło.

– Kim wolisz być?

– Nie rozumiem.

– Brunerem czy Klossem? – Andrzej poczuł się, jakby był małym chłopcem i bawił się z kolegami „w wojnę”.

– O której wylądujesz?

Zapadło milczenie.

– Jesteś tam? – po raz pierwszy w głosie Tomasza odezwała się nuta niepokoju.

– Jest mały kłopot – odpowiedział Andrzej po dłuższym milczeniu.

– Możesz jaśniej?

– Nie przylecę do Nowego Jorku, jak się umawialiśmy.

– Co? – Andrzej wyczuł w głosie Tomasza narastające napięcie.

– Wyjaśnię, jak się spotkamy.

– Kiedy?

- Zadzwońię.
- Jesteś z nią?
- Pogadamy później.

Tomasz chciał jeszcze spytać „kiedy”, lecz rozległ się sygnał rozłączonej rozmowy. Spojrzał na kręcące się szpule magnetofonu. Wcisnął klawisz „wylącz”. Chwilę siedział w bezruchu, wpatrując się w pustą ścianę.

Spotkało go coś najgorszego, co może się przyśnić tylko w koszmarnym śnie. Agent, którego wybrał z grona najbardziej zaufanych, okazał się zdrajcą. Taką informację dostał dziś rano szyfrówką z Warszawy.

Nie uwierzył, choć trzymał w dłoni oryginalną depezę, która kilkanaście minut wcześniej przeszła przez ręce deszyfranta. Z przekazu wynikało, że status zdrajcy został potwierdzony w trzech niezależnych od siebie źródłach. Pierwszym był jeden z biskupów, drugim Bieliński. Wreszcie odnaleziono list napisany przez majora Siejkę.

Kiedy Tomasz po raz trzeci przebiegł oczyma treść szyfrogramu, miał wrażenie, że cały świat został wywrócony na opak i dodatkowo wykrecony w tysięcznych esach-floresach.

Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać na nawiązanie przez Leszczyńskiego kontaktu. Teraz tamten wyznaczał warunki rozgrywki.

Zaczął spacerować nerwowo po pokoju. Co teraz powinien zrobić? Czekanie nie miało sensu. Można było być pewnym, że dawna umowa i lądowanie Anny Wermer na lotnisku Kennedy’ego nie wchodziło już w rachubę. Jeśli Leszczyński przywiezie tę kobietę do Stanów, to z pewnością wylądują gdzie indziej. Tylko gdzie? Miejsc było zbyt wiele, żeby myśleć o ich obstawieniu. Mogła to tylko zrobić FBI. Jednak zwrócenie się do Amerykanów o pomoc byłoby najgłupszym rozwiązaniem z możliwych. Już lepiej od razu palnąć sobie w łeb.

Na stole zapaliła się lampka interkomu.

- Słucham.
- Prosił pan, żeby go powiadomić, kiedy coś znajdziemy.
- Zaraz do was zejdę.

Tomasz wyjął kasetę z magnetofonu. Włożył ją do pudełka i schował do kieszeni. Wyszedł z dźwiękoszczelnego pomieszczenia. Zszedł schodami na pierwsze piętro. Mieściła się tu sekcja białego wywiadu. Cztery pracujące tu



osoby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wertowały wszystkie dzienniki i periodyki, które ukazywały się w Ameryce Północnej. Kilka dni temu Tomasz poszerzył zakres pracy zespołu o trzy najważniejsze dzienniki Urugwaju. Mógł to zlecić komórce wywiadowczej ambasady w Montevideo, spowodowałyby to jednak opóźnienia w przekazywaniu informacji. I rzecz najważniejsza – Tomasz nie ufał pracującym tam ludziom, z których większość miała w kieszeni legitymacje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Pchnął drzwi. Przeszedł przez krótki korytarz i przyłożył kartę magnetyczną do czytnika. Szczęknął zwalniany zamek elektroniczny. Za biurkiem siedziało dwóch mężczyzn w wieku około trzydziestu lat. Tomasz zauważył na ich twarzach ślady nieprzespanej nocy. Wariacka robota, ale przy ostatnich cięciach budżetowych sukcesem było to, że nie ścięto „białym” dotychczasowych etatów. Mimo pracującej na pełny regulator wentylacji w pokoju było duszno od wypalonych papierosów. Na biurku piętrzył się stos gazet i kolorowych magazynów.

Jeden z oficerów podał teczkę z wycinkami. Na kartach, w kolejności ukazywania, znajdowały się artykuły. Obok nich tłumaczenia.

– Zanim zacznę czytać – uderzył otwartą dłoń w prasowe zszywki – w kilku zdaniach chcę usłyszeć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Z dziennikarskich doniesień wynika, że Anna Wermer i Elwira Sas-Konecka zostały zastrzelone w willi w Montevideo przy ul. Charakas 18 B. – Oficer rozłożył przed Tomaszem album i wskazał na zdjęcia martwych kobiet. Obok położył fotografie Sas-Koneckiej i Wermer, które nadesłano z Warszawy. Choć ich jakość pozostawiała wiele do życzenia, Tomasz nie miał najmniejszej wątpliwości, że chodziło o te same kobiety.

– Co jest w artykułach?

– Z dotychczasowego śledztwa wynika, że morderca czekał na obie kobiety w domu. Zabił je, gdy weszły do środka.

Tomasz przypomniał sobie moment, gdy odwiedził Leszczyńskiego w opustoszałej kamienicy. Jeszcze teraz dźwięczało mu w uszach zadane wówczas pytanie: „Dlaczego ja?” i odpowiedź, której udzielił: „Nie ma nikogo, komu moglibyśmy bardziej ufać”.

Tak wówczas powiedział. Jakże był naiwny!

Ale to jeszcze nie koniec rozgrywki. Jedyne, co Leszczyński może zrobić,

to wrócić do Stanów. Tylko tu jest w stanie zniknąć. Ile pieniędzy zażąda za mikrofiszę? Trzeba przyznać draniowi, że jest dobry w te klocki.

Wziął teczkę z wycinkami prasowymi i wyszedł na korytarz. Ruszył schodami do gabinetu. Kiedy zamknął drzwi, rzucił teczkę na biurko. Podszedł do szafki. Otworzył ją. Nalał szklankę wody i wypił ją duszkiem.

Z nadesłanej z Warszawy szyfrówki wynikał jasny rozkaz. Jeśli Leszczyński okaże się groźny dla zakończenia operacji odzyskania dokumentów, Tomasz musi użyć wszystkich środków, żeby go zneutralizować.

Sięgnął po notatnik, w którym przed wylotem z Polski zanotował telefon do niejakiego Bolkowitza. Zapewniono go, że mężczyzna jest poważnym biznesmenem. Nigdy nie zdarzyło się, żeby wskazanego mu człowieka pochowano później niż po dwóch miesiącach.

TOMASZ SZEDŁ MADISON AVENUE w stronę Central Parku. Dlaczego Bolkowitz umówił się w Cooper-Hewitt National Design Museum, a nie gdzieś na jednej z ławek Central Parku?

Wszedł do holu, gdzie zobaczył strażnika. Spytał o kasę, lecz ten poinformował go, że na czterdzieści pięć minut przed zamknięciem zwiedzanie jest darmowe. Potem wskazał schody, informując, że trasa zaczyna się od góry, od Dużej Sali. Przy wejściu na piętrze Tomasz zobaczył plakat z tematem wystawy – były nim krzesła, zwłaszcza zaś ich forma i styl, które przez wieki ewoluowały w najróżniejszy sposób.

Wewnątrz Dużej Sali znajdowało się niewiele osób. Wiklina, drewno, metal, plastik. Od wykwintności czasów rokoko po współczesne kawiarniane siedziska, które na noc właściciel wiązał metalowym łańcuszkiem, jakby pomagało to odstraszyć złodziei. Zatrzymał się przy jednej z gablot.

„Cube-form” – przeczytał plaketkę. „Projektant: Charles Rennie Mackintosh 1868–1928”.

– Co pan o tym myśli?

Tomasza zaskoczyło pytanie zadane w języku polskim. Nie zauważył, kiedy obok stanął człowiek w pomiętym prochowcu. Nieznajomy trzymał w dłoni kawałek zgaszonego cygara, które co jakiś czas wkładał do ust. Wówczas przesunął je między zębami z prawej strony do lewej i wyjmował

szybkim ruchem, jakby z obawy, że sparzy się w wargi.

– Nie znam się na tym.

– Ależ nikt od pana nie wymaga, żeby się na tym znać. Wystarczy, jeśli coś się podoba lub nie. Tu chodzi o estetykę

– A więc to mi się akurat nie podoba. Nie bardzo też wiem, kim był – pochylił się do mosiężnej tabliczki – Charles Rennie Mackintosh.

Tomasz wypowiedział hasło. Jeśli nieznajomy był tym, na kogo czekał, pozostawało dopowiedzenie drugiej części.

– Szkockim architektem, projektantem, malarzem i rzeźbiarzem. – Choć w tym miejscu odpowiedź się kończyła, Żyd nie przestawał mówić dalej. – Był głównym propagatorem Art Nouveau i miał znaczący wpływ na europejski design początków XX wieku. – Nowojorczyk uśmiechnął się szeroko, jakby zdał trudny egzamin. – Nawet pan sobie nie wyobraża, jak miło jest mówić w języku mojego papy. – Przytaknął sam sobie głową. – Nawet pan sobie nie wyobraża.

Po wypowiedzeniu tych słów oczy obu mężczyzn po raz pierwszy się spotkały. Gamiowaty wyraz twarzy wcale nie oznaczał, że jej właściciel był ciamajdą. Oczy nowojorczyka patrzyły z uwagą, a zarazem lekką drwiną, jakby tamten chciał powiedzieć, że choćby się starał i tak Tomasz niczego przed nim nie ukryje.

– Mamy czterdzieści minut. – Bolkowitz wskazał na kolejne gabloty. – Wystawa jest bardzo – jak by to powiedzieć – uderzająca w duszę, może mi pan wierzyć.

– Tylko dlatego tu się umówiliśmy?

– Pomieszczenia są śledzone jedynie przez kamery...

– Dobrze mówi pan po polsku.

Nowojorczyk nieoczekiwanie posmutniał, ale jego twarz znowu się rozpuściła.

– Papa był innego zdania... Świeć Panie nad jego duszą... Jaką osobą mam się zająć?

– Mężczyzna, lat czterdzieści. Sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu. Pociągła twarz. – Tomasz wręczył nowojorczykowi zdjęcie Andrzeja Leszczyńskiego. – Zrobiono je przed pięciu laty. Wtedy nie miał jeszcze szramy na prawym policzku.

– Zna pan numer mojego konta?

– Znam.

– Cena dziesięć tysięcy. Pięć teraz. Następne po wykonaniu na szlus zlecenia. Na przelew jest aż dwa dni. To bardzo dużo czasu.

Bolkowitz nie musiał dodawać, że próba nieuregulowania należności spowoduje, że zleceniodawca zamieni się w cel.

– Pieniądze wpłyną jeszcze dzisiaj wieczoru.

– Jakies szczególne wymagania? Tylko że to może zwiększyć koszty naszego kontraktu.

– Szczególne? – Tomasz w pierwszej chwili nie zrozumiał. – A, tak...

– Dla niektórych to ważne. Ludzie chcą mieć fotograficzne potwierdzenia.

– Nie mam takich wymagań. A jak to się stanie... – Wzruszył ramionami.

– To jest mi obojętne.

Pół godziny później usłyszeli pierwszy dzwonek. Po drugim, na pięć minut przed zamknięciem, zeszli na parter. Po uzgodnieniu ostatnich szczegółów niewiele już rozmawiali. Na ulicy pożegnali się nieznacznym skinieniem głowy. Ot, dwóch przypadkowych mężczyzn, których na kilkanaście minut los zetknął w sali muzeum.

Hawele Bolkowitz ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Wsiadł i włączył się do ruchu ulicznego.

Wystawę wybrał nieprzypadkowo. Po wyjściu z sal, gdzie były prezentowane krzesła, sofy, stołki, i fotele, znaleźli się między gablotami z kobiecymi strojami. Długo stał przed jedną z sukien. Informacja głosiła, że pochodziła z końca XVIII wieku i została wykonana w petersburskiej pracowni Hawele-Szulkina, należącej niegdyś do ojca jego prababki, czyli prapradziadka.

Identyczny krój sukni i rysunek oplatających ją koronek zobaczył na obrazie, który przed tygodniem przysłano z Moskwy do jego galerii.

Hawele Bolkowitz kochał sztukę i zawsze doświadczał mistycznych uniesień, gdy odkrywał jedność myśli i formy dzieł, które napotykał na swej drodze marszanda. Dzieł, które – jak w przypadku obrazu i sukni – powstały w różnych czasach, miejscach i pod wpływem odmiennych doktryn artystycznych.

Nie liczył się czas, a jedynie duchowe doznanie. Kazało ono malarzowi sięgnąć po pędzel i ustawić na sztaludze czyste płótno, a modyście zaprojektować suknię, którą ów malarz zobaczy we śnie lub na jawie.

Przechodząc między gablotami, Tomasz bardziej skupiał uwagę na swoim towarzyszu niż na eksponatach. Nawet po rozmowie, kiedy już zeszli na parter, nie do końca był przekonany, że ten sześćdziesięciolatek rzeczywiście jest marszandem, który ma w Nowym Jorku galerię. Biorąc pod uwagę profesję Bolkowitza, uznał, że z pewnością mieściła się ona na obrzeżach miasta, służąc jedynie jako przykrywka dla „prawdziwego” zajęcia płatnego mordercy.

W tym jednym przypadku Tomasz się nie mylił. Bolkowitz rzeczywiście nie był znany szerokiej rzeszy zbieraczy. Prawdą również było to, że niewiele osób znało adres jego galerii, ale mieściła się ona w centrum miasta. Ci jednak, którzy zostawali jego klientami, byli mu wierni od dnia, gdy pozwolił przekroczyć próg sześciu salek, gdzie stały zgromadzone starannie wyselekcjonowane skarby.

Prawdą było również i to, że bycie marszandem, liczne podróże i spotkania z dziwnymi ludźmi ułatwiały Hawele zajmowanie się drugą pasją swojego życia – wymierzaniem sprawiedliwości. Bolkowitz był bowiem przekonany, że zlecniodawców kieruje doń Jahwe, a przychodzący do niego klient jest narzędziem w ręku Boga, które miało wskazać Hawele kolejnego grzesznika. Może dlatego nigdy nie miał wątpliwości, że zastrzelony był niewinny. Hawele był przekonany, że jeśli tak będzie, wówczas Bóg w porę ostrzeże go przed popełnieniem niegodziwości i wyrządzeniem krzywdy bliźniemu swemu.

PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIA KOBIETA ZESZŁA po kilku stopniach. Przez uchylone okno sąsiedniej posesji dobiegł sygnał Pierwszego Programu Polskiego Radia. W Warszawie minęła trzynasta. Kobieta jeszcze raz spojrzała na drzwi willi, jakby chciała się upewnić, że są zamknięte. Potem poprawiła trzymaną w dłoni płócienną torbę na zakupy i ruszyła między kwiatowymi rabatami w stronę furtki. Już ją otwierała, kiedy zza żywopłotu nieoczekiwanie wyszedł policjant.

– Dzień dobry, pani Tosiu.

– Dobry... dobry... Chce pan, żebym dostała zawału?

- Na drugi raz będę gwizdał melodię, żeby mnie pani usłyszała.
- Wejdzie pan? – Kobieta cofnęła się do ogródka.
- A i owszem. Przyszedłem do pani z ważną sprawą.
- Jeśli ważną... – Starsza kobieta wskazała na pobliski stolik i stojące obok plastikowe krzesła. – Przysiadźmy.

Sierżant Dobkiewicz spodziewał się, że zostanie zaproszony pod lipę, gdzie już nie raz spędzili ze sobą trochę czasu. Otóż pani Tosia lubiła wiedzieć wszystko o wszystkich, sierżant Dobkiewicz dobrze udawał, że darzy ją głęboką atencją. Starszej damie najwyraźniej sprawiało przyjemność, że od czasu do czasu dzielnicowy wpadał do niej z odwiedzinami, przynosząc ze sobą jakiś kwiatek. To, że był zerwany z pobliskiego klombu, nie miało dla niej żadnego znaczenia.

- Co to za ważna sprawa sprowadza pana do mnie?

Był to tradycyjny zwrot, którym rozpoczynali rozmowę. Oczywiście przez cały czas miała ona charakter przyjacielskiej konwersacji, która z jednej strony pozwalała się wygadać plotkarce, z drugiej dawała dzielnicowemu wgląd w prywatne życie mieszkańców kilkunastu okolicznych domów.

- Ostatnio kilka razy przechodziłem tędy wieczorem. Jakoś nie zauważyłem, żeby w sąsiadującej z panią willi paliło się światło.

- Której?

- Wermerów.

- Tereska gdzieś wyjechała.

- Kiedy ją pani ostatnio widziała? – Funkcjonariusz kiwnął głową w stronę żywopłotu, za którym widać było fragment stojącego obok domu.

- Bo ja wiem – pani Tosia zająknęła się niepewnie. – Może dwa... albo nawet trzy dni temu. Chyba jednak trzy...

- Dwa? Trzy? – zdziwił się mundurowy.

- Człowiek się nawet nie obejrzy, jak ten czas leci... – przerwała, jakby olśniła ją jakaś myśl. – To na pewno było trzy dni temu. Pamiętam, jak wychodziła z walizką. Nawet spytałam, gdzie się wybiera.

- I co odpowiedziała?

- Że jedzie do córki.

- To jej córka wróciła?

- Jeśli do niej jechała...
- Nie powiedziała dokąd?
- Z pewnością daleko. W końcu miała ze sobą walizkę.
- Rzeczywiście. – Mundurowy udał zaskoczenie. – Mogłem wpaść na to wcześniej. Będę się zbierał. Dziękuję za miłą pogawędkę i pomoc.
- Jak ją zobaczę, to co powiedzieć? – Pani Tosia ruszyła za policjantem w stronę furtki.
- Żeby zgłosiła się na komendę. – Pokazał druczek.
- A może oddam jej ten list?
- To urzędowe pismo. Jeśli zginie...
- Ma pan rację. Do urzędowych spraw lepiej się nie mieszać.
- Otóż to. Całuję rączki.
- A niech pan wpadnie jutro przed południem. Zrobiłam dobry sok z jeżyn.

– Oczywiście, że zajrzę. Pogodnego dnia, pani Tosiu.

Poszedł na teren sąsiedniej posesji i wsunął kopertę w szparę między drzwiami a ościeżnicą.

Jeszcze tego popołudnia sierżant zdał przełożonemu referatu dzielnicowych raport, że Teresa Wermer, zdaniem sąsiadów, wyjechała do rodziny. Pod wieczór informacja ta znalazła się na biurku Sulimowicza.

Generał położył ją obok raportu, który nadszedł z ambasady w Montevideo. Przekazane przez Borysa informacje były niepokojące. Dwóch gliniarzy, którzy zostali wynajęci do rozwiązania problemu Wermer, nie żyło. Zginęli kilkanaście godzin po tym, jak Borys przekazał do biura don Ramira informację o niepowodzeniu akcji przejęcia dokumentów posiadanych przez Annę Wermer.

Wziął do ręki raport dzielnicowego. Zlecił kontrolę Teresy Wermer bardziej pro forma. Odnalezienie drogi od Siejki do kurewki z Hotelu Europejskiego okazało się łatwe, a przecież początkowo wydawało się niemożliwe ustalenie miejsca, dokąd uciekła.

Kobiety mają jednak tę wadę, że są zbyt uczuciowe. Babcinę, wnuczkę i córkę łączyły silne więzy – założył generał. Zatem córka zadzwoni do matki, by powiadomić ją, że szczęśliwie dotarła na miejsce. Nie musiała wymieniać

nazwy miasta lub kraju. Dzięki międzynarodowym połączeniom telefonicznym i nadzorowi, który służby nad nimi sprawowały, nie było trudno dowiedzieć się numeru telefonu dzwoniącej. Potem było już tylko kwestią czasu odnalezienie kraju, miasta, ulicy, a na koniec domu lub mieszkania, z którego dzwoniło.

SULIMOWICZ NACISNĄŁ PRZYCISK interkomu na biurku.

– Powiedz kierowcy, że zaraz zejdę do garażu.

Wziął pismo z komendy i wrzucił je do niszcarki. Przyglądał się chwilę, jak z maszyny wypływają drobne karbowane paski. Wyszedł z gabinetu i zjechał windą do podziemi.

Kierowca czekał już w samochodzie.

– Z pompą czy dyskretnie? – zapytał.

– Na Mazurską, Władeczkę, jakbyś wiózł noworodka. – Sulimowicz oparł głowę o zagłówek.

– Się robi.

Kierowca wiedział, że jadą do lokalu konspiracyjnego, zatem wszelka „pompa” była jak najmniej wskazana.

Wyjechali z garażu. Stojący przy szlabanie żołnierz poznał samochód generała i zaszalutował służbiście.

Sulimowicz przymknął oczy, próbując uciąć sobie krótką drzemkę. Należała mu się chwila wypoczynku. Dzisiejszą noc spędził w pracy. Dwie godziny na kozetce to trochę za mało, żeby wypocząć.

Nie spodziewał się, że don Ramir tak szybko zareaguje na informację o nieudanym przejęciu dokumentów. Zupełnym zaskoczeniem zaś był dla niego fakt, że Urugwajczyk kazał zabić policjantów z Montevideo. Dlaczego wydał na nich wyrok? Czy było coś, czego Sulimowicz nie wiedział?

Generałowi zawsze wydawało się, że wobec Urugwajczyka jest równorzędnym partnerem. Kiedy jednak pół roku temu stracił archiwum...

Kilka tygodni później spotkał się w Sztokholmie, w hotelu Slussen z Japończykiem o imieniu Isai. Skośnooki był wysłannikiem don Ramira. Wtedy właśnie Sulimowicz odniósł niemiłe wrażenie, że zaczął być traktowany niczym lokaj. Wszystko zmieni się, kiedy odzyska mikrofiszę,



które ukradł Siejka wraz z tą dziwką.

Otworzył oczy. Nici z drzemki. Miał zbyt dużo na głowie. Zaczął patrzeć na pograżające się w mroku ulice. Wszystko rozstrzygnie się w czasie najbliższych trzech tygodni. Może szybciej? W Nowym Jorku Leszczyński został uznany za zdrajcę. Kalkulacje Sulimowicza spełniły się tak, jak tego oczekiwał. Gdyby informacja wyszła od niego, nikt nie dałby jej wiary. Wystarczył jednak kościelny hierarcha i Bieliński... Teraz znowu generał trzymał w ręku wszystkie karty tego rozdania.

Obecnie najważniejszą sprawą było to, żeby sześć konwojów ciężarówek jak najszybciej opuściło Polskę. Wydał już odpowiednie polecenia. Szykowano do drogi tiry, których ładunek wart był co najmniej pięćdziesiąt osiem milionów dolarów. Pięćdziesiąt osiem! Więcej niż rezerwy walutowe państwa. Właśnie dziś rano przeczytał w Biuletynie Specjalnym, że szef NBP poinformował, iż w trzecim kwartale rezerwy walutowe państwa zmniejszyły się z pięćdziesięciu trzech do czterdziestu dwóch milionów dolarów. Dalej napisano, że jeśli kraj szybko nie otrzyma pożyczki z Banku Światowego, Polsce grozi bankructwo.

## Rozdział szósty

ARTUR NOJMANN WSZEDŁ na schody prowadzące z podziemnego przejścia na ulicę. Znalazł się na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Zatrzymał się, spoglądając na pobliski fronton hotelu Polonia.

Przychodził tu od paru tygodni. Za każdym razem mówiono, żeby wrócił za kolejne dwa, trzy dni... Tak minęły niemal dwa miesiące. Pięćdziesiąt parę dni. Dłużej był sprawdzany tylko wówczas, gdy złożył podanie o przyjęcie do pracy w resorcie.

Trzy miesiące temu kazano mu stawić się przed komisją weryfikacyjną, powołaną przez ministra spraw wewnętrznych do odsiania demokratycznego ziarna od komunistycznych plew. Spotkanie wyznaczono na dziesiątą rano w gmachu „C” na pierwszym piętrze, przy ulicy Rakowieckiej. Kiedy stanął przed drzwiami z numerem 112, nieoczekiwanie wypadł z nich łysiejący chudzielec o wściekłym wyrazie twarzy. Artur nie wiedział, że tak miało się właśnie stać. Zaaranżowano ten moment.

– Nie licz na litość – rzucił w jego stronę zduszonym głosem, trzaskając za sobą drzwiami. – Pierdol ich i orzełka, któremu założyli na łeb koronę. Jak nie będziesz się miał z kim dziś napić, będę na stołkach w Polonii. Leszek jestem.

– Artur. Zapamiętam.

– Jestem dziś dwudziestym, którego wypierdolili za burtę.

– W takim razie czas na oczko. – Artur splunął na podłogę i nacisnął klamkę.

Leszek spojrzał za znikającym za drzwiami. Fajny gość i z charakterem. Tacy ludzie nie byli potrzebni nowej władzy, więc coś mu podpowiedziało, że na pewno się spotkają.

Rzeczywiście, godzinę później Artur przekroczył próg hotelu Polonia. Odnalazł wzrokiem łysiejącego chudzielca. Leszek również go zobaczył i

kiwnął w jego stronę przyzywając ręką. Obok przy barku siedziało jeszcze dwóch podпитыch mężczyzn w wieku około czterdziestu lat.

– Jak poszło? – zapytał Leszek i wyciągnął dłoń na powitanie.

– A jak myślisz?

– Dziś piję, więc wyłączyłem szare komórki.

– Wyjebany. Rozstrzelany. Zakopany. Jestem dla nich trupem!

– Ile lat służby?

Artur spojrzał na dwóch mężczyzn wspierających się ciężko na zalanej alkoholem ladzie. Podobnie jak chudzielec, spoglądali na niego pytająco.

– To też chłopaki ze służby. Posunęli ich tydzień temu i od tego czasu leczą smutki. Więc ile?

– Czternaście lat.

– Jeszcze rok i byłbyś na emeryturze – czknął jeden z pijanych.

Leszek zaczął pytać o zachowanie komisji weryfikacyjnej, zamawiając jednocześnie dla Artura dwie setki.

– Nie jestem przy kasie – próbował się wykręcić.

– Ja stawiam. Jeszcze pracuję tydzień, więc przepijamy pieniądze operacyjne. Można powiedzieć, że nasz ludowy orzełek zaprasza na stypę. W jakim departamencie pracowałeś?

– Sześć. Nie da się zapomnieć.

– Operacyjne zabezpieczenie sektora gospodarki żywnościowej? – W oczach Leszka zobaczył błysk podejrzliwości. – Nie pamiętam cię...

– Miesiąc temu przeniesiono mnie służbowo do Warszawy. Z Gorzowa Wielkopolskiego. – Artur wypił pięćdziesiątkę i zagryzł kawałkiem żółtego sera, posypanego papryką.

– Mieszkanie służbowe?

Artur westchnął głośno.

– Miałem dostać na dniach. – Zaciśnął dłoń na kieliszku. – Miałem...

– To nieźle cię dymnęli. Nie lepiej podkulić ogon i wracać na stare śmieci? – Leszek wychylił kieliszek.

– Nie ma takiej opcji.

– Wstydzisz się?

– Dwa miesiące temu wziąłem rozwód. Na sprawie zrobiliśmy podział majątku. Zostawiłem jej mieszkanie.

– Ty rzeczywiście nie masz do czego wracać.

– Pies ich wszystkich pierdolił!

Po litrze wódki Artur jeszcze trzymał się prosto na stołku. Leszek przez cały czas wypytywał, w jakiej jednostce służył, kto był jego naczelnikiem? Ot tak, jakby chciał pogadać o starych dobrych czasach.

– Jesteś lepszy od komisji weryfikacyjnej – Artur przerwał jedno z kolejnych pytań.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ich nie interesowało, jak w gorzowskiej komendzie wojewódzkiej naczelnik pionu techniki miał na drugie imię.

Leszek na chwilę spoważniał, a Arturowi wydało się, że oczy siedzącego na wprost należą do kogoś, kto nie tknął nawet grama wódki. Trwało to ułamek sekundy. Wzrok Leszka umknął w bok. Jednak Artur już wiedział, że bełkotliwy głos nowego przyjaciela miał tylko wyprowadzić go w pole.

– Zastanawiasz się, dlaczego tak wypytuje?

– Właśnie...

– Może mam w tym cel? – Leszek zaśmiał się głośno i sięgnął po kolejny kieliszek.

– Chcesz mnie zatrudnić we własnej firmie polonijnej?

– Nie mam takiej, ale może mógłbym pomóc.

We wzroku siedzącego na wprost pojawiała się pytanie: „Chciałbyś?”.

– Na przykład?

– Jaką szkołę skończyłeś?

– W resorcie?

– Przed.

– Zawodówkę o specjalności mechanik kierowca, a potem technikum samochodowe.

– Masz prawo jazdy?

– Dwójkę zawodową. Jak widzisz, nie muszę kulić pod siebie ogona i wracać do domu. Zrobię kurs w MZK na kierowcę autobusowego i będę cię

woził po Warszawie.

Kiedy się żegnali, Leszek zaproponował, żeby wpadł za trzy dni.

– Potrzebujesz kompana do picia?

– Myślałem o robocie dla ciebie. Może coś się znajdzie.

– Byłoby super.

Po tygodniu Artur dowiedział się, że ktoś zainteresował się jego osobą. Mógł być zatrudniony jako kierowca tira.

– Byłeś kiedyś za granicą? – Leszek przyczesał rzadką kępę włosów.

– W Niemieckiej Republice Demokratycznej.

– Mówiłem o Zachodzie.

– Przecież nie wolno nam było nawet o tym myśleć.

– A teraz?... Chciałbyś pojechać?

Po kolejnym takim pytaniu Leszek Artur powiedział, żeby już więcej nie zwracał mu dupy.

– Mam dosyć siedzenia na tych niewygodnych stołkach i wlewania w siebie gorzały. – Odstawił pusty kieliszek. – Za tydzień idę na kurs autobusowy.

– Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Masz wszystkie podpisy na obiegówce?

– Jutro wychodzę do cywila.

– I inkasujesz pensję?

– Razem z sześciomiesięczną odprawą. Starczy na rok na wynajmowanie mieszkania. Przez ten czas jakoś się urządzę.

Właśnie tamtego wieczora Leszek powiedział, że jego kandydatura jest sprawdzana. Przez kogo? Arturowi miało wystarczyć, że oficerowie Służby Bezpieczeństwa wywaleni z resortu postanowili zadbać o własną przyszłość.

– Musimy być pewni, że jesteś jednym z nas.

– Jednym z nas?

– Że pracowałeś na linii, a nie grzałeś dupę w wydziale gaciowym. Sprawdzamy twoje dane w Gorzowie. Czekamy na potwierdzenie. – Leszek wzniosł w górę kieliszek z wódką. Wypili.

– I co wtedy?

– Jak będziesz mądry, to nigdy nie zabraknie ci forsy.

Patrząc teraz na fronton budynku hotelu Polonia, Artur miał nadzieję, że wszystko poszło okej. Chyba, że stało się inaczej. Co wtedy? Po tylu spotkaniach, dziesiątkach rozmów, łatwo było się zorientować, że ktoś selekcjonuje byłych esbeków. Wybierał tylko najlepszych i takich, którzy odpowiadali nieznanym kryteriom tajemniczego selekcyjnera.

Czy pewność, że jego tożsamość zostanie potwierdzona wspierała się na wystarczająco mocnych podstawach? Wszystko zależało od naczelnika wydziału, w którym rzekomo pełnił służbę. Szef wydziału techniki miał być drugim potwierdzającym. O nich rozmawiał z Leszkiem i ci dwaj mieli zaręczyć, że był jednym z nich. A jeśli nie skłamią? Jeśli zamiast tego powiedzą, że jest wtyką, przez którą nowe kierownictwo resortu chce wiedzieć, co w esbeckiej trawie piszczy?

Na pewno wszystko będzie dobrze.

Co zrobiłby na miejscu Leszka, gdyby się dowiedział, że jego nowy przyjaciel jest kapusiem? Kilku już przepadło bez wieści.

Artur ponownie podniósł wzrok na fasadę hotelu. Legenda o jego czternastoletniej pracy w resorcie była dobrze uszyta. Nawet jego rozwód można było potwierdzić w sądowym rejestrze wyroków lub zapukać do byłej. W tym wypadku mówił prawdę. Nie powinno więc wydarzyć się nic nieprzewidzianego.

– Wszystko będzie dobrze – mruknął pod nosem.

Wiedział jednak, że jego drugie „ja” radziło, aby obrócił się na pięcie, zszedł do przejścia podziemnego i więcej już nie wracał do hotelu Polonia.

CHLUŚNIĘCIE ZIMNĄ WODĄ w twarz otrzeźwiło Borysa. Uniósł głowę. Był to jedyny ruch, jaki mógł wykonać. Był przywiązany do metalowego krzesła. Spróbował strącić z rzęs krople wody. Rozejrzał się niepewnie dokoła. Dopiero po chwili dostrzegł, że w półmroku stoi przed nim ciemna zwalista postać. Tylko jedna?

Było ich więcej. Otaczały go ze wszystkich stron. Najbliższa niemal ocierała się o jego ramię. Jej skóra była zimna i oślizła. W powietrzu unosił się dziwny zapach. Słodkawo-mdlący? W ciszy słychać było krople spadające na posadzkę. Uderzały w nią miarowo, jakby chciały zabić

słuchającego monotonią.

Wzrok Borysa zaczął przyzwyczajać się do półmroku. Rozległ się odległy trzask. Zapłonęły dziesiątki lamp. Poraziły jego oczy. Borys zamknął gwałtownie powieki. Kiedy je wreszcie rozchylił, już wiedział, co to za zapach. Wokół było pełno krwi. Jej rozbryzgi widoczne były na podłodze i ścianach wyłożonych białymi kafelkami. Na wprost stał mężczyzna w gumowym fartuchu. On również był ochlapany czerwoną posoką.

Spojrzał w bok i wstrząsnęło nim obrzydzenie przemieszane z przerażeniem. Był w rzeźni, a postacie wokół okazały się bykami, które mechanicznie przecięto na pół – od ogona po czerep – i zawieszono na ostrych hakach. Podniósł oczy na nieznanego, lecz nie zobaczył jego twarzy. Do połowy zasłaniała ją chusta. Oczy i czoło przykrywały olbrzymie gogle. Na głowę miał nasunięty gumowy kaptur, który był również zachlapany krwią. Pierwszą myślą, jaka przyszła Borysowi do głowy, było to, że ktoś próbuje go nastraszyć tym, co wokół siebie zobaczył.

Zaczął w pamięci gorączkowo szukać w przeszłości czegoś, co podpowie, w jaki sposób znalazł się w tym miejscu. Pamiętał, że wszedł do sklepu, żeby kupić... to miało być coś na kolację. Wszedł między regały. Wówczas ktoś za nim stanął. Chyba nawet powiedział „przepraszam”, jakby chciał przejść obok. Później poczuł ukłucie w ramię. Nim stracił przytomność, usłyszał jeszcze krzyk mężczyzny, że trzeba wezwać pogotowie. Potem dołączyła do niego kobieta, która wołała, że to na pewno atak serca. Kto był tym pechowcem, do którego wzywano pogotowie, Borys nie zdążył już się dowiedzieć.

– Chciałbym z tobą pogadać. – Angielski mówiącego był nienaganny.

Borys dostrzegł, że trzyma on w dłoni długi rzeźnicki nóż o cienkim ostrzu, wyrobionym długoletnim ostrzeniem.

– Jestem polskim dyplomatą i...

– Zamknij się. – Choć wypowiedziane słowa były ciche, Borys usłyszał w nich groźbę, której nie należało lekceważyć. – Szukałeś kontaktu z don Ramirem.

– Nie znam tego nazwiska.

Nie powinien był tego mówić. Nieznajomy przystawił mu nóż do ramienia i przeciągnął ostrzem od obojczyka aż po łokcie. Przecięta skóra rozsunęła się na boki, ukazując mięśnie. Krzyknął przeraźliwie. Dopiero w tym

momencie zorientował się, że jest nagi.

– Żeby oprawić byka – usłyszał obojętny głos – trzeba zrobić szesnaście nacięć. Potem już mechanicznie zdziera się z niego skórę. W przypadku człowieka trzeba ich zrobić aż dwadzieścia. Jedno nacięcie już masz za sobą. Jeśli będziesz kłamał, obedrę cię ze skóry.

Podsunał ostrze pod jego brodę i uniósł nim głowę do góry.

– Czy dobrze zrozumiałeś?

– Tak.

– Im szybciej będziesz odpowiadał, tym większą będziesz miał szansę na to, że lekarz założy ci opatrunek i zatamuje upływ krwi. – Stojący przed Borysem mężczyzna przysunął nogą żelazny stołek. – Możemy zacząć?

Przerażony Borys kiwnął pospiesznie głową.

– Szukałeś kontaktu z don Ramirem. Żeby cię niepotrzebnie nie fatygować, wysłano mnie, bym z tobą porozmawiał... Zwłaszcza, że pozwoliłeś uciec osobie, na której zależało don Ramirowi.

– Przysięgam, że...

– Mówiłem już, że masz mało czasu. Zacznijmy jeszcze raz.

W ciszy szcękniętą wciskany klawisz dyktafonu.

OFICEROWIE ODPRAWY PASZPORTOWEJ i dwóch funkcjonariuszy biura imigracyjnego zajęli miejsca przy bramkach, przez które wkrótce mieli przejść pasażerowie lotu 2623 z Panama City.

Raul dopiero od trzech tygodni pełnił dyżur w plastikowej klatce ustawionej na wprost wejścia. Wkrótce drzwi holu głównego rozsuna się na boki i wejdą pasażerowie, których dowiezie ruchomy chodnik z rękawa numer sześć. Dwadzieścia minut temu zadokował przy nim Boeing 777, z dwustu osiemdziesięcioma pasażerami na pokładzie.

Na razie panowała cisza i Raul mógł napawać się stanowiskiem, które zdobył po piętnastu latach sumiennej służby. Już od pierwszych dni pracy w biurze imigracyjnym wiedział, że pokocha chwilę, kiedy jeszcze nie ma szumu zbierających się na odprawę pasażerów i wybuchających co jakiś czas kłótni między dzieciakami, zniecierpliwionymi przedłużającym się czekaniem. Wtedy trzeba było uważać na zbyt wiele spraw. Nie było czasu



na smakowanie tej dziwnej satysfakcji, że to on wielu osobom uchyla furtkę do Ameryki.

Do Stanów przyjechał z ojcem po śmierci matki i siostry, które zmarły po tym, jak zaraziły się wietrzną ospą. Miał osiem lat. Zamknięty w kontenerze z grupą trzydziestu innych ludzi znalazł się w nowojorskim porcie. Jeszcze tej samej nocy wyprowadzono ich poza jego teren i zostawiono samych na ulicy.

Raul był zdolnym dzieckiem. W rok nauczył się na tyle biegle angielskiego, że kolegom ojca, którzy pracowali z nim na budowach, dawał trzycentowe lekcje. W ciągu pół godziny wbijał w odporne głowy podstawowe zwroty, które mogły przydać się do porozumienia z majstrem – włącznie z *Fuck off your mother fucker*.

Pewnego dnia, kiedy na sąsiedniej ulicy odrabiał z kolegą lekcje, po ojca przyszli z imigracyjnego. Potem Raul dowiedział się, że miał on zostać majstrem. Kilku robotników uznało, że awans dostał niesłusznie i zadenuncjowało go, dzwoniąc anonimowo do imigracyjnego. Byli to sąsiedzi, którzy mieszkali z nimi na tej samej klatce schodowej.

Raul ukrył się u krewniaka Diego i nigdy nie dał po sobie poznać, że wie o wszystkim. Przez następne lata ciężko pracował i uczył się wieczorowo. Co miesiąc wysyłał też ojcu odesłanemu do kraju dwadzieścia dolarów.

Kiedy skończył szesnaście lat i zdobył pierwszą posadę, postanowił się usamodzielnic. Wyprowadził się z mieszkania, które niegdyś zajmował z ojcem. Jeszcze tej samej nocy wybuchł w nim pożar, który wkrótce ogarnął cały dom. Dziwnym trafem wraz ze strażą pożarną przyjechali urzędnicy imigracyjnego i zatrzymali wszystkich mieszkańców kamienicy.

Mimo mozolnego pięcia się w górę przez całe życie, zawsze był dla prawdziwych Amerykanów przezroczystry. Facet, którego można było nie zauważać. Sam siebie w myślach nazywał „niewidzialnym człowiekiem”. Jednak nie narzekał. Dotarł do miejsca, które pozwalało odreagować wszystkie stesy całego życia. Kilkanaście razy w czasie ośmiogodzinnej służby od jego jednego skinienia dłoni lub zmarszczonych brwi zależał los ludzi, którzy pragnęli być niewidzialni i dostać się do upragnionego raj. Raul dostrzegał ich wszystkich. Rozpoznawał po utkwionym w jeden punkt wzroku, drzeniu kącika ust czy też zbyt swobodnym zachowaniu. Na kilometr wyczuwał szczury, które chciały się wśliznąć na amerykański okręt. Dostrzeżono tę jego umiejętność i nagrodzono stanowiskiem w

pleksiglasowej klatce. Za dwadzieścia osiem lat, jak planował, przejście na emeryturę. Nie przewidywał ożenku. Nie zamierzał się wiązać. Postanowił martwić się tylko o siebie i nikogo więcej.

Kiedy Raul usiadł na wyściełanym gąbką krześle, poprawił pas, przy którym miał zawieszoną kaburę z pistoletem. Potem sprawdził, czy ołówki ułożone są po prawej stronie. Leżąca przed nim klawiatura pozwalała wpisać do komputera widniejące w paszporcie nazwisko. Jeśli po kilku sekundach na ekranie niewidocznego dla pasażera monitora ukazywała się twarz z odpowiednią informacją, Raul wiedział, jakie musi podjąć działania i które służby powiadomić. Te zaś, bardziej lub mniej dyskretnie, usuwały ludzkie śmieci z lotniska w Baltimore.

Raul po raz kolejny sprawdził, czy ołówki ułożone są w równym szeregu po prawej stronie niewielkiej konsoli z klawiszami. Drzwi wahadłowe pchnął pierwszy z pasażerów. Był to około czterdziestoletni mężczyzna. Choć na ramiona miał narzuconą płócienną marynarkę, wyglądał jakby właśnie wrócił z plaży. Na nosie przeciwsłoneczne okulary, a na głowie wielki słomkowy kapelusz. Przez ramię przewiesił niewielką torbę, która mogła pomieścić jedynie aparat fotograficzny.

Pasażer podszedł do stanowiska odprawy, zdjął kapelusz, okulary i położył przed Raulem amerykański paszport. Ten, obdarzając stojącego na wprost urzędowo nijakim uśmiechem, wystukał na konsolce nazwisko: „Smith”. Następnie włożył paszport pod skaner.

Na ekranie pojawiła się informacja, iż należy natychmiast powiadomić agentów FBI, którzy pełnili dyżury na lotnisku. Pan „Smith” w rzeczywistości nosił nazwisko „Leszczyński”. Migający u dołu napis nakazywał przepuszczenie delikwenta przez stanowisko odprawy paszportowej. Nie przestając się uśmiechać, Raul wcisnął kombinację dwóch klawiszy i widziana przez niego fotografia Mr Leszczyńskiego wraz z jego dossier pojawiła się na ekranie w pomieszczeniach zajmowanych przez lotniskowych agentów FBI. Oddał paszport pasażerowi.

- Witamy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.
- Dziękuję.

Andrzej wziął dokument i przeszedł przez metalową bramkę. Zamiast ruszyć korytarzem do hali bagażowej stanął z boku, czekając na Annę i Monikę.

Miały się zachowywać tak, jakby wracały z wakacji.

– Czyli jak? – Godzinę wcześniej Anna spojrzała na niego pytająco.

– Pierwszy dojdę do odprawy paszportowej. Ty staraj się znaleźć na końcu wysiadających z samolotu pasażerów.

– Coś nam grozi?

– Nie sędzę – skłamał, patrząc jej prosto w oczy. Kilka razy przekonał się, że może w ten sposób skłonić ją, by postąpiła zgodnie z jego zaleceniem. Należało tylko mówić swobodnie i nie uciekać oczami w bok.

– Więc po co ten cyrk? Ja ostatnia, ty pierwszy...

– Pewności nigdy za wiele.

– Pewności czy niepewności?

– Nie jesteś panienką z dobrego domu, która spędziła wakacje z koleżankami, a teraz jej bodyguard odstawia ją do domu.

– Nie jestem panienką, ale reszta się zgadza.

Andrzej ponownie spojrzał jej w oczy i Anna zyskała pewność, że coś jest nie tak. Kilka razy zastosował wobec niej ten trick, a ona za każdym razem udawała, że mu wierzy. Wystarczyło kilka naiwnych min, żeby Andrzej uznał, że potrafi nią manipulować. Nie zamierzała wyprowadzać go z błędu.

W końcu ustalili kolejność wejścia na lotnisko.

Teraz Andrzej stał w tłumie mijających go pasażerów, czekając na pojawienie się Anny. Wreszcie zobaczył ją w drzwiach, w gronie kilku starszych kobiet.

Skupił uwagę na kamerach zawieszonych w sześciu różnych punktach pod sufitem. Wszystkie skierowane były na stanowiska odpraw.

Kiedy Anna odebrała paszport i ruszyła wraz z Moniką w stronę hali bagażowej, cztery kamery podążyły ich śladem. Andrzej użył fałszywego paszportu, zatem to nie on, lecz Anna została namierzona. Czyżby Amerykanie wiedzieli o jej archiwum? Andrzej nie potrafił znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, które cisnęły mu się do głowy. Ten, który zlecił mu pracę, nie wyglądał na durnia, który opowiedziałby wszystko jankesom.

Jednego mógł być pewien – wdepnął w największe gówno w swoim życiu i jeśli nie będzie działał roztropnie, to ktoś odstrzeli mu dupę razem z płucami.

Przypomniało mu się pytanie Moniki, czy przyjechał po nie na białym koniu? Może ktoś inny na jego miejscu rzuciłby to wszystko w diabły i dał nogę, póki jeszcze miał ku temu okazję? Spojrzał na odchodzącą Annę.

– Kurwa mać – zaklął pod nosem po polsku.

Przechodzący obok starszy mężczyzna zerknął na Andrzeja. Najwyraźniej sądził, że ten pyta o drogę, gdyż wskazał dłonią drzwi prowadzące do hali, gdzie mógł odebrać bagaż. Potem dodał z uprzejmym uśmiechem:

– *Follow me, please.*

Podziękował skinieniem głowy i ruszył za nim pospiesznie.

Czy jego paszport również był namierzony przez FBI? Być może przepuszczono ich tylko po to, żeby w wybranym miejscu i czasie zatrzymać poza oczami ciekawskich...

Stop!

Teraz nie znajdzie odpowiedzi na dziesiątki pytań, które cisnęły się do głowy. Pozostawało tylko przestrzegać ustalonego wcześniej planu – trzymać się od Anny z daleka i obserwować, czy ktoś nie przyklei się do jej pleców.

Zgodnie z ustaleniami wzięła bagaż z taśmociągu. Przeszła przez stanowiska odprawy celnej. Wkrótce była już w hali przylotów, gdzie tłum najbliższych czekał na tych, którzy właśnie przylecieli rejsem 2623 z Panama City.

Andrzej trzymał się z tyłu, co pozwalało mu kontrolować wystarczająco duży obszar, żeby zauważyć tajniaka idącego śladem Anny. Na razie nikogo takiego nie dojrzał.

Anna podeszła do punktu wypożyczania samochodów. Pół godziny później, z kluczykami w dłoni, ruszyła w stronę wskazanego jej parkingu.

Nadal nikt nie interesował się jej osobą. A może ruch kamer został spowodowany całkiem inną przyczyną? Tylko jaką? Na to pytanie również nie znalazł odpowiedzi. Jak uczone ich w szkole wywiadu – prawidłowe odpowiedzi zawsze pierwsze nasuwają się na myśl i niekiedy są przerażająco proste. A zatem należało założyć, że oczekiwano na przylot Anny.

Doszedł do drzwi wyjściowych z hali lotniska. Automat rozsunał przed nim na boki szklane tafle. Wyszedł przed halę lotniska i ruszył chodnikiem wzdłuż ulicy. Wkrótce usłyszał za plecami trąbienie. Anna zatrzymała auto kilka metrów z tyłu. Wsiadł do środka. Ruszyli.

– Co z twoimi podejrzeniami? – Obrzuciła go niepewnym spojrzeniem.  
– Chyba się sprawdziły.  
– To dobrze?  
– Dobrze, że chyba, czy że się sprawdziły?  
– Zawsze lubisz tak wszystko komplikować?  
– Okej, jak będę czegoś pewien, to dopiero wówczas o wszystkim cię poinformuję.

Skreśliła na zjazd, który miał ich doprowadzić do autostrady oznaczonej numerem 95. Andrzej sięgnął pod fotel, żeby znaleźć rączkę, chcąc odsunąć fotel do tyłu.

Anna zerknęła w lusterko wsteczne. W niewielkiej odległości za nimi jechały zielonkawy ford, szary opel i białe mitsubishi gallant.

Mitsubishi, westchnęła w myślach.

– Marzyłam, żeby kupić taki wózek. – Wskazała ruchem głowy do tyłu.  
– Myślisz o japończyku?  
– Aha. Rok temu widziałam jego fotkę w magazynie motoryzacyjnym i od razu wpadł mi w oko.  
– Nie wiedziałem, że tak lubisz samochody.  
– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz.  
– Na przykład?

Między fotelami zajmowanym przez Annę i Andrzeja pojawiła się głowa Moniki.

– Że mama nie lubi łaskotek.  
– Czego jeszcze nie wiem?  
Anna uprzedziła córkę.  
– Nie lubię, jak facet zbyt wiele o mnie wie.  
– Choć wydawało mi się, że znam cię doskonale, w rzeczywistości prawie nic o tobie nie wiem.  
– To dobrze.  
– Uważam wręcz przeciwnie.  
– Twój problem.

Siedząca z tyłu Monika ponownie wsunęła głowę między oparcia przednich foteli.

- Zamierzacie się kłócić?
- My? – Anna i Andrzej wypowiedzieli to słowo niemal równocześnie.
- Gdzie jedziemy? – Mała spojrzała przez szybę.
- Do Nowego Jorku.
- Dawno go wybudowali? – Monika zerknęła na Andrzeja.

Andrzej podrapał się w policzek

– Jeśli dobrze pamiętam, to w XVII wieku założyli go holenderscy koloniści.

Monika zrobiła zawiedzioną minę.

- To on wcale nie jest taki nowy.
- Ale na pewno ci się spodoba.
- Wolalabym spotkać się ze Smokiem Filo-Milo.
- Któż to taki? – zaciekawił się Andrzej.
- Mieszka w pewnej tajemniczej krainie. – Monika pokazała leżącą obok niej książkę. – Jak przeczytasz, to się dowiesz.
- Chyba tak zrobię.
- Jestem śpiąca.
- To połóż się na tylnej kanapie. – Zdjął z kolan marynarkę i złożył ją dwukrotnie. – Proszę, będziesz miała poduszkę pod głowę.

Po dłuższym milczeniu Andrzej spojrzał na Annę.

– Czy musimy przerzucać się słowami niczym piłką? To nie siatkówka, a mitsubishi, który kiedyś tak ci się podobał, prawdopodobnie jedzie naszym śladem.

– Skąd wiesz?

– Minutę temu nieprawidłowo przekroczyłaś linię ciągłą, jakbyś zamierzała skręcić na 97. na Glen Burnie, a my przecież kierujemy się na nowojorską 95. Tamci wykonali ten sam manewr.

– Może to przypadek?

– Przestań już z tym „może” – w głosie Andrzeja odezwała się nuta złości.

– Nie przez przypadek weszłaś w posiadanie mikrofisz, z powodu których wywiad goni za tobą na drugą półkulę. Nie przez przypadek poleciałaś do Montevideo i tydzień temu ktoś...

Anna spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

– To ja ukradłam te cholerne mikrofisze, bo miałam taki kaprys, tak? To ja poprosiłam, żebyś zapłacił za operację plastyczną, bo jakaś pinda miała nieco inny podbródek? To ja ci wmówiłam, że...?

– Przepraszam. Masz rację. – Obejrzał się za siebie, jakby szukał powodu, by ściszyła podniesiony głos, gdyż mała usnęła. – To wszystko moja wina. Wtedy na lotnisku, kiedy powiedziałaś mi, że się zakochałaś, chciałem...

– Co?

– Powiedzieć, że... Pamiętasz most?

– Jaki?

– Chciałabyś, żeby ktoś skoczył z niego dla ciebie z miłości. Tamtego dnia, kiedy odleciałaś. Skoczyłem.

– Kłamiesz.

Ich oczy spotkały się na sekundę. To jednak jej wystarczyło, żeby być pewną, że powiedział prawdę.

Niepewnie zerknęła w lusterko wsteczne.

– Co teraz?

– Jedziemy dalej.

– Może się zamienimy?

– Jesteśmy na autostradzie, więc dodaj gazu.

– Zamierzasz spać? – zdziwiła się, widząc jak układa głowę na zagłówku.

– Mam coś lepszego do roboty?

– Chciałeś czegoś się o mnie dowiedzieć.

– Zdążymy. – Ziewnął. – Mamy przed sobą dziesięć godzin jazdy.

Przymknął oczy. Z tylnej kanapy doleciało ciche pochrapywanie Moniki. Rozsądna dziewczynka.

Przez szparę w powiekach dostrzegł, jak Anna zacisnęła usta w obrażoną podkówkę. Przyszło mu do głowy, że podoba mu się bardziej, gdy jest nadąsana. Tak, właśnie wtedy, gdy była zła, groziła wybuchem i każda próba

rozbrojenia jej humoru mogła skończyć się jedynie gorszym kataklizmem.

Niekiedy sprawiała wrażenie zagubionej dziewczynki, która najchętniej schowałaby się w najciemniejszym zakamarku mieszkania. Jednocześnie też udawała, że ze wszystkim sama doskonale da sobie radę... Nie, nie to w niej było tak pociągające.

Wczoraj przed zaśnięciem sięgnął po tomik wierszy, który przywiózł z Polski. Leżąc w łóżku, zaczął kartkować jego strony, aż trafił na poszukiwany fragment:

*Stoisz samotnie na balkonie  
Obok na stoliku płonie świeca  
Patrzysz w dal jakbyś wyglądała gościa z daleka  
Księżyc jest migotliwą latarnią morską*

*Cisza przepływa za oknem jak porzucony żaglowiec  
Bezgłos  
napina mroczne żagle  
o burty uderza szmer zdarzeń dnia  
Wielkich  
Małych  
Tragicznych i Śmiesznych*

*Spienione chmury rozbijają się o moje stopy  
Dopływam do Twoich marzeń*

*– Dobrze, że już jesteś  
Wchodzisz na pokład  
Przytulasz się, drżąc z zimna  
Miasto pozostaje gdzieś w oddali wypełnionej migotliwą  
nieodpowiedzialnością reklam  
Zachłanną zazdrością  
Zniechęceniem  
Niespełnieniem*

*Żagle wypełnia cisza  
Księżyc za rufą znaczy jasny trał  
Przed nami ciemność gładka niczym rozlany na szybie atrament  
Czy ktoś napisze nim naszą historię?*



*Jaka będzie?  
Posłuchaj...*

*Za siedmioma górami  
Za siedmioma lasami  
Za siedmioma strumieniami  
Była góra ósma  
ósmo las  
i ósmo strumień  
Za nimi zaś wznosiła się góra dziewiąta i...*

*To chyba nie ta bajka. Jaka będzie nasza historia? – dopytujesz się z  
niecierpliwością*

*Cesarzowa z kart Tarota rozkłada przed nami pasjansa  
Jako pierwszą  
odkrywa tulącą się do siebie parę  
Podnosi na nas oczy jakby zaciekawiona czy pasujemy do odsłoniętego obrazka  
– Rak jest w opozycji do żywiołu Wody – szepcze do siebie zdziwiona  
– Księżyc wszedł w trzecią kwadrę – Mag odpowiada usłudze Jej Wysokości  
– Czy ktoś powie nam... – Marszczysz brwi  
– Cii – Cesarz kładzie palec na ustach zerkając ukradkiem w stronę Siódemki  
Kielichów. – Nawet nie waż mi się o tym myśleć  
Cesarzowa robi groźną minę  
– Co z tego dla nas wynika? – patrzysz na karty  
Mag spogląda na nas zaskoczony że nie rozumiemy jasnego rozkładu  
– Jak to co?  
Wzrusza ramionami  
– Proszę tylko spojrzeć  
Najwyraźniej...  
To pewne!  
Jutro będzie padać!*

*Na niebie pojawia się biały kleks, który rozlewa się w...  
Twarz  
Twoja  
Twarz jest  
Jak słoneczko*

*Chyba wszystko się poplątało  
Czas  
Przestrzeń*

*Wichura rozwiewa litery zakłęte w obłoki*

*Gdybym nie przytrzymał ząbkami  
Twojego płatek ucha – szepczę – porwałaby Cię Rycerz Buław*

*\* \* \**

*Otwierasz oczy i rozglądasz się zdziwiona*

*– Więc nie było żaglowca?  
Wykładającej wróżebne karty Cesarzowej?  
Cesarza?  
Maga?*

*– Ależ skąd głuptasie  
Zapomniałaś że  
całując mnie  
zamknęłaś tylko na moment oczy.*

ŚPI CZY UDAJE? – Anna zadała sobie w duchu pytanie, mając niejasne przeświadczenie, że jest obserwowana.

Postanowiła skupić się na drodze. Kiedy lecieli samolotem, Andrzej siedział dwa rzędy przed nimi, od strony przejścia między fotelami. Mogła więc przyjrzeć się jego profilowi. Miał podbródek Romana, jej pierwszego męża. Co też przyszło jej do głowy! Czy wszyscy faceci są skurwysynami? – zadała sobie w duchu pytanie i niemal natychmiast odpowiedziała: „Wszyscy, i to bez wyjątku”. Przypomniała sobie pewien wrześniowy wieczór sprzed roku, gdy siedziała z Helenką w kawiarnianym ogródku przed Europejskim.

– Pamiętaj. – Koleżanka była już po kilku drinkach. – Wszyscy faceci myślą fiutem.

– Wszyscy? – Udała naiwną i roześmiała się głośno.

– Oczywiście do pewnego wieku. Potem dopada ich demencja starcza, a wtedy nie pamiętają, jak mają na imię i gdzie schowali swój portfel. A bez niego są nikim.

– Nie lubisz facetów?

– Prócz nich samych nikt ich nie lubi. Mylę się?

Anna kiwnęła wówczas głową, ale nie do końca podzielała pogląd Helenki. Jej pierwszy mąż, Roman, był głupim szczyłem, a ona niedorzęniętą cipą, która po raz pierwszy wyrwała się z domowych pieleszy i znalazła się w łóżku z chłopakiem. Tylko że tamten szybko wydorósł i zostawił ją pod kołdrą z gołą dupą i marzeniami o wielkiej miłości w bajkowym pałacu Śpiącej Królowy.

Co ją tak denerwowało w Andrzeju? Może był od niej mądrzejszy, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Z pewnością znaczenie miała jego pewność, że postępuje słusznie. I ta stanowczość, której mimo prób nie potrafiła zdefiniować.

Nie powinna była zabierać z sobą córki do Montevideo. Postąpiła jak samolubna idiotka. Już będzie dobra dla dziecka. Już wszystko się zmieni. Już mamusia... – Ze złością uderzyła dłonią w kierownicę. – Zesrała się bieda i płacze. Andrzej miał rację. Ona sobie wyobrażała, że wyleci na drugi koniec świata i wszyscy o niej zapomną? W rzeczywistości naraziła dziecko na niebezpieczeństwo. Śmierć Elwiry była tego aż nazbyt wyraźnym dowodem

Zerknęła w lusterko wsteczne. Białe mitsubishi gallant nadal jechało za nimi w tej samej odległości. Andrzej poprawił głowę na oparciu fotela. Znowu się uśmiechał i Anna uwierzyła, że wszystko dobrze się skończy.

Godzinę później zjechała na parking przy autostradzie. Od wyjazdu z Baltimore przejechali zaledwie trzysta mil. Do Nowego Jorku mieli jeszcze spory kawał drogi. Czy dlatego Andrzej postanowił, że w połowie drogi zatrzymają się w pierwszym przydrożnym motelu?

LESZEK WSKAZAŁ STOJĄCEGO przy krawężniku kilkuletniego forda i Artur gwizdnął z podziwu.

– Stać cię na nowy wózek?

– Czemu nie. Ty dbasz o innych, a oni dbają o ciebie.

Wczoraj Artur dowiedział się, że jego osoba została pozytywnie zweryfikowana.

– Dwóch facetów poręczyło za ciebie, więc wszystko jest okej. – Leszek był najwyraźniej zadowolony.

– Nie powiesz chyba – zadrwił Artur – że ponownie zostałem przyjęty w poczet członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, gdzie wymagano rekomendacji dwóch osób.

– Lubię twoje dowcipy. – Leszek klepnął go przyjacielsko po ramieniu. – Możesz być spokojny. Partia cały czas tylko obiecywała. U nas najpierw płacą.

Wsiedli do samochodu. Leszek włączył silnik i ostro ruszył z miejsca. Wyglądało to tak, jakby miał osiemnaście lat i bogaty ojciec dał mu kluczyki do auta.

– Spieszmy się gdzieś? – Artur zapiął pasy.

– Nie lubisz szybkiej jazdy?

– Nie lubię wariackiej jazdy. Poza tym jedziesz, jakbyś chciał zarzącać silnik.

– Zgadza się, chcę to zrobić. Powiedziano mi, że jak zajeżdżę ten wózek, to dostanę nowiutkiego opla, więc mogę sobie pozwolić na kaprys bogacącego się człowieka.

Kilkanaście minut później wyjechali z Warszawy i w Jankach skręcili na szosę krakowską. Leszek nie oszczędzał samochodu i nie schodził poniżej setki na godzinę. Po trzydziestu kilometrach skręcili w boczną szosę i wkrótce zatrzymali się przed stalowym płotem, za którym rósł gęsty wysoki żywopłot. Artur dostrzegł kilka kamer, które monitorowały przyległy teren.

Nie pytał, dokąd przyjechali. I tak niedługo dowie się wszystkiego.

Leszek wystawił głowę przez otwartą szybę i spojrzał w wycelowany w niego obiektyw kamery. Chwilę później stalowa brama drgnęła i jej skrzydła rozsunęły się na boki.

Przejechali przez zaniedbany park i zatrzymali się przed równie zniszczonym dziewiętnastowiecznym pałacykiem. Na parkingu stało kilka zagranicznych samochodów. Artur pomyślał, że za trzy takie wózki – lamborghini, porsche i ferrari 348 TS – z pewnością kupiłby ten zapuszczony

park z walącym się dworkiem.

Mylił się! Nie zadał sobie pytania, dlaczego tak pilnie strzeżony przez elektroniczną ochronę teren był tak zaniedbany. Kiedy przekroczyli drzwi wejściowe pałacyku, znaleźli się w zupełnie innym świecie. Pięknie urządzone starymi meblami hol był wyłożony cypryjskim marmurem. Wiszące na ścianach płótna z pewnością nie były kopiami polskich malarzy.

Przywitał ich czterdziestoletni siwiejący mężczyzna. Ubrany był w zwykłą podomkę i dżinsy, w dłoni trzymał dopiero co zapalone długie cygaro. Ładnie pachniało.

Gospodarz wyciągnął dłoń w kierunku wchodzących, przyglądając się Arturowi z uwagą. Leszek przedstawił ich sobie.

– Markiz Jensen-Drzycki. Artur Nojmann.

Gospodarz uściskał dłoń gościowi.

– Jensen był moim szwedzkim praprapradziadkiem, który w czasie potopu ożenił się z Eufemią Drzycką, moją prapraprababką. A może – zastanowił się – o jedno pra powiedziałem za mało? Nieistotne. Zaraz po wojnie komuna zajęła ten pałacyk i umieściła w nim przedszkole. Do jakiego stanu doprowadzono obiekt, mógł się pan przekonać, oglądając budynek z zewnątrz. W czasie remontu kazałem zachować obraz dawnej dewastacji tylko na zewnątrz. Ot, kaprys bogatego człowieka.

– Kaprys?

– Chciałem, żeby to stale przypominało mi, z jakiego bagna wyszliśmy.

– Nie ukrywajmy – Artur skrzywił się, jakby podano mu do przełknięcia cytrynę – że do tego bagna sami znacznie się przyczyniliśmy.

Gospodarz roześmiał się głośno i spojrzał na Artura z uznaniem.

– Lubię ludzi, którzy mówią, co myślą. Leszek dużo o panu opowiadał. Pański były naczelnik również okazał się rozmownym gościem. Proszę za mną. – Wskazał dłonią w głąb holu.

Przeszli do dużego salonu po jego prawej stronie. Wnętrze miało klasycystyczną architekturę, do której kompletnie nie pasowały ciężkie dziewiętnastowieczne meble i obite skórą fotele. Usiedli i dopiero w tym momencie Artur zorientował się, że do pokoju wszedł tylko z Jensenem. Leszek został za zamykającymi się drzwiami.

– Przejdźmy od razu do rzeczy. – Gospodarz podsunął w jego stronę

mahoniowe pudełko, w którym leżały cygara. Odmówił ruchem głowy.

– Pewnego dnia każdy z nas, z własnej i nieprzymuszonej woli, zgłosił się do kadr MSW. Urodziliśmy się w PRL-u, a przynajmniej w tym ustroju dorastaliśmy. Nikt z nas nikogo nie zdradził, nie zabił, ani też nie oszukał dla prywatnego zysku. Wszyscy pracowaliśmy dla kraju, który był powszechnie uznawany przez cały świat. Okazuje się jednak, że byliśmy zdrajcami. Wyrzuca się nas z pracy, odbiera emerytury, piętnuje jako sprzedawczyków. To boli. Powiem nawet więcej, to jest wkurwiające...

Słuchając gospodarza, Arturowi pomyślał, że ten nie po raz pierwszy wygłasza takie przemówienie. Rola Jensena była przed nim odgrywana ze wszystkimi zasadami dramaturgicznymi, nakazującymi powolne stopniowanie napięcia. Do jakiej puenty zmierzali?

– Dlatego też postanowiliśmy pomóc sami sobie. – Odłożył dymiące cygaro do wielkiej kryształowej popielnicy. – Nie obchodzą nas inni, dlatego przyjmujemy tylko swoich. Tylko! Gdyż wskazano nas palcem i powiedziano, że jesteśmy obywatelami drugiej kategorii. Czy w mojej wypowiedzi dostrzegłeś jakieś nieścisłości?

– Nie.

– Powiedziano mi, że masz zawodowe prawo jazdy.

– Zgadza się.

– Od jutra zaczniesz tygodniowy kurs prowadzenia tirów. Wszystkie dokumenty są już przygotowane, a szkolenie opłacone.

– Co potem?

– Leszek wybrał cię jako zmiennika. Miesięczna pensja wynosi osiem tysięcy złotych. Premie za każdy kurs na zachód Europy w wysokości tysiąca dolarów. W miesiącu wychodzi średnio od dwóch do czterech kursów.

– Tyle chyba nie zarabia dyrektor PKO.

Jensen uśmiechnął się ironicznie.

– Za dwa tygodnie wyjeżdżacie do Antwerpii, więc musisz zdać wszystkie egzaminy. Po rozładunku będziecie mieli dwadzieścia cztery godziny dla siebie. Nie radzę jednak spędzać tego czasu w burdelu. Zaraz po powrocie jedziecie w kolejną trasę. Słyszałem, że się rozwiodłeś.

– Owszem.

– Więc nikt nie będzie jęczał, że nie ma cię w domu. I jeszcze jedno. Jesteście byłąmi funkcjonariuszami, którzy potrafią obchodzić się z bronią. Może więc zaistnieć potrzeba, że będziecie musieli jej użyć. Chciałbym być pewny, że nie zawahasz się pociągnąć za spust.

Sięgnął pod marynarkę i wyjął z ukrytej pod nią kabury pistolet P-64. Wyciągnął magazynek, pokazując Arturowi, że jest naładowany. Wsunął go z powrotem i przeładował. Potem położył go przed Arturem.

– Chodź ze mną.

Wstali z miejsc. Dlaczego gospodarzowi zależało, żeby zobaczył, że pistolet jest nabity? Sięgnął po broń. Kiedy Jensen był odwrócony plecami, wyjął magazynek, i przesunął palcem po pierwszym pocisku.

Wyszli do holu.

– Jak się panu podoba mój nowy przyjaciel? – spytał Jensena czekający na nich Leszek.

– Jest małomówny.

Wyszli przez półkolisty taras na tyły pałacu. Zeszli po kilkunastu stopniach i ruszyli ścieżką między krzewami jaśminu. Wkrótce doszli do budynku, w którym prawdopodobnie mieszkała kiedyś dworska służba. Podobnie jak pałac, budynek na zewnątrz sprawiał wrażenie zniszczonego. Tym razem wewnątrz było nowoczesnie urządzone.

Z niewielkiego holu wykręcili w stronę schodów, które zaprowadziły ich do piwnic. Zeszli na poziom minus dwa. Jensen zapalił światła. Przeszli długim korytarzem. Wkrótce prowadzący otworzył drzwi. Znowu rozległo się pstryknięcie przełącznika.

Na środku pustego pomieszczenia siedział na krześle związany mężczyzna z kapturem z ciemnego materiału narzuconym na głowę.

– Zabij go – głos Jensena był zimny i obojętny.

Człowiek na krześle szarpnął się i Artur usłyszał nieartykułowane jęki. Najwidoczniej miał zakneblowane usta.

– Dlaczego mam to zrobić? – Spojrzał na trzymany w dłoni pistolet.

– Chciał nas zdradzić – usłyszał za plecami głos Leszka.

Skępowany ponownie się szarpnął. Tym razem krzesło wraz z nim przewróciło się na posadzkę.

– Tylko za to chcecie go odstrzelić? – w głosie Artura odezwał się ton paniki.

– Nie my. – Jensen odpowiedział z lodowatym spokojem. – Ty. Naczelnik mówił, że strzelałeś do człowieka.

– No tak... – Artur nie mógł oderwać wzroku od trzymanego w dłoni pistoletu. – Ale tamto zdarzenie... Kurwa, dlaczego mam to zrobić? Skąd pewność, że ten gość jest winny?

Jensen zaśmiał się gardłowo.

– Jest winny i zasługuje na śmierć. Wykonasz zadanie, czy...? – Spojrzał na niego i po chwili wyciągnął dłoń, jakby chciał, żeby zwrócił broń.

Artur podszedł do leżącego i trzykrotnie strzelił. Za każdym razem mężczyzna rzucał się, jakby rażono go prądem, a na jego ubraniu ukazywała się kolejna krwawa plama.

Nie zdawał sobie sprawy, że to może być aż tak trudne, choć kiedy wychodził za Jensenem z salonu, dyskretnie wyjął magazynek i wyczuł palcem ślepy nabój. Chciano go sprawdzić, czy potrafi wykonać rozkaz. Jednak dopiero, gdy nacisnął spust, nieoczekiwanie przyszło mu do głowy, że prócz tego jednego ślepaką inne pociski mogły być ostre.

Wystrzelił po raz trzeci i odrzucił broń. Podbiegł do ściany, wsparł się o nią i zwymiotował.

A jeśli właśnie zabił człowieka?

– Rzeczywiście, Leszek miał rację – usłyszał głos markiza. – Jesteś niezły. – Tamten poklepał go po plecach. – Już po wszystkim.

Artur usłyszał brzęk szkła. Za nim stał Leszek i trzymał w ręku wypełnioną do połowy szklanę.

– Machnij dla kurażu – zaśmiał się.

Leżący na posadzce trup poruszył się. Na twarzy Artura pojawiła się złość.

– Dałem się zrobić w chuja? – Spojrzał na Jensea.

Leszek puścił do niego oko.

– Nie ty jeden. Też rzygałem. Na tamtą ścianę. – Wskazał głową. – Wypij, dobrze ci zrobi.

Wyszli z piwnicy i ruszyli schodami w górę.



– A gdybym nie chciał strzelić?

– Wtedy sam bym to zrobił. – Leszek wzruszył ramionami. – A ciebie odwiózł do domu. Z pewnością wiedziałbyś, że lepiej szybko o nas zapomnieć. Gdyby stało się inaczej...

– Trafilibym związany na krzesło z kapturem na głowie. Ktoś odmówił?

– Dwóch. – Jensen ruszył przodem, żeby otworzyć oszklone drzwi. Nim jednak nacisnął klamkę, odwrócił się do Artura. – Jeden nie chciał trzymać języka za zębami, więc rodzina musiała wyprawić mu pogrzeb.

Patrząc w oczy Jensena, Artur był pewien, że tym razem gospodarz mówi prawdę.

SZYFROGRAM, KTÓRY WYLĄDOWAŁ na biurku Sulimowicza sprawił, że ciśnienie skoczyło mu gwałtownie do góry. W doniesieniach zastępcy rezydenta wywiadu w Urugwaju można było przeczytać, że ciało Borysa znaleziono w samochodzie pozostawionym przed wejściem do ambasady w Montevideo. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że prawdopodobnie padł ofiarą szaleńca nożownika, gdyż tożsamość zabitego udało się ustalić dopiero na podstawie znaków szczególnych.

Sulimowicz wiedział, co znaczyła ta śmierć. Przekaz był skierowany do niego i mówił, że don Ramir jest coraz mniej zadowolony z łączącej ich współpracy.

Generał nie spodziewał się, że Urugwajczyk zareaguje tak gwałtownie. Po raz pierwszy od lat poczuł, jak coś zimnego wypełzło mu z żołądka i skoczyło do gardła, dławiąc na dłuższy czas oddech.

MIASTEczKO NAZYWAŁO SIĘ Denton i, jak wskazywała tablica informacyjna, w pobliżu stał motel.

– Może tu? – Andrzej zdjął nogę z gazu.

Anna kiwnęła głową. Miała ochotę rozprostować nogi. Dwie godziny temu zamienili się za kierownicą i myślała, że monotonia jazdy skłoni ją do drzemki. Nic z tego. Coraz to oglądała się za siebie i za każdym razem odnajdywała jadące za nimi białe mitsubishi.

– Dostaniesz skrętu karku – zażartował Andrzej.

– Ciebie nie denerwuje tamten samochód?

– Owszem, tylko...

– Co?

– Nic nie mogę na to poradzić. Ktoś kiedyś mnie nauczył, że jeśli nie mam na coś wpływu, to powinienem to zaakceptować i się przyzwyczaić. Jadący za nami nie stanowią teraz zagrożenia, więc możemy na jakiś czas o nich zapomnieć.

– To wasi znajomi? – Monika podążyła za spojrzeniem Anny.

– Można tak powiedzieć – przytaknął Andrzej. – Niedługo zatrzymamy się na noc, to sobie z nimi pogadam. Na pewno się polubimy.

– Mówisz poważnie? – Anna obrzuciła go niespokojnym wzrokiem.

– Oczywiście żartowałem. – Puścił do niej łobuzerskie oko.

Skęcili z autostrady i pojechali szeroką jezdnią w stronę widocznego na horyzoncie miasteczka. Jak się okazało, motel wzniesiono milę przed Denton. Tym razem należało skręcić w polną drogę wysypaną czerwonym tłuczniem. Drogowskazy doprowadziły ich przed niewysoki budynek administracji, zbudowany z grubych sosnowych bali. Motel w rzeczywistości był dwudziestoma kilkoma osobnymi domkami otoczonymi lasem.

W recepcji siedział młody chłopak w stroju farmera. Obok fotela stała strzelba, wsparta o rzeźbioną kolumnę.

– Myślisz, że jest prawdziwa? – Anna spojrzała niepewnie na siedzącego w bujanym fotelu.

– A dlaczego miałyby nie być?

– Tak tylko spytałam.

Kiedy wprowadzali się do domku numer osiemnaście i wnosili do środka walizki, Anna dostrzegła, że między drzewami pojawiło się białe mitsubishi.

– Już są. – Wskazała Andrzejowi auto ruchem głowy.

– Świetnie – autentycznie się ucieszył. – Dasz mi kluczyki do samochodu?

– Chcesz gdzieś jechać?

– Do Denton. Mam zamiar napić się piwa.

– Zamierzasz zostawić nas z tymi typami?

– Nie rozumiem. – Zrobił zdziwioną minę i wyjrzał przez otwarte okno. –

Przecież nic wam nie grozi. Faceci są z FBI, to przedstawiciele prawa.

– Nie lubię takich żartów. – Wcisnęła mu do ręki kluczyki, wypchnęła za próg i zatrzasnęła z hukiem drzwi.

Podeszła do okna i nieznacznie odchyliła firankę. Po chwili się odwróciła i spojrzała na jego tyłek, rysujący się pod opiętymi dżinsami. Mimo czterdziestu lat było z niego jeszcze niezłe ciacho.

Co też buzuje jej w głowie? Odeszła zła od okna. Czy dlatego, że dawno żaden facet jej nie przeleciał?

ANDRZEJ W DRODZE na parking minął agenta siedzącego w otwartych drzwiach samochodu. Ile mógł mieć lat? Trzydzieści, może trzydzieści pięć? Drugi wychodził z otwartych drzwi domku. Kiwnął obu przyjaźnie głową na powitanie.

– Nie wiecie, do której otwarty jest pub w Denton?

Siedzący za kierownicą spojrzał zdezorientowany na starszego towarzysza.

– Jak wszędzie – odpowiedział tamten – do dwudziestej trzeciej. W końcu jutro normalny dzień pracy.

– Dzięki. – Uniósł dłoń, jakby zamierzał w powietrzu przybić mu piątkę.

Pogwizdując, ruszył w stronę samochodu. Andrzej przypuszczał, że obaj agenci byli zdezorientowani, widząc jak zmierza do volvo, którym pół godziny wcześniej przyjechał. Był jednak pewien, że agentom bardziej zależy na Annie niż na nim. Mało prawdopodobne, żeby pod jego nieobecność zapukali do drzwi domku numer osiemnaście. Z pewnością nic jej nie grozi. Gdyby miało być inaczej, FBI nie czekałoby, aż się zatrzymają, i już dawno zostaliby zdjęci z autostrady.

Zagrał rolę durnia, który nie zdaje sobie sprawy, z kim w rzeczywistości rozmawia. Czy dali się na to nabrać, było mu zupełnie obojętne.

ANNA PODESZŁA DO OKNA, gdy Andrzej witał się z agentami. Choć z daleka, dopiero teraz mogła ich zobaczyć. Mieli na sobie śmieszne kolorowe stroje letników. Może dlatego wyglądali jak para gejów, którzy wybrali się w to miejsce, żeby spędzić razem kilka dni. Dokoła rozciągały się

przepiękne sosnowe lasy. Tak przynajmniej przeczytała w folderze reklamowym, gdy Andrzej meldował ich na nocleg.

Monika włączyła telewizor i zaczęła przeszukiwać kanały w nadziei znalezienia bajki. Anna przeszła do sypialni, którą miała dzielić z córką. Otworzyła walizkę i wyjęła przybory do kąpieli, piżamy i zmianę bielizny na dzień następny. Wszystkie rzeczy położyła na łóżku. Przez otwarte drzwi zobaczyła sypialnię Andrzeja. Była identyczna, tylko z węższym łóżkiem. Tapczan osadzony na drewnianym pudle. Zbity z desek stół, obok krzesło. Na ścianie imitacje skór i zawieszona na nich strzelba. Dotknęła jej dłonią. Była plastikowa.

Wyszła na korytarz, gdzie stał bagaż Andrzeja. Sięgnęła po walizkę i przetoczyła ją do sypialni. Na progu kółka podskoczyły i rączka wysunęła się jej z dłoni. Walizka upadła. Z bocznej kieszeni wysunęła się gazeta. Kiedy ją otworzyła, zobaczyła na pierwszej stronie zdjęcie zastrzelonego mężczyzny. Poznała go od razu. To on napadł ją nad ranem w motelu, po tym jak zadzwoniła do polskiej ambasady.

Dlaczego Andrzej jej o tym nie powiedział? Chciał ją chronić? Bzdura! Przed czym? Nie należała do osób, które zaraz wpadałyby w panikę.

Podeszła do okna i odchyliła firankę. Andrzej właśnie wykręcał na parking w stronę bramy wyjazdowej. Dlaczego zostawił ją samą z tymi dwoma drabami? Pobiegła do saloniku i zamknęła drzwi wejściowe na klucz. Sięgnęła po słuchawkę. Usłyszała sygnał...

Lepiej się upewnić – utwierdziła się w myślach. W końcu ktoś mógł przeciąć przewody telefoniczne i gdyby chciała zadzwonić do recepcji...

Okno!

Poderwała się jak oparzona i pobiegła do sypialni, gdzie otworzyła okiennice na oścież, żeby przewietrzyć wnętrze. W końcu tamci z mitsubishi mogli niepostrzeżenie wejść do jej domku, kiedy ona była zajęta bagażem.

Dlaczego właśnie teraz Andrzej wyjechał do miasta? – zaczęła w duchu monolog.

A jeśli uciekł?

Zostawił walizkę.

Nie wiadomo, czy w ogóle cokolwiek jest w środku.

Warto sprawdzić, ale... żadne, ale... nie zniżę się do tego, żeby

przeszukiwać cudze rzeczy.

Spojrzała przez drzwi na siedzącą w saloniku przed telewizorem Monikę.

Tu chodzi o nasze bezpieczeństwo.

Tylko bez paniki.

Kto tu mówi o panice.

Ty.

Nic się przecież nie stało.

Jeszcze.

Anna wsunęła gazetę na poprzednie miejsce. Wreszcie po dłuższym wahaniu zdecydowała się odsunąć zamek błyskawiczny. Na wierzchu leżała równo ułożona bielizna.

Pedant?

Na to wygląda.

Tacy są najgorsi.

Niby dlaczego?

Położysz coś nie tak i awantura gotowa. Jedna sprzeczka, druga trzecia...  
A że pedanci to frustraci...

Zdjęła wierzchnią warstwę. Zobaczyła książkę Teda Nortchropa *Rzeczywista struktura Kosmosu*.

Kto dla przyjemności czyta książki o astronomii?

A nie mówiłam, że coś z nim nie tak?

Przekartkowała pobieżnie strony. Zobaczyła kilka matematycznych wzorów. To nie dla niej. Odłożyła książkę na poprzednie miejsce. Pod bielizną znalazła cienką książeczkę, oprawioną w brązowe skórzane okładki. Zobaczyła zakładkę wystającą spomiędzy stron.

*Stoisz samotnie na balkonie  
Obok na stoliku płonie świeca  
Patrzysz w dal jakbyś wyglądała gościa z daleka  
Księżyc jest migotliwą latarnią morską*

*Cisza przepływa za oknem jak porzucony żaglowiec  
Bezgłos*

*napina mroczne żagle  
O burty uderza szmer zdarzeń mijającego dnia  
Wielkich  
Małych  
Tragicznych i Śmiesznych*

U dołu strony zobaczyła odręczny dopisek: *Czy kiedykolwiek jej powiem, jak bardzo ją kocham?*

ANDRZEJ WSZEDŁ DO BARU przez wahadłowe drzwi. Choć dochodziła siódma wieczorem, wewnątrz nie było wiele osób. W rogu sali jakiś brodaczonek ćmił fajkę, kiwając się nad pustym kuflem. Za kontuarem stała kobieta w średnim wieku o twarzy zawodowego boksera.

Bufetowa otaksowała go szybkim spojrzeniem, wycierając kufel. Czy to wystarczyło, żeby wiedzieć, ile zostawi w barze pieniędzy? Andrzejowi przyszło do głowy, że gdyby był mieszkańcem Denton, nigdy nie poprosiłby jej o kredyt.

– Co podać? – Barmanka odstawiła kufel i wsparła się o kontuar wielkim biustem.

– Jakie jest piwo?

– Jedno – odparła niechętnie.

Nie warto było dochodzić marki.

– Podać w szklance?

– Wolę bez.

Zapłacił i wziął butelkę. Moment później zobaczył w rogu sali snookera. Kiedyś był w nim dobry. Tak, nieźle mu szło. Na drugim semestrze w szkole wywiadu uczono ich grać w poola, snookera, Black Jacka i jeszcze kilka innych popularnych na Zachodzie gier. Można się było o nich dowiedzieć jedynie z wyświetlanych w telewizji zachodnich filmów.

– Chciałbym zagrać. – Wskazał głową stół bilardowy.

– A w co? – spytała bokserka, patrząc na niego spode łba.

– Snookera.

– Pięć dolarów za godzinę.

Położył na ladzie dziesiątaka.

Nim ustawił bile, dobrał sobie odpowiedni kij. Z uznaniem kiwnął głową w stronę patrzącej na niego zza lady i uniósł go do góry. Nie przypuszczał, że na tym zadupiu znajdzie Peradona.

– Chcesz, synu, zagrać? – nieoczekiwanie doleciał zza jego pleców zachrypnięty głos. Chwilę później poczuł gryzący dym z fajki.

Obejrzał się. Za nim stał brodaty facet i spoglądał na niego wyzywającym wzrokiem. Andrzej nie był pewien, czy zasypiający jeszcze niedawno nad pustym kuflem będzie wiedział, którym końcem kija należy uderzać w bilę. Widząc niezdecydowanie gościa, tamten sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej plik zmiętych banknotów. Wyciągnął jeden z nich i położył na brzegu stołu.

– O pięćdziesiątkę?

Andrzej spojrzął na wiszący nad kontuarem zegar. Miał dużo czasu i powinien go czymś wypełnić.

– W porządku. – Położył swój banknot obok tamtego

Ustawił trójkąt na środku stołu i wrzucił do niego bile. Czując pod palcami jakość płótna, pomyślał, że ktoś, kto kupił stół, musiał znać się na rzeczy. Był wielbicielem wszystkiego, co wiązało się z zawodowym snookerem. A ten stół z pewnością mógłby zostać użyty na pucharowych zawodach. Ponownie dotknął płótna koniuszkami palców.

– Typu „Strahan” – usłyszał za plecami – „West England”. Może być? – Miejscowy najwyraźniej pokpiwał z jego zaskoczenia.

– Jak najbardziej.

– Mam na imię Albi.

– Andrew.

– Gość ma pierwszeństwo. – Olbrym wskazał stół, zapraszając tym do frame’a.

Po pierwszym uderzeniu Andrzej na jakiś czas zapomniał o barze, nie dostrzegając wchodzących gości. Tych stopniowo przybywało. Wielu z nich ustawiało się wokół stołu. Część dopingowała Albiego, inni wzięli stronę przyjeźdnego.

Po dwóch godzinach stan gry był dwa do dwóch. Obaj okazali się niezłymi graczami i coraz to któryś zbierał słowa uznania, a czasami oklaski za mistrzowskie uderzenie. Po czterech partiach usiedli przy jednym ze stolików, zamawiając piwo. Ku zaskoczeniu Andrzeja stojąca za ladą

bokserka postawiła przed każdym po butelce, informując, że to na koszt firmy.

Andrzej spojrzął na zegar. Dochodziła dwudziesta pierwsza.

– Jeszcze jedna partia?

– Na razie wystarczy.

– Nie kusi cię, żeby sprawdzić, który z nas jest lepszy?

– Jasne, że kusi, ale moja pani może być zła – skłamał, patrząc w stronę drzwi wyjściowych. – Wyjechałem tylko na jedno piwo.

– Zrób jak ja.

– ...?

– Kup bar, ustaw żonę za kontuarem, a samemu zajmuj się tym, co lubisz najbardziej – czyli piwem i snookerem.

Roześmiali się.

– Skąd jesteś? Masz dziwny akcent.

– Z Polski.

Albi zamilkł.

– Coś nie tak?

– Ja jestem z Sieradza – zaczął mówić nienaganną polszczyzną. – W 1968 roku wyrzucili mnie z kraju za żydowskie pochodzenie. Niech to jasny gwint! – Uderzył się dłonią w udo. – Jaki ten świat jest cholernie mały. W rzeczywistości mam na imię Albert Szczebryszkiewicz. Ale dla tutejszych nie do wymówienia. Więc wziąłem po żonie: „Adams”.

– Będę się zbierał. – Andrzej wstał od stołu.

– Podobały mi się twoje zagrania pośrednie.

– Kiedyś sporo nad nimi pracowałem.

– Jak będziesz tędy przejeżdżał, koniecznie wpadnij. Zagramy piątą partię.

Pożegnali się mocnym uściskiem dłoni.

Andrzej wyszedł z baru. Minutę później zapalił silnik i wykręcił z parkingu w stronę szosy. Przejechał milę. Wkrótce zobaczył znak informujący o motelu w głębi lasu.

W połowie drogi zjechał na pobocze. Dochodziła godzina dwudziesta druga. Zgasił silnik. Wysiadł, zabierając ze sobą kluczyki.



Meldując się w motelu, zajrzał właścicielowi przez ramię. Zajęte były tylko trzy domki. Andrzej wziął najbliższy wyjazd. Podobnie uczynili agenci FBI.

Zamiast w stronę bramy ruszył przez las. Wkrótce przeskoczył przez ogrodzenie z bali. Przemknął między krzakami. Na szczęście na niebie było dużo chmur i księżyc sporadycznie zza nich wyglądał.

Jak się spodziewał, jeden z agentów siedział w samochodzie. W domku, gdzie pewnie znajdował się drugi agent, było ciemno. Prawdopodobnie podzielili między siebie nocne czuwanie, by następnego dnia być wypoczętymi.

Agent siedzący wewnątrz samochodu miał włączone radio. Choć grało cicho, Andrzej usłyszał znane tony melodii. Rozpoznał *Lambadę*.

Rozejrzał się uważnie dokoła. Podkraść się skulony pod białego mitsubishi. Kiedy znalazł się przy drzwiach, za którymi siedział agent, spojrzął na okna pobliskiego domku. Były ciemne, a w świetle pobliskiej latarni można było zauważyć, że zasłony zostały szczelnie zaciągnięte.

– Nie ma na co czekać – mruknął do siebie.

Sekundę później wyprostował się i szarpnął drzwiczki samochodu. Otworzył je. Wyprowadził cios. Zaskoczony agent nie zdążył nawet na niego spojrzeć. Uderzony w potylicę jęknął, ale nie zdołał krzyknąć. Potem, w zwolnionym tempie, przewrócił się na siedzenie obok.

Andrzej wyciągnął kupiony w Denton przyklepek i owinał nim mocno nogi nieprzytomnego. Chwycił go pod pachy i wyciągnął z auta. Chwilę później położył pod ścianą domu, w cieniu rzucanym przez dorodny modrzew. Złożył leżącemu dłonie na plecy i okręcił przyklepcem. Potem zalepił usta.

Usłyszał trzask otwieranych drzwi domku.

– Steven! – Andrzej usłyszał głos agenta wychodzącego na dwór.

– Co? – mruknął w zastępstwie nieprzytomnego.

– Czas na zmianę. Nie lej na dom. Idź do łazienki.

Andrzej usłyszał kroki na żwirze. Zza rogu wyszedł niewysoki mężczyzna.

– Powiedziałem, żebyś... – nie dokończył.

Cios w szczękę rzucił go na ścianę, po której zjechał nieprzytomny w dół.

Minutę później również i on leżał związany na ziemi. Nie spiesząc się, zaciągnął obu do środka domku. Tu rzucił na tapczan i dla pewności dodatkowo okleił obu szeroką taśmą. Bez pomocy z zewnątrz nie mieli szans, żeby się wyswobodzić.

Andrzej znalazł kluczyki od domku. Nim wyszedł, zgasił światło i zamknął za sobą drzwi na zamek. Potem powiesił na klamce kartonik z informacją, że wynajmujący nie życzą sobie widzieć do południa nikogo z serwisu sprzątającego.

W stacyjce mitsubishi znalazł kluczyki, a za przednią osłoną przeciwsłoneczną trafił na dokumenty wozu.

Włączył silnik. Wyjechał poza motel i wkrótce zatrzymał się przy volvo stojącym przy drodze, między krzewami. Wyjął z bagażnika torbę z puszkami farby w sprayu, jakim dzieciaki malują mury domów i chodniki. Miały tę przewagę nad innymi, że błyskawicznie schły.

Godzinę później volvo zostało zaparkowane przed domkiem agentów, zaś Andrzej podjechał przemalowanym na czerwono mitsubishi pod numer osiemnaście. Noc była gorąca. Do rana farba na samochodzie wyschnie, jakby wyjęto go z lakierniczego pieca... No, może trochę przesadził. Mógł być jednak pewien, że nikt nie dostrzeże drobnych niedoróbek, jakie na pewno są na masce. Tablice rejestracyjne też lekko podrasował farbą. Ósemkę przemalował na trójkę, a z dwóch zer zrobił dwie ósemki. Jedno było pewne – nikt nie będzie ich szukał w czerwonym mitsubishi gallant.

Doszedł do wynajętego domku. Która mogła być godzina? Spojrzał na zegarek. Druga w nocy. Jutro rano muszą wyjechać o świcie. Anna poprowadzi samochód, a on prześpi się na siedzeniu obok. W oknach było ciemno. Obie już spały. Sięgnął do kieszeni po klucz. Ostrożnie wsunął go w zamek. Nacisnął klamkę. Na szczęście zawiasy nie zaskrzypiały zbyt głośno. Uchylił drzwi i powoli wsunął się do środka.

Przekroczył próg. Wtedy odniósł wrażenie, że sufit zwalił mu się na głowę. Upadł nieprzytomny na dywan.

## Rozdział siódmy

PANI TOSIA ZAMKNEŁA drzwi od willi i, ciągnąc za sobą wózek, zeszła po kilku stopniach. Na dworze panowała ładna słoneczna pogoda. Lekki wiatr zawiął jej w twarz nieco chłodniejszym podmuchem. Cóż, lato powoli mijało, ale do jesieni było jeszcze trochę czasu.

Zerknęła na drzwi sąsiadki, w których od dwóch dni tkwiło powiadomienie pozostawione przez dzielnicowego. Już kilka razy miała ochotę zajrzeć, co tam jest napisane. Tym razem również przebiegło jej przez myśl, żeby wejść do ogródka mieszkającej obok i...

W żadnym wypadku, zbeształa sama siebie. Co też pomyśleliby o niej sąsiedzi, gdyby zobaczyli przez okno. Chyba umarłaby ze wstydu. W żadnym wypadku!

Wyszła na ulicę. Przechodząc obok furki sąsiadki, nieoczekiwanie przystanęła. Rozejrzała się po oknach najbliższych domów i nacisnęła klamkę furki. Przeszła krótki chodnik. Wspięła się po kilku stopniach i wyjęła kartkę wciśniętą między drzwi a framugę. Przebiegła oczyma maszynowe pismo. Sierżant Antoni Dobkiewicz prosił o pilne zgłoszenie się do referatu dzielnicowych. Ale w jakiej sprawie? Zawiedziona pani Tosia złożyła kartkę i wsunęła na poprzednie miejsce.

Pomyślała z irytacją, że jeśli już zostawia się powiadomienie, to należy napisać, dlaczego urząd wzywa do siebie obywatela. Prawo do informacji, jak ostatnio usłyszała w telewizji, jest podstawowym przywilejem każdego, kto żyje w demokratycznym kraju.

Wyszła przez furkę. Chwilę potem podreptała w stronę osiedlowego sklepu. Kiedy zamierzała skręcić w najbliższą przecznicę, nieoczekiwanie zobaczyła idącą w jej stronę sąsiadkę.

– Witam, pani Tereso – zawołała głośniejszym głosem, gdy tamta podeszła do niej bliżej.

Jednocześnie pomyślała w duchu, że Pan Bóg najwyraźniej nad nią

czuwał. Gdyby witająca się z nią zobaczyła, że weszła pod jej nieobecność na ganek, pani Tosia chyba umarłaby ze wstydu...

SAMOCHODEM LEKKO ZAKOŁYSAŁO na zakręcie. Anna spojrzała na śpiącego obok Andrzeja. Znowu się uśmiechał przez sen. Moment później zerknęła w lusterko wsteczne, jakby oczekiwała, że zobaczy w nim białe mitsubishi gallant.

Dzisiejszej nocy trochę narozrabiała. Chociaż kto to widział, żeby zakradać się do wynajętego przez siebie domu?

Myślała, że to tamci dwaj. Andrzej szybko odzyskał przytomność i spojrział na nią z wyrzutem.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? – Przyjęła obronną postawę.

– Miałem wejść ze śpiewem na ustach, wcześniej kilka razy trąbiąc samochodowym klaksonem?

Po wyjeździe Andrzeja do Denton Anna przytuliła się do Moniki, która leżała już w łóżku.

– Miałaś mi poczytać.

– Nie za późno?

– Wczoraj powiedziałaś to samo.

– W porządku. – Sięgnęła po książeczkę, którą Monika położyła przy lampce nocnej. Otworzyła na zakładce.

– Już znalazłam. Poprzednim razem czytałyśmy, że nasi podróżnicy trafili do świata wyobraźni.

DZIEWCZYNIKA PO CHWILI usnęła i Anna przeszła do saloniku. Tam czekała na Andrzeja, siedząc w fotelu i oglądając telewizję. W końcu zmęczona dniem, który minął, przysnęła w fotelu.

Obudziło ją chrobotanie w zamku. Wystraszona poderwała się z miejsca. Była pewna, że to agenci próbują dostać się do ich domku. Co robić? Spanikowana przypomniała sobie o fajansowym wazonie stojącym na stoliku obok.

– Wzięłam go i schowałam się za drzwiami – tłumaczyła Andrzejowi, gdy

ten oprzytomniał.

– Nie przyszło ci do głowy, że jeśli ktoś ma klucz, to niekoniecznie jest włamywaczem?

– Klucz mógł być podrobiony.

Kiwnął wówczas potakująco. Wtedy Anna zobaczyła jego czerwone dłonie. Gwałtownie zbladła. Jeśli to była zaschnięta krew, a Andrzej zamordował...

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą zaniepokojoną twarz Andrzeja.

– Stało się coś?

– Zemdląłeś.

Wtedy przypomniała sobie o jego dłoniach i znowu zrobiło jej się słabo.

Wreszcie Andrzej wszystko wyjaśnił i nagle okazało się, że do świtu mają zaledwie godzinę.

– Chyba pójdę się wykapać. – Andrzej ruszył w stronę łazienki. – I spróbuję zmyć farbę rozpuszczalnikiem. – Spojrzał na dłonie. – Rzeczywiście wyglądam, jakbym wrócił z... rzeźni numer pięć.

– Dlaczego pięć?

– Skojarzyło mi się z pewną powieścią.

– Kurta Vonneguta?

– Brawo. Nie wiedziałem, że ją znasz.

Pokazała mu język.

– Nie tylko faceci czytają książki.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Musi uważać na szosę. Im bliżej byli Nowego Jorku, tym tłoczniej robiło się na autostradzie.

A może to wszystko, co dotąd o nim myślała, nie ma już znaczenia? Nie była jeszcze pewna jednego. Czy bardziej dbał o własne, czy też ich bezpieczeństwo?

Właściwie jakie to miało znaczenie. Jak on to wczoraj powiedział?

Razem wdepnęliśmy w to gówno. Każde z nas chciało mieć więcej forsy, więc dostaliśmy za swoje. Dlaczego Andrzej pomyślał, że ukradła mikrofiszę dla korzyści?

– Mnie nie chodziło o pieniądze – te słowa powiedziała cicho, czując, jak

zimna dłoń próbuje zacisnąć się na jej szyi, a z oczu płyną łzy.

Zagryzła wargi, jakby ból miał odepchnąć w mrok dawne wspomnienia. Dlaczego wtedy powiedziała to na głos? Andrzej spojrzał na nią zaskoczony.

– Jeśli nie o pieniądze – zrobił niepewną minę – to nie powiesz chyba, że...

– Te mikrofiszki miałam ukraść dla pewnego faceta.

– A potem mieliście żyć długo i szczęśliwie?

– Skąd wiesz?

– Nadal lubię bajki.

Podeszła do okna i odchyliła firankę. W świetle latarni zobaczyła stojące przed domkiem czerwone mitsubishi. Odwróciła się zaskoczona i spojrzała na Andrzeja.

– Gdzie nasz samochód?

– Mówiłaś, że chciałaś mieć takie autko.

– Pytam poważnie.

Opowiedział o nocnej wizycie u agentów i podmianie samochodów.

– Musimy dojechać do Nowego Jorku przez nikogo niezauważeni. Tylko wtedy mamy szansę.

Przez chwilę oboje milczeli.

Zerknęła we wsteczne lusterko, jakby nie pamiętała, że już nikt ich nie śledzi, a potem spojrzała w stronę Andrzeja. Spał z głową przechyloną na bok. Uśmiechał się przez sen. Miał taki sam wyraz twarzy jak wtedy...

Siedziała wówczas na kanapie z zabandażowaną twarzą, kilkanaście godzin po operacji plastycznej. Nie mogąc jeszcze mówić, sięgnęła po leżący na blacie stolika skoroszyt. Pokazała, że chciałaby coś napisać.

– Długopis?

Andrzej wstał i przyniósł go z sekretarzyka. Kiedy pisała, próbował zajrzeć jej przez ramię, ale delikatnie odsunęła go od siebie, dając do zrozumienia, że musi uzbroić się w cierpliwość.

„Jeśli mnie tak kochasz, to... – podsunęła mu kartkę. – Powiedz, skoczyłbyś z mostu do Wisły, żeby mi to udowodnić?”

Zaczął się śmiać. Początkowo cicho, potem coraz głośniej.

„Co jest śmiesznego w moim pytaniu?” – napisała poniżej.

– Ależ nic, najmilsza. Wreszcie sobie coś uświadomiłem.

„?”

– Że jesteś najbardziej szaloną dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem w życiu.

„Tylko tyle?”

Anna poczuła ucisk w gardle. Po jej policzku popłynęła łza.

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER słuchał mówiącego przez telefon z pozorną obojętnością. Jednak gdyby tamten znalazł się teraz w zasięgu trzymanej przez niego słuchawki, dostałby nią przez głowę...

Nie powinien się denerwować. Przypomniał sobie moment, gdy dopadł go trzeci zawał. Przestraszył się nie tego, że umrze, ale że nigdy nie wróci do gabinetu, w którym na dywanie znalazła go panna Simons.

– Powoli i dokładnie – warknął do słuchawki. – Zaczynaj od początku i nie mieszaj go z końcem.

– Obezwładnił nas w nocy. Czuwaliśmy na zmianę, lecz...

– Widocznie źle to robiliście. Inaczej nie powiązałyby was jak barany.

– Ukradł samochód. Przekazaliśmy dane do centrali. Jeśli jest na autostradzie, to nie ma takiej siły, żeby nasi ludzie...

– Zamknij się. – Natan ciężko westchnął. – Czekać. Wrócę na linię.

Wcisnął przycisk interkomu i usłyszał głos sekretarki.

– Daj mi coś na uspokojenie.

Natan był pewien, że nim skończy mówić, drzwi do gabinetu otworzą się i...

Simons miała ściągnięte brwi i wyglądała jak matka, która chce skarcić niesforne dziecko.

– Wiem. Nic nie mów. Tu masz ich nazwiska. – Dał sekretarce kartkę z danymi agentów. – Są z wewnętrznego. Wydział dziesiąty. Niech ich wywalą na zbity pysk.

Sięgnął po proszki i szklankę z wodą. Wziął do ust i popił dwoma łykami. Kiedy za Simons zamknęły się drzwi, wrócił do przerwanej rozmowy.

– Jesteś tam z tym drugim baranem?

– Oczywiście.

– Mówiłeś, że zostawił wam samochód.

– Tak zrobił.

– Więc pakujcie do niego dupy i zameldujcie się u przełożonego, nawet gdybyście zjawili się w Nowym Jorku o północy.

Rzucił słuchawkę na widełki.

– Miejmy nadzieję – mruknął do siebie pod nosem – że Secundus przygotował coś interesującego.

Ponownie wcisnął interkom. Nie musiał zadawać Simons pytania.

– Już na pana czeka – usłyszał.

– Niech wejdzie.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął doradca.

– Siadaj. – Schneider wskazał krzesło. – Jesteś na nogach od czterdziestu ośmiu godzin.

– Przespałem się w samolocie.

– Czekam więc na informacje.

– Są interesujące przez to, że dziwne.

Secundus mówił powoli, uprzedzony przez sekretarkę, że boss ma ciężki dzień. Nie chciał, żeby Schneiderowi umknęła choć jedna kwestia. Z Montevideo wrócił o północy. Godzinę później ściągnął z domów do biura cały zespół. Teraz referował wyniki jego sześciogodzinnej pracy.

– W połowie lat osiemdziesiątych don Ramir kilkakrotnie odwiedził Polskę. Z naszych informacji wynika, że w 1987 roku został współwłaścicielem dwóch firm polonijnych. Kapitał był jego, zaś figurant Polak, niejaki Jensen-Drzycki, został wspólnikiem i naczelnym dyrektorem. Gość każe tytułować się markizem, ale to lipa. Nie ma prawa do tytułu.

– Kim naprawdę jest Jensen-Drzycki?

– Byłem pułkownikiem Służby Bezpieczeństwa. Ostatnie lata przepracował jako osobisty sekretarz generała Sulimowicza.

– Tego Sulimowicza?

Secundus kiwnął potwierdzająco głową.



– Jakie wspólne interesy może mieć komunistyczna służba bezpieczeństwa i Urugwajczyk?

– To właśnie ten smaczek. Firma „Santa Corona Co.” zajmuje się importem z Urugwaju do Europy Wschodniej porcelany stołowej.

– Przecież w Polsce sklepy świecą pustkami. Na cholerę im zagraniczna porcelana, jeśli nie mają na niej czego położyć?

– Wiadomo tylko, że od połowy 1988 roku do dziś z Urugwaju do polskich portów przyłynęło sześć ton zastawy. Jeszcze nie rozgryżłem w czym rzecz, ale wszystko wygląda na uczciwy biznes.

– Jaśniej.

– Początkowo porcelana miała trafiać na polski rynek wewnętrzny. Być może ze względu na kłopoty Polaków z zaopatrzeniem, pierwszy transport został przekierowany do Holandii i Belgii.

– Wnioski?

– Przeprowadziłem kalkulację kosztów. Wynika z niej, iż rzeczywiście taniej jest wyładować towar w Polsce i przewieźć go na Zachód, niż wieźć bezpośrednio do któregoś z portów Niemiec, Belgii czy Holandii.

– Co to miało wspólnego z gościem z ambasady w Montevideo? Jak się nazywał?

– Borys Derczyński.

– Właśnie.

– Facet był nieformalnym przedstawicielem polskiej firmy współpracującej z don Ramirem. Inaczej mówiąc, pracując jako rezydent wywiadu, opłacany przez państwo, załatwiał prywatne interesy, umawiając i koordynując wysyłkę transportów porcelany do Europy.

– Dlaczego mówisz o nim w czasie przeszłym?

– Dwa dni temu jego ciało znaleziono w samochodzie przed polską ambasadą w Montevideo.

– Ktoś komuś chciał pogrozić palcem?

– Tak sędzę.

– Nie sądzisz, że jest w tym wszystkim coś schizofrenicznego? Rezydent komórki wywiadowczej zajmował się handlem?

– Komunizm wali się szybciej niż przypuszczano, więc co sprytniejsi

starają się jeszcze zrobić na nim interes.

– To tylko jedno z wielu możliwych wytłumaczeń. Zbierz ludzi i zrób burzę mózgów. Chcę mieć parę rozwiązań tej sytuacji.

Kilkanaście minut później zadzwonił do Primusa, który dostał identyczną łamigłówkę do rozwiązania.

Ten na chwilę przytrzymał go na linii.

– Chciał pan wiedzieć coś o czarno-białej fotografii, na której jest don Ramir. Właśnie dostałem ekspertyzę z wydziału fotografii.

– Co ustalono?

– Zdjęcie jest fałszywe.

– Jaśniej!

– To fotomontaż zrobiony z kilkunastu fotografii, w efekcie nie można nawet ustalić, gdzie zostało zrobione. Podobnie jest z rzekomą twarzą don Ramira. To zlepek kilku innych. Całość doskonale elektronicznie zmontowana i podretuszowana.

DOJEŹDŹALI DO PRZEDMIEŚĆ Nowego Jorku i Andrzej poprosił Annę, by zatrzymała się przy pierwszym ulicznym automacie telefonicznym.

– Chcesz umówić się z tym gościem?

– Którym?

– Tym, który namówił cię, żebyś po nas przyjechał?

Andrzejowi przyszło do głowy, że ona rzeczywiście niczego nie rozumie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Jak patrzę?

– No...

– Wydaje ci się – skłamał. – A jeśli chodzi o tego... jak to powiedziałaś? Faceta? Najpierw muszę być pewien, że to nie on zorganizował na nas nagonkę.

– Myślisz?

– Chcę być tylko pewien. Nic więcej. Masz dziesięć centów?

Otworzyła portmonetkę i wysypała drobniaki na dłoń.

Podszedł do ulicznego automatu. Wykręcił numer. Czekał dłuższy czas, aż po drugiej stronie zdecydują się podnieść słuchawkę. Dzwonił do baru Odessa i miał nadzieję, że Sunny nie zignoruje telefonu.

– Halo – usłyszał jej głos.

– To ja, Andrzej.

– Który?

– Ten, który obiecał kupić ci sukienkę i potem wejść z tobą do przymierzalni.

– Jeszcze o tym pamiętasz?

– Co noc śni mi się ta cholerna sukienka.

– Mów, czego chcesz. Mam sporo gości.

– Nie mogę wrócić do siebie do domu.

– Rozumiem.

– I nie jestem sam.

– Mam być zazdrosna? – Choć wypowiedziała te słowa swobodnie, wiedział, że kryje się w nich pytanie, czy jest z kobietą.

– Jak cholera.

– Musisz poczekać do wieczora.

– Czekam na ciebie tyle lat, poczekam kilka godzin.

– Pamiętasz „Cesarza Ming”? – przypomniała mu bar w dzielnicy chińskiej – postaram się być tam koło siódmej wieczorem, draniu.

– Do zobaczenia.

Wrócił do samochodu.

– Gdzie jedziemy?

Andrzej wsiadł do środka.

– To niedaleko stąd.

– Wszystko gra?

– Możesz być spokojna.

Choć powiedział te słowa pewnym głosem, patrząc przy tym Annie w oczy, nie był pewien, czy mówi prawdę.

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER wykręcił numer telefonu i, trzymając słuchawkę przy uchu, opadł na skórzane oparcie fotela. Po trzecim sygnale odezwał się lekko świszczący głos dyrektora DEA.

– Witaj.

Natan znał Philipa od szesnastu lat. To on cztery lata temu polecił go na to stanowisko.

– Chciałbym cię prosić o informacje.

– Kiedy?

– Jesteś zajęty dziś po południu?

– Jestem stale czymś zajęty. Myślę, że znasz to uczucie. Czuję się, jakbym stał na zmywaku w jednym z lokali West Endu, miał przed sobą górę brudnych talerzy, a z kuchni słyszał wrzask szefa, że nie ma czystych nakryć dla gości.

– Coś jest w tym, co mówisz. – Natan westchnął głośno, udając współczucie. – W takim razie wystarczy, jak podeślesz mi dokumenty.

– Coś konkretnie?

– Niedawno w Montevideo zginęła wasza agentka, Jimena Coriales. Prawdopodobnie była kochanką jednej z kobiet, którą interesują się moi ludzie.

Po drugiej stronie słuchawki nieoczekiwanie zapadło milczenie.

– Skąd o niej wiesz?

– Tym razem sprawił to autentyczny zbieg okoliczności. Słowo.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Ani ja, dlatego sam jestem zdziwiony swoją wiedzą.

– Ta akcja nie ma oficjalnego statusu.

Tych kilka słów wystarczyło Natanowi w zupełności. W ten sposób Philip dał mu do zrozumienia, że o śledztwie wie tylko wąskie grono osób, a jest ono na tyle ważne, że dla bezpieczeństwa postanowiono nie pozostawiać za sobą jakichkolwiek biurokratycznych śladów.

– Proszę o rozmowę, a nie dokumenty.

– Dobrze. Spotkajmy się u Ronny'ego na Pięćdziesiątej Czwartej. Zadzwoń, żeby przygotował nam na zapleczu przekąski.

- Doskonały pomysł.
- Odpowiada ci godzina osiemnasta?

Natan spojrział na zegarek.

- Jesteśmy umówieni.

Philip odłożył słuchawkę i chwilę patrzył na aparat telefoniczny.

Jak to się stało, że Schneider dowiedział się o Coriales? Od dwóch lat wyselekcjonowany zespół analityków i agentów rozpracowywał tę sprawę. Od pół roku Philip był pewien, że jeśli ją szczęśliwie sfinalizują, może się okazać, że będzie to jedno z największych osiągnięć agencji ostatnich lat. Czyżby Schneider zamierzał odebrać mu zwycięstwo?

Odrzucił tę ewentualność. Natan nigdy nie wychodzi z cienia. Tak, kiedy się spotkają, musi dowiedzieć się, w jaki sposób wpadł na trop Coriales w Montevideo.

RYŻ BYŁ ROZGOTOWANY, a warzywa przeciwnie. Andrzej jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi, kręcąc między palcami młynka drewnianymi pałeczkami.

– Możesz przestać? – Anna przytrzymała jego dłoń, nie odwracając wzroku od kobiety siedzącej przy ich stoliku.

Sunny weszła do baru piętnaście minut wcześniej. Andrzej podniósł dłoń, żeby mogła ich zobaczyć. Siedzieli w głębi sali. Anna przyjrzała się uważnie gościowi. Przybyła również obrzuciła ją szybkim i dyskretnym spojrzeniem. Coś Annę uderzyło w jej wzroku. Ich oczy spotkały się na sekundę, ale to wystarczyło, żeby Anna poczuła się niepewnie.

Andrzej wskazał na danie.

- Nawet jeśli jesteś głodna, nie radzę tego próbować.

- Zapominasz, gdzie pracuję?

– Jasne. W takim razie zamówię kawę. Chcesz jeszcze jedną? – spojrział na Annę.

Kiwnęła potakująco głową. Jednocześnie zadała sobie w duchu pytanie, kim naprawdę jest siedząca obok. Choć mówiła o pracy w barze, z pewnością nie była kelnerką. Skąd Anna to wiedziała? Podobno kobiety mają szósty zmysł, który faceci nazywają intuicją.

Andrzej odszedł od stolika.

– Nie dosłyszałam. – Sunny poprawiła włosy. – Jak masz na imię?

– Anna.

– Moja córka tak miała na imię. – Sunny zapatrzyła się w jakiś punkt. – Była z niej piękna dziewczyna. Ty jesteś śliczną kobietą.

Bezceremonialnie sięgnęła po jej dłoń i dotknęła palców.

– Nigdy nie pracowałam rękami – w głosie Sunny nie było żadnych emocji, tylko obojętne stwierdzenie faktu.

– Dużo się w Polsce uczyłam.

– Gawarisz pa ruski?

– Niemnożka.

– Świetnie. Andrzej nie bardzo rozumie, więc przy nim mówmy po angielsku.

– Nie ma sprawy.

Anna pomyślała, że z pewnością język ojczysty Sunny jest bez zarzutu. Jednak jej angielski pozostawiał wiele do życzenia.

Wrócił Andrzej z filiżankami kawy.

– O czym rozmawiacie?

– Takie tam babskie sprawy. – Sunny zrobiła nieokreślony ruch ręką.

Upiła łyk kawy i spojrzała na Andrzeja. Anna dostrzegła jej wzrok spod opuszczonych powiek.

– Dlaczego nie możesz wrócić do domu?

– Ktoś na nas poluje.

– Nas? Czy tylko na nią?

– Teraz już na nas.

– Trzeba uważać, żeby nie wdepnąć w gówno.

Anna chciała spytać, czy ostatnie słowo odnosiło się do niej. Sunny najwidoczniej to przewidziała, gdyż ich spojrzenia ponownie się skrzyżowały. Jednak tym razem w oczach Rosjanki było coś obezwładniająco lodowatego.

Andrzej opowiedział w skrócie wszystko, co wydarzyło się przez ostatni

tydzień.

– Jesteście parą?

Andrzej i Anna niemal równocześnie zaprzeczyli.

– Nie wiem, dlaczego Andrzej nadal chce nam pomagać – powiedziała z pozorną swobodą. – Najwidoczniej jemu też nadepnięto na odcisk.

– I z tego powodu chcesz nadstawiać za nią głowę?

Choć pytanie było skierowane do Andrzeja, pośrednio w sposób obraźliwy odnosiło się do Anny.

Słowa Sunny kompletnie go zaskoczyły. Jednak zupełnie bez ogródek pytała o to, nad czym głowił się przez ostatnie dni. To już nie było obchodzenie tematu opłótkami, lecz strzał w dziesiątkę. Czy chciał nadstawiać za Annę głowę?

Cholera, nigdy nie stawiał tak tej sprawy. Ale cała rzecz sprowadzała się do odpowiedzi na to jedno pytanie. Tak lub nie.

Sunny uśmiechnęła się do siebie w myślach. Faceci są niczym dzieci. Błądzą we mgle, oszukując się, że wokół świeci jasne słońce i wierzą, że doskonale orientują się w kierunku drogi, którą zmierzają. W rzeczywistości nie spotkała jeszcze żadnego, który byłby w pełni tego świadom. Andrzej nie zdawał sobie sprawy z jeszcze jednego faktu. Dziewczyna mu się podobała. Widać to było z każdego spojrzenia, które kierował w jej stronę. Może między nimi było już nawet coś więcej? Jeśli zaś chodziło o tę... Jak miała na imię? Prawda... Anna... Zatem jeśli chodziło o tę dziewczynę, nie mogła dostrzec spojrzeń Andrzeja, gdyż się bała. Udawała bohaterkę, próbowała trzymać wysoko podniesioną gardę, ale za wszystkim krył się strach.

Czyżby uciekła z luksusowego nowojorskiego burdelu? Kto mógł być jego właścicielem? Bo co do tego, że Anna była luksusową call girl, Sunny nie miała wątpliwości. W końcu od dwudziestu lat domy publiczne były jedną z bardziej dochodowych części jej biznesu.

– Zatem? – Sunny przynagliła Andrzeja do odpowiedzi. – Chcesz nadstawiać za nią głowę?

Andrzej spojrzał na Annę i powoli przytaknął.

– Chcę.

– Zatem jesteś skończonym wariatem.

– Wiem.

Sunny roześmiała się głośno. Tak samo hardy był Hawele. Coś ścisnęło ją za gardło. Tak gwałtownie jeszcze nigdy dotąd nie zatęskniła za ukochanym. Pamiętała wyraz jego twarzy, gdy stał pod balkonem. Pobiegła wściekła do mieszkania po pistolet...

– Pomożesz nam? – Andrzej miał niepewny głos.

– Jasne. Myślisz, że inaczej jechałabym tu przez to przeklęte miasto? Możesz przynieść mi wodę? Ale niegazowaną.

Kiedy Andrzej odszedł od stolika, Sunny nieoczekiwanie zwróciła się do Anny.

– Wybacz, że dwa razy byłam dla ciebie niemiła, ale chciałam coś sprawdzić.

– Co takiego?

– Czy podobasz się temu facetowi na tyle, że...

– Nadstawiłby dla mnie głowę?

– Właśnie.

– To było dla ciebie takie ważne?

– Dla mnie? – Zaśmiała się drwiąco. – Myślałam raczej o tobie.

Wrócił Andrzej. Sunny sięgnęła do torebki i po chwili położyła na stole klucze od mieszkania.

– Zapisz adres.

– Mam dobrą pamięć.

– Tweeglihgt Sun 5. Mieszkanie numer 13.

– Znam te okolice. To niedaleko Małego Petersburga.

– Tak tę okolicę nazywają niektórzy z moich rodaków. A teraz do rzeczy.

– Sunny spojrzała na Monikę przyglądającą się dwóm chłopcom grającym w telewizyjne wyścigi. – Daleko z nią nie uciekniecie.

– Nie chcemy uciekać – głos Anny był stanowczy.

– Kochanie. – Sunny klepnęła ją po dłoni niczym matka. – To nie jest ważne, co ty chcesz, ale gdzie śmierdzi i jak zrobić, żeby od tego fetoru trzymać się jak najdalej.

– Wiesz o czymś? – Andrzej ściszył głos, widząc nadchodzącego klienta.



– Wyjdźmy na dwór. Mam już dosyć tego ryżowego zaduchu.

Po wyjściu z baru przeszli na drugą stronę ulicy, na parkowy skwer. Anna poszła z Moniką na huśtawki. Czują, że teraz musi zostawić ich samych.

Posadziła małą na krzeselku i zaczęła bujać.

„Kochanie, to nie jest ważne, co ty chcesz...” – usłyszała w myślach głos Rosjanki. Było coś jeszcze, co zapadło jej w pamięć. Pytanie Sunny skierowane do Andrzeja. „Chcesz nadstawić za nią głowę?”. Nigdy nie przypuszczała, że sprawa może zajść tak daleko. Uciekając z Paryża, była pewna, że nikt jej nie znajdzie, że rozplynie się w niebycie, że... Była naiwna. To już ustaliła kilka dni temu.

Przypomniała sobie drwiący wyraz na twarzy Andrzeja, gdy powiedziała, że to niemożliwe, żeby ktokolwiek namierzył miejsce jej pobytu.

– Dzwoniłaś do domu? – zadał jej wówczas pytanie.

– Tylko dwa razy.

– Wystarczył raz. Nikt nie musiał podnosić słuchawki, żeby kontrolujący połączenie wiedział, skąd telefonowałaś.

– Mamo!

Głos Moniki przywrócił Annę do rzeczywistości.

– Tak, kochanie?

– Przecież miałaś mnie bujać!

– PODOBA CI SIĘ? – Sunny podążyła za wzrokiem Andrzeja, który obserwował Annę z córką.

– Kto?

– Przecież wiesz, o kogo pytam.

– Nie jest brzydka, więc...

– Więc?...

– Okej. Podoba mi się, ale to przecież nie znaczy, że jutro weźmiemy ślub.

– Nie pytałam, czy chcesz ją poprosić o rękę. – Sunny roześmiała się głośno. – Ale jeśli o tym wspomniałeś... Od trzech dni jacyś ludzie rozpytuja o ciebie.

– Wiesz kto?

– Wyglądają na federalnych.  
– Ale to nie jest pewnik?  
– Daj się złapać lub zastrzelić, wtedy będziesz miał sto procent pewności. Dotąd byłeś im obojętny. Nagle wszystko się zmieniło. Co narozrabiałeś?!

– JESZCZE KTOŚ idzie naszym tropem? – Anna niemal westchnęła, nie kryjąc zaskoczenia. – Skąd ona o tym wie?

– Wie! Czy to ci nie wystarczy?

– A jeśli to typ podwórkowej plotkarki?

Andrzej najpierw zaczął chichotać, by wkrótce zanieść się głośnym śmiechem. W efekcie przyhamował, zatrzymując samochód przy krawężniku.

– Co cię tak rozbawiło?

– Gdybym ci powiedział, że Sunny kieruje jedną z największych krysz w Nowym Jorku... Uwierzyłybyś w moje słowa?

– Co to jest „kryza”?

– Podobno znasz rosyjski.

Anna zmarszczyła brwi, jakby nad czymś intensywnie myślała. Nieoczekiwanie na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Mafia? – w jej głosie słychać było niedowierzenie

– Czemu nie? A, rozumiem... Brzmi...

– ...nieprawdopodobnie – dokończyła.

– Gdyby tydzień temu ktoś powiedział mi, że za parę dni będę się ukrywał w tym mieście, bo jakaś kobieta rok temu wyczyściła pewną bankową skrytkę, powiedziałbym, żeby poszedł do psychiatry.

– Skąd sympatia Sunny do ciebie? Coś było między wami? – Anna szybko zmieniła temat.

Andrzej pokręcił przecząco głową.

– Chyba nie powiesz, że jest twoją matką.

– Mogłaby, ale nie jest.

– Więc?

Andrzej wskazał na szramę na policzku.

– Jakiś pijany dostał amoku. Rzucił się na nią z nożem. Zanim do niej doskoczył, stanąłem na jego drodze. To wszystko.

– Jedźmy. – Anna wskazała Monikę przysypiającą na tylnym siedzeniu.

Pół godziny później Andrzej zatrzymał samochód przy domu numer 5 na ulicy Tweeglihgt Sun. Budynek był czteropiętrową czynszówką z liszajowatym, odpadającym tynkiem.

Wyjęli z samochodu bagaże i ruszyli w stronę klatki schodowej. Anna obejrzała się na auto.

– Chcesz je tu zostawić?

Okolica nie wyglądała zachęcająco. Kilka minut wcześniej, kiedy wjechali w tę część dzielnicy, niedawny uliczny zgiełk został gdzieś w tyle. Na wielu placach widać było pozostałości po niedawno wyburzonych domach. Inne, opuszczone przez mieszkańców, czekały na swoją kolej. Chodniki były niemal puste, jakby ludzie postanowili zabarykadować się w domach, których okna były zabite na krzyż deskami. Anna spojrzała na kamienicę, przed którą stali, z wyraźną odrazą.

– Jutro może tu nie być samochodu – powiedziała z pewnością w głosie.

– Masz coś przeciw? Federalni nie zbiednieją, jeśli rozbiorą im auto na części.

Weszli po kilkunastu stopniach. Andrzej pchnął drzwi. Choć na zewnątrz dom przypominał walącą się rudere, jednak w środku było zupełnie inaczej. Czysty, wymyty hol, na którego końcu zobaczyli oszkloną klatkę. Siedział w niej posiwiwały stary Murzyn.

Podeszli do windy.

– Chwilowo nie działa – głos stróżującego był chrapliwy. Dopiero teraz zauważyli, że oczy zakrywają mu ciemne okulary. – Jesteście od Sunny?

– Tak. – Andrzej był zaskoczony, że niewidomy rozpoznał w nich obcych.

– W porządku. – Ślepiec kiwnął głową. – Jakby co, telefon do mnie jest 007. Dlatego wszyscy mówią do mnie Bond... James Bond – zaśmiał się rechotliwie.

Weszli na drugie piętro. Na wprost schodów zobaczyli drzwi z numerem 13.

Andrzej wsunął klucz do zamka. Przekręcił go i nacisnął klamkę.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi z kuchnią i obszerną łazienką. Meble pamiętały lata siedemdziesiąte, ale było czysto i schludnie. Łóżka już pościelono, więc Monika przemyła tylko twarz wodą i Anna zaprowadziła ją do jednej z dwóch sypialni.

Kilkanaście minut później wyszła z niej powoli, zamykając za sobą drzwi. Siedzący na fotelu Andrzej patrzył w telewizor, który miał wyłączoną fonię.

– Tak w kraju oglądaliśmy dzienniki telewizyjne. – Anna usiadła obok na kanapie. – Facet coś gadał, a człowiek miał złudną satysfakcję, że chociaż w ten sposób mógł zamknąć władzy usta.

– Chcesz wrócić do Polski?

Spojrzał na jej profil. Moment później Anna pokręciła przecząco głową.

– Nie mam do czego. Jak już urządzę się poza krajem, ściągnę do siebie mamę.

– Dosyć skromnie myślisz o przyszłości.

– Ostatnie półtora roku nauczyło mnie, że dalej niż miesiąc naprzód lepiej nie planować.

– A kiedy już będziesz mogła?

– Wtedy pewnego dnia wsiądę w samochód i pojedę odnaleźć horyzont.

– „Pewnego dnia” to niebezpieczny zwrot.

– Czemu?

– Najczęściej oznacza „nigdy”.

HAWELE BOLKOWITZ ZATRZYMAŁ SAMOCHÓD na ulicy nieopodal baru Odessa. Dlaczego chciał mieć pewność, że jego informator zasłużył na trzysta dolarów?

Kiedy wczorajszego wieczora usłyszał cenę, nie krył zaskoczenia.

– Chcesz mnie okraść w biały dzień?

– Przecież mamy wieczór. – Greg spojrział w okno, jakby chciał się upewnić, że nie pomylił pory dnia.

– Wiem, co mówię. – Hawele zmarszczył brwi. – Jak powiedziałaś cenę, to aż mnie coś oślepiło.

– Niby co?

– Twoja bezczelna zachłanność.

– W końcu Andrzej jest moim przyjacielem. Myślisz, że wyrzuty sumienia są bezwartościowe?

– Od zawsze wiedziałem, że ty nie jesteś żaden gość. Ja od zawsze przez serce czułem, że ty jesteś irlandzki *szmas chałeta*, który mógłby nawet sprzedać Pana Jezusa.

– Ty nie namawiaj Najwyższego, żeby przystępował z nami do interesu. Stwórca ma własne zmartwienia, my swoje. Dlaczego ludzie zawsze do wszystkiego mieszają Boga?

– Nie zawsze, tylko wtedy, gdy dzieje im się krzywda.

– Trzysta dolarów to jest krzywda? A czy ja się ciebie pytam, dlaczego facet, który prowadzi strzelniczy interes, chce się dowiedzieć, gdzie jest mój przyjaciel?

No i Bolkowitz, choć z ciężkim sercem, wyciągnął te sześć banknotów, każdy po pięćdziesiąt dolarów.

Jadąc do baru Odessa, zastanawiał się nad tym wszystkim. Bolkowitz był przesądnym, choć bogobojnym Żydem. Może nawet bardziej przesądnym niż bogobojnym?

Greg zdradził przyjaciela, jak niegdyś Judasz Chrystusa. Co prawda trzysta dolarów nie było trzydziestoma srebrnikami, ale cyfra trzy była dla Hawele wiele mówiąca.

Trzeba być ostrożnym w dwójnasób. Tej samej nocy miał sen, w którym rozmawiał z Sunny. Nigdy nie śniła mu się tak wyraźnie, choć ciągle tęsknił za nią. Kiedy się obudził, wiedział, że musi się z nią spotkać.

Wysiadł z samochodu i zamknął drzwiczki na kluczyk. Sprawdził, czy zamek zaskoczył i ruszył spokojnym krokiem w stronę baru. Dochodziła dziesiąta wieczorem, zatem Sunny wkrótce zamknie bar. Będą mieli czas zamienić ze sobą kilka słów.

Pchnął drzwi i... zatrzymał się w progu. Nie bardzo wiedział, czy też nie powinien okręcić się na pięcie i jak najszybciej wrócić do auta.

– Pan wchodzi?

Za plecami stał młody mężczyzna z kobietą. Ona miała na szyi długie ognistoczerwone boa z piór, którego jeden z końców okręcony był wokół szyi mężczyzny. Hawele z trudem przełknął ślinę. Przeszłość stanęła za nim i

nieoczekiwanie spytała, czy wreszcie zdecydował się porzucić dawną dumę. Wszedł do środka.

Niewielka salka była pełna gości, lecz znalazł dla siebie wolne miejsce. Sunny dostrzegła go, jak tylko stanął w progu. Na jej twarzy najpierw dostrzegł zaskoczenie, potem przerażenie i na koniec jakby ulgę. A może to on na jej widok doświadczył podobnych uczuć?

Skłonił głowę, uchylając kapelusza, jakby chciał zapytać tym gestem, czy nie będzie miała nic przeciw jego wizycie.

Sunny kiwnęła rudym kokiem, podnosząc do góry pustą filiżankę. Kiwnął potakująco głową.

Piętnaście minut później przysiadła się do niego z dymiącą filiżanką kawy.

– Trochę czekałeś. – Poprawiła włosy. – Ale sam wiesz, że przy zliczaniu kasy nie należy się spieszyć.

– Ma się rozumieć. Porządek jest najważniejszy.

– Dawno cię nie widziałam. Ile to już lat?

– Nie chciałem ci robić przykrości swoim widokiem.

– Przykrości? Przez długi czas było między nami całkiem znośnie – zachichotała niczym nastoletnia dziewczyna.

To prawda. Dwadzieścia lat wcześniej stanowili dobraną parę kochanków, która chciała zrealizować wspólne marzenia. Nie zamierzali niczym Bonnie i Clyde napadać na banki. Ale mieli równie duży, jeśli nawet nie większy, apetyt na cudze pieniądze.

Za pierwszą ukradzioną gotówkę kupili samochód. To znaczy kupiła go Sunny. On zaś sprezentował jej długie ognistoczerwone boa z piór. W czasie pierwszej przejażdżki Sunny okręciła boa wokół swojej i jego szyi, mówiąc, że teraz już nigdzie jej nie ucieknie.

Hawele otrząsnął się ze wspomnień. Gdyby nie tamtych dwoje, którzy stanęli za jego plecami, gdy zatrzymał się w progu... Gdyby nie to boa na szyi dziewczyny, prawdopodobnie uciekłyby do samochodu. Rozejrzał się po sali, lecz nigdzie nie odnalazł tamtej pary. A może nikt za nim nie stał? Nikt nie zadał pytania, czy wchodzi? Czyżby to był kolejny znak?

– Domyślasz się, dlaczego poprosiłem o spotkanie?

Sunny pokręciła przecząco głową.

– Szukam Leszczyńskiego. Podobno mieszka w pobliżu i często wpada tu na lunch.

– Zajrzał do mnie dwa tygodnie temu i... – Zmarszczyła brwi, jakby chciała sobie przypomnieć jeszcze jakieś fakty. – Od tamtej pory nie widziałam go w barze. – Spojrzała Hawele prosto w oczy. – Znowu szukasz detektywa?

To wydarzyło się przed dwudziesty laty. Pewien mężczyzna zadzwonił do Hawele, mówiąc, że za pięć tysięcy dolarów powie, z kim zdradza go Sunny. Hawele się wściekł, a Sunny, słysząc jego oskarżenia, wyrzuciła go z domu. Kiedy stał na ulicy, wyklinając ją od najgorszych, wybiegła na balkon w szlafroku ze smith & wessonem w ręku i zaczęła do niego strzelać. Ona również wyzywała go od najgorszych swoloczy.

Choć celowała, choć stał w miejscu, nawet go nie drasnęła. Po ostatnim huku cisnęła w niego pistoletem, krzycząc, że nikt nigdy tak jej nie zranił i jeśli znowu zjawi się pod jej oknami, to będzie miała w ręku kałasznikowa.

Słyszając wówczas jej szloch, Hawele zadał sobie pytanie, czy nie osądził jej zbyt pochopnie. Zwłaszcza, że księżyc na niebie otoczony był czerwoną poświatą. Tak, na pewno była czerwona. A matka zawsze przestrzegała, że ludzie wtedy najłatwiej dają się oszukać.

Następnego dnia Hawele spotkał się z detektywem w kawiarni na Broadwayu. Facet, z którym się przywitał, był niewysokiego wzrostu, o łysej czaszce i wiecznie błakającym się na twarzy niepewnym uśmiechem. Zamówili po kawie. Kiedy kelnerka odeszła, Hawele wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki szarą kopertę i położył na brzegu stolika.

– Twoje pięć tysięcy.

Mężczyzna wyciągnął dłoń po pieniądze, lecz Hawele powoli pokręcił przecząco głową i tamten natychmiast ją cofnął.

– Najpierw chcę obejrzeć zdjęcia.

Detektyw podał papierową teczkę. Hawele otworzył ją i zobaczył fotografie robione teleobiektywem. Od razu rozpoznał na nich Sunny. Szła przez ulicę, obejmując jakiegoś mężczyznę. Kolejne ukazywało, jak całują się w świetle ulicznej latarni. Kolejna fotka, następna. Sunny w samochodzie z kochankiem... Nie mógł dalej oglądać. Jeśli zdjęcia były prawdziwe –

postanowił w duchu – zabije ją, choćby w każdym oknie ustawiła karabin maszynowy.

– Interesujące, prawda? – niepotrzebnie odezwał się mężczyzna.

Bolkowitz wyciągnął z innej kieszeni marynarki drugą kopertę. Była o wiele grubsza. Otworzył ją i pokazał detektywowi.

– Wewnątrz jest dwadzieścia tysięcy.

– Dlaczego pan mi je pokazuje?

– Będą należały do ciebie pod pewnym warunkiem.

– Zamieniam się w słuch.

Hawele nie mylił się co do siedzącego na wprost. Zależało mu jedynie na pieniądzech.

– Dostaniesz wszystkie pieniądze, czyli razem dwadzieścia pięć tysięcy, jeśli powiesz, kto zrobił te fotografie.

– Zrobił i potem wywołał?

– Właśnie.

Detektyw nie mógł oderwać wzroku od grubego pliku pięćdziesięciodolarówek. Hawele specjalnie wysunął pieniądze, żeby plik banknotów jeszcze mocniej przyciągał spojrzenie.

– Wywołałem je w ciemni.

– Kto robił zdjęcia?...

Sunny dotknęła jego ramienia.

– Słyszysz mnie?

– Przepraszam, zamyśliłem się...

– Dlaczego ktoś chce zapłacić za wyeliminowanie Leszczyńskiego?

– Zabił pewną kobietę i jej dziecko.

Na twarzy Sunny pojawiło się zaskoczenie, które zastąpił wyraz pewności.

– Podobnie jak wtedy, teraz też ktoś wprowadził cię w błąd.

– Skąd pewność?

– Widziałam się z nim wczoraj. Był z kobietą i dzieckiem, siedmioletnią dziewczynką.

– Jak miała na imię?



– Monika.

Hawele nie dał po sobie poznać, że ta wiadomość go poruszyła. Aż tyle przypadkowych zbiegów okoliczności w tak krótkim czasie nie mogło mieć miejsca. Najpierw Greg-Judas i liczba trzy. Potem sen, w którym rozmawiał z Sunny. Wiedział, że Polak uratował jej życie. Musiała coś o nim wiedzieć. Nieoczekiwanie zadał sobie w duchu pytanie, czy na pewno tylko po to przyjechał do baru Odessa? Pytania o Polaka były wymówką, pretekstem, żeby wreszcie móc ją zobaczyć.

– Prawie nic się nie zmieniłaś. – Nie mógł oderwać spojrzenia od jej błyszczących jak dawniej oczu.

– Dziękuję za słowo „prawie”.

– Niepotrzebnie go użyłem. Jesteś tak samo piękna jak tamtego pierwszego dnia, gdy...

– Kochałeś mnie?

Pytanie to kompletnie zbiło go z tropu. Sunny nigdy niczego nie owijała w bawełnę. Pierwszego dnia, gdy się spotkali, to ona wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Potem przekręciła klucz w zamku i wyrzuciła go przez okno. Od tamtej pory Hawele miał należeć tylko do niej.

– Kochałem.

– Ja również. – Udała nadąsanie. – Tak bardzo, że przez kilka lat przeklinałam dzień, w którym cię nie zastrzeliłam.

– Znienawidziłaś mnie?

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu – nieco zawstydzonego i nieco zrezygnowanego.

– Dostawałam szału na myśl, że możesz być z inną kobietą.

Poprawiła kosmyk włosów zsuwających się na jej czoło. Zawsze wiedział, kiedy jest wesoła lub smutna. Nawet teraz, po tylu latach, wyczuwał jej nastrój.

ZA DWADZIEŚCIA PIĘĆ TYSIĘCY dolarów detektyw przyznał, że zrobił retusz zdjęć na zlecenie konkurującej z Sunny bandy Sowiec, wywodzących się spod Kijowa. Tamci w dość przewrotny sposób wymyślili, jak ją zabić. Chcieli posłużyć się rozsierdzonym kochankiem.

Wtedy Hawele wściekł się po raz drugi w życiu. Wstając od stolika, wyjął pistolet i przystawił go do głowy zaskoczonego detektywa. Sekundę później pociągnął za spust. Mózg tamtego obryzgał najbliższych siedzących. Kiedy zwłoki zastrzelonego zsuwały się z krzesła, ruszył do wyjścia. Zostawił pieniądze. Miał je gdzieś.

Przez następne pół roku z uporem polował na Ukraińców. Wybił wszystkich do nogi. Sunny jednak nie chciała wybaczyć, że zwątpił w jej miłość.

– Znowu gdzieś ode mnie uciekasz?

– Myślałem o tym wszystkim, co nas spotkało. Od tamtego dnia minęło już trochę czasu.

– Mam już prawie pięćdziesiąt osiem lat – prychnęła trochę gniewnie, trochę z przekorą.

Miała trzy lata więcej, ale Hawele było to zupełnie obojętne.

– Nadal jesteś piękna.

Nieoczekiwanie przechyliła się nad stolikiem i pocałowała go w usta. Potem wzięła za rękę. Przeszli przez salę. Wyszli na zaplecze i wspięli się schodami na pierwsze piętro. Kiedy weszli do mieszkania, Sunny przekręciła klucz w zamku, wyjęła go i rzuciła gdzieś w głąb długiego przedpokoju.

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER pożegnał się z Philipem i kazał kierowcy zawieźć się z powrotem do biura. W podziemiach budynku FBI wysiadł i ruszył w stronę windy wydzielonej jedynie dla kierownictwa agencji.

Wjechał na piętro. Choć na korytarzu panowała cisza, była ona jednak złudna. Dźwiękochłonne drzwi tłumiły hałas drukarek, dźwięk telefonów czy też rozmowy pracujących ludzi.

Natan wszedł do sekretariatu i zapalił światło. Puste biurko bez Simons wyglądało obco i nienaturalnie. Przeszedł do gabinetu. Zapalił lampkę. Usiadł w fotelu.

Dochodziła dwudziesta druga i Natan o tej porze zazwyczaj kładł się już do łóżka. Jednak dzisiejszego wieczoru stało się coś, co kazało mu wrócić do biura, gdzie kazał się stawić Primusowi i Secundusowi. Obaj mieli porzucić wszystko, czym się zajmowali, i skupić się na jak najszybszym odnalezieniu

Leszczyńskiego.

Natana nie interesowało, jak tego dokonają. Musiał się z nimi spotkać i to natychmiast.

Przypomniał sobie obietnicę daną Philipowi na pożegnanie.

– Możesz być pewny – Natan miał poważny wyraz twarzy – że w tej sprawie pozostaniemy w cieniu.

– Gdyby stało się inaczej, to...

– Będzie tak, jak powiedziałem. – Schneider uciął wszelkie wątpliwości. – Po prostu, tego wymaga bezpieczeństwo naszych europejskich sojuszników.

Philip pomyślał, że ten ostatni górnolotny frazes Natan mógł sobie darować. W grę wchodziły setki milionów dolarów i bezpieczeństwo jednego ze wschodnich krajów, który przed rokiem obalił komunizm. Wykradzione z Paryża archiwum mogło zachwiać niestabilnym układem Europy Środkowo-Wschodniej. Polska była niczym pierwsza kostka w długim szeregu innych. Przewracając się, mogła spowodować europejski efekt domina. A Stanom Zjednoczonym, przed finalną rozgrywką z sowieckim niedźwiedziem, niezbędną była stabilna Europa.

## Rozdział ósmy

NASTĘPNEGO DNIA po przyjeździe na Tweeglihgt Sun 5 Anna nałożyła szlafrok i wyszła rankiem na balkon. Wyjrzała na ulicę. Ku jej zaskoczeniu nienaruszony samochód stał przed domem. Z góry wydawało się, że nawet ma wszystkie koła. Przypomniała sobie, co Andrzej powiedział o Sunny. Czy to możliwe, żeby kobieta kierowała gangiem?

Przez ostatnie kilkanaście dni bycia obok Andrzeja nauczyła się, że nie powinna wątpić w jego słowa. Coś jej podpowiadało, że się nie mylił. Kobięca intuicja?

Nagle spostrzegła idącego po drugiej stronie ulicy Andrzeja. W obu rękach dźwigał wypchane siatki, spod pachy wystawała złożona gazeta. Przystanął przy krawężniku, spoglądając, czy nie nadjeżdża samochód. Przeszedł na drugą stronę i skierował się do stopni prowadzących do drzwi klatki schodowej.

Wracając do pokoju, Anna niemal automatycznie spojrzała na telefon.

Przypomniała sobie dzień, gdy Elwira powiedziała o przyjaciółkach z Europejskiego: „Helena i Olga są w Paryżu. Mieszkają przy Avenue Monique 7. Zapisalam ci w notatniku ich paryski telefon. Kiedy powiedziałam Helenie, gdzie jesteście, nie chciała uwierzyć”.

Dlaczego pomyślała o koleżankach? Kiedy Elwira o nich wspomniała, Anna przez moment pomyślała, że byłoby cudownie, gdyby znowu zebrały się razem.

Uśmiechnęła się na wspomnienie pewnego wieczoru sprzed roku. Świątowały wówczas imieniny Helenki w jej mieszkaniu na Żoliborzu. W połowie imprezy Elwira była na tyle pijana, że nie mogła trafić nalewanym alkoholem do kieliszka. Pomogła jej Olga. Wyjęła jej z dłoni żytnią i rozlała alkohol. Co wtedy Elwira im powiedziała?

– Wiecie, że kiedyś w ogóle nie było facetów? Na Ziemi żyły same kobitki!

– Same? – Olga zrobiła wówczas oczy zdziwionego dziecka.

– Samiuteńkie... Samiuśkie.

– To dobrze, że mnie wtedy nie było. Ja tam lubię sobie dobrze popierdolić. No, panienki – zawołała chwilę później Olga, wstając z miejsca – zdrowie Helenki!

Po wypiciu kieliszka zaśpiewała na całe gardło: – Niech jej fiutek pomyślności nigdy nie zagaśnie!

Elwira i Anna wybuchnęły wtedy śmiechem i już zamierzały przyłączyć się do toastu, gdy Helena zatkała usta Oldze.

– Co się tak wydzierasz?! Sąsiedzi pomyślą, że jestem jakaś zwykła prostytutka.

ANNA PRZYSIADŁA NA BRZEGU fotela. Odniosła wrażenie, że wszystko to wydarzyło się zaledwie wczoraj.

Coś chwyciło ją za gardło. Jakiś smutek. A jednocześnie ogarnęła ją złość, że przez tego esbeckiego drania stało się tyle złego.

Czy tylko przez niego? Dotąd nie chciała się do tego przyznać. Śmierć Elwiry zmieniła wszystko. Anna zrozumiała, że była równie winna jak Andrzej. Do niedawna życie traktowała niczym nieustający festiwal przyjemności. To ona wykorzystywała mężczyzn. Podobnie chciała uczynić z Andrzejem. Wydoić go z pieniędzy i rzucić. Tylko że on okazał się sprytniejszy.

Szczęknął w zamku klucz i w progu stanął Andrzej.

– Nie śpisz?

– Już wstałam. Zrobiłam małej śniadanie.

Odstawił na podłogę zakupy. Pchnął nogą drzwi i podszedł do Anny. Wtedy zobaczył w jej oczach łzy. Nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Nim podjął jakąkolwiek decyzję, Anna wstała i przytuliła się do niego. Objął ją delikatnie, czując jak jej ramionami wstrząsa nieme łkanie.

– Myślisz, że wszystko będzie dobrze? – Podniosła na niego zażawione oczy.

– Na pewno będzie dobrze.

– Dajesz słowo?

Kiwnął potakująco głową.

Zaczął ją całować. Najpierw delikatnie dotknął wargami jej ust. Wtedy ona przyciągnęła go mocniej ku sobie i gwałtownie odwzajemniła pocałunek. Gdyby w tej sekundzie stali na torach i pędził na nich gwizdzący pociąg, z pewnością by go nie usłyszeli. W skroniach pulsował przyspieszony rytm serca, a niespokojne usta łąpały powietrze krótkimi haustami.

Nagle przestali, czas znowu ruszył z miejsca i Anna zobaczyła na twarzy Andrzeja cień popłochu.

– Przepraszam – szepnął jakby zawstydzony. – Nie powinienem był...

Stali na wprost siebie, nie bardzo wiedząc, co teraz powinni zrobić?

– Tak – przytaknęła niemal automatycznie. – Zapomnijmy o tym.

Ruszyła w stronę siatek. Podniosła je z podłogi. Andrzej został na środku pokoju, rozglądając się bezradnie dokoła spłoszonym wzrokiem.

– Pójdę się przejść – powiedział półgłosem i pospiesznie wyszedł z mieszkania.

ARNIE KAPATULSKY SIEDZIAŁ w gabinecie komendanta w XVI komisariacie i gapił się w okno. Po drugiej stronie ulicy pracował dźwig. Na długiej kratownicy wysięgnika, zawieszony na stalowej linie, bujał się żelbetonowy sześcian, który co jakiś czas z mocą uderzał w mur burzonej kamienicy. Każdy z owych ciosów Arnio odczuwał niemal fizycznie. To była jego ulica. Wychował się na niej.

Z wyburzonej kamienicy pozostała tylko prawa strona frontowej ściany. Jeszcze parę ciosów, a i ona rozsypie się w gruzy. A przecież w tamtym oknie na drugim piętrze mieszkała kiedyś jego pierwsza miłość – Sue Buffort. Jeszcze dziś pamiętał ich pierwszy pocałunek na klatce schodowej burzonej kamienicy. Który to był rok? Chyba pięćdziesiąty czwarty. Tak, na pewno, zdał właśnie do piątej klasy. Moment po tym, jak zaczęli się całować, Arnio dostał w twarz. I tak skończyła się jego pierwsza miłość.

Odkąd zasiadł w gabinecie komendanta komisariatu, co jakiś czas patrzył w tamto okno i dziękował Bogu, że wtedy nie zdołał sprawdzić, czym dziewczyny różnią się od chłopaków. Tamten policzek ocalił mu życie. W czasie ostatnich pięćdziesięciu lat Sue miała sześciu mężów i podobno szykowałą się do poślubienia siódmego. Jeśli zaś chodzi o dawną wiotką

dziewczyne... Teraz była kościstym babskiem o złym spojrzeniu, rzucanym na każdego spoza grubych szkieł okularów. Przynajmniej tak wyglądała jeszcze pięć lat temu. Potem, po szóstym zamążpójściu, wyniosła się do lepszej dzielnicy.

Arnie splunął na podłogę, czując pył między zębami. Mimo zamkniętego szczelnie okna betonowy kurz z rozwalanej kamienicy wniknął nawet do gabinetu.

Kiedyś ulica Tweeglihgt Sun należała do najelegantszych w dzielnicy. Arnie wraz z rodzicami mieszkał przecznicę dalej, w niepozornym zaułku. Był przekonany, że działa się tak tylko dlatego, że jego rodzina nosiła nazwisko Kapatulsky, a nie Smith czy Johnson. Przez długie lata wywalczył sobie pięściami prawo do poważania. Nikt już nie śmiał nazwać go przybłądą, który jest Amerykaninem dopiero w pierwszym pokoleniu. On głęboko wierzył, że rodzice i dziadkowie urodzili się w tym wielkim kraju. Arnie niezachwianie wierzył również w to, że pewnego dnia stanie się narodowym bohaterem. A wtedy Sue i inne panienki z ulicy Tweeglihgt Sun spojrzą na niego pełnym zachwytu wzrokiem, podobnym do tego, jaki widział w oczach kumpli oglądających na wystawach najnowsze wydania komiksów.

Od tamtego czasu minęło wiele lat – Arnie najpierw posiwiał, potem wyłysiał. Wreszcie z roku na rok rosła w nim coraz większa wściekłość, że los tak się z nim obszedł, oferując nic nieznaczące stanowisko w komisariacie, który wkrótce zostanie rozwiązany. Teraz dodatkowo co dnia patrzył, jak świat jego dzieciństwa ginie pod ciosami ekip wyburzających. Te składały się wyłącznie z robotników ze Wschodu.

Żelbetonowy sześcian ponownie uderzył z hukiem w mur kamienicy, ale i tym razem oparł się on uderzeniu. Teraz dawną dzielnicę kupców i właścicieli sklepów zamieszkiwali w większości przybysze z Europy Wschodniej. Arnie był na tyle mądry, iż wiedział, że nie zatrzyma pochodu pleniącego się robactwa. Już miał gdzieś zostanie bohaterem. Teraz liczyły się pieniądze, które mógł wycisnąć z tych śmierdzieli przyplływających z Oceanu.

Okolicę zamieszkiwali Rosjanie, Słowacy, Czesi i Polacy. Większość wynajmowała mieszkania pokątnie, unikając jak ognia ludzi z urzędu imigracyjnego. Dlatego jeśli policjanci Arniego przywozili obdartusa do komisariatu, każdy gotów był zapłacić ustaloną taryfę trzystu dolarów, żeby

tylko nie wezwano tych z imigracyjnego.

Dziś rano wysłał cztery radiowozy na, jak to między sobą mówili, przedpołudniowe polowanie. Za tydzień nadejdzie piąty dzień następnego miesiąca, a wraz z nim kolejne rachunki do zapłacenia. Kurwa, nic, tylko trzymaj się za kieszeń. Nic, tylko płać i płać, a rząd i tak rozpieprza wszystkie pieniądze podatników.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść.

Do gabinetu zajrzał Chudy Dorian. Uśmiechając się szeroko, pokazywał równiutki rząd plastikowych zębów, które wstawił sobie po tym, jak jeden ze wschodnich obdartusów pozbawił go uzębienia.

– Mamy jednego.

– Tylko?

– Na razie niezły okaz. Sam zobacz.

Wstał. Nim wyszedł z gabinetu, spojrzął na dom Sue. Ze swojego miejsca zobaczył, że operator koparki wychodzi z maszyny. Kiedy Arnie wróci, będzie miał jeszcze szansę po raz ostatni spojrzeć w okno na drugim piętrze.

Mężczyzna, o którym mówił Dorian, siedział na krześle skuty kajdankami w areszcie w podziemiach budynku.

– Twoje nazwisko, chłopcze? – Arnie stanął w rozkroku na wprost krzesła.

– Nie wiem, dlaczego zostałem aresztowany.

– Coś ci poradzę. Będę zadawał pytania, a ty staraj się na nie jak najszybciej odpowiedzieć. Zatem jak się nazywasz?

– Leszczyński.

– O co zostałeś, chłopcze, oskarżony?

– Nie wiem. Przechodziłem zamyślony przez ulicę i wpadłem pod radiowóz.

Arnie podszedł do policjanta protokołującego rozmowę na maszynie do pisania.

– Tak było, Steave?

– Niezupełnie, szefie. Poprosiliśmy go o dokumenty, gdyż wyglądał



podejrzanie. Okazało się, że mieliśmy rację. Przy przeszukaniu znaleźliśmy przy nim to. – Policjant trącił długopisem nóż sprężynowy.

Komendant odwrócił się do Andrzeja, naciągając na prawą rękę grubą skórzaną rękawiczkę. Potem nasunął na palce metalowy kastet. Zacisnął dłoń w pięść. Skóra nieprzyjemnie zaskrzypiała.

– Kłamiesz, chłopcze, a to niezbyt dobrze ci wróży.

– Czy ty na pewno jesteś gliniarzem? Może urwałeś się od czubków, a ten inteligent... – Andrzej wskazał głową policjanta siedzącego przy maszynie – jeszcze się w tym nie połapał?...

Arnie uderzył z póżobrotu. Cios odrzucił głowę Andrzeja. Ciemne plamy zawirowały mu przed oczyma. Kiedy oprzytomniał, poczuł spływającą z rozciętej wargi krew.

– Napadłeś zatem, chłopcze, na jadący patrol policyjny, grożąc policjantom nożem. – Arnie dyktował protokolantowi.

– Ty rzeczywiście masz nierówno pod...

Nie dokończył. Tym razem dostał cios w splot słoneczny. Andrzej poczuł, jak coś w nim eksplodowało, tamując oddech. Szeroko otworzył usta, żeby chwycić w płuca zbawienny haust, ale nie pozwoliła na to wepchnięta do gardła buła żołądka. Chwilę walczył, by w końcu stracić przytomność.

Kiedy ją odzyskał, nie potrafił sobie przypomnieć, co się z nim stało. Czyżby miał wypadek samochodowy? Szedł ulicą. Myślał o jakiejś kobiecie. Nie jakiejś... O Annie. Dlaczego o niej? Czy coś się stało? Wszedł na jezdnię i usłyszał pisk hamulców.

Zimny strumień wody przywrócił go do rzeczywistości. Leżał na betonowej posadzce. Przez skapujące z powiek krople zobaczył postać siedzącego naprzeciw policjanta. Tamten patrzył na niego obojętnym wzrokiem. Miał nogę założoną na nogę i sprawiał wrażenie, że czeka na kelnerkę, która przyniesie kawę.

– Gdzie jestem?

– Tam, gdzie powinienes, chłopcze. Zostałeś aresztowany pod zarzutem użycia noża wobec funkcjonariuszy patrolu drogowego.

Już teraz wiedział, że drażnienie policjanta może być niebezpieczne.

– Przykro mi, ale nie pamiętam, żebym coś takiego zrobił.

Na twarzy Arniego pojawił się grymas nienawiści.

– Jesteście jak fala robactwa. Rozłazicie się po całym kraju. Tam gdzie nigdy były spokojne dzielnice, wciskacie się ściekami, aż w końcu zagarniecie całą okolicę. Porządni ludzie przed wami uciekają, a wy niszcycie ulicę za ulicą, całe kwartały. Kiedy już wysiecie z domów ostatnie soki, za wami przychodzą buldożery i równają wszystko z ziemią.

– Przysługuje mi prawo...

– Ja decyduję, co ci przysługuje, mister Leszczyński.

Doskoczył do Andrzeja i kopnął go z całej siły w zębra.

Nieoczekiwanie skrzypnęła odchylana krata. Arnie odwrócił się, zły, że ktoś ośmiela się mu przeszkadzać.

– Czego?

– Jest kasjer.

Takim określeniem nazywano ludzi, którzy przychodzili do komisariatu z grzywną za zatrzymanego.

– Nie za szybko? – Arnie spojrzał na ścienny zegar.

– Widocznie jest coś wart.

– Myślę, że pan Leszczyński posiedzi u nas dłużej niż jego ruskojęzyczni rodacy.

– Jestem Polakiem.

– Jesteś zwykłym gównem. Niedługo sam przyznasz mi rację...

– Myślę, że dobrze będzie, jak z nim pogadasz. – Stojący w drzwiach policjant ruchem głowy wskazał gdzieś za siebie. – To nie jest pierwszy lepszy obdartus z kasą za kumpla.

Arnego zaciekawiła informacja. Najczęściej wyrywali za złapanego marne trzy stowy, czyżby dzisiaj los się do nich uśmiechnął?

– Poczekaj na mnie. – Pochylił się nad leżącym i wymierzył mu krótki cios w szczękę. – Odsapnij. Niedługo wrócę i dokończymy rozmowę.

Arnie wyszedł z celi. Szczęknęła zamykana metalowa krata. Komendant wspiął się schodami na parter.

– Gdzie jest? – Obrócił się do wchodzącego za nim kolegi.

– Przed twoim gabinetem.

Rzeczywiście, przed drzwiami czekał starszy mężczyzna, ubrany w elegancki ciemny garnitur. Arnie wszedł do siebie, zostawiając drzwi otwarte, jakby ten fakt był wystarczającym zaproszeniem. Przybyły przekroczył próg, zerknął na stojące obok biurka odrapane krzesło i najwidoczniej zrezygnował z pomysłu, żeby na nim usiąść.

– Co pana do mnie sprowadza? – Arnie odchylił się w fotelu i położył nogi na biurku.

– W pańskim areszcie przebywa Andrzej Leszczyński.

– A jeśli nawet, to co?

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej kopertę i położył na biurku obok nóg Arniego.

– W środku znajduje się dwa tysiące dolarów. Myślę, że to wystarczająca suma, żeby pan Leszczyński odzyskał wolność.

– Biorąc pod uwagę pański garnitur i to, że tak szybko dowiedział się pan o jego zatrzymaniu...

– Jeśli chce pan podbić cenę, to od razu uprzedzam, że nie powinien pan tego robić.

– Z jakiego powodu?

– Ponieważ wezmę leżące na biurku pieniądze i stąd wyjdę. Kiedy jednak to zrobię, już nigdy żaden Rosjanin, Bułgar, Polak czy Słowak nie przyjdzie do tego komisariatu z pieniędzmi. Nawet gdyby pański areszt nie mieścił już zatrzymanych i wszyscy oni mieli być deportowani następnego dnia.

Mężczyzna mówił powoli i wyraźnie, można było nawet powiedzieć, że szpanował cockneyem, który w elitach towarzyskich świadczył o angielskim rodowodzie. Jednak na policjancie nie zrobiło to wrażenia. „Gównno w papierku też mniej śmierdzi” – twierdził jego papa, gdy mówił o nowobogackich. „Mniej, ale jest tak samo gównem, jak i cała reszta”.

Arniego zawsze ciekawiło, czy ta „reszta” znaczyła, że i oni też? Nigdy nie zadał ojcu tego pytania.

– Jest pan aż taki mocny? – Policjant próbował zadrwić, ale niewiele mu z tego wyszło. – Pańska kancelaria jest w centrum miasta? Nie dosłyszałem jej nazwy.

– Reprezentuję tylko jednego klienta. To bardzo wpływowa kobieta, której nazwiska nie jestem upoważniony wymienić.

– I ona...

– Pan wybaczy. – Mężczyzna w ciemnym garniturze spojrział na zegarek.  
– Ale nie mogę poświęcić na to spotkanie więcej niż jeszcze minutę. Potem mnie oraz jakichkolwiek pieniędzy nigdy pan ani pańscy koledzy nie zobaczycie.

DOCHODZIŁA OSIEMNASTA i Anna była coraz bardziej zdenerwowana. Andrzej wyszedł z domu przed dziesiątą. Dlaczego do tej pory nie wrócił? Z pewnością nie chodziło o pocałunek. W końcu w jakimś stopniu są przyjaciółmi. On jest mężczyzną, ona kobietą. Miała trudną chwilę i się do niego przytuliła. A że potem się pocałowali? Mało to ludzi robi tak w odruchu sympatii?

Choć starała się przekonać samą siebie, że nic się nie stało, jednak nie do końca była przekonana, że to prawda.

No dobrze, pocałowali się. Czy od tego zaraz zawali się świat? Pieprzyć ten cholerny pocałunek, zacisnęła dłonie w pięści. Było, minęło.

Coś jednak musiało się stać, skoro przez tyle godzin Andrzej nie wracał do domu.

Chyba, że... Aż przysiadła z wrażenia, gdy ta myśl przyszła jej do głowy. Chyba, że się przestraszył i uciekł. Jak zwykły tchórz. Na pewno pomyślał, że po tym pocałunku już nigdy się od niej nie odzepi, no i...

– Zjemy coś? – Siedząca przy stoliku Monika odłożyła kredki i podniosła wzrok znad niedokończonego obrazka. – Jestem głodna.

– Zaraz zrobię kolację.

– Może pójdziemy na hamburgera?

– Robi się późno. Zostaniemy w domu.

– Gdzie Andrzej?

– Dlaczego mówisz na niego Andrzej?

– Sam mi pozwolił. Powiedział, że wolałby być rycerzem na białym koniu, który przyjechał nas uratować, ale nim nie jest, więc jak go lubię, to mogę mówić na niego „Andrzej”.

Anna pochyliła się nad ramieniem Moniki, żeby zobaczyć, co rysuje.

– To rycerz?

– Narysowałam go jako rycerza. Może będzie mu przez to z nami milej.

– A myślisz, że nie jest?

– Nie wiem. Stale chodzi smutny i zamyślony, jak babcia przed pierwszym. Mówiła wtedy, że to przez niegrzeczne pieniądze, których stale jej brakuje w portfelu.

Anna przeszła do kuchni i zaczęła robić kanapki. Kiedy skończyła, ułożyła je na talerzu i włączyła wodę na herbatę. Ponownie spojrzała na zegarek.

Za dwadzieścia siódma. Co teraz? A właściwie, co dalej? W Nowym Jorku nikogo nie знаła prócz Sunny. Chociaż trudno byłoby to nazwać znajomością. W końcu widziały się raz i zamieniły ze sobą zaledwie kilka zdań. To zbyt mało, by mówić o znajomości. Gdyby została teraz sama w tym mieście, to koniec!

Nieoczekiwanie rozległo się pukanie. Przecież Andrzej miał ze sobą klucz. Podeszła powoli do drzwi. Przystawiła do nich ucho. Z drugiej strony dobiegł do niej spazmatyczny oddech. Ktoś ciężko zakaszał. Przekręciła zamek. Nacisnęła klamkę i krzyknęła przerażona. Andrzej wisiał na ramionach Arsena, mieszkającego na pierwszym piętrze. Gdyby Rosjanin nie trzymał go za ramię, a drugą ręką nie podtrzymywał w pasie, Andrzej nie miałby siły ustać na własnych nogach.

Właściwie to poznała go tylko po ubraniu. Jego twarz była jedną napuchniętą maską, gdzieś tam poprzecinaną zaschniętymi ranami.

– Eta wasz maładiec? – Nie czekając na odpowiedź, Arsen wszedł do mieszkania, ciągnąc za sobą Andrzeja.

Pobiegła przodem, wskazując drogę do sypialni. Nim do niej weszła, zobaczyła przerażenie na twarzy Moniki.

– Wszystko jest dobrze – zawołała, ale słowa te bardziej kierowała do samej siebie. – Idź do kuchni. Mówiłaś, że jesteś głodna. Na stole jest kolacja. – Spróbowała się uśmiechnąć.

Za Arsenem do mieszkania wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Ubrany był w szlafrok, spod którego wystawały wystrzępione dzinsy. Był średniego wzrostu i miał rumianą okrągłą twarz, w której wyróżniał się wielki nos. Tkwiły na nim przekrzywione, druciane okrągłe okulary.

Rosjanin położył Andrzeja na tapczanie. Ten cicho jęknął. Arsen bez

słowa obrócił się na pięcie i wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi wejściowe. Anna pozostała z nieznanym okularnikiem.

– Jestem sąsiadem z sutereny. – Nieznajomy spojrzął na Annę. – Poproszono mnie, żebym zajął się tym panem.

Używany przez niego język polski, choć nienaganny pod względem gramatycznym, pełen był miękkości i zaciągnięć charakterystycznych dla rosyjskiego.

– No i mówię po polsku – dodał, jakby to było głównym powodem jego wizyty.

– Zadzwońię po pogotowie. – Anna ruszyła w stronę aparatu.

– Wątpię, żeby karetka przyjechała w tę okolicę.

– Dlaczego?

– Ludzie, którzy tu mieszkają, nie mają opłaconych świadczeń medycznych.

– Więc co zrobimy?

– Jestem lekarzem.

Anna spojrziała podejrzliwie, co wywołało lekkie zmieszanie na twarzy okularnika.

– Patrzy pani na mnie jak wszyscy pacjenci, którym mówią, że leczył ich Rusek.

– Rusek? Mówi pan całkiem dobrze polsku.

– Matka była Polką. Proszę wybaczyć. – Skinął sztywno głową. – Nie przedstawiłem się. Profesor Fiodor Aleksandrowicz Pieresławski.

– Profesor?

– Pracowałem w Klinice Kardiochirurgii imienia Aleksandra Bakulewa w Moskwie. Pięć lat temu wyjechałem na symposium naukowe i wtedy podjąłem decyzję. – Rozejrzał się po sypialni. – Prawdę mówiąc, w Petersburgu miałem ładniejsze mieszkanie. Mam problemy z nostryfikacją dyplomu, więc pracuję jako pomocnik lekarza w Mount Sinai Hospital. Spory kawałek drogi stąd.

Andrzej cicho jęknął.

– Lepiej się nim zajmę.

- Na pewno da pan radę?
- Proszę przynieść miskę z ciepłą wodą i sporo ręczników.
- Tu chyba nie ma miski.
- Więc największy garnek.

Kiedy Anna wróciła do pokoju, Andrzej leżał na tapczanie niemal nagi, a doktor przecinał nożem sprężynowym rękawy koszuli.

– Znalazłam miskę. – Postawiła przy łóżku naczynie napełnione po brzegi gorącą wodą.

– Świetnie.

– Nie lepiej było go normalnie rozebrać?

– Raczej nie. – Wskazał palcem na posiniały prawy bok. – Chyba ma złamane żebra. Każdy ruch z pewnością sprawia mu olbrzymi ból.

– Pan się na pewno na tym zna? – upewniła się Anna.

– Na pewno.

– Czy on miał wypadek? – Wskazała głową na nieprzytomnego.

– Nie wiem. Arsen wiedział, że mam dziś wolne i zapukał do moich drzwi. Mieszkam pod czwórką. Czasami pomagam tutejszym. Wie pani, jak jest. Jeden drugiego musi wspierać. Wtedy da się jakoś żyć.

Kilkanaście minut później Anna została wysłana do pobliskiej apteki. Najważniejsze były bandaże elastyczne.

Jak wynikało z dokładnych oględzin prócz prawdopodobnie złamanych dwóch żeber Andrzej był mocno potłuczony.

– Ktoś porządnie go czymś obił. – Profesor wskazał na dwie płytkie rany na twarzy i piersiach, wyglądające jak zadrapania. – To mógł być kastet.

– Może zgłosić to policji? Widziałam komisariat na końcu ulicy.

– Nie jest to najlepszy pomysł. Właśnie stamtąd go przyniesiono.

Kiedy Fiodor skończył opatrywanie rannego, do pokoju zajrzała Monika.

– Co z Andrzejem?

– Wszystko będzie dobrze. – Lekarz zmusił się do beztróskiego uśmiechu.

– Tata miał wypadek, ale do twojego wesela na pewno się zagoi.

Anna zaprowadziła córkę do drugiego pokoju. Monika przytrzymała ją za rękę, gdy okrywała ją kołdrą, po odmówieniu modlitwy przed snem.

- Czy to prawda?
- Co, córeczko?
- To jest mój tata?
- Pan doktor się pomylił.
- Szkoda. Nawet byłoby fajnie, gdyby to był on. Prawda?

ARTUR NOJMANN UWAŻNIE patrzył w lusterko wsteczne, cofając długą naczepą tira w stronę rampy towarowej magazynu.

Stojący na niej Leszek dał znak, żeby się zatrzymał.

Następne dwie godziny spędzili na pobliskim trawniku pod rachitycznym drzewem. Przyglądali się, jak wózki widłowe przywoziły z głębi magazynu drewniane skrzynie.

- Dużo tego? – Artur zerwał źdźbło trawy i wsunął do ust.
- Dwie tony.
- Dwie tony zastawy stołowej? Talerze, półmiski, wazy, filizanki, salaterki?
- Kiedyś jedna paczka się rozwaliła. Całkiem ładne te skorupy.
- Może i teraz jakaś spadnie. No, wiesz...
- Nie rozumiem?
- Przydałoby mi się kilka talerzy. W wynajętym mieszkaniu gospodarz zostawił tylko aluminiowe sztućce i garnki.
- Komuna się skończyła. Jak chcesz coś mieć, trzeba sobie kupić.
- Ale w sklepach nadal są puste półki.
- Za dwa dni będziemy w Amsterdamie. Tam kupisz wszystko.
- Fajnie jest dostać połowę kasy. – Artur klepnął się po kieszeni marynarki. – Zanim jeszcze cokolwiek się zrobiło.
- Poprosiłem, żeby dali ci zaliczkę. Mówiłeś, że jesteś bez pieniędzy.
- Dzięki, że pamiętałeś.
- Postawisz piwo i będziemy kwita.

Kiedy cały towar został wpakowany do środka naczepy, zamknięto jej drzwi i oplombowano celnymi stemplami. Były doskonale podrobione.



Potem Leszek włożył dokumenty przewozowe do teczki i wręczył Arturowi, który jako pierwszy usiadł za kółkiem mercedesa. Ciężarówka musiała kosztować majątek, a jak Artur zdążył się zorientować, takich tirów firma polonijna miała osiem. Czyżby transporty porcelany były aż tak opłacalne?

Przez następną godzinę Artur walczył na zatłoczonych warszawskich ulicach. Wreszcie wydostali się ze stolicy i ruszyli szosą na Poznań, w stronę przejścia granicznego w Świecku.

Leszek nie spytał, po co mu zaliczka. Przecież kilka dni wcześniej, po zwolnieniu z resortu, otrzymał sześciomiesięczną odprawę w wysokości trzystu dwudziestu czterech milionów złotych. Artur był pewien, że bossowie Leszka dokładnie sprawdzili, na co wydał te pieniądze. Fakt ten po raz kolejny potwierdził jego wersję na temat jego przeszłości.

Dwa miesiące wcześniej w jednym z zielonogórskich domów opieki Artur zjawiał się z adwokatem. Z przekazanych dyrektorowi dokumentów wynikało, że po czterech miesiącach poszukiwań wreszcie odnalazł zaginioną matkę, która miała zaniki pamięci. Kobieta, którą uściskał, nazywając czule mamą, cierpiała na chorobę Alzheimera. Asystujące przy powitaniu pielęgniarki miały w oczach łzy.

Kiedy Artur pomagał „matce” założyć płaszcz przed wyjściem na spacer do parku, staruszka spoglądała na niego z uśmiechem kilkuletniego dziecka, które nie bardzo orientuje się w tym, co wokół się dzieje.

Zgodnie z wolą syna pacjentka została przeniesiona do prywatnego ośrodka, prowadzonego przez siostry karmelitanki. Jego sześciomiesięczna odprawa, którą otrzymał z MSW, starczyła na opłacenie pobytu za rok z góry. Artur, jako troskliwy syn, otoczył matkę dodatkową opieką medyczną.

W efekcie raz w miesiącu, przy łóżku kobiety spoglądającej na niego pustym wzrokiem, mógł bez obaw prowadzić agenturalne spotkania z prowadzącym. W pokoju, gdzie stało łóżko, niewielka komódka, stolik i dwa krzesła, Artur bez obaw mógł przekazywać informacje, odpowiadać na pytania lub omawiać kierunki przyszłych działań.

Z prowadzącym Artur spotkał się na kilka dni przed wyjazdem do Holandii. Ten rzeczywiście był lekarzem, który na życzenie syna zajmował się zdrowiem matki. Przykrywką była dobrze wymyślona, a prowadzący rzeczywiście skończył Akademię Medyczną.

Tym razem głównym tematem spotkania był najbliższy wyjazd za granicę.

Artur nie bardzo potrafił odpowiedzieć na zadawane pytania.

– Nic nie wiem. O niczym nikt mi nie mówi. – Artur spojrzał na siedzącą nieruchomo na łóżku kobietę. – Nie trzeba czegoś mamie? – spytał, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. – Wiesz, że ona może tak siedzieć nawet i kilka godzin?

– Wiem. – Doktor kiwnął potakująco głową. – Kiedyś specjalizowałem się w geriatric, przeczytałem więc trochę na temat tej choroby. A jeśli chodzi o tanto... Jestem pewien, że nadal cię sprawdzają.

– Myślisz, że trafią tutaj?

– Matka przełożona mówiła o telefonie.

– Rzeczywiście, zakonnica o tym wspominała. Dzwonił znajomy, który chciał się dowiedzieć, jak moja mama się czuje.

– I jak tu nie wierzyć w ludzkie bezinteresowne współczucie? – Doktor odchylił się na krzesło, a ponieważ niebezpiecznie zaskrzypiało, szybko wrócił do poprzedniej pozycji, wspierając łokcie na blacie stolika. – Wiadomo, kto dzwonił?

– Przyjaciel. Chciał dowiedzieć się kilku szczegółów, żeby wpaść z kwiatami. – Artur wstał z miejsca i podszedł do otwartego okna.

Na dworze trzy pielęgniarki prowadziły po parkowej alejce dwie staruszki. Kobiety niepewnie stawiały nogi, jakby dopiero teraz uczyły się chodzić. Nieoczekiwanie do Artura dobiegł cichy głos siedzącej na łóżku:

– Nie stój, synku, w przeciągu, bo się zaziębisz.

GEEN DAAR USŁYSZAŁ pytanie, które zadano po rosyjsku. Stojący za ladą sprzedawca obdarzył go pytającym uśmiechem. Za chwilę powtórzył po angielsku:

– Co podać?

– Sześć bułek.

– Żytnich?

Geen Daar kiwnął potakująco głową, patrząc ponad ramieniem sprzedawcy na umieszczone za nim lustro, w którym widać było odbicie młodej kobiety, stojącej tuż za jego plecami. Ile mogła mieć lat? Dostrzegł jej roztargniony wzrok, którym spoglądała na półki zastawione koszykami z

pieczywem.

– Jeszcze coś podać?

– Spasiba. – Przypomniał sobie słowo, którego dziś rano się nauczył z rozmówek grecko-rosyjskich.

ANDRZEJ Z DNIA NA DZIENÍ czuł się coraz lepiej i tej nocy Anna, po raz pierwszy od kilku dni, spała spokojnie.

Może wszystko się jeszcze jakoś ułoży... Westchnęła w myślach.

Gdzieś czytała, że należy mieć do życia pozytywne nastawienie, a wówczas spełni się to, co sobie zaplanujemy lub wymarzymy. Jakie były jej plany i marzenia?

Pomyślała o domu w Montevideo, przestronnym salonie, ogródku i prośbie Moniki, żeby kupiła jej psa. Już nawet wybrały dla niego imię – Nero. Po długim przeglądaniu psich albumów wybrały wreszcie rasę, która najbardziej spodobała się córce. To miał być labrador.

A jeśli chodzi resztę planów na przyszłość?

Na razie zamierzała kupić pieczywo. Niewielka piekarnia, prowadzona na rogu Tweegliht Sun przez rosyjskie małżeństwo, zawsze była pełna kupujących. Odkąd wyjechała z Polski, nigdzie nie smakował jej kupowany chleb. Jeśli jeszcze był świeży, nadawał się do jedzenia. Dopiero tu, po raz pierwszy od długiego czasu, poczuła znajomy smak. Powąchała rumiany bochenek i nie wiedzieć czemu, pomyślała o Warszawie. Jak teraz wyglądała? Czy tak samo jak w dniu ich wyjazdu?

Czy cokolwiek przez ostatnie osiem miesięcy mogło się zmienić? Chyba łatwiej było obalić komunizm, niż wyreperować zapadające się chodniki. Chociaż może coś się zmieniło?

Jakie ma zatem plany na przyszłość? Najpierw kupi chleb razowy. Jak zapewniała właścicielka, wypiekano go na prawdziwym zakwasie. Potem śniadanie, może gdzieś wyjdzie z małą na spacer. Lekarz wydał Andrzejowi zakaz opuszczania łóżka.

Taki plan miała na najbliższe godziny. Co potem? Andrzej pogodził się już z tym, że medyk zabronił mu wstawania. Z drugiej strony jej też zaczynało być z tym dobrze. Miała kogoś, kto był zdany całkowicie na nią i wyglądało na to, że oboje byli z tego zadowoleni. Rano powiedziała mu, że

już nie będzie go karmić, gdyż lekarz uznał, że chory jest w stanie sam posługiwać się sztućcami.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Andrzej najwyraźniej próbował podważyć opinię profesora Fiodora Aleksandrowicza Pieresławskiego. Trzymał łyżkę w dłoni i, unosząc do ust, krzywił się oraz postękiwał, ale Anna udawała, że tego nie słyszy.

Od kilku dni stale zadawała sobie jedno pytanie. Nie było może tak ważne, ale chciała wiedzieć, co znaczył tamten pocałunek. Czy w ogóle coś znaczył? Może był to tylko chwilowy kaprys?

Stojący przed nią barczysty mężczyzna powiedział „spasiba” i odszedł z zakupami. Kiedy sprzedawca spojrział na nią pytająco, wskazała głową w stronę jednego z koszy.

– Papraszu chlieb iz nieprosiejannoju muki.

Zapłaciła. Wyszła na ulicę.

Właściwie to kto kogo pierwszy pocałował? A może to nie ona, tylko Andrzej? Dlaczego nie pamiętała tamtej chwili? Miała gdzieś wyjść? Nim spotkały się ich usta, zamknęła oczy...

Zatrzymała się na skraju krawężnika. Przypomniała sobie słowa Andrzeja, kiedy opowiadał o tym, jak zgarnęła go policja. Rozejrzała się na obie strony. Nigdzie w pobliżu nie zobaczyła radiowozu.

Powinna wreszcie przestać myśleć o tamtym pocałunku. Gdyby to było coś ważnego, z pewnością spytałby ją czy... Tak, dosyć tego!

Kiedy wchodziła na schody, usłyszała za sobą kaszlnięcie. Obejrzała się i zobaczyła w uchylonych drzwiach sylwetkę podobnego do popa Arsena, ubranego w rozciągnięty szlafrok.

– Byłem u was na gorze.

– Stało się coś?

– Ależ skąd. Natasza chciała pobawić się z waszą Moniką.

Anna spojrzała przez okno klatki schodowej. Na podwórku z tyłu domu stało wysokie usychające drzewo. Do jednego z konarów grubym sznurem była przywiązana opona. Teraz siedziała na niej Monika, a Natasza kołysała ją na boki. Choć dziewczynki nie znały swoich języków, świetnie się dogadywały. Wszystko jest inaczej, kiedy jesteśmy dziećmi. Potem świat wywraca się do góry nogami i nikt nie rozumie tego, co staramy się

powiedzieć.

– Niech się bawią. – Odwróciła się do Rosjanina stojącego w uchylonych drzwiach mieszkania. – To przecież ostatnie dni lata.

– Szkoda, że nie znasz okolic, gdzie mieszkałem. Tak pięknie malowanych wzgórz nie ma nigdzie na świecie.

– Prócz naszych Bieszczadów – stwierdziła z przekorą.

Arsen mieszkał w dwupokojowym lokalu wraz z bratem Aloszą, który był artystą i ojcem Nataszy. Nie bardzo było jednak wiadomo, czy Alosza bardziej skłania się ku malarstwu, rzeźbie, czy też happeningowi. Kiedy przyjaciele pytali o postęp prac, patrzył na nich zaskoczonym wzrokiem, jakby nie rozumiał, o co im chodzi, a po chwili machał obojętnie ręką, stwierdzając, że nic nie ma sensu, więc nie warto sobie strzępić języka. Arsen zawsze stał z boku i patrzył na wszystko z obojętnym wyrazem twarzy.

Kiedy Alosza przyjechał do Nowego Jorku, już od pierwszego dnia był przekonany, że za rok będzie o nim mówił cały świat. Od tamtego czasu minęło siedem lat, a on nadal uważał, że jeszcze rok i przyjdzie sława.

Prawdę mówiąc, Anna nie rozumiała jego sztuki. Alosza mówił coś o awangardzie stylistycznej, lecz według niej była to naciągana teoria do zdefiniowania czegoś, co było zagmatwane, poplątane i nieprzystające do rzeczywistości. Jego ostatnia praca przedstawiała pień, na którym leżała gruba książka telefoniczna. W książkę była wbita siekiera. Ta rozcinała tomiszcze niemal w jednej trzeciej. Z miejsca rozrąbania, niczym z otwartej rany, wyciekała krew, którą stanowiły litery. Płynęły po ostrzu i zsuwały się drukarskimi znakami po drewnie pieńka. Podobno dzieło miało prezentować brutalność człowieka wobec sztuki.

Tak Anna próbowała głośno zdefiniować córce oglądane dzieło. Wówczas Alosza stwierdził, że nie może Anny traktować poważnie.

– Sztukę trzeba czuć! Powinna cię przenikać! O sztuce się nie gada!

– Ale mnie nic nie przenika!

– Myślisz, że księga jest zbyt mała? Hm... Sam już nawet o tym myślałem.

Anna weszła na górę i nacisnęła klamkę drzwi mieszkania.

– Arsen? – usłyszała pytanie Andrzeja.

– Nie! – zawołała z przedpokoju. – Ale też na „A”.

– Zdecydowanie wolę ciebie od tamtego mruka.

Zajrzała do pokoju.

– Bo nie patrzę na ciebie wilkiem?

Kiwnął głową. Zobaczyła w jego ręku książkę.

– Czytasz bajkę Moniki?

– Można się z niej wiele dowiedzieć. Na przykład o dobroci czy szczęściu.

– Gdzie ich trzeba szukać?

– W nas samych.

Anna chciała iść do kuchni, ale przytrzymał ją za rękę.

– Chciałem porozmawiać.

Przesunął się w głąb łóżka, żeby mogła przysiąc na brzegu.

Spojrzała pytająco.

– Chodzi mi... Jak by to powiedzieć?

– Najprościej.

Usiadła obok leżącego.

– Jak poszłaś do sklepu, myślałem o tym pocałunku.

– Jakim? – Udała, że nie wie, o czym mówi.

Przez jego twarz przemknął cień zawodu. Może dlatego poprawił się szybko, próbując wszystko zbagatelizować.

– Nieważne. Takie tam...

Chciał machnąć obojętnie ręką, ale dotknęła jego dłoni.

– Ja też o tym myślę.

W pokoju na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Nigdy nie sądziłem... – Miał minę jakby stał przed nauczycielem i próbował wytłumaczyć się z nieodrobionej lekcji. – To wszystko stało się tak nagle. Nawet nie wiem, kto pierwszy zaczął.

– Ty – stwierdziła stanowczym tonem. – Pocałowałeś mnie pierwszy. – Nie wytrzymała i roześmiała się głośno. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

W jego oczach zobaczyła ulgę, a potem zaigrały w nich wesołe ogniki.

– Cieszę się – sapnął jakby sam do siebie.

– Z czego?

– Że nie jest ci to obojętne.

– Jeszcze na ten temat nie rozmawialiśmy – w jej głosie można było usłyszeć przekorę.

– Zatem czy to było...?

Położyła mu palec na ustach.

– Po co pytać o takie głupstwa? Zaniosę do kuchni zakupy.

Andrzej pomyślał, że gdyby nie wymówka, to przyciągnąłby ją ku sobie. Kiedy wyszła z pokoju, pomyślał z żalem, że jest idiotą – trzeba było tak zrobić.

Poprawił się na poduszce. Stęknął cicho, czując ukłucie w obandażowanym boku. Jak ten drań miał na imię? Policjanci mówili do niego „Arnie”. Zanim gliniarz powiedział mu, że jest wolny, ponownie założył na dłoń rękawiczkę i wsunął na nią kastet.

Anna wróciła do pokoju. Znowu przesunął się w bok i klepnął otwartą dłońią w miejsce obok siebie.

– Powinniśmy jeszcze o czymś pomówić. – Miał poważny wyraz twarzy.

– O czym?

– O twoim bezpieczeństwie.

– Moim, a nie naszym?

– Kiedy dotarliśmy do Nowego Jorku, zadzwoniłem do faceta, który mnie po ciebie wysłał.

– Umówiliście się?

– Nie bardzo.

– Co to znaczy?

– On chciał, żebym od razu powiedział, gdzie jesteście. Coś w tym wszystkim jest nie tak... Miałem jechać po ciebie. Przywieźć do Nowego Jorku. Kilka dni i po sprawie. Ale stało się inaczej...

– Myślałam, że masz w tym jakiś cel...

– Jaki?

Na twarzy Andrzeja zobaczyła zaskoczenie.

– Swój. Prywatny. Teraz wiem, że to była ostrożność. W końcu policja

pobiła cię nie bez powodu. Wszystko pasuje do układanki. Miałeś i masz rację. Coś w tym wszystkim jest nie tak i nie jestem już taka pewna, że chodzi tylko o mikrofizę.

– Odłóżmy na bok wszystkie sprawy. Kiedy po tamtym pocałunku wybiegłem z mieszkania, poleciałem do automatu telefonicznego. Powiedziałem Tomaszowi... – zobaczył jej pytające spojrzenie i krótko wyjaśnił – rezydentowi polskiej ambasady, który mnie po ciebie wysłał. Zatem powiedziałem mu, że może dostać to, po co przyleciał z Polski. Nie uwierzył mi.

– Dlaczego?

– Oni myślą, że zabiłem ciebie i Elwirę.

– Ty? – Stwierdzenie to ją zaskoczyło. – Przecież to bzdura.

Krzywiąc usta, wychylił się w stronę szafki nocnej. Otworzył szufladę. Podał jej „El Observadora”.

– Zajrzyj na siódmą stronę. Policja w Montevideo nadal twierdzi, że zginęły dwie Polki.

– Ale to nie jest prawdą!

– Nasza ambasada w Urugwaju sprawdziła policyjne doniesienia.

– Ten drań, z ambasady nasłał na mnie...

Andrzej wziął ją za rękę i spojrzał w jej oczy.

– Teraz to nie ma znaczenia. Musimy odnieść się do faktów, które uznaje druga strona. Reasumując: oni są przekonani, że was zabiłem i ukradłem twoje archiwum.

– Mogę zadzwonić i powiedzieć, że to nieprawda.

– Przecież facet nie zna twojego głosu.

– Umówię się z nim na spotkanie.

Na twarzy Andrzeja pojawił się wyraz zamyślenia.

– To już brzmi bardziej rozsądnie.

DOM BYŁ WYPALONY przez szalejący w nim niegdyś pożar i teraz czekał w kolejce na wyburzenie. Przez pozbawione szyb okna do środka wdzierał się wiatr, który gwizdał głucho w licznych zakamarkach. Hawele



wyostrzył lunetę, przyglądając się uważnie oknom domu sąsiadującego z kamienicą, do której wprowadził się Polak i kobieta z dzieckiem.

Kiedy dwa dni temu zaglądał do ich mieszkania, na szybie ich okna balkonowego błysnął refleks. Hawele był pewien, że to nie jest zwykły poblask słoneczny. Takie ostre błyski rzucają lunety optyczne, które najczęściej dokręca się do karabinu snajperskiego.

Prawdą było, że Hawele również trzymał w dłoniach podobną broń. Ale to nie było odbicie jego lunety. Pół roku wcześniej kupił nowość, która weszła na wyposażenie jednostek marines. Karabin, z którego można było strzelać na odległość ponad kilometra i którego luneta, miast odbijać, pochłaniała słoneczne promienie. Najwidoczniej konkurent nie uznał za potrzebne zachowanie podobnej ostrożności co Hawele. To był błąd. Wówczas Hawele miał w krzyżaku celownika głowę Leszczyńskiego, który siedział na tapczanie obok Wermer.

Hawele zawsze zastanawiał się, w jaki sposób Bóg do niego przemówi. Że tak się stanie, nie miał wątpliwości. Jak to zrobi? Zawsze intrygowało go to pytanie. Odpowiedź okazała się trywialnie prosta. Zwykły błysk. Kiedy w szybie rozjarzył się refleks, Hawele wiedział, że zanim zastrzeli Leszczyńskiego, najpierw musi się dowiedzieć, kto jeszcze poluje na Polaka.

Było pewne, że strzelec powinien zajmować mieszkanie w którejś z dwóch kamienic, stojących na wprost budynku, w którym zamieszkała Wermer. To był najbardziej dogodny punkt, pozwalający mieć na oku zakontraktowany cel.

Hawele nie mylił się w swoich przypuszczeniach. Wkrótce znalazł drugiego myśliwego. W dalmierzu zobaczył pięćdziesięcioletniego mężczyznę. W pokoju paliła się stojąca przy łóżku lampka nocna. W jej świetle zobaczył leżący na kocu Sako TRG 41/42, fiński karabin wyborowy skonstruowany na początku lat 90. Typowa broń powtarzalna, w której konstruktorzy zastosowali zamek czterotaktowy, suwliwo-obrotowy z trzema ryglami. Najlepszy był do niego nabój 338 Lapua Magnum. Znał tę broń. Nic wystrzałowego...

Zaśmiał się z przypadkowej dwuznaczności.

Łysy mężczyzna siedział na łóżku i wsparty plecami o ścianę czytał książkę. Obok, na szafce nocnej, stał aparat telefoniczny. Czyżby czekał na sygnał?

## Rozdział dziewiąty

KŁĘCZAŁ PRZED OBRAZEM Matki Boskiej już drugą godzinę, żarliwie modląc się do Niebieskiej Panienki. Choć usta wymawiały gorące słowa, umysł zdawał się błędzić gdzie indziej.

Jak to się stało, że dał się namówić na opuszczenie parafii i wyjazd z Nowego Jorku? Nie bardzo potrafił przypomnieć sobie tamten wieczór... Tak, to było wieczorem. Usłyszał wówczas kroki na schodach. Za chwilę uchyliły się drzwi i zobaczył twarz siostry Marty.

– Ktoś do księdza proboszcza.

Dostrzegł wzrok zakonnicy lustrującej stół, przy którym siedział. Nim weszła, zdążył narzucić serwetę na strzykawkę.

– Proszę powiedzieć, że zaraz zejść.

– To chyba coś pilnego.

Oboje wiedzieli, dlaczego chce zostać. Poczuł narastającą w sobie złość. Zakonnica zobaczyła, jak gwałtownie zaciska dłoń w pięść. Może dlatego cofnęła się na korytarz?

Spojrzał na wystającą spod serwety igłę. Ile to razy obiecywał sobie, że to ostatni raz? Ile nocy przeleżał krzyżem przed kościelnym ołtarzem, błagając o wyzwolenie z nałogu? Bóg nie chciał go wysłuchać? Czy dlatego, że zgrzeszył, wydał bliźniego, miał na rękach krew? Przecież poranił sobie plecy rzemieniem, w który wplótł ołowiane kulki. Szczerze żałował. W intencji nieżyjącego odprawił wiele mszy. Modlił się za niego co wieczór. Czyż nie zasłużył na wybaczenie?

W końcu, po latach, otrzymał znak od Boga. Jak każdego wieczoru przed ostatnią tego dnia mszą siedział w konfesjonale, spowiadając wiernych. Kim był grzesznik, którego twarz zobaczył za kratą? W półmroku spoczęły na nim gorejące oczy mężczyzny, któremu cuchnęło z ust czymś mdląco-kwaśnym. Odniósł wrażenie, że zobaczył odbicie własnej twarzy. Zapadnięte policzki, wielkie oczy, które przykrywały niemal przezroczyście pergaminowe powieki,

zarost na niewygolonych policzkach.

– Grzeszyłem ojciec i jestem pewien, że umrę w grzechu. Nie wiem, po co tu klęczę i wyznaję przewinienia. Może dlatego, że tak nauczyła mnie matka. Zawsze powtarzała, że gdyby przyszedł taki dzień, że zostanę sam wraz ze swoją niedolą, wtedy mam szukać pociechy w spowiedzi. Zapewniała, że znajdę ukojenie w modlitwie. Myślałem, że kłamała. Przychodziłem tu od miesiąca i za każdym razem doświadczałem coraz większego zwątpienia.

– Co teraz się zmieniło?

– Co noc pytałem Boga, dlaczego stałem się narkomanem? Ale on ani razu się do mnie nie odezwał. Nie pokazał bodaj jednym znakiem, że słyszy. Przez lata myślałem, że ma mnie w dupie, że już dawno temu wyrzucił na śmietnik i zapomniał o kimś takim jak ja.

– W twoim głosie słyszę nadzieję.

– Dziś rano na ulicy spotkałem Teresę. Pięć lat temu uciekliśmy z Polski. Byliśmy ze sobą przez rok. Potem mnie rzuciła. Nie mogła wytrzymać, kiedy zacząłem ćpać. Nigdy nie myślałem, że to mnie spotka. Inni mogą tonąć w bagnie, ale nie ja.

– To było ważne spotkanie?

– Prawda, mówiłem o Teresie. Jeśli na czymś się nie skupię, zaraz o tym zapominam. – Zaśmiał się gardłowo. – Prochy wyżarły mi szare komórki. Zatem spotkałem Teresę, a raczej to ona podeszła do mnie na ulicy. Nie jestem już tamtym chłopakiem, którym byłem. Kiedyś ważyłem osiemdziesiąt dziewięć kilo. Teraz niecałe czterdzieści. Idę więc ulicą i nagle ktoś do mnie podchodzi i wciska mi w rękę sto dolców. Poznałem ją od razu. Nic się nie zmieniła.

– Jak cię rozpoznała?

– Po skórzanej kurtce. Mam orła na plecach. Wytarł się przez lata, ale jeszcze trochę widać.

– O czym rozmawialiście?

– Zamieniliśmy kilka słów. Powiedziała, że mi dziękuje i wcisnęła w grabę pieniądze. Spytałem, za co? Wie ksiądz, co odpowiedziała?

Pokręcił przecząco głową.

– Że mieszkając ze mną, zobaczyła, jak się zaczyna i do czego może doprowadzić nałóg. Jej mąż zaczął ćpać. W porę to dostrzegła i wyciągnęła

go z bagna.

– Więc Bóg o tobie nie zapomniał.

– Tak... Wychodzi na to, że ocaliłem czyjeś życie. Zrobiłem, co do mnie należało i już nie jestem nikomu potrzebny. Teresa pracuje w ośrodku odwykowym. Chciała mnie tam zabrać, ale już za późno. Kiedyś planowaliśmy mieć syna. Chcieliśmy dać mu na imię Michał. W Polsce napisałem cykl esejów krytycznoliterackich o Sienkiewiczowskiej Trylogii. Ale każde wydawnictwo bało się moich maszynopisów, bo działałem w solidarnościowym podziemiu. Kiedyś chciałem być mistrzem pióra i fechtować nim niczym Mały Rycerz... Teraz nie potrafię utrzymać w dłoni strzykawki.

– Życie często prowadzi nas w nieoczekiwanym kierunku.

– Ksiądz sam powiedział, że zrobiłem coś dobrego.

– Uratowałeś kogoś przed koszmarem, w którym sam żyjesz.

– Proszę o tym pamiętać, kiedy spotkamy się następnym razem.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co tamtemu chodzi. Chciał odpowiedzieć, lecz mężczyzna wstał z klęczek i odszedł od konfesjonau. Kiedy ksiądz odsłonił kratki i wyrzwał na zewnątrz konfesjonau, zobaczył kilka kobiet czekających na spowiedź i wiernych, którzy zajęli miejsca w pobliskich ławkach w oczekiwaniu na wieczorną mszę.

Dopiero po nabożeństwie kościelny zauważył nogi wystające z konfesjonau. Przed zamknięciem świątyni zawsze dokładnie sprawdzał jej wnętrze.

– Myślałem, że ktoś zasnął. – Rozdygotany stał przez księdzem Stefanem. – Ale to narkoman. Widocznie wstrzyknął sobie za dużą dawkę i szlag go trafił na miejscu. Co to się teraz na świecie wyrabia, aż strach pomyśleć.

Ksiądz Stefan wybiegł za kościelnym z zakrystii. W konfesjonale, w którym spowiadał jeszcze przed godziną, leżał mężczyzna. Miał na sobie skórzaną kurtkę. Na plecach można było dostrzec białego orła.

„Niech ksiądz o tym pamięta, kiedy spotkamy się następnym razem”.

O co mu chodziło? W kieszeniach nieżyjącego nie znaleziono dowodu tożsamości. Wtedy zorientował się, że tamten prosił o godny pochówek. Gdyby policja znalazła go na ulicy bez dokumentów, po kilku tygodniach

daremnych prób ustalenia jego tożsamości zostałby przewieziony na Long Island. Tam, w zbiorowych mogiłach, chowano nowojorskich bezdomnych. Co piąty tydzień ksiądz Stefan proszony był o odmówienie modlitw nad zbiorową mogiłą. Innego tygodnia modlił się pastor, kolejnego rabin, muzułmański kadi lub prawosławny pop.

Policyjne śledztwo wykazało, że narkoman popełnił samobójstwo, przedawkowując heroinę. Kiedy z komisariatu zadzwoniono z pytaniem, czy w parafii nie mieszkają krewni denata, odpowiedział, że samobójca był człowiekiem samotnym i parafia bierze na siebie obowiązek pochówku nieżyjącego.

To wydarzyło się przed tygodniem. A dziś... Przypomnił sobie o czekającym gościu. Niedawny ból mięśni minął, jak tylko wcisnął tłok strzykawki. Świszczący oddech stał się spokojny. Kiedy stanął przed lustrem, zobaczył na policzkach nieznaczny rumieniec.

Zszedł do jadalni. Od stołu wstał mężczyzna w ciemnym garniturze. Ksiądz Stefan dostrzegł przy jego kołnierzyku koloratkę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Nieznajomy miał spokojny głęboki głos i ujmujący uśmiech na twarzy.

– Na wieki wieków. – Wyciągnął dłoń na powitanie.

– Ksiądz Damian.

Uścisk gościa był silny i zdecydowany. Proboszcz wskazał dłonią krzesła.

– Czym mógłbym służyć?

– Przyleciałem wczoraj wieczorem z Polski.

– Cóż nowego w kraju? Słyszałem, że rząd pana Mazowieckiego radzi sobie całkiem dobrze.

– Prawdę mówiąc, nie interesuję się polityką. Ksiądz biskup prosił mnie, żebym odwiedził księdza...

– Ksiądz biskup...? – zawiesił głos, jakby niepewny, czy mówią o tej samej osobie.

– Tu jest jego odręczne pismo do księdza.

Wziął kopertę. Na czerwonym laku dostrzegł odcisniętą pieczęć biskupią. Złamał ją i otworzył list. Wewnątrz było zaledwie kilkanaście słów. Mówiły o tym, że osoba oddająca to pismo cieszy się pełnym zaufaniem Jego

Eminencji.

– Wie ksiądz, co znajduje się wewnątrz? – Ksiądz Stefan wskazał na trzymaną w dłoni kartkę.

– Owszem, ksiądz biskup był łaskaw pokazać mi to, co napisał.

– Skąd taka wstrzemięźliwość w treści?

– Sprawa jest delikatna.

Ksiądz Stefan pomyślał o tysiącu pięciuset dolarach, które na początku roku wyjął z kasy funduszu kościelnego. Powtórnie nie popełnił już tego błędu, codziennie podbierał z tacy mniejsze sumy.

– Delikatna, czyli...? Chodzi o finanse mojej parafii czy też...

– Sprawa dotyczy księdza. Otóż Jego Eminencja otrzymał informacje, które sugerują, że tutejsza parafia może być wplątana w aferę, którą zmontowała w Warszawie Służba Bezpieczeństwa.

Na twarzy księdza Stefana pojawił się wyraz zaskoczenia.

– To chyba raczej niemożliwe.

– Jego Eminencja otrzymał dokumenty, które mogą tutejszą parafię postawić w niezbyt korzystnym świetle.

– Niezbyt korzystnym dla kogo?

– Tutejszej Polonii.

Ksiądz Damian sięgnął po stojący na podłodze neseser. Otworzył go i wyjął kilka kartek. Podał je księdzu Stefanowi.

– To kserokopie, ale ksiądz z pewnością rozpozna na nich charakter pisma.

Ksiądz Stefan wziął do ręki fotokopie kart, które podpisał przed wielu laty: „Ja, proboszcz Parafii Rzymskokatolickiej pod wezwaniem...”.

Przeskoczył wzrokiem do kolejnego akapitu.

„...I od dnia 16 lipca 1983 roku zobowiązuję się do lojalnej współpracy z wywiadem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...”

Przeskoczył wzrokiem kilkanaście zdań.

„Jednocześnie oświadczam, że nikomu nie zdradzę tajemnicy, która została mi...”.

Wreszcie zatrzymał się na końcu.

„...za co będę pobierał miesięczne wynagrodzenie w wysokości sześciuset dolarów amerykańskich...”.

Już wtedy był uzależniony. Tamci doskonale o tym wiedzieli. Potem dowiedział się, że dilerem, który zaproponował mu pierwsze darmowe działki, był agent pracujący w nowojorskim konsulacie. Było jednak za późno, żeby się wycofać.

Oddał pismo księdzu Damianowi.

– Napisałem te słowa.

– Cieszę się, że ksiądz nie zaprzecza.

– Nie miałyby to sensu.

– Sam ksiądz rozumie, że najlepiej będzie, jak parafią pokieruje ktoś inny. Wtedy uzyskamy pewność, że o waszej posłudze duszpasterskiej tutejsi parafianie zawsze będą się wypowiadać tylko w dobrych słowach.

– Mam wrócić do kraju?

– Jego Eminencja wolałby, żeby osoba księdza znikła na jakiś czas z pola widzenia. Zaproponowałem, żeby na kilka miesięcy wysłać księdza do Treddhold.

– Na Wschód?

Siedzący na wprost podniósł brwi, wyraźnie nie pojmując, o co chodzi.

– Tak nazywamy znajdujący się tam klasztor. Trafiają do niego księża, którzy powinni odpokutować przewinienia wobec Kościoła.

– Nikt nie nakazuje księdzu odpokutowania jakichkolwiek przewinień.

Tym razem ksiądz Stefan zrobił zaskoczoną minę.

– Zapewniam, a rozmawiałem o tym z biskupem, że nadal widzimy w księdzu oddanego sprawie Chrystusowej pokornego sługę. Przyszło nam, niestety, żyć w ciężkich czasach, kiedy to brud świeckiej egzystencji musiał pokryć wiele sutann. Jak powiedziałem, chcemy jedynie, żeby powrót księdza do kraju odbył się bez zaprzątania uwagi jakichkolwiek służb naszej nowej demokratycznej ojczyzny. Jest wreszcie jeszcze jedna sprawa, która lepiej, żeby pozostała na ziemi amerykańskiej.

Siedzący po drugiej stronie stołu wyciągnął dłoń, prosząc, by ksiądz Stefan podał mu swoją. Ten wiedział, czym to się skończy, ale odpowiedział na gest. Kiedy ich palce się spotkały, ksiądz Damian podciągnął rękaw jego

sutanny. Obaj przez chwilę spoglądali na gruzłowate zwapnienia żył, pozostałe po iniekcjach.

– Na Wschodzie, jak ksiądz raczył wspomnieć, jest bardzo dobry oddział odwykowy, który niejednemu duchownemu pozwolił wrócić na ścieżkę zdrowia.

– Kiedy mam wyjechać?

Ksiądz Damian wstał od stołu. Podszedł do drzwi i wyjrzał na hol.

– Siostra Marta już księdza spakowała. Możemy zatem ruszać bez niepotrzebnej zwłoki.

– Ale powinienem chyba przekazać mojemu następcy parafię?

– Proszę już się o to nie martwić. Z pewnością służące tu zakonnice doskonale sobie z tym poradzą.

KSIĄDZ STEFAN KŁĘCZAŁ w celi, spoglądając przez zamontowaną w oknie stalową siatkę na ciemniejący błękit nieba. Od przyjazdu do klasztoru minęły dwa tygodnie. Kuracja odwykowa, ku jego zaskoczeniu, jak dotąd przebiegała bez wyraźnych skutków ubocznych – w tym wypadku chodziło jedynie o wpływ na psychikę. Bóle mięśni tłumiono metadonem.

Może dlatego pozwolono mu wziąć udział w wieczornej mszy. W tym czasie miał zasiąść w konfesjonale.

Ksiądz Stefan usłyszał pukanie do drzwi celi.

– Tak? – odwrócił się.

W szparze ukazała się pogodna twarz wychowawcy, który czuwał na grupą podopiecznych.

– Wychodzimy na mszę świętą.

Skinął głową. Uczynił na piersiach znak krzyża i wstał z klęczek. Wyszedł na korytarz. Przed jego celą czekało już ośmiu księży. Wszyscy ruszyli gęsiego za wychowawcą. W świątyni zajęli miejsca w ławkach odgrodzonych balustradą od miejsc dla wiernych. Na dany mu znak ksiądz Stefan ruszył w stronę najbliższego konfesjonau.

Zagłębił się w modlitwie. Który to już raz prosił o wybaczenie dawnych grzechów?

To był szósty transport, który pod przykrywką darów został wysłany do



Polski. Do lekarstw i odżywek dołączono urządzenia elektroniczne, które pozwalały szyfrować rozmowy przesyłane łączami telefonicznymi. Podsluchujący zamiast głosów mogli jedynie zarejestrować szum, który dodatkowo również był kompresowany do półsekundowego trzasku.

W transporcie znajdowały się także urządzenia, które pozwalały deszyfrować nadawane wiadomości. Tamtego dnia zadzwonił na umówiony numer i zażądał dodatkowej gratyfikacji. Pięć tysięcy dolarów następnego dnia wpłynęło na konto.

Na granicy między wschodnimi Niemcami a Polską doszło do szarpaniny. Wopista wyciągnął pistolet. Padł strzał.

W czasie mszy żałobnej do spowiedzi przyszedł jeden z przyjaciół kierowcy. Prosił o odpuszczenie grzechu, który popełnił w przeszłości – chciał znaleźć winnego i zabić go!

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Kiedy klęczący przy konfesjonale powtórzył powitanie po raz wtóry, ksiądz Stefan otrząsnął się ze wspomnień.

– Na wieki wieków. Amen.

– Ostatni raz u spowiedzi byłem przed rokiem.

– Co cię, synu, gnębi?

– Zgrzeszyłem, ojcze.

– Wyznaj złe uczynki, a ja wskażę ci drogę pokuty.

– Nie zasługuję, ojcze, na odpuszczenie moich win. Nie zasługuję, żeby przekraczać próg domu bożego. Jestem grzesznym robakiem...

– Pan jest w stanie puścić wszystko w niepamięć, jeśli będziesz uczciwie prosił o wybaczenie.

– Nie żałuję swoich uczynków i nie chcę o nich teraz mówić.

Ksiądz spojrział przez kratkę oddzielającą go od wiernego. Z akcentu mógł wnioskować, że mężczyzna jest Portorykańczykiem. Jednak rysy twarzy wskazywały na Europejczyka z Południa. Grek. Łysy Grek. Ale w końcu, czy miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie?

– Mówisz, że niczego nie żałujesz. Dlaczego zatem przyszedłeś do konfesjonału?

– Znałem w swoim życiu uczciwego człowieka. Jakiś czas temu straciłem

go z oczu. Niedawno dowiedziałem się, że ksiądz wyprawił mu chrześcijański pogrzeb. Przyszedłem, żeby podziękować.

– Zrobiłem tylko to, do czego jest zobowiązany kapłan.

– Nie znam się na tych sprawach. Wiem, że księdzu musi być ciężko w tym klasztorze.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Moi przyjaciele są dilerami, od których kupował ksiądz towar. Proszę się nie niepokoić, nie zamierzam z nikim dzielić się swoją wiedzą.

– To już przeszłość.

Geen Daar dostrzegł niepokój w oczach księdza. Brat wspominał o możliwej panice ćpuna. Podobną widział w oczach dilera, którego przycisnął, by opowiedział mu wszystko o polskim proboszczu. Tamten jednak zrozumiał, że Geen Daar nie żartuje dopiero wówczas, gdy przybił mu gwoździami do blatu stołu obie dłonie.

– Nie szukasz pojednania z Bogiem, zatem dlaczego ze mną rozmawiasz?

– Powiedziałem już, przyszedłem podziękować za przyjaciela.

Geen Daar wstał z klęczek. Pochylając się, żeby pocałować stulę, odchylił oblużowaną kratkę konfesjonału i wrzucił na kolana księdza niewielki pakunek.

– Tylko tak mogę podziękować, wiedząc, na co ksiądz został skazany w tym więzieniu. Jeszcze raz dziękuję.

Geen Daar ruszył do wyjścia z kościoła.

Jak długo tamten będzie walczył z nałogiem? Jak długo będzie opierał się przed rozwiązaniem tasemek? Wreszcie rozpakuje paczkę, rozdzierając papier, którym jest okryta. W środku zobaczy ampułkę z heroiną i strzykawkę. W pierwszym odruchu z pewnością będzie chciał je wyrzucić. Coś jednak powstrzyma jego dłoń. Jakiś wewnętrzny głos po raz tysięczny szepnie gdzieś w głębi niego, że to już ostatni raz.

Ampułka z heroiną miała domieszkę. Dzięki niej rzeczywiście będzie to złoty strzał.

Stojący przy ołtarzu kapłan unosił do góry opłatek. W ciszy rozległ się dźwięczny gong, który wzywał do pokłonu przed Ciałem Chrystusa.

Geen Daar doszedł do drzwi wyjściowych i spojrzał w stronę

konfesjonału. Potem wyszedł na zewnątrz, uważając, aby nie trzasnąć za sobą solidnymi okutymi blachą drzwiami.

KIEDY HAWELE USŁYSZAŁ hamujący przed wejściem do galerii samochód, wstał zza biurka, przy którym wypełniał dokumenty sprzedaży jednego z obrazów. Przez szklane drzwi można było zobaczyć dobrze ubranego mężczyznę po pięćdziesiątce w charakterystycznych drucianych okularach, których oprawki były pozłacane.

Hawele pomyślał, że mimo upływu lat niektórzy z przyjeżdżających do Ameryki rodaków niczego się nie nauczyli. Gdyby ich garnitur nieoczekiwanie został zamieniony na wojskowy mundur, wreszcie czuliby się swobodnie. Jeśli zaś chodzi o tego gościa, to po zmianie ubioru mógłby zostać uznany za brata bliźniaka Ławrientija Berii, osławionego szefa radzieckiego KGB. Tak też Hawele nazywał w myślach przybyłego.

Od lat prowadził z towarzyszem Mikuninem doskonale interesy. Ten załatwiał w Rosji pozwolenia na wywóz cennych malowideł, które, za sówitą prowizją, trafiały do galerii Hawele. Czasami klienci długo studiowali certyfikat oryginalności, jak i pozwolenia widniejące na dokumentach wywozowych. Ikony i malowidła, choć najwyższej próby, zawsze miały stuprocentowe gwarancje, iż kupiono je za legalne pieniądze, za wiedzą i zgodą właściciela, czyli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Po kilku latach Hawele ugruntował swoją pozycję wśród nowojorskich marszandów i zaczął słynąć z bezgranicznej uczciwości. A to był wielki kapitał. Niekiedy zdarzało się, że dokonujący zakupu zastanawiali się nad nieprawdopodobnymi koneksjami marszanda, który był w stanie sprowadzić do Stanów perły rosyjskiego malarstwa.

Podziw z pewnością zamieniłby się w strach, gdyby wiedziano, że zaraz po wojnie, fingując ucieczkę, Hawele dostał się do Stanów w ładowni statku rybackiego. Pomysł z galerią malarstwa był jego autorstwa. Ludzie z I Zarządu Głównego KGB, którzy wysłali go do Stanów Zjednoczonych, uznali to za dobrą przykrywkę. Dlatego też od dwudziestu lat wywiad zagraniczny ZSRR zapełniał jego galerię coraz to nowymi malowidłami, które miały stuprocentowe certyfikaty historyków sztuki. Łącznikiem był towarzysz Mikunin, który grał rolę wschodniego handlarza sztuką. Dzięki sile wypchanego dolarami portfela był w stanie zrealizować niemal każde

zlecenie.

– Witam starego druha.

Hawele rozłożył szeroko ramiona, w które pochwycił przekraczającego próg Berię. Moment później ucałowali się nawzajem w policzki, kończąc powitanie szczerym pocałunkiem w usta.

– Przywiozłem! – Mikunin zrobił dumną minę.

– Niemożliwe! – Hawele odebrało głos z wrażenia.

– Chciałeś wczesnego Ilię Repina?

– Niemożliwe! – Hawele klasnął w dłoń.

Gdyby ktoś spojrział teraz z boku na nich obu, pomyślałby, że przodkowie marszanda zamiast z Rosji pochodzą z Wybrzeża Kości Słoniowej, gdyż ten odtańczył na środku sali dziki taniec radości. Obraz XIX-wiecznego rosyjskiego realisty w Ameryce był wart fortunę. Z drugiej strony Hawele dbał o to, by taśma z ukrytej kamery FBI miała odpowiednią zawartość. Powinna utwierdzać innych, że mają do czynienia z uczciwym i pragnącym tylko robić dobre interesy człowiekiem.

– Muszę zobaczyć go na własne oczy – w głosie Hawele można było usłyszeć ekscytację.

– Kazałem zanieść półtno do pracowni.

Pracownia znajdowała się w podziemiach galerii i w rzeczywistości była ekranowanym pomieszczeniem, gdzie Hawele przechowywał obrazy w stałej temperaturze i równie niezmiennej wilgotności powietrza. Ukryte wewnątrz urządzenia zagłuszające stanowiły barierę, za którą już bez obaw można było mówić na każdy temat.

– W takim razie chodźmy na dół. – Hawele wskazał dłonią na schody prowadzące na poziom minus jeden.

– Nie weźmiemy ze sobą czegoś mocniejszego?

– Gaston de Casteljac. – Hawele podszedł do barku i wyjął butelkę koniaku. – Twój ulubiony.

– Wiedziałem, że będziesz pamiętał.

Towarzysz Mikunin wziął butelkę i spojrział na nalepkę, jakby nie dowierzał zapewnieniom Hawele.

– Wiesz, że po raz pierwszy nazwa „koniak” została użyta w roku 1617, a

niedługo potem powstała pierwsza gorzelnia, która produkowała mocniejszy alkohol zwany palonym winem – z francuska „vin brûlé”, a po angielsku „brandy”? Brandy wytwarzaną w okolicach miasteczka Cognac nazwano później „eau-de-vie du Cognac”, co dosłownie znaczy „woda życia z Cognac”.

Hawele wiedział o tym wszystkim. Od lat co pół roku słuchał identycznie brzmiącego wykładu. Za każdym razem z podziwem kiwał głową nad wiedzą gościa. Kiedy obaj przekroczyli opancerzone drzwi podziemnego skarbcza, z ich twarzy zniknęły radosne uśmiechy. Hawele znalazł na stole metalowy pojemnik z obrazem.

– Twoi klienci – rzucił Beria przez zęby, rozsiadając się na jednym z krzeseł – stają się zbyt zachłanni. Niedługo poproszą, żebyś załatwił ikonostas z petersburskiego Soboru Izaaka.

– Prawdę mówiąc – Hawele prychnął głośno – jeden z nich już od kilku lat podpytuje mnie, czy byłoby to możliwe.

– Mówisz poważnie?

– Jeśli chodzi o interesy, zawsze jestem śmiertelnie poważny.

Hawele podszedł do biurka. Otworzył kluczem jedną z szuflad. Wyjął trzy paczki banknotów i położył je na stole koło obrazu.

– Twoje dwadzieścia procent za Repina. Dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

Towarzysz Mikunin wiedział, że nie musi liczyć. A mimo to, biorąc do ręki pojedyncze paczki, za każdym razem oceniał ich grubość. Po zakończeniu wzajemnych rozliczeń mogli przejść do zasadniczej treści spotkania.

– Wiemy – Beria zaczął powoli – że od kilku dni na terenie Stanów Zjednoczonych przebywa Anna Wermer. Do niedawna jej poszukiwania były bezskuteczne.

Kiedy przed dwoma laty Siejka przekazał KGB informację, że na polecenie generała Sulimowicza rozpoczął kopiowanie teczek osobowych zgromadzonych w archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, po raz kolejny potwierdziło się, że polscy towarzysze biorą pod uwagę możliwość oddania władzy. Analitycy z Łubianki ułożyli plan przejęcia całości dokumentów utrwalanych na mikrofilmach. Był genialny w swej prostocie.

Po ostatnim przerzucie materiałów do paryskiego Banku Koëniga należało wyeliminować polską agentkę, zastępując ją podobną do niej dziewczyną. Obawiając się, że przy ewentualnej wpadce reperkusje międzynarodowe mogą zagrozić wizerunkowi Związku Radzieckiego, postanowiono pozwolić, żeby Siejka przeprowadził całą akcję od początku aż do samego finału. Pracujący dla Rosjan major dobrał sobie zaufanego człowieka. Siejce zabroniono mówić kapitanowi Leszczyńskiemu o powiązaniach z wywiadem. To miała być akcja dwóch funkcjonariuszy polskiego MSW. Gdyby wpadli, nikt nie połączyłby ich z Rosjanami.

Andrzej Leszczyński znalazł Annę Wermer. Ale dziewczyna przejrzała, o co toczy się gra, i wystawiła obu esbeków do wiatru. Teraz znowu wypłynęła na powierzchnię.

Ze słów Berii wynikało, że ich agent z Warszawy doniósł o przygotowaniach ambasady polskiej w Waszyngtonie do przejęcia kobiety i wywiezienia jej ze Stanów do Polski. Nazwisko Wermer zelektryzowało wszystkich na Łubiance.

– Nam zależy jedynie na tych mikrofizach. – Mikunin sięgnął po butelkę.  
– Nie obchodzi nas, co się z nią stanie, więc w tej kwestii masz wolną rękę.

Beria rozlał koniak do dwóch szklanek.

– Twoje zdrowie. – Wychylił zawartość jednym haustem.

Hawele pomyślał o Sunny. Jeśli dowie się, że wyznawana jej niegdyś miłość była grą?

Przed laty jego zazdrość była tylko wybiegiem. To prawda, że Ukraińcy zaczęli ostro konkurować z grupą Sunny. Może i trochę było mu żal fotografa, który przez podstawionych przez Hawele ludzi dał się namówić do zrobienia fotomontażu z Sunny w roli głównej. Potem fotograf, nieświadomy prawdziwego zleceniodawcy, przyszedł z tym do Hawele. Musiał zginąć. To pozwoliło odejść od kobiety, której przestępcze powiązania mogły źle wpłynąć na budowany przez moskiewskich mocodawców obraz rzetelnego i szanującego prawo marszanda.

Na szczęście Sunny zareagowała tak, jak się tego spodziewał. Chociaż kiedy zobaczył jej wściekłość, pomyślał, że przeszarżował. Stojąc na ulicy, przeproszał i błagał o przebaczenie, podczas gdy ona ciskała w niego wszystkim, co tylko nawinęło się jej pod rękę. Wreszcie znikła w mieszkaniu, by wrócić z pistoletem. Sunny wycelowała w niego, szlochając i

wyzywając od najgorszych swołoczy. Na szczęście sześć kul ze smith & wessoną poszło bokiem, a on sam wyszedł z opresji jedynie z siniakiem od pistoletu, którym w niego rzuciła.

– O czym tak myślisz? – Beria, zarumieniony od wypitego alkoholu, stał się bardziej przyjacielski.

– Zawsze jak ciebie widzę, przypomina mi się moment, kiedy wpadłeś na pomysł, żeby podsunąć moją osobę Polakom.

Hawele westchnął w duchu, odfajkując drugi stały element każdego z ich spotkań. Kiedyś Hawele miał po nich trzy dni ciężkiego kaca. Teraz kołopoty ze zdrowiem towarzysza Mikunina chroniły go przed alkoholowym maratonem.

– Stare dobre czasy. – Beria westchnął, mrużąc oczy.

Galeria obrazów miała być przykrywką dla prawdziwej pracy, którą miał wykonywać Hawele. Rzekomy uciekinier z sowieckiego państwa ludowej szczęśliwości zaczął oferować usługi jako zawodowy zabójca.

Ten pomysł analityków z Łubianki miał w sobie cechy genialności. Zabójca, mając doskonałe referencje, mógł być pewnego dnia zatrudniony nie tylko przez prywatnego zleceniodawcę, ale również rządową agencję. Te zaś nie likwidowały nikogo, kto nie zagrażałby bezpieczeństwu państwa. Owo bezpieczeństwo wiązało się zaś z tajemnicami, które nigdy nie mogły ujrzeć światła dziennego. Czyż potrzeba lepszego źródła, wskazującego na tropy, dzięki którym można znaleźć kompromitujące przeciwnika tajemnice? Ludzie z Łubianki mieli rację i Hawele z czasem stał się niemal etatowym „czyścicielem” FBI.

Z czasem usługi Hawele zaczęto podsuwać sojusznikom. Kilka razy skorzystali z nich Polacy oraz Bułgarzy. Wszyscy wierzyli, że były uciekinier z sowieckiej Rosji zamyka usta niewygodnym osobom i sam również zapomina o zleceniach, jakby topił je w bezdennej studni.

Ostatnie zlecenie, które dostał od Polaków, w pierwszej chwili wzbudziło w Moskwie podejrzenia. Niektórzy byli pewni, że niedawni socjalistyczni sojusznicy rozszyfrowali, że pracuje dla Moskwy. Jednak „ułani”, jak pogardliwie nazywano Polaków, byli nieświadomi jego powiązań. To nie był koniec niespodzianek. Kiedy w ramach przekazywanego zlecenia padło nazwisko Wermer, Moskwę ponownie ogarnęły wątpliwości. Czyżby próbowano skierować KGB na fałszywy trop?

Informacje, które Hawele dostał od zleceniodawcy, błyskawicznie zweryfikowano i każda z nich okazała się strzałem w dziesiątkę – bezapelacyjnie prawdziwa. Leszczyński, którego miał odstrzelić, dostał zlecenie sprowadzenia z Montevideo kobiety, której KGB bezskutecznie poszukiwało przez ostatnie sześć miesięcy.

Teraz „ułani” wierzyli, że Leszczyński zlikwidował Wermer, zabierając ukradzione przez nią mikrofiszki. Zastanawiali się, jak mógł to zrobić? Zanim nowi ludzie z MSW nauczą się wywiadowczego rzemiosła, minie trochę czasu. Ale to nie przyszłość była ważna, tylko tu i teraz. Zachodziło realne niebezpieczeństwo, że „likwidacja” Leszczyńskiego spowoduje, iż kobieta zniszczy posiadane przez siebie archiwum. To była jedna z możliwych wersji jej postępowania. Moskwa jednak wolała nie dopuścić do sytuacji, która zagroziłaby posiadanym przez Wermer dokumentom.

– Wytłumaczyłem „ułanom”, że ona żyje. – Hawele westchnął ciężko.

– Uwierzyli?

– Pokazałem fotki, które zrobiłem teleobiektywem.

– Chciałbym zobaczyć minę twojego klienta. – Beria zaśmiał się, a widząc w połowie opróżnioną butelkę, sapnął i nalał już tylko do jednej czwartej objętości obu szklanek.

– Minę miał nietęgą. Likwidację anulowano. Na razie mam ich tylko obserwować.

– Dałeś „ułanom” adres Wermer?

– Musiałem, ale to bez znaczenia. Na teren, który kontroluje Sunny, Polaczki raczej nie zdecydują się wejść, nie mówiąc o porwaniu.

– Zatem mamy czas.

– Niewiele, ale nie musimy się spieszyć.

– W raporcie napisałeś, że Sunny znowu została twoją kochanką.

– Dzięki temu mogę kontrolować ruchy Leszczyńskiego i tamtej kobiety.

Mikunin zaczął sączyć powoli zawartość szklanki. Zastanawiał się, czy powiedzieć Hawele prawdę o Sunny. Jednak doszedł do wniosku, że wiedza o niej nie jest agentowi do niczego potrzebna. Mogłaby nawet zaszkodzić całości przeprowadzanej akcji. Spojrzał pod światło na pustą szklankę. Przejęcie posiadanego przez Wermer archiwum miało być jego ostatnią akcją. Czas na emeryturę. Życie leci do przodu jak wariat, a pić się chce,



jakby nadal miał trzydzieści lat. Do bani z tym wszystkim.

Westchnął ciężko.

SUNNY PRZEGLĄDAŁA KOBIECY magazyn, kiedy rozległo się pukanie.

– Tak?

Przez uchylone drzwi wdarł się hałas z sali, gdzie siedzieli goście baru Odessa. Do środka zajrzał Arsen. Gdyby zdjąć mu z głowy kapelusz, a dżinsowe wdzianko zamienić na sutannę, byłby z niego, wypisz, wymaluj, wiejski pop. Jedynej rzeczy, której nie trzeba byłoby w nim zmieniać, żeby w pełni pasował do obrazu batki, to chytry błysk w oku, gdy mówił o pieniądzach. Gdyby jednak Pan Bóg, zmylony zewnętrzną powłoką, wejrzał w jego mroczną duszę, z pewnością skamieniałby z przerażenia.

– Mam zdjęcia.

Sunny wyciągnęła rękę.

– Dawaj.

Otworzyła kopertę i zaczęła przeglądać fotografie zrobione z użyciem teleobiektywu.

Podobnie jak Hawele, Sonia Tielegin Siemionowna znalazła się na Zachodzie jako uciekinierka z komunistycznego piekła. Wychowana na przedmieściach Petersburga, w Nowym Jorku musiała sobie przypomnieć, że nóż jest najlepszym przyjacielem człowieka. Jedyne, co łączyło jej dawną i nową ojczyznę to fakt, że zarówno tam, jak i tu musiała stale udowodniać, że kobietę należy zaliczyć do gatunku naczelnych.

Początkowo szło jej z oporami. Kiedy jednak posłała do piachu dwóch silnorekich z nowojorskich ulic, zaczęto ją zauważać, potem się bać, a na koniec z nią liczyć. Dzięki cichej pomocy Mateczki Rosji, a zwłaszcza wszechpotężnego GRU, za oceanem zbudowała małe imperium. Właśnie wtedy zaczęto nazywać ją Sunny, Słoneczna.

Wiele lat temu musiała dokonać wyboru między tym, co ma, a tym, co chciałaby mieć. Zwyciężył obowiązek i Hawele musiał odejść. Kierująca kochankiem KGB próbowała przejąć interes Sunny, nie zdając sobie sprawy, że sponsoruje ją starsza i znacznie silniejsza rosyjska siostra, Zarząd Główny Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych, czyli GRU. Sunny, przerzucając

fotografie, rozpoznała towarzysza Mikunina. To za jego podszeptem Hawele próbował otoczyć ją „opieką”. Towarzysz nigdy nie powiedział Hawele, dlaczego musiał się z nią rozstać. Tak było bezpieczniej – dla obu sowieckich agencji wywiadowczych.

Wówczas, na balkonie, płakała ze złości, że traci przystojnego mężczyznę, który zdołał poruszyć jej serce. Gdyby chciała, już za pierwszym strzałem z pistoletu zdmuchnęłaby Hawele. Jednak nakazano jej zostawić go przy życiu. W efekcie oberwał samym pistoletem, którego magazynek wcześniej opróżniła, strzelając w bok.

Teraz KGB i GRU, dwie siostry, postanowiły połączyć siły. Celem miała być Anna Wermer. Tylko od Sunny zależało, czy i kiedy Anna i Andrzej wyjadą z kontrolowanego przez nią obszaru dzielnicy.

Prawdę mówiąc, wystarczyłoby, żeby Sunny wysłała do Polki kogoś ze swoich ludzi, a ten na pewno zmusiłby ją do wyjawienia, gdzie są ukryte mikrofiszki.

Spojrzała na Arsena, stojącego obok stołu z obojętną miną.

– Dziś już nie będę miała dla ciebie zleceń. Jesteś wolny.

Skinął w milczeniu głową i wyszedł na korytarz.

Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer. Nie czekała długo na połączenie.

– Hawele?

– Witaj, najśłodsza – w jego głosie usłyszała autentyczną radość.

– To miło, jak ktoś cieszy się, słysząc mój głos.

– Dlaczego miałyby być inaczej?

– Spotkamy się dzisiaj?

Po drugiej stronie słuchawki zapadło milczenie.

– Akurat mam klienta. Potem muszę zabrać go na kolację. Chyba że...

Wiedziała przecież, że do Nowego Jorku zawitał Mikunin.

– Chyba że...?

– Poczekasz na mnie do północy.

Tym razem Sunny udała, że się zastanawia, a jednocześnie jak dawniej coś zaczęło ją słodko mdlić w dołku. Wreszcie powiedziała niby to

obojętnym głosem:

– W takim razie już za tobą tęsknię.

– TO WINA SŁABEGO serca, dlatego jeszcze przez jakiś czas musimy zatrzymać pana w szpitalu.

Podkomisarz Bieliński podniósł wzrok na stojącego obok łóżka ordynatora.

– Podobnie mówił pan dwa tygodnie temu.

Przyklejony do ust ordynatora pogodny uśmiech stał się jeszcze bardziej promienny. Jednocześnie lekarzowi przyszło do głowy, że zbyt długo nie będzie mógł uczynić zadość poleceniom Sulimowicza. Ale czyż można było odmówić prośbie generała, którego ponownie zaczęto nazywać „niezatapialnym”?

– Proszę mi wierzyć – ordynator oddał siostrze kartę choroby pacjenta – że wkrótce będzie pan mógł wyjść do domu.

Dwóch lekarzy i towarzysząca im przełożona pielęgniarek wyszli z separatki. Znowu został sam. Spojrzał na zawieszony na ścianie telewizor.

Kiedy wczorajszego wieczoru oglądał dziennik, w sali zjawił się Gabriel. Zobaczył na ekranie twarz ich dawnego znajomego z opozycji, który niedawno został wiceministrem skarbu i szpetnie zaklął. Bieliński nigdy nie słyszał w jego ustach choćby jednego ordynarnego słowa, nawet wówczas, gdy wywlekano ich z ulicznej demonstracji i wrzucano do milicyjnych „suk”. W takich sytuacjach mogli być pewni, że jeśli wrócą do domów, to najwcześniej za trzydzieści sześć godzin.

– Wiem, nigdy nie przeklinałem. – Poklepał go po dłoni.

– Co się teraz zmieniło?

– Ludzie.

– Możesz jaśniej?

– Czy kiedy działaliśmy w podziemiu ważne dla ciebie było to, czy ktoś mieszka we własnościowej kawalerce czy w hotelu robotniczym? Że kupił na giełdzie małego fiata, a inny starego wartburga?

Pokręcił przecząco głową.

– Ten facet – Gabriel wskazał głową na ekran – jeszcze rok temu

codziennie wcinał zupę pomidorową i uważał się za szczęśliwego.

– Tak bardzo zmienił się od tamtego czasu?

– Wczoraj złożył premierowi dymisję.

– Rynki finansowe mogą na to nerwowo zareagować.

– Ten rozporkowy patriota obraził się, gdyż wiceminister MSW przesiadł się ze starego peugeota do bmw, a on nadal jeździ dwuletnim mercedesem.

Podkomisarz Bieliński przypomniał sobie pewną nieformalną naradę przed powołaniem przez Sejm gabinetu Mazowieckiego. Ów patriota, o którym wspominał przyjaciel, zaproponował, żeby wszyscy kandydaci do rządu wcześniej byli przebadani przez lekarzy, czy też przypadkiem nie są obrzezani.

– A co u ciebie? – Bieliński wyłączył pilotem fonię telewizora.

– Przeszedłem kolejne badania. Dobrze się czuję, więc myślę, że niedługo wrócę do pracy.

– Potrzebuję cię. Ostatnio stałem się z Sulimowiczem. Ten facet nie przypomina już tego ugrzecznionego generała z czasów, gdy zajmowaliśmy przy Rakowieckiej gabinety.

– O co wam poszło?

– Chce przejąć nadzór nad placówkami dyplomatycznymi i ich obsadą wywiadowczą.

– Jak się domyślam, zaczął od Waszyngtonu.

– Skąd wiesz?

– Mówiłem przecież, że odnaleziono dziewczynę, która przejęła wywiezione z kraju esbeckie archiwum.

– Dlatego nie dostanie tego, czego tak chce. Lepiej żeby komuniści znowu nie zagarnęli w swoje łapska naszych teczek osobowych. A ty – przyjaciel spojrzaj na niego – co o tym myślisz?

Bielińskiemu przyszło do głowy, że jeszcze dwa tygodnie temu powiedziałby, żeby po raz kolejny zaufać generałowi. Co teraz się zmieniło, iż odpowiedział, że musi mieć czas, żeby się nad tym zastanowić. Dlaczego tak postąpił?

„Ten facet – usłyszał w myślach słowa przyjaciela – jeszcze rok temu codziennie wcinał zupę pomidorową i uważał się za szczęśliwego”.

Kiedy został sam w separacie, nadal słyszał pogardę w słowach wypowiedzianych przez Gabriela. Co się z nim przez ten czas stało, że gotów był poprzeć racje Sulimowicza? On też kiedyś był szczęśliwy, jeśli na obiad miał zupę.

Wrócił pamięcią do pokoju przesłuchań w komendzie milicji i szarpanego za ubranie przyjaciela. To on powinien być na jego miejscu. Prawda, walczył o ideały, ale kiedy przyszło je realizować, najpierw zadbał o własną kieszeń. Wmawiał sobie, że tylko chwilowo. Tak początkowo sobie tłumaczył. Przecież jemu też należy się coś od życia. Na moment... na sekundę...

A wyglądało na to, że chce na stałe!

– TU SŁODKI D’ARTAGNAN... Tu Słodki d’Artagnan. Kierowca mercedesa z trójkolorową paką, odezwij się.

Artur nie zwrócił uwagi na rozlegające się przez głośnik CB-radia wezwanie. Bardziej bystry okazał się Leszek.

– Tu trójkolorowy merc... A w nim doktor Jekyll i mister Hyde. Witaj, muszkietrze. Czego ci trzeba?

– Jadę za wami ponad godzinę. Od Hamminkeln. Wiozę polskie sery do Holandii. Po metkowaniu wrócą nad Wisłę jako wspaniałe ementalery. Z nudów rozglądam się po autostradzie.

– Wiozę talerze – zaśmiał się Leszek. – Może zatrzymamy się na postoju i spróbujemy twoich specjałów?

– Nic z tego, jestem zaplombowany. Ale ja nie w tej sprawie.

– Nadawaj.

– Jak tylko was zobaczyłem, zarejestrowałem ciągnącego się za wami czarnego jeepa. Nie wygląda na policyjną lotną. My grzejemy ekologiczne dziewięćdziesiąt, gdyż inaczej zabiorą nam autostradowe zniżki na bramkach.

– Nie inaczej, muszkietrze.

– A ten gość mógłby przygrzać i dać nam do powąchania tylko smród swoich spalin.

– Co sugerujesz?

– Widzę polskie numery rejestracyjne, więc ostrzegam rodaka, że ktoś siedzi mu na ogonie. Jak chcesz, możemy z nim zatańczyć.

- Co zrobisz? – Artur spojrzał pytająco na Leszka.
- Nie słyszałeś? – Tamten zatarł radośnie ręce.
- Kto prowadzi? – Muszkieter miał zdziwiony głos. – Jakiś pierwszak?
- Zgadłeś. Za kółkiem dr Jekyll. Ja jestem ten groźny Hyde – odpowiedział Leszek.
- Więc niech czegoś nauczy się od starszych. Za dwadzieścia kilometrów jest zjazd na leśny parking, przed Wittenhorst. Wywołam trzeciego. Zaraz ktoś się do nas przyłączy. Bo do tanga trzeba trojga – w głośniku rozległ się głośny śpiew. – Jestem na podsłuchu. Wieszam się.
- Okej, też wiszę.
- Co to za zabawa? – Artur nie bardzo wiedział, czego dotyczyła rozmowa.
- Na zachodnich autostradach nie zawsze jest bezpiecznie – Leszek zapalił papierosa – więc sobie pomagamy. Wszystko po serii napadów sprzed roku na polskie i ruskie samochody. Więc my i oni pilnujemy jeden drugiego.
- Oni?
- Ruscy. Czasem dołączają do nas Czesi, Słowacy lub Białorusini.
- Na czym polega zabawa?
- To będzie mój trzeci raz. Nie powiem, żeby ostatnio nie było gorąco.
- To znaczy?
- Chcieli załatwić chłopaka, który wiozł z Wrocławia transport koniny do Marsylii. To teraz najdroższe mięcho, więc taki tir wart jest kupę szmalu.
- I co?
- To była czujka, która informowała o trasie przejazdu wrocławianina. Potem taki gostek na nocnym parkingu wskazuje ekipie uderzeniowej tira. Wtedy samochód z towarem znika, a kierowca ciężko pobity ląduje w przydrożnym rowie. No więc przemodelowaliśmy gościowi twarz i zezłomowaliśmy podrasowane autko. Potem rzuciliśmy w eter namiary na koninę i chłop dotarł do celu, konwojowany na trasie przez coraz to nowego kierowcę. Z tym też podobnie zatańczymy.
- Tu Słodki d’Artagnan. Tu Słodki d’Artagnan – rozległo się wołanie przez CB-radio.
- Tu mister Hyde.

– Dołączy do nas Iwan Groźny. Zwolnij do osiemdziesięciu, to powinien nas minąć za pięć kilosów. Taki czerwony man z kolorowym napisem „Frukty” na pace.

– Super.

– Kiedyś o nim słyszałem. To twardy gość. Wieszam się.

Artur zwolnił do osiemdziesięciu i zaczął zerkać w boczne lusterko, wypatrując Rosjanina.

– A co z tą potańcówką? – rzucił do Leszka.

– Iwan wjedzie pierwszy na parking, blokując wyjazd. My pociągniemy za sobą czarnego jeepa. Drogę, przez którą wjedziemy, zablokuje d’Artagnan. Potem wychodzimy z kluczami w łapie i zaczyna się zabawa.

– Tamten może mieć broń.

– Gdyby nawet, to na pewno jej nie użyje.

– ...?

– Włącz myślenie. Przed sobą masz sześciu facetów, po dwóch z każdego tira. Wszystkich nie dasz rady zastrzelić. Zdąży zabić dwóch, góra trzech. Tylko że potem reszta wydlubie mu kluczami mózg z czaszki i wdepcze w asfalt. Nawet jeśli gość ma ze sobą spluwę, to na pewno po nią nie sięgnie.

PODKOMISARZ BIELIŃSKI STANAŁ przed lustrem, przyczesując włosy. Obudził się kilkanaście minut temu. Jak zwykle w chwilach między jawą a snem tkwił w rozleniwieniu, nie pamiętając, co stało się wczoraj i co planował zrobić jutro. Potem przychodził fotopstryk. Tak właśnie to nazywał – fotopstryk. Miał w sobie coś z flesza, który momentalnie przywracał go do rzeczywistości. Za każdym też razem był pewien, że gdyby zrobiono mu zdjęcie na odbitce, musiałby mieć minę kogoś zaskoczonego i zarazem przerażonego.

Odkładając grzebień, Bieliński zobaczył na szyi srebrny krzyżyk.

Dotknął go dłonią, jakby próbował się upewnić, że jest tam w rzeczywistości. Miał przypominać majowe przedpołudnie, kiedy wraz z kolegami z podwórka pojechał na kiermasz książki, który organizowano pod Pałacem Kultury. Otrzymane od rodziców pieniądze pozwoliły na kupno jednego tomu trylogii Tolkiena. On zaś bardzo chciał mieć dwa pozostałe.

Trzy godziny później wrócił do domu i od razu poszedł do pokoju. Matka stanęła w progu, gdy chował coś do szafy. Okazało się, że ma trzy książki angielskiego autora. Skąd wziął pieniądze? Najpierw kłamał, że pożyczył od kolegów, potem, że znalazł na ulicy. Wreszcie przyznał, że ukradł książki ze stoiska wydawnictwa. Spodziewał się, że spotka go kara. Matka jednak nic nie powiedziała. Poprosiła tylko, by oddał książki temu, kto był ich właścicielem. Kiedy wysłał dwa tomy pocztą, dała mu medalik z krzyżykiem. Miał mu przypominać, że popełnił w życiu coś niegodnego i choć naprawił zło, krzyżyk miał przestrzegać, by nie postąpił podobnie.

A może dlatego zauważył ów krzyżyk, że wreszcie miał czas zastanowić się nad sobą i tym wszystkim, co go otacza? Nikt do niego nie dzwonił. Nikt nie ponaglał. Nie czekał. O nic nie prosił. Nie zapewniał. Po raz pierwszy od lat miał czas, żeby spojrzeć za siebie i ocenić dotychczasową drogę.

Był skurwysynem! Uświadomienie sobie tego nie było zaskoczeniem. Stwierdził fakt, który wcześniej ignorował.

Pomyślał o matce i danym jej przyrzeczeniu, że już nigdy w życiu nie postąpi tak, żeby się za niego wstydzila.

Wrócił do pokoju i sięgnął po kartkę papieru. Przez kilka minut się zastanawiał. W końcu zaczął pisać.

Godzinę później skończył i włożył list do koperty. Zakleił ją starannie i napisał: „Minister Spraw Wewnętrznych, Krzysztof Kozłowski”.

Wcześniej przyszedł mu do głowy pomysł, jak dostarczyć kopertę adresatowi. Pomyślał o pani Wandzi.

Kobieta miała ponad pięćdziesiąt lat i była sprzątaczką na oddziale kardiologii. Za każdym razem, gdy sprzątała jego pokój, ucinali sobie pogawędkę. Początkowo była to zdawkowa wymiana zdań. Potem stopniowo ich rozmowy były coraz dłuższe. Ostatnim razem do pokoju weszła siostra oddziałowa w poszukiwaniu sprzątaczkii.

– Pani tutaj? – Przypomniał sobie minę pielęgniarki i jej karcące spojrzenie.

– Ojej! – Pani Wanda była najwyraźniej przestraszona obrotem sprawy. – My tu gadu-gadu, a czas na nas nie poczeka.

Poderwała się z miejsca i chwyciła za opartą o ścianę szcztokę.

– Proszę jeszcze poczekać. – Podkomisarz Bieliński przytrzymał ją za



rękę.

– Ale siostra oddziałowa...

– Proszę dać nam jeszcze piętnaście minut – zwrócił się do stojącej w progu. – Poza tym całą winę biorę na siebie. To ja zatrzymałem tu panią Wandę.

Pielęgniarka zmieniła minę i słodko przytaknęła.

– Oczywiście. Jak pan sobie życzy.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Bieliński poprosił kobietę, żeby na powrót usiadła.

– Nie dokończyła pani historii.

– No więc powiedziałam chłopakowi, że nie godzi się tak robić. Niech świat przewraca się do góry nogami, ale uczciwemu człowiekowi nie wolno się sobie sprzeniewierzyć. Mój dzieciak jest mądry, więc przyznał mi rację.

Rozpięła fartuch i sięgnęła do kieszeni sukienki.

– Proszę zobaczyć, co mu kupiłam. – Wyciągnęła tekturowe pudełeczko. – Żeby pamiętał o naszej rozmowie.

Odchyliła wieczko i podkomisarz Bieliński zobaczył srebrny krzyżyk z doczepionym doń łańcuszkiem.

# Rozdział dziesiąty

SUNNY DOTKNEŁA RAMIENIA kierowcy i ten zatrzymał się na Tweeglihgt Sun 5. Ze swojego miejsca mogła zobaczyć balkon drugiego piętra, na którym wygrzewał się w słońcu Andrzej. Chwilę później pojawiła się obok niego kobieta i podała mu szklankę wypełnioną napojem.

OKRYTY KOCEM ANDRZEJ odłożył na bok książkę.

– Dzięki, że o mnie pamiętałaś. – Dotknął dłoni Anny. Ich palce splotły się ze sobą.

– Myślałam, że jeszcze rozmawiasz z bratem Arsena. Nie słyszałam, kiedy wyszedł.

– Kilka minut temu. Robiłaś coś w kuchni. Widocznie nie chciał przeszkadzać.

– Mówił coś o komisariacie.

– Wczoraj zmarł chłopak z sąsiedniej klatki schodowej. Poprzedniego dnia skatowano go w podziemiach komisariatu.

Spojrzał na Annę, lecz w jej twarzy nie dostrzegł większego zainteresowania tematem. Zatem nie słyszała ich rozmowy. Czy powinien o niej powiedzieć?

Alosza niczego nie owijał w bawełnę. – Wyciągnęliśmy cię z tarapatów. Mateczka zapłaciła kaucję. Daliśmy chirurga, więc czas żebyś pomyślał o spłaceniu długu.

– Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie? – Spojrzał zaskoczony na Aloszę.  
– Nie tylko mnie zawleczono do podziemi posterunku.

– Ale tylko ty jesteś outsiderem. My musimy tu zostać. Ty wyjedziesz.

– Muszę się nad tym zastanowić.

– Nie spiesz się. Czekaliśmy dwa lata, możemy poczekać jeszcze parę

tygodni. Zwłaszcza, że teraz wszyscy myślą o pogrzebie chłopaka Nataszy Maksymownej.

– Nie jest ci zimno?

Głos Anny przywrócił go do rzeczywistości.

– Mam koc.

– I książkę. – Kiedy spojrzał na nią pytająco, dodała, udając nadąsaną. – Taka cisza. Już myślałam, że wypadłeś na ulicę.

– Okej, od tej pory będę czytał na głos i w przerwach pogwizdywał.

– Lepiej tego nie rób. Pamiętam, że fałszowałeś. Z pewnością od tamtego czasu niewiele się zmieniło.

– Ja? – Udał oburzenie. – Przecież w szkole miałem piątkę z muzyki.

– W takim razie wasza nauczycielka była głucha jak pień.

Kiedy chciała odejść, Andrzej przytrzymał ją za rękę.

– Dzięki za herbatę.

– Nie ma za co. Idę zmywać po obiedzie.

Ich palce pozostały jednak zaplecione, jakby żadne nie chciało pierwsze zwolnić uścisku. Wtedy rozległ się z dołu klakson samochodu. Anna wychyliła się przez barierkę.

– Przyjechała Sunny.

Pomachała do niej ręką.

SUNNY ODPOWIEDZIAŁA PODOBNYM gestem, układając twarz w udawany uśmiech. Moment później odwróciła się do kierowcy.

– Masz wolną godzinę.

Ruszyła w stronę wejścia do klatki. Zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Jakby jadąc na bal, przypadkowo zawieruszyła się w dzielnicy, w której już nikt nie mieszka, a domy wkrótce same rozpadną się ze starości. Wchodząc na schody, podciągnęła do góry futro z szynszyli, żeby go nie ubrudzić.

Nim dotknęła klamki, drzwi nieoczekiwanie się otworzyły i w progu zobaczyła twarz 007.

– Winda już na panią czeka.

Bez słowa ruszyła w głąb korytarza.

Na piętrze przywitała ją Anna. Sunny zauważyła, że jest nieco sztywna, jakby zaskoczona wizytą.

– To miło, że do nas wpadłaś. – Zaprosiła Sunny gestem do wnętrza mieszkania. – Andrzej jest na balkonie. Lekarz kazał mu wygrzewać się na słońcu. Zaraz przyniosę krzesło.

– Właściwie to przyszedłam do ciebie.

– Do mnie? – Anna była najwyraźniej zaskoczona. – Ale wcześniej się przywitasz z Andrzejem?

– Jasne.

Sunny przeszła przez pokój i zatrzymała się na progu balkonowych drzwi.

– Jak się czujesz?

– Już lepiej. Dziękuję za pomoc.

– Drobnostka.

– Usiądziesz? Anna zaraz przyniesie coś do siedzenia.

– Nie, dziękuję, to z nią chcę zamienić kilka słów.

W jego oczach dostrzegła wyraz zdumienia, ale udała, że go nie widzi.

– Myślałem, że kochasz się we mnie – próbował zażartować.

– Niektórzy mężczyźni – odwróciła się do wchodzącej – uważają się za pępek świata.

– O czym chcecie rozmawiać? – Andrzej wydawał się zaniepokojony.

– W języku polskim – Sunny pocałowała go w policzek – jest przysłowie o ciekawości i piekle.

– Jest...

– Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to chciałam pogadać o kilku babskich sprawach. – Wyciągnęła z kieszeni futra zmięty plik banknotów. – Mężczyźni czasem zapominają o pieniądzach, więc kobiety muszą za nich o tym myśleć.

Kiedy pół godziny później Sunny wyszła, Andrzej znalazł Annę w kuchni.

– Mogę wiedzieć, o czym rozmawiałyście?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– O babskich sprawach.

– Przepraszam, że tak wypytuję, ale to może być ważne. O jakich sprawach?

– Pytała, jak nam się mieszka? Czy wystarczy pieniędzy? Zaoferowała pożyczkę. Interesowała się twoim zdrowiem. I takie tam. – Wykonała nieokreślony ruch ręką.

– Rozmawialiście o Montevideo?

– Montevideo?

– Owszem.

– Mówiliśmy o naszych matkach. O tym, że tęsknię za Warszawą. Stało się coś, że tak wypytujesz?

Zamyślony Andrzej nie usłyszał pytania.

– Hop, hop. Słyszysz mnie?

– Przepraszam.

Choć próbował bagatelizować niedawną wizytę, coś w duchu szeptało mu, że nie była przypadkowa. Nigdy dotąd nie widział Sunny tak elegancko ubranej.

– Na palcu miała brylantowy pierścionek. – Anna uśmiechnęła się do siebie. – Zauważyłeś?

– Musiał być drogi.

– Raczej piękny. Jeszcze nie widziałam tak czystego brylantu. – Uśmiechnęła się przekornie – A kilka z nich kiedyś do mnie należało.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– Zaprosiła nas.

– O...

– Spytała, czy nie wybralibyśmy się z nią na Broadway. Podobno grają kasowy musical, *Księżyc nad Buffalo* w Ethel Barrymore Theatre.

Słuchając wyjaśnień Anny, Andrzej wreszcie zrozumiał cel wizyty.

Anna straciła dom. W duchu czuje niepewność otaczającej ją sytuacji. Zabójstwo przyjaciółki odcisnęło swe traumatyczne piętno. Dwupokojowe mieszkanie, które zajmowali, w kontrapunkcie do wspaniałego futra, brylantu i kolorowych neonów Broadwayu musiało jawić się jako obskurna nora.

Kobiety tracą poczucie rzeczywistości, gdy na ich horyzoncie pokaże się drogocenna błyskotka. Wkrótce mógł oczekiwać, że Sunny zaprzyjaźni się z Anną i ta zapragnie tego, co ma Rosjanka.

– Chyba za nisko mnie cenisz.

Słowa Anny wyrwały go z zamyślenia.

– Za nisko cię cenię? O czym mówisz?

– O twojej minie.

– Co w niej zobaczyłaś?

– Faceta, który zastanawia się, czy futro, zapach drogich perfum i wspaniale lśniący na palcu brylant już przysłoniły mi świat.

– Kobiety kochają błyskotki.

– Miałam już błyskotki. – Wydeła drwiąco wargi. – I nie przyniosły mi szczęścia. Myślisz, że nie wiem, po co nas odwiedziła?

– Chce cię kupić.

– Najpierw się ze mną zaprzyjaźni, potem będzie próbowała zdobyć informacje o archiwum, które...

– Które?

– Pozostało we Francji.

Ostatnie zdanie wypowiedziała jednym tchem, jakby obawiała się, że za chwilę się rozmyśli i nic już więcej nie powie.

– We Francji? – Najwyraźniej zrobił niemądrą minę, gdyż roześmiała się głośno.

– Dlaczego mi o tym powiedziałaś? Przecież mówiłem, że jest mi to obojętne. To znaczy o Paryżu, że tam...

– Nie grasz na żadną stronę. Myślę, że sam w tym wszystkim trochę się pogubiłeś. Miałeś mnie przywieźć, wziąć pieniądze i być może zapomnieć. Ale wszystko się pokiełbało. Teraz szukają już nie tylko mnie, ale i ciebie. Jedziemy na tym samym wózku. Dlaczego więc miałabym ci nie ufać?

– Dotąd...

– To już czas przeszły.

– Wszystko zostawiłaś w Paryżu?

– Oprócz tych kilkudziesięciu mikrofisz, które widziałeś w motelu. I nie

zostawiłam, raczej odesłałam z powrotem do banku, z którego je zabrałam. – Na jej twarzy ponownie pojawił się szeroki uśmiech.

– Do Banku Koëniga?

– Czemu nie?

– No tak. – Przytaknął głową. – Najciemniej jest zawsze pod latarnią. Mogłem sam na to wpaść.

JEGO EMINENCJA MIAŁ właśnie zamiar wyjść do ogrodu na spacer, gdy w holu za plecami usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi i głos sekretarza.

– Księżę biskupie...

Odwrócił się z pytającym spojrzeniem.

– Telefon.

– O tej porze? – Spojrzał na zegarek. Minęła dwudziesta druga.

– Ze Wschodu.

Nie zrozumiał. Dopiero moment później dotarło do niego, że sekretarz mówi o klasztorze znajdującym się na obrzeżach Nowego Jorku.

– Kto?

– Ksiądz przeor.

Wszedł za klerykiem do sekretariatu. Na biurku leżała słuchawka aparatu telefonicznego. Podniósł ją.

– Tak?

– Niech będzie pochwalony...

– Przejdźmy do rzeczy.

– Ksiądz Stefan nie żyje.

– Może ojciec przeor powiedzieć, jak to się stało?

– Miał problemy z narkotykami. Zdiagnozowano uzależnienie od heroiny. Jego organizm był już bardzo wyniszczony wieloletnim nałogiem. Dlatego...

– Możemy przejść do samego przypadku?

– Uznaliśmy, że dobrze by było, gdyby nadal wykonywał niektóre z posług kapłańskich. Pozwolono mu na udzielanie sakramentu spowiedzi. Po

wieczornym nabożeństwie bracia zauważyli brak księdza Stefana.

– Więc zaczęliście go szukać.

Przeor najwidoczniej usłyszał zniecierpliwienie w głosie biskupa.

– Tak. Znaleźliśmy go w konfesjonale. W zaciśniętej dłoni trzymał strzykawkę. Obok stóp leżała ampułka po heroinie.

– Strzykawka?

– Przedawkował. Myślę, że zrobił to świadomie.

– Świeć Panie nad jego grzeszną duszą.

– Lekarz potwierdził zgon, który najprawdopodobniej nastąpił w kilkanaście minut po iniekcji narkotyku.

– Lekarz klasztorny?

– Oczywiście. Musieliśmy jednak powiadomić miejscową policję.

– Musieliście?

– Takie jest prawo.

– No tak... – biskup mruknął do siebie pod nosem.

– Nie dosłyszałem.

– To nic ważnego. Proszę mówić dalej.

– Koroner potwierdził zgon.

– Co z personaliami?

– Zgodnie z zaleceniem Jego Eminencji tylko ja znałem prawdziwą tożsamość księdza Stefana, ale musiałem ją podać koronerowi.

– Co z ciałem?

– Dziś rano otrzymałem wiadomość z biura koronera, że możemy je odebrać. Czy Jego Eminencja życzy sobie, żeby zostało wysłane do kraju?

– Przecież macie przyklasztorny cmentarz.

– Rozumiem.

– W takim razie, z Bogiem.

Biskup odłożył słuchawkę i spojrzął w ciemne okno, zza którego dobiegał szelest liści poruszanych na drzewach gwałtowniejszymi podmuchami wiatru.

– Świeć Panie nad jego duszą i... miej Kościół powszechny w swej



miłosiernej opiece.

HAWELE SZEDŁ CHODNIKIEM w stronę baru Odessa. Kiedy jakiś czas temu przekraczał próg tego lokalu, czuł w gardle dziwny ucisk. Teraz było podobnie. Jednocześnie był zły, że przez tyle lat Sunny go oszukiwała.

Jesteś hipokrytą – usłyszał swój głos w myślach. Ty również nie powiedziałaś jej prawdy, więc do kogo masz pretensje?

Mogłaby jednak...

Co mogłaby?

Dać jakiś znak.

Nie bądź śmieszny. Tu chodzi o ciebie. Uważałeś się za najsprytniejszego, a nie rozszyfrowałeś jej przez tyle lat.

Udawała, że mnie kocha.

Udawała?

Przecież grała rolę kogoś, kim w rzeczywistości nie była. Równie dobrze i w tym przypadku mogła udawać.

Więc spytaj ją o to.

Zatrzymał się przed wystawą i zaczął bezmyślnie gapić się na leżące na niej walkmany. Na mieście widział tabuny młodych ludzi chodzących ze słuchawkami na uszach. To powinno być zabronione. Przecież nie dość, że gnoje głuchną od głośnej muzyki, to, mając słuchawki na uszach, nie słyszą, co się wokół nich dzieje.

Cholera, co go obchodzą szczyły, którzy za dwadzieścia lat będą musieli nosić aparaty słuchowe?

Spojrzał w stronę baru Odessa. Wychodził z niego elegancko ubrany mężczyzna. Rozpoznał w nim szofera Sunny. Tamten wsiadł do stojącego przed lokalem samochodu i odjechał. Więc była w środku. Czy na niego czeka?

W porządku, wejdę i co? – Ponownie sobie zadał w duchu pytanie.

Oznajmisz jej, że wiesz, dla kogo pracuje.

Czy wtedy, gdy do niego strzelała, wiedziała, że to on sfingował tę sytuację, żeby mieć pretekst, aby od niej odejść?

Jakie to ma znaczenie?

Jeśli wie, to kilka dni temu zagrała przed nim rolę zakochanej, a on uwierzył, że stara miłość nie rdzewieje.

Gapiąc się bezmyślnie na wystawę, dostrzegł w odbiciu szyby cień kogoś stojącego za jego plecami. Poczł zapach perfum.

– Wtedy, gdy do mnie strzelałaś – powiedział powoli, nie odwracając wzroku – zagrałem zleconą mi rolę. Zmuszono mnie, żebym od ciebie odszedł.

– Mnie zmuszono, żebym zaparła się miłości do ciebie.

– Teraz mamy wspólne zadanie.

– Jak widzisz, los zaczął nam sprzyjać.

Głos miała zmęczony. Poczł, jak wsuwa dłoń pod jego ramię i przytula twarz do pleców.

– Widziałam przez okno, jak spacerujesz po ulicy.

– Dlatego wyszłaś?

– Przestraszyłam się, że odejdiesz.

ANNA ODCHYLIŁA FIRANKĘ i wyjrzała przez okno.

– Już jest. – Miała na myśli taksówkę, która zatrzymała się przed wejściem do kamienicy. – Kiedy wrócisz?

– Postaram się jak najszybciej. Myślę, że około ósmej wieczorem. Z Tomaszem umówiłem się na siedemnastą. Omówimy szczegóły twojego spotkania.

Podeszła i położyła mu głowę na piersi. Objął ją ramieniem i delikatnie przytulił.

Dziś w nocy usłyszał ciche skrzypienie drzwi. Nie spał. W świetle księżycy zobaczył zarys jej postaci. Bez słowa przesunął się na łóżku, robiąc miejsce obok siebie. Wśliznęła się pod kołdrę. Leżeli, nie dotykając się wzajemnie. Andrzejowi wydawało się, że łomot jego serca musi być słyszalny nawet na ulicy. Podobnie było z Anną.

– Czekałem na ciebie – jego szept był prawie niesłyszalny.

– Dzisiaj?

– Od pierwszego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię w Europejskim.

Chwilę milczał, próbując uspokoić grzęznące w gardle słowa.

– Czuję się jak szczeniak.

– Dlaczego?

– Bo... chciałbym powiedzieć, że cię kocham.

Zapadła długa cisza. Leżeli, spoglądając w sufit.

– A ty? – W głosie Andrzeja usłyszała niepewną nutę.

– Myślałam, że cię nienawidzę. Chciałam tak myśleć.

– A teraz?

Podniosła się na łokciu i pochyliła twarz nad jego twarzą.

– Od pięciu minut zastanawiam się, kiedy wreszcie przestaniesz mówić i wreszcie mnie ...

Kiedy przestali się całować, oboje niemal równocześnie szepnęli.

– Tak długo na ciebie czekałam...czekałem.

Potem ogarnął ich błękit. Zaczęli się kochać. Delikatnie, powoli, smakując każdy pocałunek i skrawek ciała. Chryste, już kiedy zsuwał z niej biustonosz i z zamkniętymi oczami szukał sutków, doświadczyła pierwszego szczytowania. A potem zaczął spalać ją wolno jak ogień. I kiedy nie mogła już złapać tchu, kiedy krzyczała w niej każda cząstka ciała, wtuliła się w niego gwałtownie i mocno, jak za ich pierwszym razem. A wówczas jego gwałtowność spłynęła na nią jak srebrny ocean. I nie pragnęła już nic. Tylko jego ramion, w których chciała utonąć na wieki.

ANDRZEJ POCAŁOWAŁ ANNĘ delikatnie w usta i ruszył do drzwi.

– Jak będziesz na dole, poproś Arsena, żeby zawołał dziewczynki na obiad.

– Okej.

Zbiegł na dół. Zapukał do drzwi na parterze i przekazał prośbę Anny.

– Fajnie się składa. – Rosjanin o twarzy popa uśmiechnął się szeroko. – Mam tylko chleb, smalec i ogórki. Mnie to odpowiada, ale mała kręci nosem.

– Powiedz bratu, że przemyślałem naszą rozmowę.

- I...?
- Zrobię to, ale...
- Ale?
- Musicie mi pomóc.
- Jak?
- Wpadnę wieczorem, wtedy porozmawiamy.

Wyszedł na ulicę. Podszedł do taksówki. Od muru oderwał się niezauważony wcześniej przez niego mężczyzna i stanął za jego plecami. Równocześnie drzwi samochodu otworzyły się i kolejny незнаjomy na tylnym siedzeniu wskazał wolne miejsce obok siebie. Widocznie dostrzegł jego wahanie, gdyż powtórzył gest zaproszenia.

– Proszę się nie obawiać. Mamy przyjazne zamiary. – Secundus pokazał legitymację Federalnego Biura Śledczego.

Andrzej wszedł do środka. Stojący za plecami mężczyzna zajął miejsce obok kierowcy. Ruszyli. Primus, który zaprosił go do środka, był swobodny i wyluzowany.

- Agent specjalny Fipkin.
- Dlaczego zostałem porwany?
- Porwany? – Fipkin był najwyraźniej zaskoczony tym stwierdzeniem. – Zapewniam, że błędnie interpretujesz nasze spotkanie.
- Na pewno?

Primus pochylił się do przodu i puknął kierowcę w ramię.

- Zatrzymaj się.

Samochód zwolnił i zaparkował przy krawężniku. Fipkin otworzył drzwi obok Andrzeja.

– Jeśli z jakiś względów nie życzysz sobie kontynuować tego spotkania... no cóż... nie mam prawa cię zatrzymywać.

- Dlaczego wolałbyś, żebym został?
- Chcę porozmawiać o czymś znacznie ważniejszym niż akta, które Anna Wermer wywozła z Polski.
- Dlatego się spotkaliśmy?

Secundus zamknął drzwi, a kierowca rzekomej taksówki włączył się do

ruchu wolno jadących ulicą samochodów.

– Wy, Polacy, podobno dobrze wiecie, co znaczy słowo patriotyzm.

– Też słyszałem taką opinię. Tylko kiedy mówi się o patriotyzmie, zawsze używa się dużo górnolotnie brzmiących słów i mało konkretów.

Andrzej wyjrzał przez okno, widząc, że skręcili na zjazd w stronę Manhattanu.

– Zdradzisz cel podróży?

– Mój szef chciałby z tobą porozmawiać.

– Znam jego nazwisko? – Ponowny sarkazm nie wywarł na agencie specjalnym Fipkinie najmniejszego wrażenia.

– Wątpię. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Andrzej zadał sobie w duchu pytanie, czy Anna mogła widzieć z góry, że nie wsiadł dobrowolnie do taksówki? Gdyby nawet tak było, niewiele mogła zrobić. Ale taka ewentualność raczej nie wchodziła w rachubę. Trzeba było mocno przechylić się przez barierkę, żeby zobaczyć chodnik przed kamienicą.

Dwadzieścia minut później dotarli na Manhattan i zatrzymali się na Wschodniej 80., koło meksykańskiej restauracji Cascabel. Ponieważ w tym miejscu był zakaz postoju, kierowca zaparkował tylko na chwilę, żeby mogli wysiąść. Potem odjechał.

– Lubisz meksykańskie jedzenie? – Secundus wskazał drzwi wejściowe do lokalu.

– Nie przepadam.

– W takim razie zapraszam na kawę. – Agent ruszył przodem.

Weszli do środka. Andrzej dostrzegł siedzącego w rogu salki starszego mężczyznę. Podeszli do niego, a ten, nie wstając, wyciągnął dłoń na powitanie.

– Rozumiem, że to pan umówił się ze mną. – Andrzej usiadł na wskazanym miejscu.

Natan Beniamin Schneider zerknął na kartę menu.

– Masz na coś ochotę?

– Już zaproponowano mi kawę. – Andrzej wskazał wzrokiem siadających w pobliżu agentów specjalnych.

- Tylko?
- Jak na ten etap znajomości, w zupełności wystarczy.
- Rozumiem, że moi asystenci już wstępnie z tobą rozmawiali.
- Owszem, jeden wspominał coś o patriotyzmie i przysłudze, którą mógłbym oddać Polsce i Ameryce.
- Co o tym myślisz?
- O patriotyzmie?
- Przysłudze.
- Nie wiem, na czym miałyby polegać. Nigdy nie chciałem być bohaterem, a moi rodzice wręcz mi to odradzali.

- Podoba mi się twoje poczucie humoru.
- Mówiąc między nami, raczej kiepsko znam się na żartach.

Podszedł kelner i Andrzej zamówił espresso. Kiedy stojący przy stoliku próbował namówić go jeszcze na ciasto, pokręcił przecząco głową. Podobnie uczynił Schneider.

Siedzący przy sąsiednim stoliku agenci specjalni stanowili barierę, która oddzielała ich od pozostałej części pustej na razie salki.

– Przejdźmy zatem do rzeczy. – Andrzej wziął do ręki serwetkę i zaczął bawić się jej składaniem.

Nie spiesząc się, Schneider opowiedział Polakowi wszystko, co wie na temat jego i Anny Wermer. A że Natan posiadał sporo informacji, wkrótce dostrzegł, że jego wiedza wywarła wrażenie na Leszczyńskim. Kiedy na koniec powiedział o swoim planie, przybyły stracił poprzednią rezerwowość.

- Chcesz, żebym zdradził mój kraj?
- Przyznasz, że słowo „zdrada” w tym wypadku jest używane w dosyć specyficzny sposób.
- W Polsce nie rozróżnia się subtelności, o których mówisz.
- Powinieneś zatem pomyśleć o prawdziwym znaczeniu tego, co zrobisz dla Polski i Ameryki, a nie o patriotycznych mrzonkach.
- A co z Anną?
- Dostanie ochronę i finansową rekompensatę za niedogodności, które ją czekają.

Andrzej miał co innego na myśli, pytając o Annę. Jeżeli zgodzi się na propozycję Schneidera, kobieta uzna go za zdrajcę. Będzie pewna, że znowu ją oszukał. Ponownie wykorzystał miłość, by zdobyć to, co przed rokiem wykradła z Banku Koëniga.

– Rozumiem twoje wahanie.

– Rzeczywiście?

– W jej oczach stracisz odzyskaną czystość i prawość. Mówiąc między nami, ona może nawet uznać cię za najgorszego skurwysyna, jakiego spotkała w dotychczasowym życiu. A to, jak wiesz, miała bogate i może znaleźć odpowiednie przykłady. Tylko że w tym przypadku dziewczyna jest marginesem sprawy, zupełnie dla niej nieistotnym. Miała pecha, że tamte dokumenty trafiły w jej ręce. Tylko i aż tyle.

– Ona nie ma tych mikrofisz przy sobie.

– Gdzie są?

– W Paryżu.

– Więc pojedziesz z nią po dokumenty.

– Mam ją oszukać?

– Twoją profesją jest uwodzenie i oszukiwanie kobiet.

– A jeśli to, co mówisz...

– Jest kłamstwem?

Schneider skinął na Primusa. Agent wstał od stolika i podał tekturową teczkę.

– Mamy czas. Zajrzyj do środka i dokładnie zapoznaj się ze znajdującymi się w środku dokumentami.

Dlaczego los jest taki wredny – Andrzejowi przebiegło przez głowę. Chwilę po tym, kiedy znowu mogli być razem, miał stracić Annę.

Nie, to nie tak. To on sam musiał zniszczyć to, co udało się odbudować.

Seks nie był im potrzebny do przypieczętowania tego, co do siebie czuli. Może dlatego to coś między nimi było tak czyste i nieskalane. I teraz ten starzec chciał, żeby zaprzeczył własnemu uczuciu. Jeśli to zrobi, wówczas... Anna go znieawidzi!

Schneider dostrzegł wewnętrzną walkę, która malowała się na twarzy Polaka. Czy sam podjąłby się tego zadania? Idiotyczne pytanie. On kierował i

pisał scenariusze, a tacy jak Leszczyński odgrywali w nich główne role. To oni, a nie Natan, zgłaszali się do agencji wywiadowczych, przechodzili żmudne szkolenia, zapominali o własnej tożsamości dla tej jednej sekundy, która wpompuje do ich mózgowi maksymalną dawkę adrenaliny. Takie życie wybierali i do takiego przez lata treningów byli przygotowywani. Skąd zatem wahanie?

Przez następne pół godziny Andrzej dokładnie przeglądał teczkę z dokumentami. Na wszystkich była adnotacja: „For The President’s eyes only”, gryf najwyższej tajności.

– Może jest inne rozwiązanie?

Andrzej wyglądał na kogoś zagubionego w rzeczywistości, która przerosła jego wyobrażenia.

– Musisz zdradzić i wszyscy muszą uznać cię za zdrajcę – człowieka bez sumienia. Inaczej nikt nie uwierzy w to, co zrobisz.

– Rozpocznie się polowanie na mnie, ale tym razem z udziałem zawodowego zabójcy.

– Już jesteście na celowniku dwóch takich facetów.

– Kłamiesz.

Schneider kiwnął tym razem w stronę Secundusa.

– Daj zdjęcia.

Przed Andrzejem pojawiła się sarta kilkunastu fotografii. Na jednej z nich teleobiektyw wyłowił w oknie przygotowywanego do wyburzenia budynku twarz mężczyzny, który na pierwszy rzut oka mógł być Grekiem. Na kolejnym ten sam człowiek spoglądał przez celownik optyczny karabinu snajperskiego.

Inne fotki pokazały starszego wiekiem mężczyznę o charakterystycznym wyglądzie starozakonnego Żyda. Andrzej zmarszczył brwi. Kiedyś Sunny zaprosiła go do siebie do mieszkania. Pomógł jej coś wnieść. Wtedy o mało co nie strącił z komódki fotografii oglądanego teraz mężczyzny. Od Sunny dowiedział się, że to dla niej ktoś bliski. Jak bliski? Nie chciała o tym mówić. Teraz, trzymając w dłoni fotografię sześćdziesięciolatka, przypomniał sobie o tamtym zdjęciu

Zatem Sunny również była w to zamieszana.

– Tych dwóch facetów ma ciebie i Wermer na muszce co najmniej od



tygodnia. Gdyby w tym czasie którykolwiek z nich dostał potwierdzenie kontraktu, ona z pewnością już by nie żyła.

Andrzej poczuł wzbierającą w nim falę złości. Byli na celowniku od tylu dni, a on nawet tego nie dostrzegł?

Schneider, widząc wyraz jego twarzy, zrozumiał, że musi zmodyfikować cele, które postawił przed Polakiem.

– Zależy ci na niej. – Słowa te były bardziej stwierdzeniem niż pytaniem.

– Na kim?

– Wermer.

– Jest mi obojętna. – Andrzej powiedział te słowa, choć był pewien, że stary mu nie uwierzył. Nie mylił się.

– Graj ze mną uczciwie. Odsłoniłem przed tobą wszystkie swoje karty. Jeśli mamy wygrać, to tylko wówczas, gdy będziemy działali razem. Tego wymaga ten interes.

Andrzej odczytał te słowa tak, jak należało je zrozumieć: „Musisz grać ze mną uczciwie, gdyż trzymam cię za jaja. Odsłoniłem przed tobą część swoich kart. Jeśli mamy wygrać, to tylko wówczas, gdy postąpisz tak, jak tego chcę”.

– Okej, zależy mi na niej.

– Jeśli zgodzisz się na moją propozycję, ona zniknie z pola celowników, a wszystkie psy gończe ruszą twoim tropem.

– Skąd pewność, że nikt sobie o niej nie przypomni?

– Rusz głową, ona tylko wówczas ma znaczenie, gdy w jej posiadaniu jest komunistyczne archiwum. Kiedy ukradniesz jej mikrofiszę, nikt, nawet minutę, nie będzie sobie zawracał głowy Anną Wermer i następnego dnia wszyscy o niej zapomną.

– Ukradnę?

– Lepiej nazywać rzeczy po imieniu.

Andrzej skinieniem głowy przyznał staremu rację. Amerykanin uświadomił mu prostą zależność – Anna będzie bezpieczna tylko wówczas, kiedy odbierze jej mikrofiszę. Czy mógł się wahać? Pozostawała jeszcze kwestia, co o nim pomyśli. Schneider użył już zwrotu „zdrajca”. Takim właśnie będzie w jej oczach – kimś, kto nie tylko zdradził własną ojczyznę, ale po raz drugi wykorzystał jej miłość.

Kurwa! Kurwa! Kurwa! – zaczął krzyczeć w myślach. Dlaczego to wszystko się tak pierdoli? Za kilka dni oddaliby te cholerne mikrofisze i mogliby zacząć nowe życie. Być razem, szczęśliwi. Dlaczego Bóg go tak nienawidzi?!

– Nad czym tak rozmyślasz?

– Jest kilka spraw, które wcześniej trzeba wyjaśnić.

– Zamieniam się w słuch.

– Musimy z Anną i Moniką wyjechać do Paryża. Powinniśmy zatem mieć dokumenty, które nie wzbudzą niczyich podejrzeń. Nasze paszporty są już nie do użytku.

– Załatwione.

– Jako amerykańscy turyści, którzy przyjechali poszaleć na Starym Kontynencie, powinniśmy dysponować odpowiednią gotówką.

– O jakiej sumie myślisz?

– Zaproponuj coś. – Andrzej powoli odzyskiwał dawną swobodę.

– Pomyślmy. – Schneider udał, że chwilę myśli nad sprawą. – Będziecie turystami, którzy pojedą spędzić w Europie zasłużone wakacje. Na taką podróż stać tylko dobrze sytuowane osoby. Sądzisz, że pół miliona dolarów na twoim koncie będzie odpowiednią sumą?

– Jeśli chodzi o moje konto, owszem. A teraz pomyślmy o niej.

– Drugie pół miliona z pewnością również ją usatysfakcjonuje?

Nieoczekiwanie obok stolika pojawił się kelner. Prawdę mówiąc, Andrzej już zapomniał, że składał zamówienie.

– Pańska kawa.

Zaskoczony, spojrzął na stawianą na stoliku filiżankę.

– Zamówiłem prawie godzinę temu.

– Popsuł się ekspres.

Odsunął filiżankę.

– Więc niech pan ją poda temu, kto go naprawił. Najlepiej na koszt firmy.

PODKOMISARZ BIELIŃSKI siedział na łóżku w ciemnym pokoju. Minęła pierwsza w nocy. Za drzwiami panowała kompletna cisza.

Był spokojny. Już podjął decyzję i nic nie mogło zmusić go do jej zmiany.

Godzinę temu zażył kilkanaście tabletek, które ukradł z pokoju pielęgniarek. Zaczynało mu się kręcić w głowie, ale myśli stały się spokojniejsze, umysł bardziej klarowny. Miał wrażenie, że dzięki tym tabletkom dopiero teraz dotarł do najskrytszych zakamarków pamięci. Zobaczył wszystko w nowym, bardziej jaskrawym i jednoznacznym świetle. Strach minął, odpychając na obrzeża przerażenia.

Księżyc przesuwiał się na niebie, znacząc pokój srebrnymi smugami, które przenikały przez prześwity między chmurami.

Dziś rano odwiedził go Sulimowicz. Najwidoczniej chciał sprawdzić jego samopoczucie. Przyniósł wiadomość o samobójstwie księdza Stefana.

– Okazało się, że był narkomanem. – Generał kiwnął głową z udanym współczuciem. – Zatem prędzej czy później spotkałby go ten los. Przedawkował.

– Co z Wermer?

– Jest już w Stanach.

– Mówiłeś już o tym poprzednim razem.

Sulimowicz westchnął ciężko.

– To przez to zaganianie.

– Jakie?

– Wałęsa zaczął rozrabiać. Najwyraźniej zamarzyła mu się prezydentura. Mówi coś o wojnie na górze. A tłumacząc na nasze, chodzi o to, żeby i on coś dostał z suto zastawionego solidarnościowego stołu. Jeszcze nie wszyscy dziennikarze o tym wiedzą. Ale myślę, że już w przyszłym tygodniu będzie o tym mówiła cała Polska.

– Pytałem o amerykańskie sprawy.

– Leszczyński spotkał się z naszym człowiekiem w Waszyngtonie. Chociaż trudno to nazwać spotkaniem.

– Ten Leszczyński, który miał ją chronić?

– Owszem. Nasz agent szedł na spotkanie, gdy zatrzymał się przy nim samochód. A kierowca miał pistolet i kazał mu wsiąść do środka. To był Leszczyński.

– No i...?

- Zaproponował oddanie mikrofilmów z archiwum danych.
- Z pominięciem Tomasza?
- On wie, że ten gość za wykonane zadanie zaoferuje mu tylko medal.
- Chce coś więcej?
- Bingo!
- To skurwiel.
- Myślę, że w Stanach nauczył się kapitalistycznego sposobu myślenia.
- Ile?
- Pół miliona.
- Dlatego przyszedłeś z tym do mnie? Nie mam wpływu na ministra finansów, a kasa resortu jest pusta.
- Nie chcę prosić o pieniądze. Te pół miliona da nasz ukochany polski Kościół. Przycisnę ich do muru. Przecież wolnej i niepodległej Polsce należy się jakieś zadośćuczynienie za to wszystko, co zrobili księża pracujący jako komunistyczni tajni współpracownicy.
- Mówił ci już ktoś, że jesteś draniem?
- Nawet nie wiesz, jak często – zaśmiał się generał.
- Kiedy Leszczyński chce dostać pieniądze?
- W czasie przekazania mikrofilmów. Z rączki do rączki.
- W Stanach?
- Specjalnie w tym celu chce polecieć do Paryża.
- Co to za facet, ten Leszczyński?
- W szkole wywiadu zbierał niezłe noty.
- Zamierzasz wystawić mu laurkę?
- Lubię znać osoby, które grają w naszej drużynie.
- Kiedy chce zjawić się we Francji?
- Dokładnie za tydzień.

Podkomisarz Bieliński ponownie spojrzął w nocne niebo.

Tydzień? Nie zamierzał tak długo czekać.

Zakręciło mu się w głowie. Zacisnął powieki, starając się uspokoić wirującą w głowie karuzelę. Ta wkrótce zmniejszyła obroty i w końcu się

zatrzymała. Kiedy otworzył oczy, wokół niego panowała atramentowa ciemność. Stopniowo rozświetliło ją światło padające z za jego pleców, jakby włączono reflektor, który powoli się rozgrzewał, dając coraz intensywniejsze światło.

Szpitalna separatka gdzieś znikła. Siedział na krześle w jakimś pokoju. Miał wrażenie, że zgromadzone sprzęty i kotary zasłon śmierzdzą tanimi papierosami. Na wprost stało biurko. Było wielkie i zwaliste, zajmowało sporą część ciasnego pokoju. Obok dwa krzesła. Dalej szafa pancerna, której drzwi były uchylone.

Już kiedyś widział to pomieszczenie. Gdzie?

Drugie biurko stało przy oknie. Wpadający do pokoju wiatr rozwiewał biały tiul firanki.

– Długo na ciebie czekałem.

Głos, który do niego dotarł, był niewyraźny, jakby zatarty i odtwarzany ze starej taśmy magnetofonowej.

– Ktoś tu jest? – Bieliński rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nie zauważył nikogo.

– Ile to lat minęło, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem? – Tym razem głos stał się bardziej wyraźny i zobaczył na wprost siebie siedzącego na krześle mężczyznę.

Zaskoczony chciał powiedzieć, że przecież... Ale tamten nie dał mu dojść do słowa.

– Wiem, nie powinienem tu być. Wypchnęli mnie przez okno tego pokoju.

– Więc w jaki sposób tu się znalazłeś?

– Dzięki prozkom, które zażyłeś!

– No tak!

– Wziąłeś, żeby się nie bać.

– Zawsze się bałem. Ojciec mówił, żebym do niczego się nie mieszał. Nawet dałem mu słowo. Byłem przekonany, że będę postępował rozsądnie. Miałem gdzieś stocznię i to całe strajkowe zamieszanie.

– Ale przyłączyłeś się do nas.

– Bałem się odmówić, żebyście nie pomyśleli, że jestem tchórzem.

– Rozumiem.

– Przyszedłeś po mnie?

– Byliśmy partnerami.

– Jednak stchórzyłem.

– Nigdy do nas nie należałeś, ale... możesz to naprawić.

Przyjaciel już nie siedział na krześle.

Za firanką zobaczył jego cień stojący na parapecie. Wstał i podszedł do okna. Spojrzał w rozświetlone księżycem niebo. Wszedł na biurko.

Poczuł na twarzy chłodny powiew wiatru. Wreszcie przestał się bać.

– Pomogę ci. – Cień wyciągnął rękę.

Podkomisarz Bieliński przeszedł za biały tiul firanki i otoczyła go ciemność.

# Rozdział jedenasty

SUNNY OTWORZYŁA OCZY. Pierwszy brzask wśliznął się przez szparę między zaciągniętymi kotarami. Biegł pionową smugą do łóżka i dzielił je na dwie niemal równe części. Na jednej leżała ona, na drugiej spał Hawele.

Jak zareaguje, gdy usłyszy, co tej nocy przyszło jej do głowy? Jeśli ją kocha... Jeśli. Czy był to sprawdzian jego uczucia? Sunny nie wątpiła w nie od dnia, gdy wyznali sobie miłość. Pytanie tyczyło tego, co jest dla niego ważniejsze – lojalność czy miłość?

Jeśli odpowie, że „lojalność”?

Nie może tak postąpić.

Nie znasz go. Spotkaliście się ponownie po tylu latach.

Myślę, że to już inny człowiek. Spojrzała na stojącą obok łóżka szafkę.

Właśnie z niej wyjęła przed laty pistolet, z którym wybiegła na balkon. Jeśli Hawele wybierze lojalność, czy ona otworzy szufladę?

Dlaczego tak bardzo jej na tym zależało? Czyżby miała to być zemsta za wszystkie stracone lata, gdy nie była razem z Hawele? A jeśli nawet? Uczciwie pracowała dla kraju. W zamian dostawała wsparcie, które pozwoliło jej pokonać wrogów. Nie mieszała się w narkotyki, porwania, wymuszenia i prostytutkę. Nie przyjęła propozycji wejścia na giełdę, gdzie sporo inwestorów, odpowiednio zmotywowanych finansowo lub przerażonych, mogło przynieść olbrzymi zysk.

Sunny była królową śmieci. Do niej należały wszystkie wysypiska wokół miasta. W niemal każdym przedsiębiorstwie zajmującym się oczyszczaniem ulic Nowego Jorku miała większościowe pakiety udziałów. Nie znajdowały się w jednym ręku, Sunny umiejętnie rozproszyła je między kilkadziesiąt osób. Nikt nie mógł jej niczego zarzucić, oprócz tego, że dziwnym zbiegiem okoliczności akcjonariusze zawsze działali na jej życzenie i zgodnie z jej interesem.

Dawała pracę ponad dwóm tysiącom osób. Mogła mieszkać w pałacu, lecz wolała stare mieszkanie na pięttrze nad Odessą. Szanowała ludzi, a oni wiedzieli, że w ciężkich sytuacjach nigdy ich nie opuści.

To było jej dobre i łagodne oblicze. O złym szeptano na mieście historie, które nawet facetów o mocnych nerwach przyprawiały o zgrozę. Najłagodniejszą karą, którą nakazała wymierzyć swoim ludziom po złapaniu pewnego zdrajcy było przywiązanie go z tyłu wodnej barki nad pracującą śrubą. Na podciągniętych rękach wytrzymał dwadzieścia minut. Kiedy próbował podciągać się, by lepiej chwycić rant barierki, stojący na pokładzie wspólnicy musieli zepchnąć go w dół, by znowu zawisł na wyprostowanych dłoniach. W egzekucji brało udział osiemnastu ludzi, którzy uważali kapusia za przyjaciela. To nie Sunny wymierzała karę. To oni musieli dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Po kilkunastominutowej walce i płaczliwych błaganiach zdrajca obsunął się jeszcze niżej i śruba ścięła go aż do pasa.

– O czym myślisz, kochanie?

Dopiero teraz zobaczyła, że Hawele przyglądał się jej z łagodnym uśmiechem na twarzy. Jak długo ją podpatrywał?

– O niczym.

– Nieprawda.

– Skąd wiesz? – Wsparła głowę na jego ramieniu, otulając oboje kołdrą.

– Kiedy nad czymś intensywnie się zastanawiasz, marszczysz noseć.

– Jak?

– Nie potrafię tego pokazać.

– Okej, masz rację.

– To tajemnica?

– Niekoniecznie, przynajmniej nie dla ciebie.

– Już się zaczynam niecierpliwić.

– Co myślisz o Leszczyńskim i tamtej kobiecie?

– Serio?

– Aha.

– Jeśli serio... Kiedy po raz pierwszy ich zobaczyłem...



- To?
- Pomyślałem o nas. Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie.
- O nas? – Zrobiła zaskoczoną minę.
- Właśnie. Chociaż byliśmy młodszy, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Myślę, że on ją kocha.
- Leszczyński?
- Widziałem, jak na nią patrzył. Dlaczego o nich pytasz?
- Mamy zadanie do wykonania.
- Właściwie to dzięki temu znowu jesteśmy razem.
- Jak długo?
- Myślałem o tym.
- I do jakiego wniosku doszedłeś?
- Życie jest niewiele warte, ale czasem rozświecła je promyk słońca. Nie ma co grymasić, że zapala się na krótko, lecz cieszyć się chwilą.
- Dlaczego nie może świecić dłużej?
- Bo nie zależymy od siebie samych. Przed laty podjęliśmy pewien obowiązek. Daliśmy komuś słowo i najzwyczajniej w świecie powinniśmy go dotrzymać.

Sunny pomyślała, że Hawele nie rozumie, co chciała mu powiedzieć. Jeszcze kilka minut temu myślała, że to będzie oznaczało między nimi koniec. A jednak wtuliła się w niego tak mocno, jak tylko umiała.

– Kocham cię, choć czasami się z tobą nie zgadzam. Chcę jednak nadal widzieć świecący nad nami promień i nadal być z tobą.

– Ja też.

Kiedy pomyślała, że mogłaby stracić Hawele, coś czarnego zatrzymało się na granicy jej serca. Choć zawsze zdawała sobie z tego sprawę, jednak teraz wyraźnie uświadomiła sobie, że gdyby świat próbował go jej odebrać, to zniszczyłaby świat.

Wstali z łóżka.

- Co dziś robisz? – zawołała za idącym do łazienki Hawele.
- Mam spotkanie z towarzyszem w galerii.
- Nie lubię go.

– Również za nim nie przepadam, ale to już jego ostatni kurs.

– Jak to?

– Odchodzi na emeryturę.

– A ty?

Zatrzymał się na progu i obrócił w jej stronę.

– Ja?

– Najlepsze lata mamy już za sobą. – Sunny narzuciła na ramiona szlafrok.

– Myślę, że dopiero są przed nami.

Dostrzegł jej nadąsaną minę.

– Okej, nie bocz się... myślałem o tym.

– I co wymyśliłeś?

– Rozmawiałem z towarzyszem. Jest zdania, że Moskwa raczej pozwoli mi odejść ze służby.

– Nie każą ci wrócić do kraju?

– Po co im facet, który mówi po rosyjsku z obcym akcentem?

– Chyba się łudzisz. Nikogo nie zostawia się za granicą.

– Towarzysz Mikunin...

– ...mówi to, co każdy prowadzący gadałby na jego miejscu. W końcu jednym z ich zadań jest pozytywne motywowanie podopiecznego.

– Nie wrócę do Rostowa, chcę zostać tu, gdzie spędziłem większość mojego życia.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że słowa należy dotrzymywać.

W głosie Sunny nie było drwiny, a jedynie zmęczenie i zrezygnowanie. Hawele, zamiast wejść do łazienki, przysiadł na krześle.

– Ale przecież mam tutaj wyrobioną markę, prowadzę galerię – potarł w zamyśleniu czoło.

Nie powiedziała nic. Wyrobiona marka nie stanowiła problemu. Za kilka miesięcy w miasto może pójść legenda, że oto przyjechał wnuk, którego Hawele kocha nad życie i którego wprowadzi w biznes handlu obrazami. Potem okaże się, że lekarze wykryli u dziadka raka. I tak oto w trakcie „swego” pogrzebu Hawele wylądował w końcu na moskiewskim lotnisku Wnukowo.

- Wrócisz do starego kraju? – inaczej sformułowała pytanie.
- Miałaś rację, jeśli kiedyś daliśmy słowo...

Hawele wypowiedział to zdanie bez poprzedniego przekonania, lecz Sunny nie zdecydowała się wyjawić swego planu. Godzinę później zeszli na dół do baru i zjedli śniadanie. Pożegnali się i Hawele odjechał zamówioną taksówką.

Sunny wróciła do siebie i podniosła słuchawkę telefonu. Wykręciła numer. Po drugiej stronie usłyszała głos Anny.

- Miło cię słyszeć.
- Zastałam Andrzeja?

Wkrótce usłyszała w słuchawce jego głos.

- Witaj.
- Możemy się spotkać?
- To coś pilnego?
- Ostatnio życie strasznie przyspieszyło.
- Zauważyłem. Co byś powiedziała na...
- Tylko nie proponuj tamtego chińskiego lokalu.
- Zatem nie bardzo wiem, gdzie...

Sunny wydało się, że szuka pretekstu, żeby się wymówić. Jednak nie zamierzała rezygnować.

- Co byś powiedział o skwerze, na którym potem Anna poszła z małą na huśtawkę?
- O której?
- Za dwie godziny?
- W takim razie jesteśmy umówieni.

PANI WANDA WYSIADŁA z tramwaju numer 33, którego przystanek znajdował się na wprost szpitala MSW. W bramie minął ją policyjny radiowóz na sygnale. W tym miejscu nie było to niczym szczególnym. Może dlatego nie zwróciła uwagi, że samochód zamiast w prawo, na podjazd przed wejście do pogotowia, skierował się w lewo i wjechał do szpitalnego parku.

Właśnie tą drogą pani Wanda zawsze szła do pracy, unikając przedzierania się między pacjentami, kłębiącymi się w ciągu korytarzy parteru.

Kiedy weszła na teren parku, na jej drodze stanął funkcjonariusz.

– A pani to co?

– Pracuję tu.

– Jakaś legitymacja.

– Słyszał pan, żeby salowej wydawano legitymację?

Mówiła pewnie, więc stojący na drodze młodzik zszedł na bok.

– Tylko proszę obejść tamto miejsce. – Wskazał na policjantów, którzy skupili się kilkadziesiąt metrów dalej, przy murze budynku.

– Stało się coś? – Pani Wanda spojrzała na okna szpitala. – Tak było tu, kiedy wypadł Adamczewski.

– Skąd pani wie, że wypadł?

– Miałam wtedy dyżur. Mówiłam mu: „Panie Waclawie, niech pan tak się nie wychyla, bo nieszczęście gotowe”. Ale jemu nie chciało się palić w toalecie, tylko wychylał się za okno, żeby siostry nie poczuły dymu. No i za kolejnym razem tak się gibnął, że potem zeszkrobywali go z chodnika.

– Ten też wygląda niespecjalnie.

– A z którego on oddziału?

– Z szóstego.

– To z mojego.

Pani Wanda ponownie spojrzała w górę i dla pewności przeliczyła szybko piętra. Dopiero teraz zwróciła uwagę na otwarte okno.

– To w pokoju Bielińskiego – westchnęła. – Był ważną figurą. Był? – Spojrzała na młodzika, jak gdyby chcąc się upewnić..

– Podobno nie żyje. Niektórzy mówią o samobójstwie. Inni kręcą nosami, że może ktoś mu pomógł, a w rzeczywistości nikt nic nie wie.

– To już wiem, dlaczego tyle osób się tu zjechało.

Chciała jeszcze coś dodać, lecz przypomniała sobie, jak dwa dni temu Bieliński poprosił ją do pokoju. Nie była wówczas pewna, czy przypadkiem nie chce jej wytknąć, że coś niedokładnie posprzątała. Woląла więc zawczasu

uprzedzić pretensje.

– Jeśli pan myśli, że ten kurz, który osiada...

– Kurz mnie zupełnie nie interesuje.

– Aha – odetchnęła z ulgą. Jednocześnie zadała sobie pytanie, co taki człowiek mógł chcieć od zwykłej salowej?

– Proszę siadać.

– Ale mam jeszcze sporo roboty.

– Robota nie zając...

– Ale dyrektor przyjdzie, jak zobaczy, że nie jest zrobione, to wywali mnie na zbity pysk.

– Gdyby tak się stało, to proszę przyjść do mnie

– Miło to słyszeć – rzuciła bez przekonania pani Wanda. – Jeśli pan chce, to mogę na chwilę przysiąść.

– Mam do pani pewną prośbę.

Pierwsza przyszła jej do głowy myśl, że chce od niej pożyczyć pieniądze. Ale przecież siostry mówiły, że to ważna figura, więc jakżeby tak siedział w szpitalu bez grosza przy duszy?

Bieliński sięgnął do szafki nocnej. Otworzył szufladę i wyjął list.

– Chciałbym, żeby po wszystkim wysłała to pani pocztą.

– Po jakim „wszystkim”?

– Na pewno się pani zorientuje.

Pani Wanda znowu przytaknęła, ale tak jak i poprzednio nie bardzo wiedziała, o co choremu chodzi. Na dole jest przecież skrzynka na listy. Mógł zejść i wrzucić.

Równocześnie Bieliński wcisnął jej w rękę sto złotych.

– A to na co?

– Dla pani, za wysłanie listu.

– A niech mnie Pan Bóg broni przed braniem pieniędzy!

Oddała mu banknot.

Teraz pani Wanda przypomniała sobie, że list Bielińskiego nadal nosi w torebce. Już wiedziała, co znaczyły słowa „po wszystkim”. Pomyślała o

kopercie i zadała sobie w duchu pytanie, czy przypadkiem, wrzucając ją do skrzynki, nie napyta sobie biedy?

Coś podszeptnęło jej w duchu, żeby ją otworzyć i przeczytać znajdujący się w środku list. Sekundę później oburzyła się sama na siebie, że taka myśl mogła jej przyjść do głowy.

Zgodnie ze wskazówkami policjanta przeszła alejkami parku i znalazła się przed wejściem do budynku. Tu zobaczyła znajomego lekarza z oddziału.

– Czy to prawda, że pan Bieliński...? – spytała doktora.

– Niestety, pani Wandziu. Wziął i wyskoczył.

– Źle to mu u nas było? Miał dla siebie całą salę, nie musiał płacić za oglądanie telewizji, dostawał lepsze jedzenie. Żyć, nie umierać.

Weszli oboje do holu.

– Jeszcze wejdę do koleżanki z zabiegowego – skłamała.

Poczekwała, aż doktor wejdzie schodami na piętro. W pobliżu nie było nikogo. Wyjęła list z torebki i szybko wsunęła go do pocztowej skrzynki. Kiedy znikł w jej wnętrzu, odetchnęła z ulgą. Ruszyła w stronę windy, zapinając torebkę. W tym momencie dostrzegła znaczek, który odkleił się od koperty. Obejrzała się na skrzynkę.

Jest w środku – zawyrokowała w duchu – więc musztarda po obiedzie. Widocznie tak musiało być. Adresatem był wiceminister, więc dojdzie bez znaczka. Chyba że ktoś nie lubi wiceministrów. Ale na to już pani Wanda nie mogła nic poradzić.

GENERAL SULLIMOWICZ POBIEŻNIE przejrzał położone na biurku dokumenty. Spojrzał na siedzącego na wprost mężczyznę.

– Zatem twierdzi pan, komisarzu...

Siedzący przed generałem był spięty sytuacją, w której się znalazł, gmachem, do którego został wezwany, dywanami, sekretarkami, a w końcu i bliskością gabinetu ministra, o którego nieomal otarł się w windzie. Jednak dobrotliwy wyraz twarzy i przyjazny ton generała sprawiły, że dzieląca ich bariera nagle zniknęła. Po raz pierwszy tego dnia komisarz odetchnął głębiej i niedawne spięcie gdzieś się ulotniło.

Sullimowicz uśmiechnął się do siebie w duchu. Przeglądając dokumenty,

zastanawiał się, jak rozbroić tykającą przed nim bombę zdenerwowania. Zadziałało. Sulimowicz liczył, że dzięki przełamaniu pierwszych lodów dowie się więcej, niż zapisano to w leżącym przed nim raporcie.

– Dokument mówi o samobójstwie.

– To na razie wstępne wnioski.

– Mogą się zmienić?

– Już trochę służę w resorcie, więc nie należy niczego wykluczyć.

– To wersja oficjalna. A nieoficjalna?

– Powinniśmy wykluczyć działanie osób trzecich.

– Sam skoczył?

– Pod łóżkiem znaleźliśmy pustą fiolkę po nocnych tabletkach.

– To był lek uspokajający na bazie substancji psychotropowej. W dużych dawkach może powodować urojenia. Jakiś czas temu wycofano go z aptek i pozostawiono jedynie do dyspozycji szpitalom.

– W jaki sposób Bieliński zdobył ten lek?

– Przesłuchaliśmy pielęgniarki. Jedna zeznała, że na kilka godzin przed tragedią pan Bieliński zaglądał do ich pokoju. Wtedy mógł coś wyjąć z szafki z lekarstwami.

Sulimowicz pomyślał o głupich pielęgniarkach. Gdyby wyskoczył z okna inny pacjent, skończyłoby się na krótkim prokuratorskim śledztwie. Po miesiącu sprawę by zamknięto, zalecając jedynie opracowanie bardziej rygorystycznych zasad, które uniemożliwią pacjentom dostęp do medykamentów. Tym razem z pewnością ktoś z personelu zostanie oskarżony o niedopełnienie obowiązków. Jak sprawa się skończy? Niewiele go to obchodziło.

Generał chciałby wiedzieć, co Bielińskiego pchnęło do takiego czynu. Sumienie? Jeśli tak, to cała rzecz mogłaby przyjąć niebezpieczny obrót.

– Czy desperat zostawił w pokoju list?

– Dokładnie przeszukaliśmy separatkę, ale niczego nie znaleźliśmy.

– Może dał komuś z personelu?

– Pomyśleliśmy o tej ewentualności. Salowa powiedziała jednej z sióstr, że Bieliński dawał jej kopertę.

– Trzeba ją przesłuchać.

– Zrobiłem to. Wyczułem, że kobieta coś ukrywa. Przycisnąłem ją, grożąc konsekwencjami prawnymi i wtedy wyznała, że list wrzuciła do szpitalnej skrzynki. Natychmiast wysłałem kogoś na dół, ale okazało się, że listonosz zabrał już pocztę.

TEGO DNIA REGINA miała przesrane. Tak właśnie mówiła, kiedy zwałało się jej na głowę odebranie dziecka z przedszkola, zawiezenie rodzicom obiadu, i nadchodził bolesny początek okresu. Na dodatek dzisiaj musiała jeszcze zdążyć do szkoły, gdzie młodszy syn miał wywiadówkę. W jej trakcie wychowawczyni miała podsumować mijający semestr.

Po odczytaniu stopni z pewnością każą zapłacić za komitet rodzicielski. Tylko skąd na to wziąć pieniądze? Znowu będzie szukała wymówki. Czy tym razem jeszcze jej uwierzą, że zapomniała zabrać portfel?

I pomyśleć, że zapłaciłaby te cholerne pieniądze, gdyby dziś rano policjant jej nie zatrzymał i nie wlepił mandatu za wymuszenie pierwszeństwa. Niech go wszyscy diabli. Próbowwała robić do gamonia słodką minę trzpiotki-idiotki, ale gość miał gdzieś jej przymilne uśmiechy. Jak nic trafiła na pedała.

Myśląc o tych sprawach, spoglądała na taśmę, na której przesuwaly się ułożone listy. Automat wyszukiwał te, które nie miały znaczków i odrzucał je na bok.

Kiedy policja weszła do hali, w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na mundurowych. Stało się tak dopiero wówczas, gdy stanęli za jej plecami.

– Coś nie tak? – Podniosła na nich niechętnie spojrzenie.

– Powiedziano nam, że teraz sortowane są listy, które przywieziono ze skrzynek Mokotowa.

– Nic rewelacyjnego.

– Szukamy tych, które zostają odrzucone ze względu na brak znaczka.

– Tam. – Wskazała głową na duży pojemnik.

– Jeszcze z miasta zejdzie jakaś korespondencja?

– Nie, to już ostatnia partia.

Mundurowi zaczekali, aż na taśmie pojawią się puste przegródki i zabrali plastikową skrzynkę z kopertami bez znaczków. Już po ich wyjściu Regina



dostrzegła leżącą na posadzce kopertę. Mogłaby jeszcze zadzwonić na portiernię i zatrzymać policjantów. Mogłaby, ale dotąd trzęsła ją złość za ograbienie jej z trzech setek.

Zerknęła na adres. List adresowany był do wiceministra spraw wewnętrznych. Przyszło jej do głowy, że być może tamci nie chcieli, żeby jakaś skarga trafiła na biurko przełożonego. Dziś Regina miała pecha. Spotkała na ulicy gliniarza-obojętniaka, więc policjanci mieli również wielki niefart, że trafili na nią. Przynajmniej w ten sposób częściowo wyrówna rachunki.

Przystawiła stempel: „Ofrankowano na koszt odbiorcy” i wrzuciła list na taśmę.

– I CO Z POCZTĄ? – Sulimowicz zaczynał tracić cierpliwość.

– Moi ludzie przejrzeni wszystkie listy, ale nie znaleźliśmy poszukiwanego.

Generał wstał zza biurka.

– Dziękuję za rzetelne wykonane zadania. Gdyby trafił pan na ślad tego listu, proszę zadzwonić. Sekretarka da panu numer. Nawet pan nie wie, jak ważne jest to pismo dla resortu, a może nawet i kraju. Proszę o tym pamiętać, panie inspektorze. – Sulimowicz celowo się pomylił, ściskając rękę prężącego się przed nim policjanta

– Nadal jestem tylko komisarzem.

– Wszystko przed panem, drogi przyjacielu, wszystko przed panem.

Pchnął go lekko w stronę drzwi, nie przestając się uśmiechać. Kiedy te zamknęły się za wychodzącym, wrócił za biurko i sięgnął po telefon. Wykręcił numer do naczelnika specpoczty, która przyjmowała korespondencję przychodzącą z miasta.

– Witaj – zawołał radośnie do słuchawki. – Pamiętasz, kilka miesięcy temu mówiliśmy o dobrym absyncie, który miałem dostać ze Szwajcarii.

– Myślałem, że już zapomniałeś.

– Nigdy nie zapominam o starych przyjaciółach i danej im obietnicy.

– To miłe.

– Normalne. Kiedy zatem do mnie wpadniesz na kieliszek tego boskiego

nektaru?

– To na pewno alkohol zwany „zieloną wróżką”?

– Nie mogłem się oprzeć pokusie i napiłem się mały kieliszek. Co za smak: mięta, anyż gwiazdkowaty, korzeń lukrecji, kolendra. Nadal uważam, że barwienie absyntu liśćmi piołunu w celu uzyskania zielonego koloru jest całkowicie zbędne, ale ty nie podzielasz tej opinii.

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

– Z przyjemnością pokłóczę się z tobą jeszcze raz na ten temat.

– Więc kiedy znajdziesz czas?

Znowu użył starego chwytu. On, wiecznie zaganiany i ścigający czas, prosi innych o wyznaczenie mu terminu spotkania. Ludzie zawsze dawali się nabierać na tę nieoczekiwaną skromność i uprzejmość.

– Dzisiaj? – po drugiej stronie padło niepewne pytanie.

– Doskonale. Zapraszam o dwudziestą.

Generał pomyślał, że biorąc pod uwagę, iż list został wysłany ze szpitala poprzedniego dnia, należało mieć pewność, że nie trafi na Rakowiecką wcześniej niż pojutrze, a przyjaciel przypilnuje, żeby przyniesiono go do jego sekretariatu.

SUNNY NAKAZAŁA KIEROWCY, żeby przyjechał za godzinę i wysiadła z samochodu. Ruszyła w stronę skweru, gdzie kilkoro maluchów pod opieką roześmianych mam uganiało się za wielką kolorową piłką. Dostrzegła Andrzeja siedzącego na jednej z ławek w pobliżu placu zabaw. On również przyglądał się roześmianym berbeciom. Ruszyła w jego stronę.

Zobaczył ją, gdy była blisko. Zrobił uradowaną minę, lecz jego oczy pozostały czujne. Nie umknęło również jej uwagi, że dyskretnie rozejrzał się wokół, w poszukiwaniu ludzi stanowiących jej ochronę.

– Nie spodziewałem się twojego telefonu. – Andrzej od razu przeszedł do rzeczy.

– Może tak, może nie. – Usiadła na ławce obok.

– Nie wierzysz mi?

– My nigdy nie wierzymy. Czasami nawet sobie samym.

– My?

Patrząc mu w oczy, zaczęła mówić.

– Zastanawiałeś się nad tym, dlaczego ktoś o takiej mentalności oraz inteligencji jak major Siejka wpadł na pomysł wykradzenia kopiowanego na zlecenie generała Sulimowicza archiwum MSW?

W pierwszej chwili Andrzej zaniemówił. Skąd Sunny o tym wiedziała? Czyżby...?

– Podsunęliśmy mu ten pomysł?

Andrzej nie potrafił ukryć wyrazu zaskoczenia.

– Siejka został zwerbowany przez KGB trzy lata wcześniej – Sunny mówiła powoli, jakby nudziło ją powtarzanie tej historii. – Chcieliśmy dobrać się do waszych zasobów tajnych współpracowników SB. Wybierając Siejkę, Sulimowicz ułatwił nam zadanie. Nasz agent podpowiedział majorowi sposób na wykradzenie dokumentów z paryskiego banku. Potrzebny był tylko ktoś podobny do paryskiej agentki generała. Archiwista zaproponował, żebyś to ty zajął się poszukiwaniem sobowtóra, ponieważ miałeś szerokie kontakty z hotelowymi prostytutkami. Zgodziłeś się...

– Gdybyśmy zostali aresztowani, wyszłoby, że to tylko dwóch facetów z MSW chciało sobie urządzić dostatnią przyszłość, a wy nie mieliście z tym nic wspólnego.

– Nie inaczej.

– Jesteś z GRU czy KGB?

– Ma to dla ciebie jakieś znaczenie?

– Ci z KGB są łagodniejsi niż ich armijna siostra.

– Należę do tych bardziej bezwzględnych.

– Jak się domyślam, chciałabyś porozmawiać ze mną na temat Anny.

– Od razu przechodzisz do sedna.

– Po co się czarować? Każde z nas szanuje swój czas i siebie.

– Podoba mi się twoje podejście do tematu.

– Tylko, że czas to jedyna rzecz, o której możemy porozmawiać. Inaczej mówiąc, nie zamierzam go poświęcać, żeby mówić o Annie Wermer.

– Zawsze jasno stawiałeś sprawy.

– A tobie nigdy to nie przeszkadzało.

– Na wstępie istotna uwaga. Nie chcę dokumentów, które są w jej posiadaniu, chociaż zapewniam, że moi zwierzchnicy byliby skłonni dużo za nie zapłacić.

– Jak dużo?

– Interesuje cię cena?

– Zwykła ciekawość.

Sunny zadała sobie w duchu pytanie, czy nie pomyliła się w stosunku do Andrzeja?

– Pół miliona? Choć gdybyś ich mocniej nacisnął, dostałbyś nawet całą siedmiocyfrową sumę.

Gwałtowniejszy podmuch wiatru powiał w ich stronę, wyrывая z dłoni jednego z malców kolorową piłkę. Biegąc za nią, maluch nieoczekiwanie potknął się i przewrócił na ścieżkę. Rozległ się głośny płacz.

Andrzej chwycił toczącą się piłkę. Wstał i podszedł do rozpaczającego brzdąca, którego mama brała właśnie w ramiona. Kiedy chłopiec zobaczył przed oczyma kolorowe esy-floresy, zamilkł. I choć łzy nadal płynęły po policzkach, brzdąc uśmiechnął się szeroko.

Andrzej ponownie usiadł obok Sunny.

– Pieniądze mnie nie interesują.

– Twój wybór.

Tym razem najwyraźniej on nie zrozumiał.

– Chciałabym wam pomóc.

– Ty? – w jego głosie usłyszała niedowierzenie.

– Nie pytaj dlaczego. Może chciałabym odwdzińczyć się za uratowanie życia? Może wpadłeś mi w oko? Może spodobało mi się to, jak patrzysz na kobietę, a może zupełnie coś innego?

– Prócz słów potrzebny jest dowód, że mówisz prawdę.

– Pomyśl, ulokowałam was w miejscu, gdzie nie miałabym żadnych trudności z wyciśnięciem z twojej damy posiadanych przez nią informacji. Zauważ, mój drogi, że słowo „wyciśnięcie” jest najdelikatniejszym z tych, których mogłabym użyć. To mało?

- Tylko, że słowo „pomoc” brzmi bardzo ogólnie.
  - Wiem o dwóch killerach, którzy na was polują, a przynajmniej wyczekują momentu, kiedy na horyzoncie pojawią się ukryte przez Annę mikrofisze. Wtedy pociągną za spust. Jednego z nich biorę na siebie.
  - To znaczy?
  - Powiedzmy, że w decydującym momencie chybi.
  - Wolałbym być tego pewien.
  - Możesz być tego pewien. Masz moje słowo.
  - A co z drugim?
  - Daj Polakowi palec, a będzie chciał rękę – zaśmiała się swobodniej. Już nie musiała zważać na każde wypowiedziane słowo.
  - Tak wy, Rosjanie, o nas myślicie.
  - Gdy moi i twoi rodacy spotykają się w cztery oczy, wówczas się lubimy. Wszędzie ludzie mają takie same problemy i zmartwienia, jedynie inaczej nazywają je w swoich językach. Kiedy jednak jesteśmy w gromadzie, szukamy zwady.
  - Teraz jesteśmy tylko my dwoje.
  - Więc może boję się przyznać do tego, że niegdyś źle wybrałam, co według mnie jest oznaką słabości.
  - A może dojrzałości?
  - Nieistotne. Moi ludzie odnajdą drugiego killera i zabiją go.
- Przez głowę Andrzeja przebiegały dziesiątki pytań. Czy rzeczywiście powinien jej wierzyć? A może to tylko gra, przynęta, którą rzuca się przed oczy ryby, żeby szerzej otworzyła paszczę i głębiej połknęła rozbłyskujący haczyk? Jeżeli to gra i tak nie miał wyboru i musiał ją podjąć. Jeśli zaś prawda...
- Wiem, co myślisz.
  - Na pewno?
  - Że jeśli jest prawdą to, co powiedziałam, to popełniłam samobójstwo. Po wyrazie jego twarzy poznała, że się nie myliła.
  - Skąd wiedziałaś?
  - Metody szkolenia takich jak my niczym się od siebie nie różnią. Tak jest

w Stanach, Niemczech, Izraelu, Rosji i Polsce. Jeśli działamy podobnie, to i nasze myślenie ma również ze sobą wiele wspólnego. Jego pierwszym zdefiniowanym aksjomatem jest to, by nie dać się złapać. Drugim, a zarazem ostatnim – zrealizować postawiony przed nami cel.

– Już się domyślam, jak odkryłaś, że pracujemy w firmach zajmujących się podobnymi sprawami.

– Nauczono nas tych samych odruchów. Jakich? Wybrałaś stolik w rogu sali, żeby widzieć innych, samemu nie będąc na widoku. Unikamy sytuacji, w których ktoś niezajomy może znaleźć się za naszymi plecami. Udajemy roztargnionych, choć jesteśmy maniakami punktualności. I tak dalej i dalej...

– A wracając do owego samobójstwa...

– Martwisz się o mnie.

– Myślę, że powinienem, w końcu chcesz nam pomóc.

– FBI od dwudziestu lat próbuje się do mnie dostać i, choć są tu na miejscu, nic im z tego nie wychodzi. Moi rosyjscy opiekunowie są znacznie dalej.

– Jeszcze kilkanaście minut temu powiedziałbym, że to, co mówisz jest romantyczne, nierealne i...

– ...z pewnością kryje się w tym wszystkim jakiś hak.

Zaśmiali się oboje.

– Ale czasami – westchnęła, patrząc na bawiące się szkraby – nawet tacy jak my, zawodowcy, mają dosyć owych haków, uciekania i krycia się w cieniu – chcemy żyć normalnie.

– Czyli jak?

– Nasza codzienność, mój miły, nie składa się z chwil w czasie, w których bierzesz wdech i wydech. Prawdziwe życie to te chwile, w których ci ten dech zapiera. Niektórzy nazywają to miłością!

KIEDY NIEOPODAL MIEJSCOWOŚCI Babberich minęli dawną granicę niemiecko-holenderską, Leszek powiedział, żeby zatrzymał się na najbliższym parkingu przy autostradzie. Artur puknął palcem w tarczę zegarka.

– Jeśli nie będziemy przystawać – próbował oponować – wówczas

dojedziemy do Amsterdamu przed północą.

– My już jesteśmy prawie na miejscu.

Artur był najwyraźniej zaskoczony.

– Jak to prawie?

– Końcowy przystanek jest w Arnhem, kilkanaście kilometrów stąd.

– Nie podałeś prawdziwego celu podróży. Nadal mi nie wierzysz?

– Może niedługo ty poprowadzisz taki transport, więc wtedy pogadamy, komu i kiedy należy zacząć wierzyć.

– Nadal myślisz o czarnym jeepie, którego d'Artagnan wypatrzył za nami na autostradzie?

Tak jak ustalili to przez CB-radio, wzięli nieznane auto w kleszcze. Pierwszy na leśny parking wjechał tir prowadzony przez Iwana Groźnego z Petersburga. Potem oni zjechali jako następni. Za nimi śledzące ich auto. Muszkieter zamknął wjazd wielką ciężarówką. Jadący jeep znalazł się w potrzasku. Najwidoczniej kierowca nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż spokojnie podjechał na miejsce, gdzie znajdowały się drewniane stoły i ławy dla przyjezdnych.

Kiedy wszyscy zgasili silniki i zamierzali wyskoczyć z szoferek, z jeepa wysiadł starszy mężczyzna. Przeszedł na drugą stronę auta i pomógł wysiąść równie wiekowej żonie.

Pierwszy zaczął się śmiać Artur. Potem dołączył do niego Leszek. Nie przestając rechotać, przywitali się z barczystym osiłkiem.

– Tym razem d'Artagnanie pomyłka w adresie. Ale mimo to wielkie dzięki, że martwiłeś się o nas.

Doszedł do nich Iwan Groźny. W rzeczywistości miał na imię Sasza i był ubrany w indiańską kurtkę z frędzlami na szwach.

– To może piwko bezalkoholowe na otarcie łez? – zaproponował muszkieter.

– Musimy się zwijać. – Leszek spojrzał w stronę słońca. – Przed nami jeszcze kawał drogi.

– Miałeś pietra? Wtedy na parkingu?

Artur pokręcił przecząco głową.

– Raczej poczułem się nieswojo.

Leszek sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął wizytówkę.

– Tu jest adres hotelu w Arnhem. Na odwrocie numer pokoju. Wszystko opłacone. Do miasta zawiezie cię taksówka. Możesz powłóczyć się po ulicach. No i ten jeden most za daleko.

Nie skojarzył.

– Most?

– Nie słyszałeś o największej operacji powietrznodesantowej II wojny światowej? W 1944 Niemcy wyłukli nad Arnhem brytyjskich, amerykańskich i polskich spadochroniarzy. Z dziesięciu tysięcy angielskich skoczków ocalało niecałe trzy tysiące. Naszych też zdziesiątkowano. Kawał historii, a ty ani be, ani me, ani kukuryku?

– Widocznie byłem wtedy na wagarach.

Leszek wyciągnął przed siebie dłoń, wskazując na zawieszoną nad autostradą tablicę, która informowała o najbliższym zjeździe.

– Skręć.

– Na Westervoort?

– Nie inaczej.

ARTUR SIEDZIAŁ NA ŁAWCE, spoglądając na most. Do Arnhem przyjechał godzinę temu. Zameldował się w hotelu. Pół godziny później wyszedł do miasta. Młoda dziewczyna z recepcji wskazała mu drogę w stronę mostu, rozświetlonego kinowym przebojem z lat osiemdziesiątych.

Pogoda była znośna. Choć słońce schowało się za chmurami, było w miarę ciepło. Artur pomyślał o magazynie na przedmieściach.

Kiedy dojechali do obwiązanej łańcuchem bramy, chciał zatrąbić, lecz Leszek wysiadł z szoferki i otworzył wjazd. Potem podjechali pod halę, z której nikt nie wyszedł na powitanie.

Siedząc teraz na niewielkim skwerze nieopodal rzeki, zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi? Co to za tajemnica? Dlaczego, kiedy znaleźli się na miejscu i zgasił silnik, Leszek kazał mu pojechać do miasta? W końcu przywieźli z Polski zwykłą porcelaną stołową. Po co robić wokół tyle mgły? Chyba że w skrzynkach zostało ukryte coś jeszcze. To było jedyne rozsądne wytłumaczenie. Przytaknął sam sobie. Tak, to mogło być to!



Dopiero teraz Artur dostrzegł zacumowaną pod mostem olbrzymią białoczną barkę. Nieopodal łodzi stał policyjny radiowóz. Nikt nie wchodził ani też nie schodził ze statku. Przy aucie stał jedynie policjant, który spokojnie palił papierosa. Poza tym nic, żadnych dźwięków.

Przymknął oczy, rozkoszując się ciszą.

– *Do you have a cigarettes?*

Zaskoczony otworzył oczy. Stojący obok ławki obdartus patrzył na niego z nadzieją.

– Nie palę. – Złapał się, że odpowiedział po polsku, więc się poprawił. – *Sorry, but I...*

– Polak?

Na twarzy obszarpańca pojawiło się coś na kształt uśmiechu

– Owszem, a ty?

– Jestem Słowakiem, ale kolegowałem z takim jednym od was. – Obdartus przysiadł obok. – Pół roku temu się przekreślił.

Artur poczuł mdlący zapach niemytego ciała. Nieopodal dostrzegł trafikę z tytoniem. To była niezła wymówka.

– Chcesz, kupię ci fajki? – Zamierzał wstać, ale Słowak przytrzymał go za poję marynarki.

– Nie palę.

– A pytałeś o papierosy?

– Chciałem tylko z kimś pogadać. Wiesz, jak jest. Cały dzień trzymasz gębę na kłódkę, więc chciałbyś poruszać trochę językiem.

– Nieźle mówisz po polsku.

– Miałem Polkę za żonę. Tak mi się wydaje...

– Wydaje?

– Łeb mam jak sito. Czasem coś wiem, ale nie wiem skąd. A może to ja jestem Polakiem, a moja żona była Słowaczką? – Podrapał się w łysy brudny czubek głowy. – Jakie ma to znaczenie?

– Żadnego. – Artur zgodnie przytaknął.

Dlaczego ich rozmowa skojarzyła mu się z wydarzeniami sprzed lat? Czy dlatego, że identycznie śmierdział po tygodniu przesłuchań?

Godzinę temu nie wyszedł z hotelu, żeby zobaczyć sławny most. Był mu obojętny. Idąc ulicami śródmieścia, zaglądał w zaułki, zapamiętując bramy, przejścia między kamienicami, klatki przechodnie lub kończące się ślepo uliczki. Tak go nauczono. To był nawyk. Obce miasto należało jak najszybciej poznać. Przyswoić sobie topografię ulic. Umieć jak najszybciej swobodnie się po nim poruszać. Ostatnim elementem układanki było znalezienie kryjówki, gdzie mógłby się skryć przed poszukującymi.

DWA LATA WCZEŚNIEJ Artur wysiadł na stacji Wrocław Główny. W hali dworca stanął w umówionym miejscu, obok sklepiku z pamiątkami. Chwilę później podszedł do niego młody chłopak. Wręczył białą kopertę i zniknął w tłumie.

Dostał dwadzieścia cztery godziny na poznanie miasta i znalezienie sobie w nim kryjówki. Najpóźniej jutro o 22.30 wsiądzie do pociągu powrotnego do Olsztyna.

We Wrocławiu był po raz pierwszy w życiu. Postanowił zacząć od dworca. To był pierwszy znany mu punkt orientacyjny w mieście.

Tak jak go nauczono, zataczał wokół budynku coraz większe kręgi. Najpierw poznał przylegające doń ulice. Potem poszerzył promień o dwie przecznice, niekiedy robiąc prostopadłe do centrum kręgu wypady między kamienice. Wtedy rejestrował w pamięci rozkład otaczających ich skwerów i zaułków.

W południe zrobił krótką przerwę na kawę i hamburgera. Nie znosił takiego jedzenia, ale nie miał wiele czasu.

Im bardziej będą was bolały nogi – przypomniawszy sobie słowa jednego z wykładowców – a w głowie znajdzie się więcej zapamiętanych miejsc, tym większe w przyszłości okaże się wasze bezpieczeństwo na tym terenie. Być może ta wiedza uratuje wam nawet życie.

Z końcem dnia Artur wreszcie trafił na wymarzoną kryjówkę. W tym miejscu dwie kamienice niemal przylegały do siebie szczytowymi ścianami. Niemal, bo między nimi znajdował się wąski przesmyk. Facet z większym brzuchem już by się w niego nie wcisnął. Jednak Artur bez trudu pokonał długą kamienną szczelinę i znalazł się po drugiej stronie na równoległej ulicy.

Owa kryjówka, a zarazem droga ucieczki, była o tyle fantastyczna, że po

jednej stronie przejście zasłaniał kiosk Ruchu, zaś po drugiej słup ogłoszeniowy.

Na lukę między domami trafił przypadkowo. Zauważył mężczyznę, który zapinał rozporek. Przypomnił sobie słowa innego wykładowcy, który podpowiedział, że biegający za potrzebą ludzie są w stanie wypatrzeć kryjówki, których inni by nie dostrzegli.

Wszedł zatem za ów słup ogłoszeniowy. Śmierdziało tu moczem, mimo to w głowie Artura rozbrzmiały triumfujące fanfary. Ów smród był niczym innym, jak tylko dodatkowym „zamkiem”, który odstraszał innych od tego miejsca.

Trzy miesiące później ponownie znalazł się na dworcu Wrocław Główny. Jego zadaniem było przetrwać w mieście przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Nie wolno mu było jednak wynająć hotelowego pokoju ani znaleźć schronienia u poderwanej w mieście dziewczyny. Miał pozostać na ulicach miasta, stając się „niewidzialnym”.

W tym samym czasie rocznik opuszczający szkołę kontrwywiadu miał urządzić na nich polowanie. Odbywało się ono w kilku miastach: Wrocławiu, Warszawie, Poznaniu, Szczecinie i Gdańsku. Zadaniem takich jak on było nie dać się złapać, zaś celem idących ich tropem dopaść każdego i wycisnąć przyznanie się, że jest agentem wywiadu. Arturowi obilo się o uszy, że z pojmanymi nikt się nie patyczkował. Czasem było tak gorąco, że po wszystkim zachodziła konieczność wstawienia wybitych zębów, założenia gipsu lub nastawienia wywichniętych barków. O takich drobnostkach, jak siniaki czy podchodzące krwią wybroczyny, nikt nie wspominał. Zajęcie, jak ich nazywano, wiedziały jedno – gdyby któryś został złapany, musi wytrzymać co najmniej trzy dni. Tylko wówczas mógł uważać swój egzamin za zdany.

Po wyjściu przed dworzec ruszył w stronę wypatrzonej trzy miesiące wcześniej kryjówki. Pół godziny później dotarł do niej bez najmniejszych przeszkód. Mimo wielokrotnej kontroli, krążenia i nawrotów nie zauważył za sobą ogona. Jednak na wszelki wypadek postanowił sprawdzić wejście i wyjście, i zobaczyć, kto kręci się w pobliżu. Wrócił do punktu wyjścia, ponownie nie zanotował niczego podejrzanego. Zatem kiedy na pobliskim przystanku pojawił się autobus i wysiadło z niego więcej osób, skorzystał z zamieszania i skoczył za słup ogłoszeniowy, zasłaniający wejście do kryjówki.

Serce podskoczyło mu do gardła, gdy wpadł na jakiegoś mężczyznę.

– Co jest? – Facet obrzucił go złym spojrzeniem.

– Muszę się odlać, bo zaraz mi kran urwie – próbował zażartować.

Popełnił pierwszy i ostatni błąd. Dał się nabrać na historyjkę, że stojący za słupem ogłoszeniowym sika na mur. Sięgnął do rozporoka i wtedy nieznajomy odwrócił się i przyłożył mu do ramienia paralizator. Elektryczny cios znokautował jego mózg, rzucając go w ciemną otchłań bez dna.

Jakiś czas później ocknął się i poczuł, że leży na betonie. W mroku dało się słyszeć miarowe kapanie spadającej gdzieś z sufitu wody. Jednak posadzka była sucha.

Potem pod sufitem zapłonęła naga żarówka. Był pewien, że otworzą się szare stalowe drzwi, dotknięte rdzawym liszajem. Światło jednak zgasło.

Znowu ogarnął go mrok.

Znowu światło.

Ponownie mrok.

Dlaczego zamknięto go w tym miejscu? Nie pamiętał, co do tej pory się z nim działo. Dlaczego stracił pamięć? Poczul intensywny smród moczu. Czyżby leżał w jakiejś toalecie.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczył siedzącego nieopodal twarzy dużego szczura. Gryzoń przyglądał mu się z równym zdziwieniem. Wreszcie obrócił się obojętnie i, ciągnąc za sobą łysy ogon, zniknął w ciemności. Chwilę później Andrzej zorientował się, że spodnie w kroku ma mokre.

Chciał się dźwignąć, ale nie miał sił. Ponownie zapadł w letarg.

Odstępy między jasnością a ciemnością były raz dłuższe, raz krótsze. Ta przemienność pozbawiła go rachuby czasu. Po trzydziestej drugiej zmianie przestał liczyć. Wtedy dostał ataku złości. Już miał dosyć odgłosu kapiących kropeł. Kiedy ponownie zapaliła się żarówka, wstał i zaczął szukać miejsca spadania wody. Nigdzie go nie znalazł. Zaczął bić rękami w drzwi, kopać, wrzeszczeć, żeby go wypuszczono.

Wtedy przypomniał sobie, kim jest i co robi w tym miejscu. Nim kolejny raz zgasło światło, wrócił w róg celi. Usiadł w kucki i zacisnął dłonie na uszach. Jednak umysł był już nastawiony na wyłapywanie kolejnego mokrego plaśnięcia... Kolejnego... kolejnego... kolejnego... kolejnego...

Jeśli nie potrafisz czegoś pokonać, użyj tego dla własnej korzyści.

Zacisnął mocno powieki i wyobraził sobie, że bębniące uderzenia kierowane są na otaczający go betonowy mur. Każde z nich było niczym pocisk wystrzelony w ścianę. Ta, pod wodnymi ciosami, chwiała się, pękała, by wreszcie skruszyć się i zwalić, by odsłonić kolejny fragment jego życiorysu. Zaczął sobie przypominać coraz więcej minionych dni, potem miesięcy i wreszcie lat. Drzwi otworzyły się z trzaskiem właśnie wtedy, kiedy zaczął sobie przypominać skok za słup ogłoszeniowy. Który to był dzień jego pobytu w zamknięciu? Dzień? A może tydzień?

Wyciągnięto go na ciemny korytarz. Chciał iść o własnych siłach, lecz dostał cios pięścią w splot słoneczny i od tej pory wleczono go po betonie. Szczęknęły kolejne drzwi. Wciągnięto go do niewielkiego zadymionego pokoju bez okna. Posadzono na czymś i przykuto do nóg siedzenia łańcuchem zakończonym metalowymi obejmami na nadgarstki rąk. Szybko zorientował się, że to metalowy stołek, którego nogi kończyły się porcelanowymi wybrzuszeniami.

Zapłonęło ostre światło stroboskopowe, które poraziło jego źrenice. Wypaliło mu oczy, mimo że próbował mocno zacisnąć powieki.

– Jak się nazywasz? – głos dobiegał gdzieś z góry. Tak mu się przynajmniej wydawało na początku.

– Artur Gradowski.

– Obywatelstwo?

– Polskie.

– Miejsce zamieszkania?

– Warszawa.

– Ulica?

– Nie rozumiem, dlaczego zostałem zatrzymany. Kim jesteście? Chciałem się tylko odlać, a jakiś facet poraził mnie paralizatorem.

– Jak się nazywasz?

– Artur Gradowski.

– Obywatelstwo?

– Polskie.

– Miejsce zamieszkania?

- Warszawa.
- Ulica?
- Staszewskiego.
- W Warszawie nie ma ulicy Staszewskiego.
- Kim jesteście? To jakaś pomyłka. Nie rozumiem tego wszystkiego. To pomyłka.
- Jak się nazywasz?
- Już wam to powiedziałem.
- Jak się nazywasz?
- Pieprzę was. Nie będę dziesięć razy powtarzał.
- Jak się nazywasz? – zadający po raz trzeci to pytanie mężczyzna miał głos beznamiętny, jakby wygenerowano go z automatu.
- Artur Gradowski.
- Obywatelstwo?
- Polskie.
- Miejsce zamieszkania?
- Warszawa.
- Ulica?
- Staszewskiego.
- W Warszawie nie ma ulicy Staszewskiego.
- Jest na Targówku.
- Nie ma takiej ulicy.
- Chyba lepiej wiem od was. Co tu się dzieje? Jestem niewinny. Czy jeszcze to do was nie dotarło? Jestem... Nie-win-ny!!!
- Jak się nazywasz?
- Pierdol się.
- Jak się nazywasz?
- Pierdo...

Poraził go prąd. Uderzył w niego od jąder, rozerwał mosznę, dźgnął w płuca, przebił gotowe do krzyku gardło i wkręcił się z krwawym mlaśnięciem w mózg. Cios trwał sekundę i wyrzucił go z miejsca, na którym siedział – na

tyle daleko, na ile pozwolił łańcuch, którym był przykuty do stołka. Półprzytomny leżał na posadzce, wstrząsany drgawkami, jakby dostał ataku epilepsji.

Czyjeś dłonie podniosły go z posadzki i posadziły na poprzednim miejscu.

Jak się nazywasz?

Obywatelstwo?

Miejsce zamieszkania?

Ulica?

Kiedy za piątym razem wleczono go do pokoju przesłuchań, postanowił w duchu, że tym razem oplecie mocno dłonie i stopy wokół nóg stołka. Wtedy elektryczny piorun nie zrzuci go z siedzenia, tylko na nim zabije. Nim usłyszał metalowy trzask otwieranych drzwi, zemdłał.

Otwarte oczy poraziła biel. Była stonowana i miękka jak... pościel. Białe ściany, okno, za którym dostrzegł poruszaną wiatrem zieloną gałąź. Chwilę potem zobaczył stojącego obok łóżka mężczyznę.

Leżał w separacie.

– Miałeś pecha, ale już wszystko się wyjaśniło. – Udawane współczucie brzmiało fałszywym tonem w głosie nieznanego. Poczul, jak tamten poklepał go po dłoni, na której wierzchu widniała wbita w żyłę wenflonowa końcówka. W niej tkwiła igła podłączona do rurki, a na jej końcu wisiała na stojaku butelka z kroplówką.

Kilka dni później dowiedział się, że miejsce, które wybrał przed trzema miesiącami, było skrytką rosyjskiego agenta – kontrwywiad chodził za nim już od kilkunastu miesięcy. Kiedy wydano polecenie, żeby zdjąć szpiega, pojawił się Artur. Wzięto go za „zmiennika”, który miał zamiar podjąć pozostawione w prześwicie między kamienicami wywiadowcze materiały.

Po wyjściu ze szpitala powiedziano mu, że przetrwał ośmiodniowe przesłuchania. To był drugi wynik w historii szkoły. Pierwszy należał do gościa, który wytrzymał dwa tygodnie nie mniej ostrych przesłuchań. Tamten miał na nazwisko Leszczyński.

– TY TEŻ DAŁEŚ SOBIE w żyłę? – siedzący obok Artura trącił go w ramię.

- Dlaczego tak myślisz?
- Gapisz się przed siebie i ani mrugniesz oczami.
- Zamyśliłem się.
- Już tak nie potrafię.
- Patrzyć?
- Myśleć.
- Czemu?

– To przez ich metadon. – Wskazał ruchem głowy w stronę łodzi, pomalowanej w biało-czarne barwy ochronne. – Niby cię nic nie boli, ale cholerstwo jest kilkukrotnie silniejsze od morfiny. – Pochylił się w jego stronę, jakby chciał zdradzić tajemnicę. – Oni chcą nas wykończyć. Niby dają ten szajs za darmo, żebyśmy zrezygnowali z hery. Ale to głównie szybciej zabija.

– Więc nie bierz.

– Jestem do niczego. Muszę brać, a na prawdziwy towar nie mam kasy. Więc dam ci brachu radę.

– No...

– Wiem, po co tu siedzisz.

Artur udał zaskoczonego.

– I na co się gapisz.

– Na co?

– Na łódź.

– Masz rację.

– Jeszcze jesteś porządnie ubrany, więc szukaj szczęścia gdzie indziej. Nie bierz metadonu. Ściacha ci wszystko w środku, a najgorzej wątrobę. Na to właśnie moja starsza siostra umarła.

– A gdybym chciał tam wejść?

– Zacząć się leczyć?

– Czemu nie?

– Wystarczy, że wyrazisz gotowość podjęcia leczenia.

– Serio?



– Zaprowadzę cię. Jak nie masz gdzie spać, możesz tam przekimać kilka nocy. Dadzą jeść, umyją. Jak będziesz chciał wziąć działę, to zaprowadzą do pokoju dla tych, co jarają.

– Nie palę.

– To zaprowadzą do salki dla niepalących. Serio, nie śmiej się. Pełna kultura. Potem każą podpisać kilka papierków i masz szansę wrócić do normalności. Na łodzi jest bracie lux torpeda, a nie jakiś chłam i wariatkowo. Tam wyzdrowiejesz w try miga. Moja też tu wyzdrowiała. Wyzdrowiała i poszła sobie w świat szeroki. A mnie coś tu nadal trzyma. Cholera wie co. Idziesz?

ANNA WYKRĘCIŁA PARYSKI numer telefonu i jakiś czas czekała na połączenie. Po trzecim sygnale odezwał się męski głos. Francuz połykał zgłoski i zmiękczał je jak rozkapryszony bobas, ale nie miała problemów ze zrozumieniem.

– Le Petit Trianon, madame Helene, czym mogę służyć?

Czyżby Helenka zainwestowała w męski burdel?

– Chciałabym rozmawiać z właścicielką.

– To raczej niemożliwe.

– Powiedz jej, że dzwoniła Anka z Warszawy.

– To chyba niemożliwe.

Męska słodycz stała się odrobinę cierpka. Z dawnych lat pamiętała, jak rozmawiać z facetami malującymi sobie paznokcie i noszącymi koronkowe majtki.

– Słuchaj, gamoniu – krzyknęła do słuchawki. – Powiedz jej, że zadzwonię za godzinę i ona ma odebrać ten telefon. Bo jak nie, to przyjdę do waszej zatechłej dziury, wepchnę ci ten farbowany łeb między nogi i dam kopa w dupę.

– Po co się tak zaraz denerwować? No, po co? No, po co? Powiem. Jasne, że powiem. A co mi tam. Niech szefowa tego słucha. Mam dosyć. To nie na moje nerwy. Nie na moje... – niemal pochlipując, odłożył słuchawkę.

– I co? – Andrzej spojrzał na Annę.

– Poproszono mnie, żebym koniecznie zadzwoniła za godzinę.

– Super.

– Myślisz, że Helena będzie mogła nam pomóc? – Miał niepewna minę.

– O to samo miałam spytać, gdy mówiłeś o Sunny.

– Wierzę jej.

– W porządku, ale wolałabym mieć w Paryżu obok siebie kogoś, komu ufam.

Zorientowała się, że palnęła głupstwo. Podbiegła do niego. Objęła za szyję.

– Przepraszam, nie myślałam o tobie, ale o dawnych znajomych.

Zacząła całować jego oczy i policzki.

– Myślałam o Helence. Podobno jest z nią Olga. Przecież wiesz, że możemy na nie liczyć.

– Skąd pewność, że zechcą nam pomóc?

– Nie martw się. Kiedy lecimy do Paryża?

– Za tydzień.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Anna wzięła bilety do ręki.

– Są na Betty Lowstone i Demi Lowstone. – Oglądała dokładnie prostokątne kawałki papieru.

– Ten drugi to dla Moniki.

Podał paszporty Annie.

– Od Sunny? – Zaczęła je kartkować.

– Tak, od niej.

Po raz pierwszy świadomie ją okłamał. Niedługo zrobi to po raz drugi, trzeci i dziesiąty. Musiał to zrobić. Może kiedyś Anna to zrozumie i mu wybaczy?

## Rozdział dwunasty

ANDRZEJ OTWORZYŁ DRZWI klatki schodowej i wyszedł na Tweeglihgt Sun. Dochodziła dwudziesta trzecia. Latarnie rzucały na chodniki blade kręgi. W głębi ciemniał dźwig z urządzeniem do rozwalania murów. Na wprost maszyny bielił się budynek komisariatu, w którym sprawiono mu tęgie baty.

– Na pewno chcesz to zrobić? – Stojący obok Arsen zerknął na Andrzeja z łobuzerskim uśmiechem.

– O niczym innym nie marzę od dnia, kiedy mnie stamtąd przyniosłeś.

– W takim razie są twoje.

Rosjanin dał mu kluczyki do motocykla. Jego twarz wykrzywił grymas mrocznej radości.

– Należy im się. Mnie też parę razy solidnie obili.

– Możesz się jeszcze do mnie przyłączyć.

– A kto zaopiekuje się twoimi dziewczynami?

Minęła ich ciężarówka, która po przejechaniu dwustu metrów zaparkowała przy krawężniku, w miejscu gdzie zaczynały się już ruiny. Arsen wskazał głową na samochód.

– Alosza już jest.

– W takim razie i na mnie już czas.

Andrzej wyciągnął dłoń na pożegnanie, drżącą ręką klepnął Rosjanina w ramię, a potem podszedł do otwartego okna samochodu i pocałował Annę w usta. Ona już nie próbowała go zatrzymać, wybić z głowy idiotycznego, według niej, pomysłu.

– Na pewno widzimy się na lotnisku? – Anna kolejny raz chciała się upewnić.

– Na tysiąc procent.

- Mnie wystarczy sto.
- Mnie też – z głębi samochodu usłyszał głos Moniki.
- W takim razie dwieście procent to moje ostatnie słowo.

Arsen usiadł za kierownicą. Zawarczał silnik i auto potoczyło się po asfalcie. Andrzej patrzył przez chwilę za mercedesem. Potem podszedł do opartego o mur motocykla. Włożył kluczyki do stacyjki. Zapalił silnik. Chciał sprawdzić, czy zaskoczy od pierwszego razu. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Zgasił silnik i schował kluczyki do kieszeni spodni. Pogwizdując, ruszył w stronę dźwigu.

Wtedy z mroku wyszła kobieta. To była Natasza Maksymowna, matka chłopaka zakatowanego na komisariacie. Pochowała syna dziś rano. Kobieta dotknęła jego ramienia, jakby chciała się upewnić, że nie jest przywidzeniem. Potem podniosła dłoń i wyrysowała na jego czole krzyż. Nie padło ani jedno słowo. Dlaczego pocałował ją w rękę? To był odruch. Czuł, że musi to zrobić. Moment później kobieta zniknęła w mroku.

Ruszył szybkim krokiem. Minął dawny sklep z pieczywem. Tylko na tej jednej wystawie ocalała szyba. Widniał na niej uśmiechnięty piekarz, który trzymał w dłoniach rumiany bochenek. Prawdopodobnie była to podobizna właściciela. Za szybą zobaczył poczerwiałe i spiętrzone aż pod sufit krzesła i stoły.

Doszedł do drewnianego płotu okalającego wyburzony budynek. Odnalazł obłuzowaną deskę i kopnął w nią. Pękła z głośnym trzaskiem. Podobnie stało się z sąsiednią. W efekcie zrobił szerokie przejście na plac budowy.

Przeszedł na drugą stronę płotu. Na pobliskiej stercie gruzu siedział biały kocur. Zwierzę spoglądało na niego olbrzymimi zielonkawymi oczyma, jakby chciało spytać, czego o tej porze szuka wśród ruin.

- Lepiej stąd zmykaj – rzucił do futrzaka – bo niedługo będzie tu gorąco.

Czy kot go zrozumiał? Kiedy wybrzmiała ostatnia głoska, wstał i otrzepał futro. Było obsypane wapiennym pyłem. Kot był szary i wymaszerował na ulicę przez otwór w drewnianym ogrodzeniu.

Andrzej podszedł do dźwigu. Wyłamał zamek w drzwiach kabiny i zajął miejsce na fotelu obciążonym ciemnym skajem. Powtórzył w myślach instrukcję Arsena.

„Prawa dźwignia unosi i opuszcza żelbetonowy rozbijak. Środkowa to jazda do przodu lub tyłu. Dwa pedały na podłodze są od blokowania lewej lub prawej gąsienicy. Naciśniesz i będziesz mógł zakręcić.”

Przez najbliższe pięć minut utrwał w pamięci słowa Rosjanina. Wreszcie wyjął kluczyki. Jeden wsunął do stacyjki. Wcisnął klawisz startera. Silnik zakaszłał i przez rurę wydechową uderzył w niebo czarny obłok spalin.

Przez kilka sekund maszyna terkotała z głośnym łomotem, jakby napędzający ją silnik miał się zadławić i zgasnąć. Jednak po kilkudziesięciu taktach złapała równy rytm. Przećwiczył uruchamianie dźwigni, ciągnął i pedałów. Wszystko wyszło nad podziw sprawnie. Przynajmniej tak wydawało się Andrzejowi. Zanim bowiem obrócił maszynę wysięgnikiem do ulicy, rozjechał dwa karłowate drzewka.

Przesunął dźwignię do przodu. Silnik przyspieszył. Maszyna powoli potoczyła się w stronę płotu okalającego teren rozbiórki. Wahający się na przedzie półtonowy zbrojony stalą sześcian uderzył w deski płotu. Te pękły z trzaskiem. Reszty dokonały gąsienice, które całkowicie rozjechały przeszkodę. Nim wyjechał z placu budowy, minęła go ciężarówka. Siedzący w szoferce Alosza pozdrowił go uniesioną ręką. Odpowiedział tym samym gestem. Samochód skręcił na tyły komisariatu.

KAPITAN ARNIE KAPATULSKY stał przy oknie gabinetu, gdy usłyszał głośny terkot.

Odbiło im? O tej porze jeszcze nikt nie pracował. Czyżby przyspieszono prace rozbiórkowe? Jak nic za miesiąc cała ulica będzie leżała w gruzach.

Z nową siedzibą komisariatu też jeszcze nic nie wiadomo. Podobno nadal szukają zastępczego lokum. Pewnie przyjdzie im przezimować w tym budynku. Temperatura znowu spadnie poniżej zera, rury zamarzną i za potrzebą trzeba będzie ganiać w pobliskie ruiny.

Spojrzał w stronę stojącego na biurku telefonu.

A może zadzwonić do nadzoru budowlanego? W końcu jest noc, a teren burzonego domu nie jest oświetlony. Z pewnością nikt nie sprawdził ruin, w których mogą nocować bezdomni.

Niech ich... prawdę mówiąc, Arniemu byli oni obojętni. Chciał tylko mieć spokój przez najbliższe sześć godzin dyżuru. Podszedł do fotela stojącego

przy biurku i sięgnął po teczkę. Wyjął z niej kilka kaset video. Obejrzał swój ostatni nabytek. *Missisipi w ogniu*. W zeszłym roku film nominowano do Oscara. Odwrócił okładkę: „Dwóch agentów FBI prowadzi trudne śledztwo w sprawie tajemniczego i brutalnego...”. Tak, to będzie interesujący film, chociaż jeśli chodzi o Murzynów...

Dźwig głośniej zawarczała, jakby znalazł się pod jego oknami. Huknęły pękające deski.

Co jest? Obrócił się. Maszyna wyjechała przez rozwalony płot na ulicę. Najwyraźniej przesuwiała się w stronę budynku komisariatu.

A może nie będą na razie wyburzać i ściągać sprzęt? Wziął do ręki słuchawkę. Potem dłuższą chwilę szukał w notatniku numeru telefonu do szefostwa robót budowlanych. Wreszcie znalazł. Wykręcał pierwszą cyfrę, kiedy nieoczekiwany dreszcz wstrząsnął budynkiem. Zza drzwi dobiegły krzyki policjantów.

Wtedy coś go tknęło i obejrzał się za siebie. Od tego momentu czas zaczął płynąć niczym na zwolnionym filmie. Arnie zobaczył za oknem żelbetonowy sześcian, który odchyłał się wielkim łukiem w ciemność. Śmignął koło mrugającej popsutej żarówką latarni, zawisł na ułamek sekundy maksymalnie odchyłony, a potem gwałtownie ruszył w jego stronę. Arnie patrzył jak zahipnotyzowany, nie mogąc uwierzyć, że to, co ogląda, dzieje się w rzeczywistości.

Kapitan rzucił słuchawkę. Padł na podłogę. Rozległ się brzęk szyb. Sześcian rozbił framugi w drzazgi. Huk! Mur pękł. Grad cegieł zasypał gabinet. Jedna boleśnie ugodziła go w nogę. Chciał krzyknąć. Zawołać pomocy. Ze strachu nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Wbity w okienny wyłom żelbetonowy sześcian wydawał się w nim zaklinowany. Jednak dwa mocne szarpnięcia uwolniły blok, który odpadł od okna i zabujał się na stalowej linie wysięgnika. Wysokoprężny silnik skoczył na najwyższe obroty. Półtonowy kłoc odjechał od okna, gotując się do kolejnego ciosu.

– Ratunku!

Arnie wrzasnął co sił w płucach i na czworaka zaczął posuwać się do drzwi. Odgarnął z drogi kilka cegieł. W wirującym pyłe zobaczył zmiażdżoną kasetę video z dopiero co kupionym filmem.

– Zabijcie! Zastrzelcie tego skurwysyna!

Dopał do drzwi. Przerażony zobaczył, jak w dłoni zostaje mu klamka, która wypadła z zamka. Musi jak najszybciej włożyć ją na poprzednie miejsce.

Odwrócił się. Stalowy blok znalazł się już w najwyższym punkcie odchylenia. Zaraz ponownie ruszy w pędzie w stronę gabinetu i po raz kolejny boleśnie ugodzi w budynek.

Trzęsącymi się rękami wsunął klamkę na miejsce. Otworzył drzwi. Ale nie zdążył już uciec. Siła uderzenia po prostu wyrzuciła go na korytarz. Nie zważając na ból w zwichniętym barku, podniósł się i pobiegł w stronę schodów. Na dole zobaczył wystraszone twarze policjantów.

– Uciekać! Na zewnątrz! Zabierzcie broń. Rozwalcie bydłaka!

– Drzwi wejściowe są zastawione ciężarówką!

– Do piwnicy! – wrzasnął. – Kurwa! Ruszać się! Zaraz wszystko zwali się nam na łeb!

Nad głowami zdezorientowanych policjantów z hukiem zarysował się sufit, znacząc swą powierzchnię coraz bardziej poszerzającą się zygzakowatą szczeliną.

ANDRZEJ PONOWNIE ROZBUJAŁ stalowy sześcian, gotując się do zadania budynkowi kolejnego ciosu. Wtedy zobaczył pędzący w jego stronę z głębi ulicy radiowóz. Auto gnało na sygnale, jakby policjanci ścigali uciekającego pirata. Szybko ocenił trajektorię lotu wychylającego się ciężaru. Policjanci mieli pecha. Przełożył dźwignię wysięgnika i wcisnął pedał akceleratora.

– Jeśli macie ochotę się ze mną zabawić, to zapraszam. – Splunął przez zęby, czując, jak zazgrzytał między nimi wapienny pył.

Gdyby w tym miejscu ulicy latarnia paliła się zwykłym, a nie pulsującym światłem, kierowca z pewnością zobaczyłby olbrzymi blok, który nieoczekiwanie zmienił tor lotu i zaczął pędzić w ich stronę. Kiedy radiowóz dojeżdżał do stojącej na jezdni maszyny budowlanej, stało się coś niepojętego. Niespodziewanie policjanci dostali potężny cios od strony silnika. W środku auta eksplodowały poduszki powietrzne. Trafiony samochód przekoziołkował kilka razy i z bolesnym zawodzeniem milknącej syreny zamarł w bezruchu na stercie gruzu.

Andrzej miał coraz mniej czasu. Chciał dokończyć zaplanowaną robotę, nim trafieni dojdą do siebie i wydostaną z samochodu.

Ponownie odchylił ramię dźwigu i uderzył w ścianę nośną komisariatu, którą odsłoniło zwalone wcześniej piętro. Cios zachwiał budowlą. Najpierw coś w niej trzasnęło. Można było odnieść wrażenie, że piętrowy gmach jęknął niczym trafiony w splot słoneczny przeciwnik. Chwiał się na wyprostowanych nogach. Potem opadł na kolana i, tracąc przytomność, zwałił na ziemię. Tak też było z komisariatem. Coś w nim trzasnęło i w górę wystrzelił strumień wody. Bolesny jęk i zapadły się kolejne ściany. Wszystko zawaliło się z głośnym hukiem w kłębiących się tumanach wapna i ceglanego pyłu.

Kiedy wyskakiwał z szoferki dźwigu, miejsce, gdzie niedawno stał komisariat, zasnuwał szary tuman pyłu. Z nieprzejrzystych obłoków coraz to strzelał w górę wodnymi seriami przerwany wodociąg.

– To jesteśmy kwita. – Splunął.

ANNA STAŁA PRZED WEJŚCIEM do głównej hali lotniska, wypatrując motoru Andrzeja.

A jeśli coś się stało?

Monika również niespokojnie rozglądała się na boki.

– Może nas zostawił? – Spojrzała na matkę niepewnym wzrokiem.

– Na pewno przyjedzie.

Widocznie powiedziała te słowa bez większego przekonania, gdyż Monika tylko westchnęła, mrużąc oczy w zachodzącym słońcu.

Do odlotu pozostało półtorej godziny. Zdążą. Na pewno. Przecież dał jej słowo!

Chyba że Monia ma rację i Andrzej nie przyjedzie? Coś ukłuło ją w serce, jakby ktoś dźgnął szpilą.

Tylko faceci mają idiotyczne jazdy z honorem. Okej, dostał w skórę, ale żeby narażać ich wyjazd tylko dlatego, żeby pokazać komuś... Właściwie to po co on poszedł do komisariatu? I co właściwie chciał wytłumaczyć komendantowi? Że wniesie przeciw niemu pozew do sądu? Tamten przecież na pewno wyśmieje go i wyrzuci za drzwi.



Ale do facetów można mówić sto razy, a oni i tak zrobią swoje. Może chociaż posłucha jej rady i w trakcie rozmowy z komendantem nie będzie podnosił głosu?

W głębi ulicy zawarczał motor. Serce zabiło jej mocniej. Ale puls przyspieszył niepotrzebnie. Znowu pomyłka.

– Mógłbym w czymś pomóc?

Policjant przystanął za jej plecami. Zerknął na nią pytająco, z urzędowo przyklejonym do twarzy uśmiechem. Jednak na dnie jego oczu zobaczyła coś więcej.

– Dziękuję, poradzę sobie.

Mundurowy ruszył wzdłuż chodnika wolnym krokiem.

Znowu zawarczał motor. Który to już raz stanęła na palcach?

– Czyżby na kogoś pani czekała?

Jeśli to znowu ten policjant, to... Odwróciła się zła, żeby odburknąć, gdy za plecami zobaczyła... Pisnęła radośnie i rzuciła mu się w ramiona. Chwilę potem Andrzej przykucnął i wyciągnął schowaną za plecami rękę. Miał w niej malutkiego pluszowego pieska. Monice zaiskrzyły się oczy.

– Dla mnie?

– Ma na imię Alf i proszę, żebym go wziął z wystawy i ofiarował jakiejś grzecznej dziewczynce.

Monika już wyciągała rękę po zabawkę, gdy nieoczekiwanie posmutniała i schowała dłoń za plecy.

– Nie byłam wczoraj grzeczna. Mama prosiła, żebym się nie bujała, ale ja... – wskazała palcem na obandażowane kolano.

– Właśnie dlatego kupiłem Alfa. On jest wyspecjalizowany w pilnowaniu młodych dam, żeby te spełniały prośby swoich mamusi.

– Jesteś kochany – Anna szepnęła mu do ucha. – I znowu mam na ciebie ochotę.

Ugryzł ją delikatnie w płatek ucha.

– Ja też – szepnął.

– Więc może zostaniemy do jutra?

– Lepiej nie. Myślę, że za kilka godzin nowojorska policja może zacząć

mnie szukać.

- Dlaczego miałyby cię szukać?
- Spotkałem się z tamtym komendantem.
- Prosiłam, żebyś rozmawiał z nim spokojnie.

Przejechała mu palcami po włosach.

- Masz na nich biały pył.
- To nic. Chyba nie posłuchałem twojej rady.
- Pokłóciliście się?
- Chyba tak, więc lepiej lećmy do miasta zakochanych.

Andrzej sięgnął po bagaże.

- Skąd wiesz, że Paryż jest miastem zakochanych?
- My tam będziemy.

## Rozdział trzynasty

HELENA OKRĘCIŁA SIĘ na fotelu, spoglądając w lustro na swoją fryzurę.

– I jak, madame? – Fryzjer obiegnął ją w kółko, gdy kręciła się dokoła swej osi.

– Ogólnie nieźle – rzuciła, łobuzersko puszczając oko do własnego odbicia.

– „Nezili”? – Francuz nie zrozumiał, co powiedziała po polsku.

– Nie „nezili”, kołku, tylko „nieźle”. A tak w ogóle to magnifiquement.

Wstała z fotela i sięgnęła po torebkę

– Ile?

– 350 franków.

Odniosła wrażenie, że fryzjer chce również podgolić wszystkie zera w jej portfelu. Ten garbaty Żorzyk z Delaronde nie gorzej modelował włosy i brał tylko pięćdziesiątaka.

– Ale teraz jesteś damą – niedawno ofuknęła ją Olga. – A damy strzygą się u mistrza Armanda.

Niech tam... Miała rację. Tu na Zachodzie liczyły się pieniądze, które wydawało się na oczach innych, a nie te, które miało się w portfelu. I pomyśleć, że za 350 franków w Polsce przez miesiąc, po hrabiowsku, żyłaby czteroosobowa rodzina.

– A niech tam – westchnęła ponownie pod nosem.

Zapłaciła i wyszła z salonu. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy zatrzymał się chwilę, żeby na nią spojrzeć. Przeczuwając reakcję Francuza, wysunęła piersi do przodu. Zapatrzonego w nią facet wpadł na nadjeżdżającego z przeciwka rowerzystę. Zaczęli wymieniać między sobą coraz bardziej gniewne zdania.

Dziwne te żabojady.

Do Francji przyjechała pół roku temu. A przecież miała wracać do Lublina. Planowała nawet pojechać tam z Olgą.

– Nikt tam o nas nic nie wie – pewnego wieczora w Hotelu Europejskim zaczęła przekonywać przyjaciółkę. – Założymy zakład fryzjerski i będziemy wiodły ciche i spokojne życie.

– Ciche i spokojne życie... – Olga westchnęła głośno. – Już zapomniałam, jak to jest.

– Na pewno się przyzwyczaisz.

– A faceci?

– Co?

– Koniec z nimi?

– E tam, znajdzie się jakiś dobiegacz.

– W Lublinie?

– Czemu nie? Weźmiemy cichy ślub.

– Ciche życie, cichy ślub. Układasz scenariusz dla głuchego?

Helena nie zwróciła uwagi na te słowa. Wsparta na kontuarze baru widziała we wspomnieniach pewną uliczkę wybrukowaną kocimi łbami, którą matka, raz w miesiącu, prowadziła ją do zakładu fryzjerskiego. Kiedy tak szły, mama niezmiennie mówiła do małej Heleny, w jakim to Stachurska żyje dobrobycie: „I z czego? Żeby z jakiej uczciwej i ciężkiej pracy. Ale nie, ino z obcinania innym włosów.” Dlaczego matka uważała, że uczciwa praca musi być ciężka?

– Ja bym wolała – Olga również się rozmarzyła – żeby na moim ślubie było głośno, a wszyscy goście mieli kaca jeszcze przez następny rok.

– Może uda mi się urodzić dziecko... – Helena westchnęła. – Chociaż po tylu skrobankach to może być trudno. Ale bez dzieciaka to nawet lepiej. Spokój i cisza w domu.

Helena mówiła coraz wolniej, widząc nieruchomy wzrok spoglądającej na nią koleżanki.

– Mówisz na poważnie? – Olga nie wytrzymała.

Helena zrobiła zdziwioną minę.

– A co ci w tym nie pasuje?

– Szczerze?

– Aha.

– Wszystko!

– Masz rację. – Helena przywołała gestem kelnera i zamówiła butelkę szampana. – Pieprzyć panięskie marzenia. Dom, kupę bachorów i snującego się po mieszkaniu faceta w gaciach.

– Gaciach i siatkowej podkoszulce. Brrr.

Strzelił korek i zapieniły się kieliszki.

– Więc co teraz? – Olga podparła brodę dłonią, wspierając łokieć na blacie baru. – Anka zniknęła z Elwirą i tym swoim dobiegaczem. W Polsce taka demokracja, że zagranicznych gości wywiało z przyzwoitych hoteli.

– Podobno za miesiąc każdy ma dostać paszport na własność. Wyobrażasz sobie? Nie trzeba go będzie zwracać po powrocie. Będzie można fruwać po świecie, ile chcesz i gdzie chcesz.

– Jeśli już gdzieś – Olga naląła następną kolejkę bąbelków – to wybieram Paryż.

Poleciały więc samolotem do Paryża. Pomyszkowały po mieście i doszły do wniosku, że paryskie kurwy są do niczego. Wtedy Helenie przyszedł do głowy pomysł na biznes – jak to wówczas wyraziła z francuska – *les grandes entreprises*.

Pół roku później obie były właścicielkami jednego z największych i najgłośniejszych paryskich przybytków rozkoszy. Oczywiście oficjalnie patronką biznesu była rodowita Paryżanka, niejaka madame Pignonet, która poprzez polskie plenipotentki prowadziła salon masażu i odnowy biologicznej.

A ponieważ Helenka i Olga przeżyły wiele lat nad Wisłą, wiedziały, że policja w tym biznesie jest najważniejsza. W efekcie ważni przedstawiciele tej instytucji znad Sekwany mieli darmowy dostęp do najbardziej wyszukanych „zabiegów”. Jeśli do tego dołożyć fantazję i wschodnią namiętność... Helena i Olga przebiły francuską konkurencję o kilkanaście długości – męskich długości, jak śmiały się nowe właścicielki. Tak było na początku, gdy rozkręcały biznes. Potem zatrudnionym przez siebie dziewczynom udzielały stosownych lekcji, jak należy obsłużyć klienta.

Pewnego dnia Helena uznała, że Francuzki są do niczego i należy uczyć je wszystkiego od początku – od gry wstępnej poczynając, a na miłości francuskiej kończąc. Następnego dnia zakupiła lizaki i rozpoczęła naukę. Wieczorem wszystkie dziewczyny zemdliło. Cztery nawrzeszczały, że nie mają zamiaru zadawać się z pojebanymi Polkami i trzasnęły za sobą drzwiami.

Choć interes rozkręcał się i osiągał coraz to wyższe obroty, pół roku później Helena i Olga straciły zapał, stając się coraz bardziej przygaszone i zrezygnowane.

– Nie nadaję się do prowadzenia biznesu – oświadczyła Olga pewnego dnia Helenie. – Wszystko niby jest cacy, a ja czuję, jakbym za chwilę miała się udusić.

– Mnie też jest tak, jakbym zarosła na nogach i między nimi. Forsa to nie jest szczyt moich marzeń. Na stołkach w Europejskim przynajmniej coś się działo – westchnęła. – A tu high life, bon ton, savoir vivre i kapusta w papilotach.

Kiedy tamtego dnia tak narzekały, nieoczekiwanie zadzwonił telefon.

– To na pewno jakaś dziewczyna szuka pracy. Nie chce mi się z nikim gadać.

Olga podniosła słuchawkę i podała ją Helence.

– Halo?

– Chciałabym rozmawiać z... Helena?

– Kto mówi?

– Anka?

– Jaka Anka?

– Już zapomniałaś, jak szłaś na pełne zanurzenie z tą lafiryndą w kiblu Europejskiego?

– Anka?! – krzyknęła uradowana i poderwała się z fotela na nogi. – Kurrrr... ka siwa. To naprawdę ty?

– Prosiłam jakiegoś kastrata, żeby was powiadomił o moim telefonie.

– Nikt niczego mi nie przekazywał.

– Jak się spotkamy, to z nim zatańczę.

Olga doskoczyła do słuchawki i przyłożyła ucho. Zapiszczała z radości.

- Kto się tak wydziera?
- Olga.
- To jesteśmy prawie w komplecie.
- Rozstałaś się z Elwirą?

W słuchawce zapadła cisza.

- Halo. Jesteś tam? Anka?
- Elwira nie żyje.
- Co?

Helena klapnęła na fotel, aż jęknęły sprężyny.

- Jak to nie żyje? Kurwa. To niemożliwe.

Od tego dnia dzwoniły do siebie codziennie. Opowiedziała jej o wydarzeniach, które zmusiły ją do wyjazdu z kraju, o Andrzeju i ich wspólnej ucieczce z Montevideo.

Tym razem telefon był nastawiony na głośne mówienie, więc Olga również mogła włączyć się do rozmowy.

– Ale przecież ten drań chciał cię wystawić gołą dupa do wiatru. – Olga nie kryła oburzenia.

– Zmienił się.

– Aha, już to widzę, przecież... – Olga nie dokończyła, kopnięta w kostkę przez Helenę, która sekundę później zaczęła ostentacyjnie pukać się w czoło, jakby chciała powiedzieć: „Co ty gadasz? Pogięło cię?”.

– Nie słuchaj jej. Wczoraj dostała okres i już nam wszystkim zdążyła zająć za skórę.

– Każdy może popełnić błąd, ale jeśli się kocha, to trzeba umieć wybaczyc.

Olga już chciała odpowiedzieć, że sralis mazgalis, ale w porę ugryzła się w język.

– Pamiętam, że był z niego kawał przystojniaka.

– Nic się w tym względzie nie zmieniło.

– W łóżku nadal taki dobry? – Olga nachyliła się do mikrofonu.

– Nie słuchaj jej. – Helena westchnęła ciężko. – Mówiłam, że ma ciężkie dni, więc rzuciło jej się z jajników na mózg.

Przez następne dni większość czasu zajęło im omawianie pomysłu Anki. Kiedy dziewczyny po raz pierwszy o nim usłyszały, orzekły, że jest genialny w swej prostocie.

– Jeżeli nawet ktoś będzie próbował cię złapać, to... – Olga pokazała zęby w szerokim uśmiechu – będzie mógł nagwizdać.

– Mnie się też podoba. – Helena przyznała rację koleżance.

– Dzięki, że chcecie mi pomóc.

– Uratowałaś nam życie – sapnęła Olga. – Gdyby nie ty, utopiłabym się w sraczu albo Sekwanie. Też na „S”.

Kiedy wczorajszego wieczora rozłączyły się z Anką, chwilę siedziały, spoglądając na puste filiżanki z kawą.

– Znowu mam ochotę postawić świat na głowie. – Helena wciągnęła głęboko w płuca powietrze.

– Jeśli na głowie – Olga wstała z miejsca – to chodźmy na szampana. Potem damy ogłoszenie w prasie. Niech powisi ze dwa dni

Tak było tydzień temu.

Teraz Helena wyszła od fryzjera i ruszyła w stronę samochodu, w którym czekała na nią przyjaciółka. Kiedy dochodziła do auta, nieoczekiwanie z pobliskiego zaułka wyszedł czarny kot. Właściwie to nie był czarny. Na łapkach miał białe „buciki”, a na szyi łątkę podobnego koloru w kształcie krawatu. Zwierzę szło do chwili, aż znalazło się przed Heleną. Wtedy kocur miauknął. Przysiadł na chodniku i spojrzał na nią zielonkawymi oczami.

Przypomniał się jej lipcowy dzień w Lublinie, gdy miała osiem lat. Biegła wówczas do sklepu. Tuż przed nią dreptał Mieczysław z uniesionym do góry ogonem. Doszli do skrzyżowania, ulubieniec dał susa w pobliską bramę i Helena już nigdy go nie zobaczyła.

Nigdy... Do dzisiejszego dnia.

To była idiotyczna myśl, która nie wiadomo skąd przyszła jej do głowy.

– Mieczysław? – spytała niepewnie.

Dlaczego przyszło jej do głowy, że kot ma na imię Mieczysław i znalazła go po dwudziestu dwóch latach?

– Pójdiesz ze mną?

W odpowiedzi kot krótko miauknął, wstał, obszedł ją dokoła i stanął obok



prawej nogi. Postąpił identycznie jak dawny Mieczysław, który w ten sposób zachęcał ją do spaceru.

– W takim razie chodźmy – rzuciła i, nie patrząc, czy zwierzę idzie jej śladem, podeszła do samochodu. Otworzyła drzwiczki. Czarny kocur wskoczył na przednie siedzenie.

– Psik! – Olga krzyknęła wystraszona.

Kot spojrział na nią bardziej zdziwiony niż zaskoczony.

– Poznaj mojego nowego przyjaciela. – Helena wskazała na futrzaka. – Ma na imię Mieczysław. Właśnie odnaleźliśmy się po cholernie długiej rozłące, więc nie wrzeszcz na mojego ukochanego „psik”.

– Mieczysław?

– Z tą miłością to trochę przesadziłam. Właściwie to od dziś czasami będę na niego wołała: „Skurwiel”.

– Adekwatnie do charakteru? – zapytała z niechęcią w głosie Olga.

– Nie marudź, jedzie z nami.

Mówiąc te słowa, Helena usiadła na tylnym siedzeniu. Mietek dał susa na jej kolana. Zamruczał coś, okręcił się dokoła swej osi i ułożył do snu.

Pogłaskała go. Potem spojrzała na jasną rękawiczkę.

– Jeśli chcesz ze mną zostać, musisz dzisiaj wziąć kąpiel.

Kot otworzył oczy, westchnął głośno, jakby powiedział: „Niech ci będzie” i poszedł spać.

Olga zerknęła w lusterko wsteczne na siedzącą z tyłu przyjaciółkę.

– Skąd wiesz, że ma na imię Skur...Mieczysław?

– Tak nazywał się mój kot, który pewnego dnia poszedł sobie w świat i właśnie teraz mnie odnalazł.

Olga kiwnęła głową, jakby już się pogodziła z dziwnym zachowaniem Heleny.

– Każdy ma jakiegoś kota. Można więc mieć i takiego, co ma na imię Mieczysław.

Włączyła silnik. Wyjechały na ulicę. Kilka minut później przeskoczyły przez Rue du Bac do Saint-Germain. Minęły Ogrody Luksemburskie i piętnaście minut później weszły do wynajętej wcześniej sali. Najpierw szła

Olga, potem Helena, a pochód zamykał czarny kocur.

W holu czekało już około pięćdziesięciu dziewczyn. Tak przynajmniej sądziła Olga, chociaż Helena była przekonana, że mogło być ich znacznie więcej. Stawka trzysta franków za dzień pracy była wysoka.

Zgodnie z tym, co ustaliły z Anną, miały wybrać dwadzieścia dziewczyn. Ani mniej, ani więcej. Dwadzieścia wystarczyło na stworzenie odpowiedniej, jak to określiła Anna, „zasłony dymnej”.

NATAN BENIAMIN SCHNEIDER skończył czytanie podanego przez Primusa raportu.

– Oboje już są w Paryżu?

Zapytany spojrział na zegarek.

– Wylądowali pół godziny temu.

– Co z pieniędzmi?

– Milion dolarów zostało przelane na wskazane przez Leszczyńskiego konto.

– Jak rozumiem nie zostały tam długo?

Natan przeniósł wzrok na Secundusa.

– Z monitoringu wynika, że rozrzucono je po dwieście tysięcy na pięć różnych kont w europejskich bankach. Prawdopodobnie stamtąd powędrują dalej w świat. To wszystko, co zdołaliśmy ustalić.

– Dobrze chociaż i to.

– Obawia się pan, że stracimy naszego podopiecznego z oczu?

Natan pokręcił przecząco głową.

– Polak dotrzyma umowy, a pieniądze nie grają tu żadnej roli. Również dla niego. Miały być zasłoną dymną, że chodziło mu o kasę.

– A o co mu szło, jeśli nie o sześć zer?

Pytanie było retoryczne. Jednak czasami Natan pozwalał, aby i jeden, i drugi dawali mu pretekst do popisania się wiedzą na temat ludzkiej natury.

– Jemu zależy tylko na tamtej kobiecie. Trzeba więc założyć jej smycz, ale w taki sposób, żeby ani ona, ani on tego nie dostrzegli. Gdybyśmy nawet stracili go z oczu, wiedząc, gdzie ona jest, będziemy pewni, że wkrótce i jego

spotkamy w tym samym miejscu. Primus.

– Tak?

– Zajmiesz się tym.

Wywołany zapisał w notatniku polecenie otoczenia Anny dyskretną opieką.

– Mam już nawet pomysł, jak to zrobimy.

Natan zrobił zaskoczoną minę, choć w rzeczywistości byłby zdziwiony, gdyby Primus owego pomysłu nie miał.

Agent udał, że chwilę się zastanawia. Kilka dni temu odbył ciekawe spotkanie z przedstawicielem konsorcjum produkującego elektronikę na potrzeby armii. Zaproponowane przez koncern urządzenia podsłuchowe były rewolucyjne i wkrótce przewrócą do góry nogami rynek tego typu akcesoriów. Byłyby jednak bezużyteczne, gdyby nie wystrzelony pół roku wcześniej satelita.

– Zatem? – Natan podniósł wzrok na asystenta.

– Ometkujemy Wermer, a mówiąc prościej, dołączymy do jej rzeczy osobistych chipy z mikronadajnikami. To ostatni krzyk mody. Dzięki satelicie będziemy wiedzieli, w jakim miejscu się znajduje, z dokładnością do jednego metra.

Natan przeniósł wzrok na Secundusa.

– Mam jednak nadzieję, że twoi ludzie nadal mają ich w zasięgu wzroku?

– Z Nowego Jorku wyleciało z nimi dwóch agentów. W Paryżu przejmą ich trzy zespoły, które będą pilnować Leszczyńskiego i Wermer na zmianę przez okrągłą dobę.

HAWELE POPROSIŁ stewardesę o wodę bez gazu.

– Z lodem?

– Wolałbym w normalnej temperaturze.

– Zaraz panu podam.

Hawele poprawił się na oparciu fotela, przymykając oczy.

Kobiety czasami lepiej widzą niektóre sprawy. Ostrzej. Po tygodniu rozmów dziś rano Sunny przekonała go, że powinni zerwać kontakt z

Moskwą.

– Znajdą nas i zabiją – zaproponował niepewnie.

– W Nowym Jorku są miejsca, gdzie nawet policja nie odważy się przekroczyć określonego kwartału ulic. Dokumenty tożsamości nie są problemem. A jeśli chodzi o nasz wygląd zewnętrzny, to dobry chirurg plastyczny może nas nieco zmienić. Poza tym zawsze mówiłeś, że kochasz moją duszę.

– Nie przestaną nas szukać do końca naszych dni.

– Przeraza cię to?

Dopiero w tamtym momencie zdał sobie sprawę, że ma to gdzieś.

– Masz rację. – Pocałował Sunny w usta. – Niech ich szlag!

Przytuliła się do Hawele.

Stewardesa przyniosła wodę w plastikowym kubku. Przed wylotem ustalili z Sunny wszystkie szczegóły. Wermer miała oddać dokumenty polskiemu wywiadowi na paryskim dworcu kolejowym Gare de Lyon. Zadaniem Hawele było dopilnowanie, żeby nikt jej w tym nie przeszkodził.

TOMASZ DOSZEDŁ DO BRAMKI lotniskowej kontroli i pokazał paszport dyplomatyczny. Urzędnik sprawdził dokument i wskazał ręką przejście. Elektryczny zamek puścił z cichym trzaskiem.

Wraz z nim do hali, gdzie oczekiwano na wejście na pokład samolotu, weszło jeszcze dwóch towarzyszących mu dyplomatycznych przedstawicieli ambasady polskiej w Waszyngtonie. Za dwa dni, w Paryżu, wszyscy trzej zjawią się na dworcu Gare de Lyon, gdzie Anna Wermer przekaze dokumenty niegdyś wykradzione z archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

HELENA PRYZNAŁA OLDZE rację. Rzeczywiście, któraś z dziewczyn, z różnych powodów, mogła nie podjąć pracy.

– Zamiast dwudziestu wybierzmy o dziesięć więcej. W końcu Anka za to płaci – zdecydowała Olga.

– Tu nie chodzi o kasę – zaproponowała Helena. – Musimy zrobić wszystko, żeby wypadło bez zarzutu.

– Myślisz, że może być gorąco?

– Cholera wie. – Helena miała niepewny wyraz twarzy. – Jedno jest pewne, że to nie będzie zabawa z hotelowymi alfonsami z SB.

– Co z ubraniami dla dziewczyn?

– Czekają gotowe w magazynie.

– Ktoś to sprawdził?

– Zaraz tam pojedę.

– Z chęcią strzeliłabym lufę na rozluźnienie.

W drzwiach pojawiła się twarz Jean Pierre'a, który kierował przygotowaniami do dzisiejszej prezentacji.

– Przerwa już minęła – oznajmił głośno.

– Nie za szybko? – Olga spojrzała na niewypalonego jeszcze papierosa.

– Miało być kilka minut. – Jean uśmiechnął się szeroko. – Minęło już sześć.

– Dobra. – Helena machnęła ręką. – Dawaj następną pindzię – ostatnie słowo powiedziała po polsku.

– Kogo?

– Madame.

Za drzwiami rozległy się nawoływania Jean Pierre'a. Potem uchylły się drzwi i weszła średniego wzrostu blondynka o kształtnej twarzy. Ładnie zbudowana. Wiedziała, jak nosić się z klasą.

Helena i Olga spojrzały na siebie i obie mrugnęły powiekami, że „tak”.

– Jak masz na imię?

– Anette.

– Przejdź się po pokoju. – Olga wskazała kierunek.

Anette przeszła z dłonią wspartą na biodrze. Było w tym coś zmysłowego i pełnego prowokacji.

– Anette, bardzo zależy ci na blond włosach?

– Co miałabym z nimi zrobić?

GEEN DAAR WYSIADŁ z taksówki na Rue de Chalon i skierował się w

stronę pobliskiego dworca kolejowego. Wszedł do hali głównej Gare de Lyon.

Po prawej stronie dostrzegł olbrzymi mechaniczny baner, zajmujący niemal połowę wschodniej ściany dworca. Jego powierzchnia była zbudowana z wąskich poziomych paneli, które co kilka sekund przekręcały się o 90 stopni, wyświetlając kolejny obrazek. Pierwszym był napój cytrusowy. Drugim butelka coca-coli. Trzecim oświetlona nocą wieża Eiffla, a ostatnim maszynka do golenia firmy Gillette Mach.

Geen Daar ruszył w stronę przeciwległej ściany, na której wisiał olbrzymi elektroniczny rozkład jazdy pociągów. Podszedł do drzwi prowadzących na zaplecze. Nacisnął kłamkę. Znalazł się w wąskim korytarzyku oświetlonym mrugającą pod sufitem jarzeniówką. Na przeciwległym końcu znajdowały się schody, zakręcone w spiralę do góry.

Wszedł na pierwsze piętro.

Znowu kręcone schody.

Znalazł się na tyłach elektronicznej tablicy, na której podróżni mogli odczytywać przyjazdy i odjazdy pociągów. Przcisnął się między kablami.

Tuż nad jego głową zaklekotały plastikowe wiatraki z płytkami. Widniały na nich cyfry, z których automat składał godziny i minuty.

– Podróżni, udający się pociągiem TGV o numerze 567 do Marsylii, proszeni są o przejście na peron drugi. Odjazd pociągu o godzinie 16.55. Życzymy przyjemnej podróży.

Pośrodku olbrzymiej tablicy znajdował się niewielki kwadratowy otwór. Geen Daar ocenił, że zmieści się w nim lufa i jeszcze będzie miał widok na halę dworca.

Wyciągnął z kieszeni cyfrową lunetę i przyłożył ją do prawego oka. Zbliżenie było wystarczające, żeby zobaczyć przeciwległą ścianę dworca. W panelu bocznym zobaczył zarys twarzy brata bliźniaka.

Sięgnął po krótkofalówkę.

– Widzę cię – rzucił do słuchawki.

– Gdzie ty jesteś?

– Spójrz na tablicę z rozkładem jazdy.

– Okej. Widzę refleks rozbłysku szkła lunety.

Geen Daar pokiwał z uznaniem głową.

– Rzeczywiście znalazłeś doskonały punkt. Masz osiemdziesięcioprocentowe pokrycie hali głównej.

– Tobie zostawiam pozostałe dwadzieścia.

– W takim razie, jesteśmy gotowi.

– To pewne, że jutro Wermer pojawi się tu z dokumentami?

– Inaczej nie ściągnąłbym cię do Paryża.

– Może być aż tak gorąco?

– Nie chcę nic zostawiać przypadkowi.

To był wystarczający argument.

Geen Daar był pewien, że wszystko rozegra się zgodnie z wcześniej ustalonym planem. Kiedy Wermer wróci z banku, wejdzie do niewielkiej kafeterii, gdzie będzie czekał na nią Leszczyński. Wtedy przekaże dokumenty. Potem pojawi się w hali dworca i wtedy Geen Daar zlikwiduje kobietę. Brat miał podjąć działanie, gdyby Geen Daar nie mógł wykonać zadania. Nikt nie powinien się zorientować, że kobieta została zastrzelona. Po prostu upadnie na posadzkę. W tym czasie Leszczyński będzie przed dworcem, gdzie przejmie go właściwy samochód. Nic prostszego.

Nieoczekiwanie w słuchawce wetkniętej do ucha usłyszał głos brata.

– Mamy gościa.

– Kogo?

– Pamiętasz, mówiłem o facecie z Nowego Jorku, który obserwował mieszkanie wynajęte przez ciebie przy Tweeglihgt Sun ...

– Owszem.

– Chciałeś, żebym go sprawdził. To zawodowiec. Hawele Bolkowitz.

– Co z nim?

– Jest w hali głównej dworca. Właśnie patrzy w twoją stronę. Jak myślisz, po co przyjechał do Paryża?

– Mówiłeś, że pracuje dla Rosjan.

– Dla KGB.

– NA DZISIAJ STARCZY. – Helena wstała od stolika, na którym stały trzy filiżanki po wypitej przez nią kawie. – Anka zaprosiła nas dzisiaj na kieliszek do hotelowego baru.

– Cholera, żeby tak móc znowu usiąść na stołkach w Europejskim – Olga westchnęła głośno.

– Chodź, marzycielko. Kupimy dobrą butelkę Dom Perignona. Niech wie, że skończyliśmy z Sowietkoje Igristoje.

– A może wezmę ze sobą Jeana?

– Po co?

– Pokażę koleżance, że nawet za granicą mam „branie” i faceci hurtem chcą się ze mną żenić.

– Żenić?! – Helenę niemal zatkało. – Żartujesz?

– Niby z czym?

– Z tym ślubem.

– Nie rozumiem?

– To lipa i chcesz mnie nabrać?

Zamiast odpowiedzieć Olga wyciągnęła przed siebie prawą dłoń, na której migał pierścionek z brylantem.

– O Jezu! – Helena miała ochotę się przeżegnać. – Coś tam mi wcześniej błysnęło, ale nie zwróciłam uwagi. No, no... – Uścisnęła mocno przyjaciółkę. – Oświadczył się?

– Aha. Dziś rano.

– To dlatego się spóźniłaś? Balowaliście do świtu?

– Ależ skąd, wiesz, że tutaj jestem grzeczną dziewczynką. Jeszcze spałam, kiedy przyszedł. Widocznie przekupił pokojówkę, bo ta flądra wpuściła go, zanim się obudziłam.

– Cudownie.

– No więc otwieram oczy, a tu... całe łóżko w różach.

– Kurwa, ale romantyk. Prawie jak Polak.

– Rozglądałam się, a tu ktoś klęczy. Poznałam Jeana. Ten coś tam plecie i wyciąga z kieszeni pierścionek. Prawie zapomniałam języka w gębie. Nieuczesa. Nieumalowana. A ten: „Nic nie mów, tylko powiedz: «Tak»”.



– Nic nie mów?

– No właśnie, jak mam powiedzieć: „Tak”, skoro mam nic nie gadać? Popieprzona francuska gramatyka. A może coś z tych nerwów źle zrozumiałam?

– O czym gadasz?

– Opowiadam ze szczegółami, jak to się wszystko odbywało. Poza tym studiowałam germanistykę, więc jeszcze mam z francuskim kłopoty.

– Chcę wiedzieć, co mu odpowiedziałas?

– No jak to co? – Olga znowu uniosła do góry dłoń z pierścieniem. – Że jak najbardziej i z przyjemnością zostanę dwudziestą trzecią baronessą de la Gardeur.

– On wie, że prowadzimy salon masażu?

– To nowoczesny mężczyzna.

– A może to gołas, który leci na twoje pieniądze?

– Sprawdziłam go.

– Sprawdziłaś?

– Miesiąc temu, jak tylko zaczął się do mnie dobierać, dałam mu po łapach i wynajęłam detektywa.

– I co?

– Ma pałac na południu Francji, dom na Lazurowym Wybrzeżu, jacht wart pół miliona franków i rezydencję w Chamonix. Nie licząc kilku milionów na koncie.

– Niezły ten detektyw.

– Chyba nie myślałaś, że – zrobiła do Heleny oko – oddam dziewiczy wianek w byle jakie ręce.

– To dzisiaj oblewamy również twoje zaręczyny.

Helena schyliła się i wzięła Mieczysława na ręce. Kot otworzył jedno oko i ziewnął.

– Pobudka. – Przytuliła do zwierzaka policzek. – Przyjaciółka się żeni, więc kupię ci ładną kokardkę ze srebrnym dzwoneczkiem. Chcesz? – Potrząsnęła śpiącym kotem. – Skurwiel, mówię do ciebie.

Mietek otworzył oczy i ziewnął, równocześnie pomrukując coś pod

długimi białymi wąsami. Dla Heleny zabrzmiało to jak: „Chcę”.

- Cieszę się. – Ucałowała kota
- Teraz czas na twoje zaręczyny. – Olga pociągnęła Helenę do drzwi wyjściowych.
- Zawsze mogę wrócić do Lublina. Tam amantów też nie zabraknie.
- Tylko że oni wszyscy noszą siatkowe podkoszulki.
- Nie bój żaby. Żaba w wodzie nie ubodzie. Już sobie znajdę takiego bez...

Wtorek, godzina 8.40

ANNA WYSIADŁA Z TAKSÓWKI. Miała jeszcze trochę czasu, więc postanowiła przejść piechotą na plac Madeleine. Kiedy samochód odjechał, stała chwilę, spoglądając na pobliski gmach Opery. W promieniach porannego słońca budynek mienił się spokojną sytością zdobiących go złocień.

Nieopodal ślepiec grał na akordeonie piosenkę Edith Piaf *Les Neiges de Finlande*. Choć porywająca melodia płynęła ulicą, nikt prócz Anny zdawał się nie zwracać na nią uwagi.

- Przepraszam... – usłyszała głos za plecami.

Za nią stała kobieta z wózkiem, zeszła więc na brzeg chodnika. Zerknęła na zegarek. Wskazówka sekundnika miarowo odmierzała czas. Z chęcią przyspieszyłaby jej bieg. Odgrywała rolę cudzoziemki zaciekawionej urokiem miejsca, w którym się znalazła. W końcu ruszyła ulicą niespiesznym krokiem. Po dwudziestu minutach dotarła do wejścia stacji metra.

Schodząc po schodach, wyjęła z torebki lusterko. Podniosła je, udając, że poprawia kruczoczarne włosy, kiedy znalazła się przed barierkami przejść. W odbiciu dostrzegła sylwetki dwóch mężczyzn, którzy towarzyszyli jej już od placu Inwalidów. Za nimi również szło dwóch innych. Najwidoczniej jedni i drudzy o sobie nic nie wiedzieli. Wszystko jak przewidział Andrzej.

Kiedy rozmawiali na ten temat wczorajszego wieczora udała, że nie jest pewna, czy jego obawy mają uzasadnienie.

- Przecież dostaną to, czego chcą.

– Mówisz, kochanie, o naszych rodakach. Może się jednak okazać, że ktoś wcześniej będzie chciał przejąć posiadane przez ciebie dokumenty.

– Sunny powiedziała, że...

– Na tym świecie jest jeszcze kilka innych wywiadów, które z chęcią weszłyby w posiadanie tych dokumentów. Przypuszczam, że obecnie ich cena rynkowa wynosi około miliona dolarów.

– Dlaczego mówisz o pieniądzach?

– To spora góra pieniędzy. Za twoimi plecami mogą pojawić się faceci niekoniecznie związani z wywiadem. Musimy coś na to poradzić.

– To znaczy?

– Trzeba bezpiecznie dowieźć cię do banku i stamtąd zabrać.

– Poradzę sobie.

– Znowu chcesz się ze mną sprzeczać? – Udał, że robi naburmuszoną minę.

Pocałowała go w policzek i uśmiechnęła się z udawaną swobodą.

– Teraz, kochany, poradzę sobie sama.

Chciał coś odpowiedzieć, ale położyła mu palec na ustach.

– Poprzednim razem komuś zaufałam. Teraz muszę być pewna, że wreszcie to wszystko się skończy.

– Myślę, że już wiesz, że to nie jest zabawa.

– Dlatego właśnie zrobię tak, jak powiedziałam.

– Czyli jak?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Po swojemu. Jeśli zaś chodzi o ciebie... Czekasz w kafejce dworcowej. Będę z mikrofiszami punkt dwunasta.

Po jego minie dostrzegła, że zrozumiał, iż tym razem musi sobie odpuścić dopytywanie się o sposób, w jaki zamierza przebyć drogę do banku i wrócić na dworzec.

IDĄCY ŚLADEM ANNY agenci rozdzielili się, żeby w tłumie schodzących do metra nie stracić z oczu pleców kobiety.

Wysłał ich Tomasz. Dwie pary. Na wszelki wypadek. Musiał być pewien, że Wermer dotrze do banku, wyjmie ze skrytki mikrofiszę i wraz z nimi wróci na spotkanie z Leszczyńskim na paryskim dworcu Gare de Lyon.

– Moglibyście ją przejąć, gdy wyjdzie z banku.

Podczas narady zastępca ambasadora najwyraźniej był przekonany, że wpadł na doskonały pomysł.

– Fakt – Tomasz kiwnął głową. – Gdyby nie jedno „ale”. Od Leszczyńskiego wiemy, że mikrofiszę są ukryte w trzech różnych miejscach. Jeśli zdejmujemy ją za pierwszym razem, odzyskamy jedynie jedną trzecią całości. Za każdym razem dokumenty przejmuje Leszczyński. W ciągu dnia Wermer wykona trzy kursy. Potem w hali głównej Gare de Lyon dokonujemy wymiany. Co z pieniędzmi?

– Pół miliona dolarów to kupa szmalu. – Dyplomata zapalił papierosa. – Ale cała suma będzie gotowa dziś wieczorem. Wszystko w banknotach studolarowych.

– Powtórzmy zatem przebieg rozdania. – Tomasz spojrzął na zebranych w salce agentów. – Trzymacie się za jej plecami – wskazał na najbliższej siedzących. – Jednocześnie informujecie przez radio pozostałe grupy o miejscu, w którym jesteście i kierunku przemieszczania się... Pozostałe trzyosobowe zespoły są w samochodach.

Jeden z agentów podniósł do góry rękę.

– Tak?

– Powiedziałeś, że istnieje możliwość, że ktoś może próbować przejąć Wermer.

– Mówiłem o możliwości. To nie oznacza pewności. Jednak każda ewentualność musi być brana pod uwagę.

Poprzedniego dnia do Paryża przyleciał Hawele. Nowym zadaniem, które mu Tomasz wyznaczył, było chronienie kobiety do momentu przekazania przez nią mikrofiszę Leszczyńskiemu. Kiedy już dokumenty znajdą się w ich rękach, trzeba będzie odnaleźć Leszczyńskiego. Chyba nie przypuszczał, że zainkasuje pół miliona, a oni pozwolą mu spokojnie odejść?

ANNA ZBIEGŁA PO SCHODACH. Na peronie ponownie spojrzała na zegarek. Dochodziła 9.10. Obok czekało na przyjazd składu kilkadziesiąt

osób. W większości byli to turyści. Czterej śledzący ją mężczyźni stali oddaleni od niej o kilkanaście metrów. Przy wejściu na peron rozdzielili się, zajmując miejsca po obu jej bokach.

Zaczynamy przedstawienie. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Na stację wjechał pociąg w kierunku Porte da la Chapelle. Wagony przetoczyły się i znieruchomiały w głośnym sapnięciu rozchylanych na boki drzwi.

Wsiadła do środkowego. Podobnie uczynili śledzący ją agenci. Automat zatrzasnął drzwi. Wjechali do tunelu, na którego poczerńiałych ścianach zamigotały kolorowe światła pędzącego pociągu.

Anna znalazła wśród pasażerów kobietę siedzącą na prawo. W chwili gdy pociąg ruszył ze stacji, nieznajoma podeszła do Anny. Podobnie uczyniła kobieta z lewej strony. Na środku wagonu stanęły obok siebie trzy identycznie ubrane kobiety. Każda miała kruczoczarne włosy opadające na ramiona i ostry makijaż, uwypuklający karminowe wargi. Każda trzymała przewieszony przez prawe ramię plecak Adidasa.

Na jednym z zakrętów światło zamrugalo i na sekundę zgasło. Śledzący Annę agenci z przerażeniem dostrzegli, że kobiety zamieniły się między sobą miejscami.

Która z nich była teraz prawdziwą Anną Wermer?

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Saint-Lazare, agenci wysiedli na peron. Nie odeszli jednak daleko od drzwi, gotowi wskoczyć do środka, gdyby śledzona przez nich kobieta nie wysiadła. Tylko która była tą właściwą?

Wszystkie trzy wysiadły z pociągu i ruszyły w stronę wyjścia. Agenci spojrzeli po sobie zdezorientowani. Jeden z nich spróbował nawiązać łączność z grupami na powierzchni, ale w tunelu dwadzieścia metrów pod ziemią, okazało się to niemożliwe. Anna przewidziała wszystko.

Jedna z trójki „bliźniaczek” poszła w stronę wyjścia na powierzchnię. Druga cofnęła się na powrót na peron, jakby zorientowała się, że wysiadła nie na tej, co trzeba stacji. Trzecia szybkim krokiem pobiegła do krzyżówki, by zejść poziom niżej i przesiąść się na inną linię.

Trzecia była Anną. Jeden ze śledzących łapsów podążył jej śladem. Jednak piętnaście minut później, na stacji Liège, Anna powtórzyła ten sam

numer. Po przejechaniu jednego przystanku z wagonu znowu wysiadły trzy identycznie ubrane kobiety, z takim samym ostrym makijażem na twarzy.

Dwaj zdeorientowani agenci poszli za kopiami Anny.

Mimo to na stacji La Fourche po raz trzeci obok Anny stanęły przy drzwiach wyjściowych dwie „bliźniaczki”. W końcu Anna była pewna, że nikt nie chowa się za jej plecami. Wszystko odbywało się zgodnie z planem, który ustaliła z Heleną i Olgą, a te wbiły go do głów wynajętym na castingu dziewczynom.

– JAK TO ZGUBILIŚCIE? – Tomasz poderwał się zza biurka.

Chwycił mikrofon do ręki i zaczął wywoływać wszystkie grupy krążące po ulicach Paryża.

Zgodnie z nowymi poleceniami agenci mieli wrócić na Gare de Lyon i obstawić dworzec tak, by nikt nie mógł wejść ani też wyjść z niego bez wiedzy Tomasza.

W CZASIE KIEDY POLSCY agenci pędzili w stronę paryskiego dworca, szef francuskiego Direction Centrale du Renseignement Intérieur czytał dzienny raport z kontrwywiadowczego nasłuchu ambasad. Na pierwszym miejscu wybijała się informacja o zarejestrowanej w eterze zwiększonej aktywności polskich służb wywiadowczych. Z analizy wynikało, że od wczesnych godzin przedpołudniowych Polacy prowadzą na ulicach Paryża akcję, która jest zakrojona na największą od lat skalę.

– Wszystko zgodnie z tym, co mówiłeś przed dwoma dniami. Moi ludzie przyglądają się wszystkiemu dyskretnie z boku.

Francuz za biurkiem przekazał raport Schneiderowi. Natan przerzucił wzrokiem dokument.

– Rzeczywiście. – Odłożył go na biurko. – Czasem zastanawiam się, czy nie powinienem zająć się przepowiadaniem przyszłości.

Obaj roześmieli się głośno.

ANNA WYSZŁA z metra na Rue la Condamine. Złapała taksówkę. Pół godziny później wysiadła przed Bankiem Koëniga.

Uśmiechnęła się do siebie w myślach. Miała tę samą skrytkę, co poprzednio. Co więcej, otwierał ją identyczny klucz kodowy jak przed rokiem. Cóż, jak powiedział Andrzej, pod latarnią zawsze jest najciemniej.

Rozejrzała się dokoła. Od czasu, kiedy tu była, nic się nie zmieniło. Zerknęła w bok, gdzie wówczas w samochodzie siedział Siejka. Wtedy się bała. A jednocześnie chciała się zemścić, zapłacić za to, jak bardzo ją oszukano i zdrwiono z jej miłości. A dziś?

Co się z nią stało od tamtego czasu? Znowu kochała i obok niej stał ten sam co niegdyś mężczyzna. Tym razem była jednak pewna, że jest już kimś innym, niż ten, który kradł dla niej pierścionek. Spojrzała na dłoń. W słońcu kamień zamigotał jasnym blaskiem. Postanowiła założyć go po tym, jak ruszyła w drogę do banku. Była ciekawa miny Andrzeja, gdy zobaczy „pierścionek od serca” na jej palcu.

Przedwczoraj Helena zadała jej pytanie, czy Andrzej zasługuje na nowy kredyt zaufania?

– Tamten dawny był esbekiem. – Anna przywołała kelnera, wskazując gestem na pustą filiżankę po kawie.

– A ten? – Olga poprawiła pierś wysuwającą się ze zbyt małej miseczki stanika.

– Jest inny.

Helena z Olgą wymieniły szybkie spojrzenia. Anna to zauważyła.

– Co jest? Powiedziałam coś nie tak?

– Gadasz jak wtedy, gdy opowiadałaś nam o nim na stołkach w Europejskim.

– To znaczy jak?

– Jak zakochana cipa. – W oczach Heleny pojawiły się łzy. – I nawet nie wiesz, jak cholernie ci tego zazdroścę.

Teraz, idąc w stronę banku, wreszcie usłyszała w myślach swój głos: „Tak, mogę mu ufać!”.

Pchnęła drzwi i znalazła się w klimatyzowanym wnętrzu. Tu również nic się nie zmieniło. Cóż, banki lubią stabilizację.

Zajęła miejsce klienta, czekając na zjawienie się urzędnika.

– Czym mógłbym służyć?

Młodzian miał niewiele więcej niż dwadzieścia parę lat. Niesforna czupryna spadała na czoło. Na prawym policzku dostrzegła miejsce, gdzie niestarannie się wygolił.

- Chciałabym dostać się do skrytki.
- Oczywiście, zaraz załatwimy wszystkie formalności.

Pięć minut później, po potwierdzeniu prawa dostępu, młodzieniec przywołał strażnika, który miał ją zaprowadzić do działu skrytek. Nim odeszła, spojrzała chłopakowi w oczy.

- Przepraszam, nie mogę odczytać pańskiego imienia. – Wskazała na plakietkę na piersiach.
- Andrea, Marc. To od Andrzeja.
- Andrzeja? Ładne imię.
- Po dziadku. Podobno był Polakiem.

Spojrzała na zegarek. Miała dwadzieścia osiem minut do wyjścia z banku. Ruszyła za strażnikiem w stronę działu skrytek. Dziesięć minut później została sama ze stalową szufladą, zamykaną odchylanym do góry wiekiem.

Wyjęła wszystkie mikrofiszki i włożyła je do plecaka. Na siedem minut przed upływem umówionego czasu wcisnęła wewnętrzny dzwonek przywołujący strażnika.

W tym samym czasie w holu banku pojawiły się dwie kobiety wyglądające identycznie jak Anna.

Andrea Marc dostrzegł, że miały na sobie takie same jasne płaszcze, ciemne włosy i ostry makijaż z wyraźnie podkreśloną kreską czerwonych warg. Już gdzieś widział podobną kobietę. Moment później zobaczył madame Wermer, którą niedawno obsłużył. Wychodziła z działu skrytek.

Młody urzędnik pomyślał, że z pewnością wszystkie trzy nie znalazły się tu przypadkowo. Czyżby planowały napad? Nim zdał sobie sprawę z realności zagrożenia, kobiety skierowały się do wyjścia i po kolei wyszły na ulicę. Która z nich była tą, która spędziła kilkanaście minut w dziale skrytek?

*Wtorek, godzina 11.30*



ANDRZEJ WSZEDŁ WOLNYM krokiem do hali głównej dworca Gare de Lyon. Kilkanaście minut wcześniej na peron wjechał TGV z Marsylii. Liczni podróżni wyszli z pociągu i ruszyli w stronę wyjścia na ulicę lub zejścia do stacji metra.

Spojrzał na zegar elektroniczny. Do dwunastej miał jeszcze 29 minut. Doszedł wolnym krokiem do kafeterii. Dlaczego właśnie to miejsce Anna wybrała na południowe spotkanie? Skąd jej tajemniczość i upór, że sama pojedzie po mikrofiszce do banku?

A jeśli wytnie jakiś numer?

Czy Schneider to przewidział?

Nic się nie stanie. Anna wróci z dokumentami.

Dostrzegł agentów udających podróżnych. To mogli być Polacy. Zgodnie z zapewnieniem Schneidera Francuzi obiecali trzymać się w tym czasie od dworca z daleka.

Andrzej oszukał Tomasza, mówiąc, że Anna ukryła mikrofiszce w trzech różnych bankach. Dzięki temu nie zdejmuje jej w chwili, gdy będzie wychodziła od Koëniga. Odegrał też przez Tomaszem pierwszą część swej roli. Zażądał pieniędzy za dostarczone mikrofiszce. Spodziewał się zdziwienia, zaskoczenia lub przynajmniej grymasu pogardy na twarzy rezydenta. Tamten jednak nie dał po sobie poznać, co o tym myśli.

Co powinien zrobić, kiedy Anna przekazuje mu mikrofiszce? Pocałować ją? Uśmiechnąć się? Szepnąć coś na ucho?

Ale co?

Czekaj na mnie? Przepraszam? Nie wierz w to, co będą o mnie mówili?

Nic nie powie. Pocałuje ją w policzek i wyjdzie, jakby za godzinę ponownie mieli się zobaczyć. O 11.40 i 11.45 na dworzec wjadą dwa pociągi dalekobieżne. Dwadzieścia minut później w hali głównej będzie tłoczno jak w metrze w godzinach szczytu.

Z Tomaszem umówił się przed wyjściem z dworca.

Andrzej zatrzymał się przed barem. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Kiedy zajmował stolik, zauważył kobietę w jasnym płaszczu, siedzącą w rogu sali. Na pierwszy rzut oka była podobna do Anny. Jednak z odległości kilku metrów, które dzieliły ich stoliki, okazało się, że uroda nieznajomej jest tylko zbliżona do urody Anny. Przypadek?

Zawsze uczono go, że przypadki stanowią w życiu tylko kilkuprocentowy margines. W głębi sali dostrzegł jeszcze dwie inne dziewczyny. Te zdjęły z siebie jasne płaszcze i przewiesiły je przez oparcia stojących obok krzeseł. Obie siedziały odwrócone do niego tyłem. Ich włosy również były kruczoczarne. To już nie był przypadek.

HAWELE MIAŁ NA SOBIE mundur dworcowej obsługi. Dzień wcześniej przekonał madame Vilonneu, by nie przychodziła dziś do pracy. Ostatecznym argumentem było kilkanaście banknotów, które po szybkim przeliczeniu okazały się pięcioma tysiącami franków. Pokusa nie do odrzucenia. Połowa tej sumy stanowiła miesięczny zarobek madame Vilonneu, który osiągała, prowadząc codziennie przez dziesięć godzin dworcowy kiosk z gazetami. Z pewnością powodziłoby się jej lepiej, gdyby prowadziła trafikę. Niestety, lekarz zabronił jej przebywania przez tyle godzin w tytoniowym zaduchu. Cóż robić. Tylko czy zapach farby drukarskiej był mniej szkodliwy?

Hawele wszedł do kiosku. Jego zaplecze było osłonięte od spojrzeń przechodniów. W tym typie użytkowej zabudowy dach był uchylny, dzięki czemu można było uzyskać lepszy przewiew. Hawele był pewien, że po jego otwarciu będzie miał doskonały punkt obserwacyjny na elektroniczny zegar, sam będąc niewidocznym dla podróżnych.

Już czas.

Kilka minut wcześniej, gdy sprzątał posadzkę dworca, zauważył wchodzącego do hali głównej mężczyznę o charakterystycznej greckiej urodzie. Tamten przeszedł obok, niosąc podłużny neseser. Hawele był pewien, że w środku znajduje się snajperski karabin.

Zgodnie z przewidywaniami Grek doszedł do ściany, na której wisiał zegar elektroniczny i otworzył drzwi, przez które przechodziła obsługa techniczna dworca.

GEEN DAAR WSZEDŁ na podest pierwszego piętra. Wspiął się na drugie i znalazł się na tyłach tablicy z rozkładem jazdy pociągów. Otworzył futerał. Złożył karabin. Wprowadził cztery pociski do magazynka, który wsunął do komory nabojoyej.

W południe na dworcu miała pojawić się Wermer z dokumentami. Wejdzie z nimi do kafeterii, gdzie przekaze je Leszczyńskiemu. Kiedy wyjdzie na halę główną, Geen Daar ją zastrzeli.

Sięgnął po krótkofalówkę.

– Jesteś? – rzucił do mikrofonu.

– Od dwudziestu minut.

– Co z naszym znajomym?

– Początkowo bawił się w dworcowego zmiataacza. Kiedy pojawiłeś się w holu, wszedł do kiosku z gazetami. Cholera wie, po co.

– Pilnuj go, a ja zajmę się Wermer.

– Okej, bez odbioru.

Geen Daar sięgnął po karabin.

KIEDY KWADRATOWY OTWÓR w elektronicznym zegarze ściemniał, Hawele odczekał jeszcze kilka sekund. Zobaczył w nim kilkucentymetrowy wylot lufy. Z dołu broń snajpera była praktycznie niewidoczna. Hawele pociągnął za spust. Jego karabinem lekko szarpnęło do tyłu. Wkręcony w lufę tłumik wystarczająco spłaszczył odgłos wystrzału. Ten zabrzmiał jak głośnie klapnięcie tomu książki o kamienną posadzkę dworca. Odgłos utonął w ogólnym hałasie.

Lufa gwałtownie znikła z ciemnego otworu tablicy zegarowej.

Hawele zaczął powoli zdejmować z siebie kombinezon technicznej obsługi dworca.

Spojrzał na zegarek.

Z Sunny umówił się równo o dwunastą w holu głównym. Miał jeszcze kilkanaście minut do spotkania.

DAAR GEEN WŁĄCZYŁ krótkofalówkę.

– Jesteś? – wywołał brata, który czatował na Wermer za elektronicznym zegarem dworcowym. – Słyszysz mnie?

Jego niepokój wzrósł. Minutę wcześniej zobaczył wchodzącą na dworzec Wermer. Tak mu się przynajmniej wydawało. W głębi zobaczył inną kobietę

ubraną w biały płaszcz, z ciemnymi włosami, ostrym makijażem i przewieszonym przez prawe ramię plecakiem. Później z drugiej strony dworca nadszedł kolejny sobowtór. I jeszcze jeden. I następny. Wszystkie kobiety zmierzały do dworcowej kafeterii.

Właśnie o tym chciał porozmawiać z bratem. Coś śmierdziało na odległość. Kiedy kobiety zaczną wychodzić z kafeterii, która z nich będzie Wermer, a która sobowtórem? Przecież wszystkich nie zabiją!

– Jesteś tam? Do cholery, odezwij się!

Spojrzał przez lunetę na kiosk.

Już wiedział. W wizjerze zobaczył odsunięty na bok fragment dachu i składającego karabin mężczyznę.

– JAK CI SIĘ PODOBA?

Anna wskazała ręką na stojące wokół niej kobiety, identycznie jak ona ubrane, umalowane i trzymające na prawym ramieniu plecaki.

– Sam lepiej bym tego nie wymyślił

Pochyliła się nad siedzącym i pocałowała go w usta. Kiedy się wyprostowała, zdjęła z ramienia plecak. Postawiła go na stoliku.

– Masz w nim wszystko, czego trzeba. I powiedz im, żeby dali nam spokój.

Inne dziewczyny odłożyły plecaki na podłogę.

– Są tam mikrofiszki? – Dotknął wypchanego plecaka.

– Wszystkie.

– Świetnie.

– Widzimy się za godzinę?

Andrzej kiwnął potakująco głową. Przytulił ją mocno. Usłyszał wtedy jej pytanie:

– Zabierzesz mnie do Luwru? Zawsze chciałam zobaczyć Mona Lisę. Helena i Olga mówią, że to żadne „halo”, ale one kończyły tylko handel zagraniczny.

– W takim razie, o trzynastej w Ogrodach Tuileries.

Wyszedł z kafeterii, czując na plecach wzrok Anny. On też przygotował

się do tej rozgrywki. Otoczył go tłum pasażerów, którzy kilkanaście minut wcześniej wysiedli z pociągów dalekobieżnych. Przemieszał się z nimi i pobiegł w stronę dworcowych skrytek. Otworzył jedną z nich. Wyciągnął z niej wypchaną torbę, a do środka schował plecak, który dostał od Anny. Zatrzasnął drzwiczki i przekręcił zamek kodowy. Wszystko trwało nie dłużej niż mrugnięcie powiek.

Andrzej pojawił się w głównych drzwiach wyjściowych dworca. Doszedł do jezdni i zobaczył Tomasza, który w otoczeniu agentów stał przy zaparkowanym opłu.

– CO ON ROBI? – Tomasz krzyknął, wskazując na Andrzeja.

Ten machnął ręką na taksówkę, która błyskawicznie do niego podjechała.

Andrzej otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Auto ruszyło z miejsca.

Tomasz wskoczył do samochodu, podając przez radio namiary taksówki, do której wsiadł Andrzej. Kiedy kierowcy ruszyli za odjeżdżającym samochodem w Alée de Bercy, dwie toyotyomal się nie zderzyły. W efekcie całkowicie zablokowały wyjazd.

Secundus upewnił się, że Polacy zostali złapani w pułapkę i ruszył chodnikiem w stronę auta, które zaparkował na Rue de Bercy.

W tym czasie Tomasz wyskoczył z samochodu i zaczął biec za odjeżdżającą wraz z Andrzejem taksówką.

– Oszukał nas – krzyknął wściekły. – Ten drań z tą dziwką wystawili nas do wiatru.

HAWELE WYSZEDŁ Z KIOSKU. Zobaczył idącą w jego stronę uśmiechniętą Sunny. Zaczął do niej biec. Po kilku pierwszych krokach ognisty szpikulec przebił mu pierś. Otaczająca go przestrzeń rozmazała się w krwistych plamach. Upadając, usłyszał krzyk Sunny.

Chwyciła go w ramiona, wzywając głośno pomocy. Ale Hawele już jej nie słyszał. Uśmiechał się tylko do niej otwartymi oczami, zaś przez rozchylone do szeptu usta płynęła spieniona ostatnim oddechem krew.

*Trzy dni później*

– CO Z NIA? – Olga spojrzała na Helenę, wskazując głową na zamknięte drzwi pokoju.

Przyjaciółka westchnęła ciężko.

– Dziś rano już nie rzucała butelkami o ścianę. – Spojrzała zmęczona w stronę okna. – Gdybym dorwała tego skurwysyna, to własnoręcznie wycięłabym mu jaja i zawiesiła na uszach.

Helena przypomniała sobie, jak trzy dni temu niemal przemocą zabrały Annę z Ogrodów Tuileries, gdzie czekała na Andrzeja do zmroku.

– Była u mnie Rosjanka. – Olga usiadła ciężko na sofie

– Ta, której faceta zastrzelili na dworcu? – Helena poprawiła fryzurę.

– Znasz jakąś inną?

– Co chciała?

– Zobaczyć się z Anką.

– Teraz to raczej niemożliwe.

– Powiedziała jej, ale nalegała. – Spojrzała na zegarek. – Wpadnie koło szesnastej.

– Najwyżej wróci do domu z kwitkiem. Jak Monia?

– Domyśla się, że z mamą jest coś nie tak. Czeką w sąsiednim pokoju. Chce, żeby przeczytała jej bajkę.

– Przecież wczoraj czytałaś.

– Wczoraj i przedwczoraj. Nie wiem, co robić.

– Może jedź na wycieczkę do Wersalu?

Olga podeszła do drzwi i chwilę nasłuchiwała.

– Dałaś jej wódki? – Wróciła na poprzednie miejsce.

Helena przytaknęła.

– Myślałam, że jak się dobrze narąbie, to kac wybije jej z głowy pierdoły. Ale po tej trzydniówce, to już, kurwa, sama nie wiem, co robić.

Nieoczekiwanie skrzypnęły drzwi. Helena i Olga zamarły w bezruchu. W progu stała Anna: nieuczesa, ze zmęczoną od alkoholu i płaczu twarzą.

– Dobrze się czujesz? – szept Heleny był prawie niedosłyszalny.

Wydawało się, że Anna dopiero teraz zobaczyła przyjaciółki.

– Pójdę się wykapać. Potem zjadłabym śniadanie.

Mimo że już dawno minęło południe, żadna z dziewczyn nie wspomniała o późnej godzinie.

– Jajecznicę na szynce? – Helena poderwała się z miejsca.

– Może być.

Anna podeszła do okna. Odsunęła firankę na bok i wyjrzała na zewnątrz.

– Pamiętasz, Helenko, jak mówiłaś, że wszyscy faceci myślą fiutem. Wtedy zaproponowałam. Miałaś rację. Każdy ukrywa jakieś brudy, cichaczem zamiata je pod dywan lub chowa pod stosem brudnych skarpetek.

Odwróciła się od okna.

– Oni oszukują częściej niż kobiety. O wiele, wiele częściej! Tylko my na tej cholerniej planecie jesteśmy uczciwe. I dlatego za to płacimy. Bo jak kochamy, to na zabój, do końca naszego życia i tego pieprzonego świata. Jedni o tym wiedzą, inni to przeczuwają, a wszyscy wykorzystują – naszą miłość, zaufanie i uczucia. Oni nas z nich okradają. O-kra-da-ją!!! Ale my jesteśmy drogocennymi kobietami, z wartościowymi sercami i duszami i do cholery zasługujemy na szacunek!

ANNA WSKAZAŁA Sunny empirowe krzesło.

– Jak się czujesz? – Rosjanka zerknęła na mocny makijaż Anny, który miał ukryć nieprzespane noce.

– Radzę sobie.

– Słyszałam, że pijesz.

– Plotki.

Helena wniosła tacę z herbatą.

– Co zamierzasz? – Głos Sunny zawisł w powietrzu.

– Odnajdę go. – Anna zacisnęła dłonie w pięści.

– Zróbmy to razem. – W oczach Rosjanki zapaliły się mściwe ogniki. – Ja muszę odszukać tego, który odebrał mi Hawele.

Anna kiwnęła głową na zgodę.

– Co potem, jak odnajdziesz Andrzeja? – Helena zrobiła niepewną minę.

Anna spojrzała na nią zimno.

– Zabiję go!



MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#) , Bydgoszcz